

De. II 1.  
TOM CCLIX.

SERYA 9.

ROK 65.

ZESZYT 775.

BIBLIOTEKA  
WARSZAWSKA.

L I P I E C.

1905.

TOM III. — ZESZYT 1.

WARSZAWA.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 5.

—  
1905.

## TREŚĆ ZESZYTU.

	<i>Str.</i>
1. BEZROBOCIE SZKOLNE, — przez <i>Szymona Askenazego</i> . . . . .	1
2. SŁOWACKI A CALDERON. (Studyum porównawcze), — przez <i>Maryana Szyjkowskiego</i> . . . . .	14
3. PRZEMIANY. Powieść współczesna (dalszy ciąg), — przez <i>Kazimierza Żdźichowskiego</i> . . . . .	56
4. TOWARZYSTWO PRZYJACIOŁ NAUK W LUBLINIE, — przez <i>Stefana Gorskiego</i> . . . . .	92
5. RUCH LITERACKI W NIEMCZECH, — przez <i>Jana Kaczkowskiego</i> . . . . .	125
6. LITERATURA CZY AKTORSTWO?, — przez <i>W. Bogusławskiego</i> . . . . .	144
7. PUŁASKI W AMERYCE (dok.), — przez <i>Władysława M. Kozłowskiego</i> . . . . .	167
8. PIŚMIENNICTWO:	
DR. FRANCISZEK BUJAK: Wieś zachodnio-galicyjską u schyłku XIX w., przez <i>A. R.</i> . . . . .	182
9. KRONIKA MIESIĘCZNA:	
Reformy. — IV Zjazd prawników i ekonomistów polskich. — Uczenie nie pamięci Reya. — Dzieje biblioteki Zielińskich w Płocku. — Kursy wakacyjne w Krakowie i w Cieszynie. — Projekt założenia akademii handlowej w Warszawie . . . . .	189
10. WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE . . . . .	205

*Do niniejszego zeszytu dołącza się Dodatek „PRACA” № 3.*

BIBLIOTEKA  
WARSZAWSKA.

**BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.**


Rok 1905 — Tom III.



BIBLIOTEKA WARSZAWSKA




Ogólnego zbioru Tom 259.



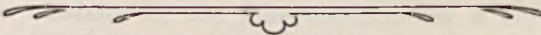
BIBLIOTEKA  
WARSZAWSKA.

PISMO MIESIĘCZNE,

poświęcone nauce, literaturze, sztukom i sprawom społecznym.



Rok 1905.—Tom III.



WARSZAWA.

Adres Redakcyi: ul. Krakowskie Przedmieście № 5.

—  
1905.

Opis biblioteczny

BIBLIOTEKA

WARSZAWSKA



WARSZAWA

De 11

Дозволено Ценаурою.  
Варшава, 25 июня 1905 года.

Rok 1905. — Tom III.

WARSZAWA

Wydawnictwo Biblioteczne

1905

# Bezrobocie szkolne.

---

Po czterdziestoletniem martwym milczeniu społeczeństwo nasze doczekało się przelomowej chwili historycznej, dającej mu możność, a tem samem wzywającej je do obowiązku poważnego wystąpienia w imieniu praw i potrzeb swoich. Usiłowało ono i usiłuje wywiązać się należycie z tego obowiązku, włożonego przez obecny moment dziejowy na pokolenie dzisiejsze, i tych usiłowań aż do pomyślnego ich uwieńczenia nie zaniedba, nie zaniecha, ze zgodnością, rozważą a z mocą niezachwianą w nich wytrwa. Wielki ów obowiązek w dwoistej przed nami podnosi się postaci: nasamprzód chodzi tu o pewną zasadniczą syntezę narodowo-życiowych postulatów, dotyczących Królestwa Polskiego, o pewien zamknięty w sobie kompleks związanych organicznie między sobą i ze wspólnego przyrodzonego założenia płynących zagadnień; następnie zaś chodzi o rozliczne z tych zagadnień konkretnych, brane z osobna, w miarę jak nasuwa je nieodparta, nie będąca dłużej do zniesienia bolesna rzeczywistość. Albowiem każde z nich przedstawia się jako zadawniona a coraz bardziej od lat z górą czterdziestu zaogniająca się bołączka na ciele społeczeństwa naszego, trawiąca jego soki i siły żywotne, powstrzymująca je od normalnego rozwoju, i domagająca się doraźnego leku w interesie stopniowego uzdrowienia całości.

Jedną z takich bołączek najdotkliwszych i z największą nagłością dopominających się gruntownej sanacyi, jest sprawa edukacyjna w Królestwie Polskiem. Jest ona w najwyższym stopniu zasadniczą zarazem i aktualną. Jest jedną z naczelných, pierwotnych, zgoła niezbędnych przesłanek wszelkiej przyszłej naprawy i prawidłowego ustalenia powszechności losów tego kraju pod znakiem lepszego jutra; a zarazem w dzisiejszej, przez ciężką



przeszłość narzuconej postaci, jest ciągle klęską dnia powszedniego dla każdej tego kraju rodziny.

Zrozumiało to najjaśniej społeczeństwo nasze i odczuło najżywiej. Nie omieszkano też od pierwszej chwili podnieść głosu w tej sprawie wyjątkowo doniosłej i palącej, w sprawie szkolnej. Wyniosło na całej linii skargę mocną i gorzką, oddawna spoczywającą we wszystkich sercach, ciszącą się na wszystkie, zamknięte dotychczas usta, skargę przeciw wadliwemu, nieprzyjaznemu systematowi szkolnemu wogóle, stosowanemu w kraju naszym, przeciw rusyfikacyjnej szkole publicznej w szczególności, od dołu do góry, od początkowej, przez średnią, aż do uniwersyteckiej, na wszystkich tych szczeblach będącej na stopie wojennej z istotnymi wymaganiami kultury narodowej Królestwa. Wyniosło równocześnie na całej linii ten postulat tak prosty, tak naturalny, tak oczywisty, jedynie słuszny przez wszelkie prawo ludzkie i Boskie, jedynie rozumny przez wszelką logikę zdrowej polityki i państwowego interesu: postulat polskiej szkoły w Królestwie Polskiem. Uczyniło jedno i drugie w rozmaitym, dostępnym dla siebie, możliwie jasnym, jawnym, przekonywującym i dobitnym sposobie. Nieszczęsne położenie szkolnictwa naszego i kardynalne wymagania zupełnej jego reformy roztoczono w niekrępowanem słowie zakordonowem. Sprawę tę arcyważną i arcydrażliwą poruszono z możliwym pośpiechem i otwartością na szpaltach prasy miejscowej. Wyłuszczone ją szczegółowo w memoriałach i wywodach programowych. Najznakomitszy reprezentant społeczeństwa i kultury polskiej obrócił się z wymownym apelem do sumienia ogółu rosyjskiego. Wielki wiec rodzicielski w obliczu kierownika krajowej władzy edukacyjnej obwieścił szczerą i jednomyślną opinię społeczeństwa naszego. Poniesioną została do rządu petycja szkolna, okryta dziesiątkami tysięcy podpisów rodziców polskich. Wybuchło wreszcie bezrobocie szkolne, powszechny „strajk“ czy też „bojkot“ uczącej się młodzieży w Królestwie.

Bezrobocie szkolne w Królestwie Polskiem trwa bez przerwy od początku lutego r. b. Doprowadzone aż do obecnych wakacji letnich a tem samem faktycznie co najmniej aż do nowego roku szkolnego, poczynającego się we wrześniu, ogarnęło tym sposobem już dotychczas okres co najmniej siednmiomiesięczny. Ogarnęło niemal całość kilkudziesięcioletnią polskiej młodzieży szkolnej Królestwa. Dość powiedzieć, że same tylko te zastępy szkolne, o które tu głównie chodzi, należące do męskich szkół średnich rządowych (nie wliczając t. zw. szkół miejskich, po części dających ulgę wojskową) oraz do t. zw. szkół prywatnych

„z prawami“ pod kompetencją bądź ministerium finansów bądź oświaty, obejmują obecnie w kraju tutejszym około 22 tysięcy głów. Pod każdym więc względem, czy to wyjątkowego rodzaju samej akcji, czy to czasu jej trwania, czy też ilościowych jej rozmiarów, mamy tu niewątpliwie do czynienia ze zjawiskiem wagi pierwszorzędnej, stanowiącym moment nader poważny zarówno w powszechnym budźecie życia społecznego, jakoteż we współczesnym toku dyrektywy politycznej kraju naszego.

Bezrobocie szkolne nie było rzeczą świadomie przez nasz ogół wywołaną. Zaskoczyło ono nas samych. Objawiło się nie uplanowanym czynem samowiednym, lecz żywiołowym odruchem. Było nagłym, nieobliczalnym i nieobliczonym aktem rozpacz samych młodzieży. Skonstatowanem zostało poniekąd urzędownie, iż „żadna z walczących w Polsce partyi do strajków tych (szkolnych) nie namawiała; powstały one żywiołowo; są niejako dziećcą wojną krzyżową, naturalną reakcją przeciw systemowi gwałtownej rusyfikacji. Partye próbowały ruch ten powstrzymać, ale było już zapóźno.“ Zapewne, mogły zapaleńsze a politycznie niedość poczytalne jednostki przyłożyć się do rozognienia tego strajkowego rozpędu. Ale nie była to „robota“ społeczeństwa naszego, ani żadnej z większych jego grup, ani stronnictw, ani rodziców polskich. Myślny tego bezrobocia, tego strajku czy bojkotu, nie „robili.“ Zrobiło się ono samo, zrobiła je sytuacja, zrobiła przede wszystkim obecna szkoła publiczna, i tem właśnie, że zrobiła, że uczyniła je możliwym, najdobitniej dowiodła rdzennej wadliwości, rozkładowej, destrukcyjnej istoty swojej, wydała sama na siebie bezapelacyjny wyrok potępienia.

I w tem tkwi *jedyna* strona dodatnia tego niebywałego, a skądinąd niewątpliwie anormalnego zjawiska, strona czysto manifestacyjna, t. j. manifestująca sposobem aż nadto namacalnym całą chorobliwość systematu szkolnego, który po blisko czterdziestoletniemu działaniu takie przyniósł owoce i do takiej prowadząc katastrofy, sam siebie doprowadził do absurdu.

Aliści, stwierdzając tę stronę rzeczy, stwierdzając szlachetność pobudek, jakie młodzież naszą popchnęły do instynktownej zbiorowej ucieczki z dzisiejszej macosze dla niej szkoły, stwierdzając ciężką winę tej szkoły i konieczność niezwlekania dłużej z zasadniczą jej reformą, stwierdzając wreszcie znaczenie manifestacji strajkowej, jako smutnego a niezmiernie lapidarnego, w ślepe nawet oczy bijącego dowodu owej winy zarazem i konieczności, — przychodzi natychmiast stwierdzić z tem większą stanow-



czością, że bezrobocie szkolne jako takie, czy nazwiemy je strajkiem czy bojkotem powszechnym, (gdyż oczywiście te rzekome dystynkcyje słowne nie zmieniają w niczem istoty rzeczy), było i jest środkiem niewłaściwym i że kres mu niezwłocznie położyć należy.

Bezrobocie szkolne w Królestwie Polskiem jest rzeczą niewłaściwą. To znaczy: niewłaściwą dla nas samych, nieodpowiadającą naszemu własnemu dobrze zrozumianemu, dobrze obliczonemu interesowi narodowemu. Zapewne, w położeniu niezwykłym jak nasze, nadto w chwili niezwykłej jak dzisiejsza, nietylko zwyczajne drogi i obowiązki wskazane są społeczeństwu, lecz wymagane są od niego wyjątkowe przejawy energii i ofiarności publicznej. Ale i ofiarą obywatelską rządzić powinna obywatelska roztropna, gospodarska rachuba. Potrzebny nam zapał rozsądny, dojrzały, karny, zapał zimny, idący pod rozkazy trzeźwego rozumu stanu, a tem samym idący najsukutekniej na rękę i najpełniej wychodzący na pożytek naszej narodowej racji stanu. Kapitałem energii publicznej szastać niewolno. W żadnym kierunku, ani w zakresie ogólnym, ani w dziedzinach poszczególnych, pod żadnym hasłem, choćby najpiękniejszym, bez żadnego przywileju dla którejkolwiek strony, raz na zawsze nikomu nie wolno. Siła ducha publicznego posiada swoją dynamikę i nie może być wyładowywaną w ślepych odruchowych rzutach; posiada ona swoją ekonomię i nie może być wydatkowaną z poryweczą bankructwają hojnością. Konieczną jest, w pewnych przynajmniej granicach, ekonomia ruchów, działań, nawet poświęceń zbiorowych. Koniecznym pewne, chociażby w przybliżeniu, prawidłowe ustosunkowanie pomiędzy środkiem a celem, wysiłkiem a rezultatem, pomiędzyłożonym z góry nakładem a zdobywanym przypuszczalnie wynikiem.

Owóż nie może ulegać wątpliwości żadnej, iż w wypadku niniejszym o niczem podobnem nie może być mowy. Stworzone zostało położenie, niesłychanie uciążliwe dla społeczeństwa naszego. Zatrzymany nagle bieg życia społecznego w jednej z dziedzin najcelniejszych i najrozleglejszych. Wniesiony zamęt i troska do wielu tysięcy rodzin polskich, wytracone z równowagi i kolei życiowej dziesiątki tysięcy dzieci polskich, narażone na przepawy ciężkie, na losy niewiadome, może poczęści na zwichnięcie, poczęści i na zatrącenie, całe drogocenne młode pokolenie polskie. Istnieje rażąca dysproporcya pomiędzy tym namacalnym kosztem społecznym bezrobocia szkolnego a jego istotną owocnością dla społeczeństwa naszego. Nadomiar ta dysproporcya, leżąca od początku



w samej naturze zjawiska, w miarę dalszego jego trwania musi rosnać w stosunku coraz bardziej dla nas niepomysłnym.

W rzeczy samej, bezrobocie szkolne, aczkolwiek samo przez się rzecz anormalna, posiada przecież, jak rzekliśmy, swoją wartość, i to jedyną, manifestacyjną. Gdyż nie masz rzeczy bodaj złej, lecz szlachetnym porywem niesionej, w której nie tkwiłoby ziarno dobre. Tej wartości lekceważyć nie należy. Ale została ona raz uzyskaną i ubezpieczoną w moralnej świadomości opinii naszej, rosyjskiej i powszechnej, będącej świadkiem tego dziwnego a tak bardzo znaczącego, wzruszającego *exodus'u* szkolnego, i nie byłaby wzmocnioną ani o jedną jotę przez dalsze przedłużenie samej akcji o rok czy o godzinę. A wynika to poprostu stąd, iż owa wartość jest czysto moralna. Gdzieindziej, wśród warunków odmiennych, bywały stosowane środki innej zgoła natury, posiadające znaczenie materialne. Takim bywało np., przy pewnych całkiem zresztą różnych okolicznościach, we Francji albo Anglii konstytucyjnej, legalne odmawianie podatków, t. j. środek, którego skuteczność jest wprost i bezpośrednio zawisłą od czasu jego trwania. Lecz oczywiście o niczem podobnem tutaj nie może być mowy. Nie może być wcale mowy o jakimkolwiek dla rządu materialnem znaczeniu niechodzenia młodzieży naszej do szkół. Co najwyżej mogłoby dojść do zamknięcia szkół, na które rząd łoży z podatków naszych, a łoży dotychczas, jak wiadomo, z oszczędnością nadmierną, będącą oddawna przedmiotem uzasadnionych z naszej strony utyskiwań. Byłaby to szczególniejsza, zupełna w tym względzie oszczędność, przy dzisiejszych zwłaszcza kłopotach finansowych skarbu, wynosząca na same tylko gimnazyja w Królestwie około półmiliona rs. zasiłku rządowego rocznie. Cóż dopiero powiedzieć o Uniwersytecie albo o Politechnice warszawskiej, wzniesionej kosztem ofiarności publicznej polskiej a więc podwójnie uprawnionej do korzystania z subsydium rządowego, płynącego wszak znowuż z własnej naszej kieszeni podatkowej. Jeśli więc kto straciłby tu materialnie, to przedewszystkiem my sami, którzy płacić będziemy jak dotychczas a mniej jeszcze niż dotychczas odbierać. Co się zaś tycze samego faktu zawieszenia frekwencji w szkołach publicznych, to jakkolwiek dla rządu a zwłaszcza dla władzy miejscowej powinien by on przedstawiać strony wysoce niepożądane pod ogólnym względem moralno-politycznym, to przecież jeszcze nie nabywałby przez to samo bynajmniej znaczenia istotnego czynnika presji materialnej. Wszak nie na fachowcach polskich, usuniętych ze stanowisk publicznych, stoi ekskluzywna machina rządowa jak

w całym państwie tak i w kraju naszym; wszak w ogólności, jak potylekroć z gorzkim wypadło stwierdzić żalem, władza edukacyjna w tym kraju w ostatnim kilkudziesięcioletnim okresie dążyła systematycznie i istotnie doprowadziła nie tylko do podniesienia i upowszechnienia oświaty publicznej, ile do okrojenia jej i obniżenia. Co więcej, aby nieco dalej w przeszłość się cofnąć, wszak raz już, w poprzedniej dobie 1831 r. z woli Mikołaja I upadła przeważna część średnich zakładów naukowych, w pozostałych frekwencya sprowadzoną została rozmyślnie do *minimum*, zwinięte zostały wszystkie wyższe w Królestwie Polskiem, i ten stan opłakany utrzymany przez martwych i ciemnych lat kilkadziesiąt. Straciło na tem przedewszystkiem Królestwo, pokrzywdzone w najżywotniejszych swoich warunkach bytu, zahamowane, cofnięte wstecz o lat kilkadziesiąt w swoim rozwoju kulturalnym i ekonomicznym. Zastrajkował wtedy niejako w obrębie swoich obowiązków szkolnych rząd, a cios ugodził w kraj. Niewiele odmiennym być musi ostateczny wynik pozytywny, skoro w obrębie swoich praw szkolnych strajkuje, naprzeciw tego rządu, społeczeństwo nasze. *Strike*—to rzeczywiście znaczy cios, lecz w tym wypadku szczególnym zawsze jego ostrze kierować się musi nie tylko w przedmiotową stronę przeciwną, ile w podmiotową, w kraj własny.

To wszystko są rzeczy bardzo proste i bardzo nieprzyjemne. Przyjemniej nieskończenie byłoby ludzić się jaknajdłużej, że chwyciwszy się raz strajku szkolnego, ujęliśmy w ręce narzędzie niezawodne, którego już wypuścić nie należy, gdyż pozwoli nam ono bezpośrednio osiągnąć to, do czego najśluszniej mamy prawo. Ze w istocie tak nie jest zgoła, że, nie spuszczać z oka ani na chwilę naszego celu wytyczonego w sprawie szkolnej i wytrwale, konsekwentnie wszelką drogą do niego dążąc, przecież na niniejszej drodze strajkowej zatrzymać się, zamknąć ją we własnym interesie musimy i powinniśmy, — w tem zapewne jest gorycz. Ale jest to zdrowa gorycz prawdy, jedynie zbawienna, którą też jedynie, zamiast wszelkiej pochlebnej fikcyi, podawać należy swemu społeczeństwu, aby je właśnie uchronić zawczasu od deprymującego, łamiącego energię i ostatecznie rozluźniającego spójność, niechybnego zawodu, aby je właśnie zahartować i zachęcić do dalszych rozumnych, statecznych, męskich wysiłków, które dobrą jego sprawę muszą nareszcie do pomyślnego wyprowadzić końca.

Powiedzieliśmy, że stronnictwa nasze, wedle danych przez się oświadczeń urzędowych, bezrobocia szkolnego nie wywoływały. Nie mogło być inaczej. Mamy obecnie dwa wielkie stronnictwa



w tym kraju: narodowo-demokratyczne i postępowo-demokratyczne. Otóż bezrobocie szkolne—jakkolwiek owiane tem wszechobecnem tchnieniem narodowem, które u nas, dzięki Bogu, czy kto chce, czy nie chce, każdą silniejszą czynność duszy zbiorowej koniecznie przeniknąć musi, — nie przedstawia się jednak typowo jako porządnie czysto narodowe, gdyż nie jest takim ani ze swojej genezy, związanej ściśle z wypadkami warszawskimi innego całkiem pokroju z końca stycznia r. b., ani z istotnej swojej natury, przejętej raczej ze Wschodu, z długotrwałych strajków szkolnych rosyjskich, a nie będącej właściwie na swój sposób niczem innym, jak zastosowaniem rozpaczliwej zasady „głódówki“ więziennej rosyjskiej do stosunków duchowych. W istocie, innych precedensów, ani u nas, w najcięższych tradycjach kultury naszej, czy to w walce ze szkołą Nowosilcowa, czy Flottwella, ani gdziekolwiek na Zachodzie, dla akcji podobnej nie znaleźć. Powoływano się wprawdzie temi czasy na jakieś rzekome powszechne wieloletnie strajki czeskie albo nawet na rzekomy powszechny piętnastoletni (!) strajk szkolny węgierski, lecz w rzeczywistości nic podobnego nie miało miejsca ani w Czechach (oprócz chyba lokalnych rozruchów szkolnych z doby Schmerlinga i później w przededniu wojny 1866 r.), ani na Węgrzech, gdzie zresztą przy starodawnym systemacie szkoły konfesyjnej i fundacyjnej, łacińskiej i węgierskiej, za najgorszych nawet czasów o wyłącznej germanizacyjnej szkole publicznej nie było nigdy mowy. A dalej bezrobocie szkolne nie jest postępowem, gdyż nie posuwa naprzód kultury kraju naszego, ale ją zatrzymuje i cofa, gasząc narazie te nawet liche, słabe, nieliczne, ledwo migające w ciemności ogniska oświaty, jakie w nim zostawiono, i wytrącając z szeregów postępu całe kształcące się pokolenie, kształcone niezawodnie wśród złych, najgorszych warunków, lecz mimo to przemagające te warunki mocą właściwej narodowi dzielności duchowej i mimo wszystko przykładające się skutecznie do sprawy krajowego postępu. Nareszcie, i to nadewszystko, bezrobocie szkolne nie jest demokratyzmem, jest ono, przeciwnie, z samej swojej istoty akcją nawskroś antydemokratyczną. A jest taką, nie inną, dla tego prostego powodu, że ciężar tej akcji z konieczności znajduje się w stosunku odwrotnym do stanu majątkowego i stanowiska osób i rodzin udział w niej biorących. Albowiem jasną jest rzeczą, że ojciec bogaty albo zamożny, zabierając syna swego ze szkoły rządowej, dokąd mógł go nie posyłać wcale, naraża się jedynie na pewną, chociażby dotkliwą lecz znośną niedogodność, gdyż dziesięć ma przed sobą otwartych sposobów udzielenia mu lepszej i staranniejszej edukacji, czy to przez ko-



sztowną naukę domową, czy w droższej szkole prywatnej polskiej, czy w wyborowym zakładzie naukowym galicyjskim, czy w głośniejszej instytucji wychowawczej zagranicą. Ojciec niezamożny albo ubogi, powodowany pobudką równie podniosłą, w tem samym położeniu naraża się na niechybną, niepowetowaną klęskę, gdyż, tracąc przystęp do stosunkowo najtańszej (choć i tak aż nazbyt drogiej) szkoły rządowej, dokąd posyłał dziecko z musu, odbierając sobie od ust, byle starczyć na wpisowe i mundurek, byle co najprędzej i najprościej, póki sił do pracy i skromnych środków utrzymania starczy, wyprowadzić syna na ludzi, zapewnić mu wykształcenie, byt i stanowisko,—wszystkie tamte sposoby ma przed sobą zamknięte, nie ma sposobu żadnego, poświęcić musi wszystkie nadzieje i wysiłki, poświęcić dziecko. A takich w niebogatym naszym kraju jest większość ogromna. Na liczbę 20 tysięcy z górą głów chłopięcych polskich, o które tu chodzi najbardziej, conajwyżej jedna czwarta, uprzywilejowana przez los, należy do klasy zasobnej, zabezpieczonej materyalnie, a tem samym w obecnym kryzysie szkolnym zabezpieczonej edukacyjnie; reszta natomiast, lekko licząc, trzy czwarte, około 15 tysięcy głów, upośledzona z winy losu, nie własnej, takiego zabezpieczenia nie ma i w przesileniu niniejszem skazana jest w przeważnej części prosto na edukacyjną zagładę. Tak więc ciężar tej całej akcji strajkowej, stosunkowo dużo łatwiejszy do udźwignięcia przez zamożną mniejszość, niepomierne brzemieniem całkowicie przytłacza ogromną, bezwładną i naprawdę zgoła nie pytaną większość niezamożną i ubogą. Otóż tak być nie może. To jest polityka bardzo tania a zarazem niepomierne droga, to jest polityka kosztem maluczkich, kosztem ubogich. To nie jest, to być nie może polityka zdrowa. Przy istotnie zdrowej, chociażby najśmielszej nawet, najenergiczniejszej, najofiarniejszej orientacji politycznej, bywa wprost naodwrot. Tam ciężar ofiarny wręcz przeciwnemu ulega rozkładowi, tam bywa i tak, — *si parva magnis componere licet* — że Potocki Ignacy więcej naraża od Kilińskiego albo Czarotoryski Adam więcej od Mochnackiego stawia na kartę. I to jest zupełnie w porządku. Nie jest natomiast w porządku wcale, kiedy, jak w wypadku niniejszym, bez istotnej konieczności, bez właściwego przystosowania środka do celu, bez należytego uzasadnionej dyrektywy i bez należytego poczucia odpowiedzialności, zagnała, w zacnem i zrozumiałem lecz gorączkowym podnieceniu, rzucone zostaje hasło, które, urzeczywistnione już nie jako naturalny odruch, ale jako akcja na długą przeciągana metę, powoduje nie tylko nadmierny nakład ofiary społecznej, nieustosunkowany do

realnej swojej skuteczności, lecz nadto rozkład tej ofiary, nieustosunkowany do możności najliczniejszych a najcichszych szarych rzeszy, nie zabierających kierowniczego głosu, idących z poczciwem, wiernem zaufaniem za głosem starszej braci narodowej, tembardziej przeto ciążących na jej sumieniu i rozwadze, zdanych na jej braterską troskliwość, uprawnionych do liczenia na powinne przez nią uwzględnienie życiowych warunków i potrzeb swoich.

Przy wejściu w bliższe szczegóły, na doświadczeniu oparte, lecz tutaj pominięciu ulegające, okazałyby się tem dobitniej ścisła ich zgodność z duchem powyższych postrzeżeń ogólnych. Okazałyby się, między innymi, zupełna nieodpowiedniość doraźnych surrogatów zawieszanej szkoły, przystępnych faktycznie zaledwo dla  $\frac{1}{5}$ — $\frac{1}{7}$  frekwencji szkolnej publicznej, nieprzystępnych zaś właściwie dla masy najliczniejszej a najbiedniej zasobnej, nadmiernie kosztownych, wymagających przypuszczalnie, gdyby o całość frekwencji szkolnej chodziło, od 2 do 4 milionów rs. rocznego nakładu, a pod fachowym względem wychowawczym naogół mało lub raczej zgola bezwartościowych.

Stworzenie stałego surrogatu szkoły publicznej przez pełny system szkół prywatnych polskich, mający ogarnąć powszechność uczącej się młodzieży polskiej, nie byłoby rzeczą ani wykonalną ani normalną. Nie mamy na to możności materialnej, ani, jak dotychczas, prawnej. Szkoły takie, zawsze z konieczności zbyt drogie, nie zaspokajałyby potrzeb kół najszerzych, o których powyżej była mowa, t. j. potrzeb najważniejszych, i, chociażby najlepsze, zawsze, odwracając się ku przedawnionemu typowi szkoły dla społecznie uprzywilejowanych, *collegii nobilium* swego rodzaju, oddalałyby się od rozwojowego typu taniej a w końcu może bezpłatnej powszechnej szkoły krajowej. Jakoż nazbyt wyłączone w tym duchu ześrodkowanie sprawy, dążeń i wysiłków na szkole prywatnej byłoby kardynalnem spaceniem głównego i wytyczonego zagadnienia, zejściem z drogi głównej i prostolinijnej, która prowadzi, która musi doprowadzić do szkoły krajowej polskiej w Królestwie Polskiem. Tak możnaby stawić kwestyę jeszcze na Litwie, wychodząc z zasady (i tam zresztą poważnych wymagającej zastrzeżeń rozszerzających) prostego równouprawnienia kulturalnego, a mając do czynienia ze stosunkowo mniejliczną ludnością rdzennie polską. Ale tak niepodobna i nie należy jej stawiać w Królestwie, przy ludności nawskroś polskiej, uprawnionej bezwarunkowo do prymu w zakresie samorządu kulturalnego w swoim kraju. To byłoby niepolitycznem. Byłoby zresztą przeciwnem samej naturze rzeczy. My mamy nasz budżet szkolny w podatkach



naszych: chodzi o to, aby on stamtąd wydobyty został na cele prawdziwej szkoły krajowej. Dwóch pełnych budżetów szkolnych, jednego w podatku, drugiego w ofierze, żadne wielkie społeczeństwo nie zna, żadne, choćby najbogatsze, udźwignąć nie zdoła.

Szkoła prywatna polska, póki nie będzie krajowej, miałaby niewątpliwie piękne i pożyteczne zadanie do spełnienia. Ale nie jako surrogat, tylko jako sukurs. W tem znaczeniu zasługuje ona oczywiście na wszechstronne, moralne i materialne poparcie społeczeństwa. Należy tę szkołę, w możliwie czystej i wzorowej postaci,—(gdyż zła szkoła prywatna mogłaby być jeszcze gorszą od złej rządowej)—warując ją szczególnie od zbroczeń właściwych t. zw. szkołom prywatnym z prawami, zasilać i upowszechniać, gdzie można, w specjalnym zwłaszcza zakresie, fundować, ile tylko można udoskonalać w duchu zdrowej pedagogii i czystej polskości, i w ten sposób z góry przygotować jej wydatną rolę pomocniczą w stosunku do przyszłej krajowej. Ale nie należy wymagać od niej roli zastępczej, t. j. tego, czego ona dać nie może. Rzeczy niepodobnych ani wymagać nie należy od określonych funkcji społecznych, ani społeczeństwu lekkomyślnie obiecywać, bo wynikiem być może tylko tandeta i zawód. Należy robić to, co możliwe, a robić pozytywnie i dobrze.

W tym względzie, jakoteż dużo więcej jeszcze w innych, piękne i błogosławione pole działania miałaby przed sobą Macierz Szkolna dla Królestwa Polskiego. Myśl jej założenia nieodbitej odpowiada potrzebie. Zadania jej są wielkie, a całkiem jasno wskazane przez wielostronne i naglące potrzeby oświatowe kraju. Zajęcie się oświatą ludową na dużą, najpełniejszą miarę, zakładanie czytelni, organizacja odczytów i wydawnictw popularnych, stworzenie podręczników polskich, opieka nad wychowaniem domowem, dyrektywa i pomoc dla wzorowej szkoły prywatnej, te i wiele innych zadań otwierają się przed Macierzą. Wymagać one będą całej jej czujności i energii, wymagać setek tysięcy nakładu, ale jedno i drugie niewątpliwie się znajdzie. Lecz znajdzie się tem pewniej, im rychlej przywróconą zostanie równowaga w tej zakłóconej dziś doszczętnie, pogrążonej w zupełnym zamęciu dziedzinie edukacyjno-społecznej. Macierz Szkolna, która z bezrobociem szkolnem nie powinna mieć nic wspólnego, która powstałaby niechybnie bez niego, bo powstała z myśli i konieczności organicznej a nie z dorywczego wybuchu, na jego przedłużeniu może naprawdę tylko stracić, może stanąć wobec zgoła niepożądanych trudności i powikłań, zdolnych jedynie wstrzymać ją na przeznaczoną jej drodze produkcyjnego, twórczego działania.



W końcu jeszcze dla ścisłości przypomnieć tu wypada, że mamy dotychczas w Warszawie trzy szkoły prywatne męskie bez praw, liczące ogółem około 800 uczniów, co, jeśli nawet potroić tę cyfrę na Królestwo, ujawnia całą niedostateczność tego rzekomego surrogatu, jak na obecną przynajmniej porę. Wypada dalej zaznaczyć, że, jak dotychczas, dalsze ich tworzenie jest niezmiernie skrepowane przez nadzwyczaj uciążliwe ścieśniające przepisy administracyjne. Wypada wreszcie stwierdzić, że nader połowiczne ulgi, dotyczące częściowego dopuszczenia polskości w tym typie szkół, zapowiedziane w najświeższym, a nastęrczącym tyle poważnych wątpliwości postanowieniu Komitetu ministrów, postawione zostały dopiero w zawisłości od opracowania przez ministerium oświaty i wniesienia do Rady Państwa, zgromadzającej się aż pod koniec jesieni, odpowiednich projektów, tem samem więc, jak dotychczas, nie dają jeszcze bynajmniej realnej podstawy dla prywatnego szkolnictwa czysto polskiego. A tu, naprzeciw tych wszystkich okoliczności hypotetycznych i dylatoryjnych, stoi fakt brutalny, dopominający się niezwłocznego rozwiązania, t. j. sprawa zamknięcia czy też przedłużenia bezrobocia na cały nadchodzący rok szkolny.

A teraz, powracając do punktu wyjścia postrzeżeń niniejszych, o jednym jeszcze należy pamiętać. Dzisiejszy moment dziejowy wprowadził na wokandę sprawę naszą, powszechno-krajową, polską, w całej syntetycznej jej rozciągłości. I to jest główne. A zatem, poruszając energicznie oddzielne konkretne jej szczegóły, należy to czynić z właściwą polityczną miarą, nie rozprasać się w nich nadmiernie, lecz zestrzeliwać je w tamentej syntezie, skąd jedynie na wszystkie strony wyjść może pożądana trwała sankcya i rękojmia. Dlatego też i sprawy szkolnej, tej tak bolesnej rany naszej, przecież ponad pewną granicę rozkrwawiać ani też nazbyt wyłącznie hypnotyzować nią uwagi i dzielności narodowej nie należy. Całe dotychczasowe bytowanie kraju naszego we wszystkich dziedzinach takimi jest okryte ranami. Ponad efektem kurczowym oddzielnego ostrego bólu dominować powinna sprawa powszechnego chronicznego cierpienia. Ponad krzykiem skrzywdzonych dzieci naszych — dominować spokojny głos mężów, ujmujący równomiernie i spełna skoordynowaną całość pokrzywdzonych praw i interesów kraju.

Z którejkolwiek strony, ogólnej czy szczegółowej, pod jakimkolwiek, dalszym czy bliższym kątem widzenia, byle nie przez pryzmat mimowolnych czy rozmyślnych złudzeń optycznych, lecz pro prostu w jasnym dziennym świetle interesu społecznego, roz-

patrywać bezrobocie szkolne, zawsze z pełną oczywistością jednaki wyłania się wniosek: należy z niem skończyć. I to bez żadnej dłuższej zwłoki, od nadchodzącego roku szkolnego. Nie może tu, rzecz prosta, być wcale mowy o jakimś kategorycznym nakazie powrotu do szkoły rządowej, będącej dziś jak i wczora, po strajku jak i przed strajkiem, przedmiotem zasadniczej, najsurowszej krytyki ze strony społeczeństwa naszego a zarazem przedmiotem stanowczych, niezłomnych naszych dążeń do zupełnego jej przekształcenia w duchu narodowej szkoły krajowej. Takiego nakazu nikt nie jest mocen wydać. Ale nikt też nie jest mocen utrzymać nadal kategorycznego zakazu uczęszczania do tej szkoły, nikt uprawniony do dalszego utrzymywania takiego zakazu środkami moralnego lub fizycznego terroru. Strajk szkolny, jakiegokolwiek byłyby powody i okoliczności jego wybuchnięcia, rolę swoją, aż nadto drogim opłaconą kosztem, zakończył, w dalszym trwaniu nic już więcej ponad dalsze, czysto już nieprodukcyjne a coraz bardziej rujnujące koszta społeczne pociągnąć za sobą nie może, a zatem winien być uznany za wygasły, za zamknięty. Prawo rozrządzania edukacją dzieci winno znów powrócić do rodziców. Każda rodzina polska winna znów powrócić do tego przyrodzonego swego prawa wedle swego obywatelskiego sumienia. To znaczy, że ten, kto tylko ma po temu możność, powinien w każdej dostępnej mierze zapewnić dziecku swemu edukację najbardziej i najczystszej polską; ten zaś, komu mus nakazuje uciekać się do szkoły rządowej, może to uczynić ze spokojnem sumieniem, nie czując się przez to ani o jotę gorszym Polakiem, ani o jotę bardziej upośledzonym narodowo od bardziej uprzywilejowanych majątkowo współobywateli. Znaczy, że chłopiec, czy młodziwiec, który w szlachetnem uniesieniu wyszedł manifestacyjnie z nieprzyjaznej szkoły, może do niej powrócić z podniesioną głową, wiedząc, że nie czyni gorzej aniżeli wczora, nie gorzej od poprzedniego pokolenia, że tylko dźwiga jedną część tego powszechniejszego cierpienia, które dźwiga dotychczas kraj cały, a które, tuszyć należy, nareszcie do stopniowego zbliża się kresu. Takie, nie inne jest dziś wskazanie rzeczywistego solidarnego interesu narodowego. Solidarność zbiorowa kończy się tam, gdzie się kończy interes narodowy a zaczyna czysta strata narodowa. A tak jest w obecnym wypadku i chwili obecnej. Bezrobocie szkolne, doprowadzone do punktu i chwili obecnej, poprostu dalej w interesie narodowym nie wytrzymuje rachunku i dlatego, wyłącznie dlatego, zamknięciu ulega.



W tem mianowicie tkwi istota rzeczy. Zamknąć winniśmy strajk, czy też bojkot powszechny, słowem bezrobocie szkolne, gdyż nie wytrzymuje ono dla nas samych rachunku. Zamknięcie go, to jest sprawa nasza domowa, między nami samymi, nie między nami a rządem. Między nami a rządem jest nie sprawa bezrobocia szkolnego, ale większa sprawa samej szkoły. Mylne ujęcie tej istoty rzeczy ze strony rządowej byłoby kapitalnem nieporozumieniem, przeciw któremu zawczasu należy podnieść głos ostrzegawczy. Tu nie masz miejsca ani dla paktowania, ani dla odwrotu, ani dla kapitulacyi. Ten akt zaliamowania samych siebie, to nie jest akt słabości, ale rozumnej siły, ale świadomej, pewnej siebie, dojrzałości społecznej. I zamykając dziś ten epizod, ten etap w przymusowych naszych ciężkich z tą szkołą przeprowadach, nie ustaniemy w celowej a wytrwałej kulturalnej z nią walce, aż póki na jej miejscu nie stanie jedynie nam przynależna, jedynie właściwa, jedynie możliwa: szkoła polska w Królestwie Polskiem.

SZYMON ASKENAZY.

# SŁOWACKI a CALDERON.

(*Studyum porównawcze*).

Voltaire w ocenie „Herakliusza“ Calderona — pisze: „Il me semble, qu'une telle scène dramatique donnerait l'idée de la vraie tragédie, c'est-à-dire d'une péripétie attendrissante, toute en action, sans aucun embarras, sans le froid recours des lettres écrites long-temps auparavant, sans rien de forcé, sans aucun de ces raisonnemens alambiqués qui font languir le tragique.“<sup>1)</sup>

Tak wyrażała się o dramaturgii Calderona ówczesna wyrocznia „gustu“ w literaturze. Nie bez echa pozostały te słowa w Polsce, gdzie autorytet autora „Zadig'a“, zwłaszcza na polu krytyki literackiej, panował w owych czasach niepodzielnie. Krasicki, który Voltaira na równi stawiał w panteonie mocarzy pióra z Miltonem,<sup>2)</sup> niezawodnie pod wpływem opinii autora „Henriady“, zamieszcza pierwszą w Polsce — o ile mi wiadomo — wzmiankę o autorze „Czarnoksiężnika“, w książce „O rymotwórstwie i rymotwórcach.“<sup>3)</sup> Wzmianka ta autora „Pana Podstolego“, z której dowiadujemy się, że Calderon był „kawalerem orderu św. Jakóba“ i „pisarzem rozmaitych komedyj“, nie mogła u nas zwrócić baczniejszej uwagi na hiszpańskiego dramaturga.

Z literaturą hiszpańską nie mieliśmy nigdy bliższej styczności — prócz kilku tłumaczeń z drugiej (franc.) ręki.<sup>4)</sup>

1) „Przegląd naukowy“ r. 1842. № 11.

2) „Monitor“ r. 1772. № 67.

3) Wyd. Fr. Dmochowski, tom III, str. 475.

4) *B. Gubrynowicz*: „Romans w Polsce za czasów St. Augusta“, *Sismond*: „Historya literatur południa“, *Tieknor*: „Historya literatury hiszpańskiej“,



To też gdy w Niemczech Keil i W. Schlegel, we Francyi Sismondi, rozgłośnem czynili imię hiszpańskiego poety — u nas pierwsze tłómaczenie, i to w przeróbce (akt V), pojawia się dopiero w r. 1827. (Lwów). J. N. Kamiński tłómaczy, zapewne nie z oryginału, komedję z cyklu „płaszczka i szpady“ („comedia de capa y espada“) p. t. „Lekarz własnego honoru“ („El Medico de su honra“). W rok potem tenże autor daje „Wyjątki z komedyi Calderona pod nazwiskiem: „Głośna tajemnica“ (J. N. Kamiński „Przekłady i ulotne wiersze,“ Lwów r. 1828, str. 110 i n.), *Juliusz Słowacki* tłómaczy „Księcia niezłomnego“ około 1844; *Włodzimierz Wolski*—„Wyjątek z aktu III dramatu Calderona — pod napisem: „Gomez Aryas“ Bibl. warsz. r. 1844, tom 3; *K. Baliński*—„Kochanków nieba“ r. 1858 (Poznań, u Żupańskiego); *St. Budziński* (Bol. Wiktor)—„Czarnoksiężnika“ Bibl. war. r. 1861; *Ed. Chłopiński*—komedję „Alkad z Zalamei“ Warszawa r. 1873; *J. Szujski*—„Życie snem“ r. 1882, w „Przewodniku nauk.“ i odb. i wreszcie prof. *Porębowicz* ogłasza w r. 1887 przekład części komedyi Calderona z cyklu „płaszczka i szpady“ wraz z charakterystyką literacką we wstępie.

W obszerniejszej wzmiance o Calderonie *Fr. Wężyka* („O poezyi dramatycznej“ Warszawa 1811, wyd. Akad. umiejęt. w arch. do dziejów literat. i ośw. w Polsce, tom I, str. 328) godnem uwagi jest podkreślenie „aż do zbytku płodnej imaginacyi“ Calderona, którego dzieł powaga „przytłumiła nieudolną pogardę dla hiszpańskiego teatru, a pobudziła ciekawe umysły do zgłębienia i smakowania w jego poezyi.“

Większą notatkę o Calderonie daje w 1842 r. w „Przeglądzie naukowym“ № 11 *E. Dębowski*; autor opiera się na krytykach niemieckich (r. 1660 (!) podany, jako data urodzenia Calderona). O „dramacie hiszpańskim i Calderonie“ pisze *Bol. Wiktor* (Budziński St.) w Bibl. warsz. r. 1859, tom III, str. 271 i nast., o „religijności w Calderonie“ *Jan Majorkiewicz* („Pisma pomniejsze“ cz. I, str. 343).

W końcu wymieniam obszerniejsze studyum o Calderonie *Julijana Adolfa Świącickiego* (Bibl. warsz. tom II, r. 1881.)

---

*Klein*: „Geschichte des Dramas,“ *Ph. Chasles*: „La France, l'Espagne et l'Italie au 17 siècle,“ *Leop. Schmidt*: „Über die 4 bedeutendsten Dramatiker der Spanier,“ *Ed. Dover*: „Die Calderon-Litteratur in Deutschland,“ *Idem*: „Goethe und Calderon,“ *Paubusque*: „Histoire comparée des litter. espagn. et franc.“

Tłómaczeń tedy i pism polskich o Calderonie posiadamy bardzo niewiele; aż do naszych czasów imię hiszpańskiego poety pozostało dla szerokich kół czytającego ogółu polskiego wyrazem bez treści. Tem dziwniejszem wydać się musi żywe zajęcie się Jul. Słowackiego autorem „Nabożeństwa do Krzyża“ w czasach, kiedy imię Calderona było u nas niemal martwą literą.

## II.

Były styczne w twórczości obu poetów, było pokrewieństwo duchowe, zbliżające ich ku sobie; „kongenialność“ owa obu twórców—mimo przepaści dzielących ich wieków i odmienności warunków tworzenia — zarysowuje się przy bliższem badaniu wyraźnie.

Calderon wyrósł i tkwi całą twórczością swoją w glebie, która go wydała — jest doskonałym stwierdzeniem teorii Tajnowskiej o „milieu.“ Można by rzec o nim słowami jednego z krytyków hiszpańskich, <sup>1)</sup> że „miał kolana po to, aby je zginać przed Bogiem—i kobietą.“ Bóg i kobieta—oto są dwa ideały, dwa kultury, którym kraj św. inkwizycyi i czarnookich donzelli hołduje od wieków. To charakterystyczne podniesienie kobiecości i stawianie jej na równi niemal z przedwiecznym „logos“ — to wybitna cecha muzy Calderonowskiej. Wierny środowisku, z którego wyrósł, jest don Pedro „le plus catholique des poètes,“ co mu nie przeszkadza hojnie składać ofiary na ołtarzu „des ewig Weiblichen.“ Bohaterki jego są przeważnie piękne i czyste, dobre i szlachetne, niewinnie podejrzewane o zdradę małżeńską — zwykle białe Desdemony, padające ofiarą dzikiej zazdrości Otellów.— Bo oto ci mężowie mają nadmiernie wybujałe pojęcie o honorze, bo nie tylko miłują żony swoje, ale równie, a może i więcej, dbają o cześć nazwiska, o niepokalaną czystość herbowego znaku.

Takie są „lances de Calderon,“ ulubione powikłania dramatyczne, na których buduje duży cykl „komedyj płaszcza i szpady.“ Miłość i honor — to w najogólniejszych zarysach punkt wyjścia intrygi Calderonowskiej w powyższym cyklu komedyj.

Słowacki ze swoją ogromnie wysubtelniłą uczuciowością, ze swoją wieczną adoracją dla tego, co w kobiecie miękkie i subtelne, łzawe i zadumane, drżące w cichym szepcie miłości, i na

<sup>1)</sup> Martin Garcia Meru.



żurawich kluczach ku tęczom płynące — Słowacki znajduje odzew w lutni Calderona.

Tylko u hiszpańskiego poety miłosna „canzona“ prosta jest sobie i pastusza w pomysłe, a w pogoni za efektami słowa przedławiana niemi w wykonaniu—u Słowackiego nieskończenie wyższa znajomością duszy ludzkiej, wyczuciem drgań jej serdecznych i zaklęta w przecudowną symfonię słowa.

Innym jest Calderon, kiedy śpiewa chwałę Najwyższego. Bóg jego, to nie „ogień szyszaków“ — ale Istota najwyższa, pojęta w sposób dość gruby i średniowieczny, z całym aparatem biblijnych akcesoryj, tak, jak Go przedstawiają frontony średniowiecznych tunów, i tak, jak Go u nas pojmować musieli za czasów ks. Baki. Próżno szukałbyś u Calderona subtelności panteistycznych w wyobrażeniu Wszechości, zawrotnego mistycyzmu w doszukiwaniu się źródeł, Genezis bytu.

Calderon pojmuje Stwórcę, jako Istotę bardzo potężną i bardzo niemiłosierną. I tu znowu jest synem ziemi, inkwizycyjnych stosów i katuszy. Z zaciekłym prozelityzmem średniowiecznego scholastyka korzy się kapelan hiszpańskiego dworu XVII stulecia przed Gorejącym Krzakiem, domagając się zupełnej abnegacji rozumu i uczucia na rzecz wielce antropomorficznie pojętej Idei. Takim jest Calderon, kiedy opiewa tajemnicę transsubstancjacji w swoich „autos sacramentales“ lub szeregu *tak zwanych* „mystycznych komedyj.“ A czy pisze „Miłość za grobem,“ czy „Czyścić św. Patrycego“ lub „Ucztę Baltazara“ — jest zawsze wieniem odbiciem wyobrażeń środowiska, z którego wyszedł, jest zawsze z krwi i kości Hiszpanem.

Takim w pomysłach jest Calderon — w formie uderza przede wszystkim bujna, dziewicza fantazyja, stwarzająca obrazy pełne blasku i woni, wpadające wskutek nadmiernego bogactwa słowa w niezdrowy gongoryzm.

Co zastanowiło Słowackiego, gdy spojrzął na twory hiszpańskiego granda? Oto fantazyja, „brylantowa imaginacya.“ Poeta, któremu brak granitowej podstawy, ale który potrafił rozwijać najpiękniejsze tęczę — odnalazł u hiszpańskiego twórcy rys pokrewny: fantazyę. Zbliżywszy się na tej drodze do hiszpańskiego wieszczą, upodobał sobie niektóre jego pomysły z „Komedyj płaszcza i szpady“ — z drugiego działu utworów „religijnych“ Calderona wziął tylko „El Principe constante“ — a jak go pojął, jak przerobił, obaczymy poniżej.

## III.

Z kolei wypada przypatrzeć się bliżej, *jaką* była fantazyja, zbliżająca obu poetów ku sobie — pozwoli to mi stwierdzić na realnych przykładach pokrewieństwo w sposobie tworzenia się wrażeń, styczne w obrazowaniu, w czasie, kiedy poeta polski jeszcze Calderona nie znał; w ten sposób jasną stanie się może przyczyna zajęcia się Słowackiego poetą hiszpańskim i geneza późniejszych, bezpośrednich oddziaływań.

Słowacki jest ze stanowiska psychofizyki typem na wskroś „wzrokowym:“ kolor, plamy świetlne, purpurowe świtanie i cicha a różnobarwna odwieczerz — uderzają przedewszystkiem o jego fantazyę. Do obrazów swoich dobiera barw jaskrawych i soczystych, kładzie grube, wyraziste plamy — nienawykłe oko patrząc na te płonące pejzaże mruży się od nawału światła, jakby patrzyło na bezbrzeżne piaski pustyni, kiedy południowe słońce żary w nich nieci.

„A światła płoną pod szklami wody,  
Patrząc na ognie, kryształ i kwiaty  
Oko zalśnione ... (,Żmija“).

Autor „Lambra“ ze szczególną lubością dobiera barwy purpurowej, najwięcej działają nań tony czerwone — na czerwone tła swoich obrazów ciska złoto i srebro, migotliwe błyski brylantów i kryształów wodnych, nie lubi łagodnych pół-swiateł i półcieni, ale oślepią potokami pełnych oświeleń. Już jako dziecko „w niebo kładł się twarzą — wtenczas na oblicze padało światło lasów — promień słońca złoty“ („Godzina myśli“).

A kiedy patrzy na wschodzące słońce, to mu się wydaje, że

„Świat płonie ogniem umalowany  
I słońce wstaje nad martwe stepy,  
Oblane złotem świtu burzany;  
Ognistej barwy kwiatem się palą  
I gną się z wiatrem; fala za falą  
Przebiega stepy mileżące.“  
(,Żmija“).

W tym opisie wschodu widzi się ogromną, ognistą plamę, leżącą na cichym, martwym stepie. Nie słychać ni szmeru burzanów, ni świergotania budzącego się ptactwa — poeta patrzy na świat przez szkła fotoskopu, nie chwytając szmerów i dźwięków.



Gdzieindziej:

„Słońce wstawało na wschodzie  
I promień z rannej otrząśniony rosy  
Pozłocił Rygi twarz martwą i bladą  
I na ramiona spływające włosy.“

(„Lambro“).

Więcej życia w sobie ma inny opis świtu w „Lambrze“:

„Ranek był. Morze *rozpalone świtem*  
Wre zdala, szumi i *srebrzy* się pianą  
Potem portową groblą odłamane  
Brzegi spokojnym oblewa  *błękitem*.“

Tu już czuć ruch przyprływu morza; od srebrnych pian odci-  
na się błękit fal u brzegu. A i ten pejzaż rzucony jest na ja-  
skrawe tło promieni rozpalonego świtu.

Podobnie inny, piękny opis świtania w tymże utworze:

„Bogini nocy, przed blaskami świtu  
Gwiazdy z rozwianych strząsała warkoczy,  
Deszczem spadały do morza  *błękitu*  
Inne blask zorzy  *płonącej* pochłonał.“

Albo jeszcze jeden opis wschodu słońca, bardziej wycienio-  
wany:

„Jak tajemnicza ta chwila nocy,  
Kiedy noc kona, księżyc blednieje,  
Już dzień na wschodzie, a na północy  
Jeszcze lśnią gwiazdy, jeszcze lśnią jasno,  
I wschód się  *złoci, blednie, czerwieni*  
    Niebo się mieni .  
    Gwiazdy w lazurze  
    Już gasną, gasną  
    I polne róże  
Powstają z rosy perlami.“

(„Żmija“).

W obrazkach tych przedstawia poeta poranne świtanie w róż-  
nych porach — wszędzie jednakie, ogniste podłoże barwy, kocha-  
nie się w kolorach pełnych, soczystych.

Podobnie opisuje poeta zachody słońca:

„Ciszej — tam zachód  *krwawy*, ponury  
 *Ozłocił* stepy, jary i chmury,

Zagasa słońce, słyhać jak zdala  
O brzegi bije spieniona fala.

Oto ostatnie zachodu blaski  
Złocą wiewrami burzone piaski  
Złocą trzy cerkwi posepne wieże.“  
(„Żmija“).

Albo inny przykład:

„— wieczorne chłody  
Wróciły niebu barwy lazurowe;  
Przed krzyżowymi kryjąc się narody  
Słońce skwarami utrudzoną głowę  
Chowało w morza Bałtyckiego wody.“  
(„Hugo“).

Tutaj poeta obok efektów świetlnych, używa *personifikacji*, ulubionej figury poetyckiej w późniejszych utworach.

Podobnie przedstawia się zachodzące słońce lutniście Maryi Stuart:

„Widziałem słońce, kiedy na obłoków tronie  
Tonące w Tybrze patrzy na krzyż Rzymu złoty.“

Skłonność poety do malowania w barwach jasnych, określonych — uwydatnia się w młodzieńczych utworach wszędzie; poeta nawet abstrakcyę odziewa w jasne refleksy, kiedy np. w „Mindowe“ „nadzieje“ nazywa „brylantowemi.“ Przędziwa w tymże dramacie są „srebrne,“ wodotryski w „Bieleckim“ rzucają „brylantowe deszcze“ a „zdala płynie złotych kłosów morze.“

W opisie ogrodu („Godzina myśli“) na różowem tle ślazów i czerwieni jabłoni, stoją „wiśnie, jak dziewice, w białych wiosny szatach.“

„Hufiec Rzewuskiego błyszczący od stali ( „Duma...“ )  
Zrównanym galopem, jak morze się fali,  
Gdzie słyhać dział huk, tam lecą buńczuki,  
Jak gwiazdy z ogonem jasności.“

„W głębiach haremów lśniące perlą rosy, ( „Lambro“ )  
Pałą się róże...“

„Tam nieruchome wyznańców turbany  
Porosły kołem, jak łuk tulipany,  
Nad turbanami pałą się księżycy.“

Pieśń „ognista,“ wylęgając się w myśli „z kajdan iskry wydobywa.“



„Nieraz od Turków okrążone wieże  
*Czoła* dział *srebrnym* uwieńczają dymem  
 Z tych okien *błyszczą* spiżu paszcze *złote*.“

„Liść sztaturu *złotem* się pokrywa  
*Róż* Albionu *plonią* się *szkarlaty*  
 Szronem się Franków *osrebrzyły* kwiaty.“

### Lambro siada

„nad cichemi morza zwierciadłami.  
 „Morze się lśniło ciemno-lazurowe  
*Złociste* słońcem — *osrebrzone* mgłami.“

Od wszystkich tych obrazów biją powodzie jaskrawego światła — plamy krwawe, złote lub srebrne.

W takim-że oświetleniu występują bohaterowie Słowackiego. Kochanka „Mnicha,“ kiedy chce być piękną, krasa lica „kolem róży *czerwonego* kraju“ ożywia je „*promieniem* rosy“. Kseni „w blasku *srebrnych* tęcz dziewczica“ „zawsze piękna — z polnych głogów, róże *złote* włosy wieńczą i kradzioną z nad połogów, mgliste szaty *złoci* tęczą.“

### Strojąc się

„Szybko, szybko czarnem okiem  
*Brylantowe* blaski kradła  
 Kwiaty brała do warkoczy,  
 Hetman spojrział, wzrokiem tonął.  
 Nad *brylanty* lśnił jej oczy.“  
 „Luby“ — mówi do Żmii — tam się *plonią*  
 Polne róże nad potokiem.“

Kochanka Lambra podobna jest do „*srebrnej* fontanny ogrodu“ Lambro zaś — „we krwi skalany, w dział omglony dymie *w blasku brylantów i złota* wybladły.“

Tak maluje ten, dla którego Stwórca Wszecrzeczy będzie później „piórem ognistych szyszaków.“

Dalszą, charakterystyczną cechą sposobu chwytania obrazów już w pierwszych utworach Słowackiego — jest, zdaniem mojem, kolejne gromadzenie kolorów, które poeta w ostatecznem ujęciu zamazuje jednym pociągnięciem pędzla tak, że tworzy się wielka, barwna plama, w której zatracają się kontury. Jako klasyczny przykład tego posłużyć może opis nocy z „Lambra“ wyjęty (strofa V): poeta nagromadza wielką różnorodność kolorów — w powietrzu „*szklistem*“ kładą się blaski księżycowe, jak „*srebrne* delfiny, plawiące się w fali — w głębi snują się *blekitne* mgły i widnieją

*cytrynowe* wyspy Archipelagu. Na widnokregu odcina się ostro *czarna* skała, w koronie z *łodu* i *gwiazd* i *biały* maszt uśpionego okrętu. Cały krajobraz, owinięty w  *błękitne*  tony nieba, dźwięczy pieśnią słowika i kadzidłami róż wonieje.

*Srebro* promieni księżycy,  *błękit*  mgieł,  *cytrynowy*  kolor wysp,  *czarność*  skały w  *złotej*  koronie gwiazd i  *białość*  sterczącego żagla — wszystko to zlewa się ostatecznie w jedną plamę

— „wszystkie barwy topią się w  *błękitną*   
I wonie w zapach tajemniczy wody,  
I wszystkie dźwięki toną w wielką ciszę.“

To charakterystyczne syntetyzowanie obrazów w plamy jednokolorowe, to malowanie plamami, jeszcze lepiej występuje w wizyi „Lambra“<sup>1)</sup> (strofa VIII). Pod wpływem opium roi się korsarzowi greckiemu fantastyczny gmach:

„— a  *jedna*  połowa  
Uwiana była z promieni księżycy  
 *Jasna*  i  *biała* , jak noc księżycowa,  
Cała w przezroczu  *błękitnawo-szklista* ;  
A  *druga*  strona posępna,  *ognista* ,  
Jak piekło. Wielkie zwierciadło Egidy  
Gmach cały kryło jasności sklepieniem.“

Tu widzi się dwie, wielkie plamy:  *ciemną*  i  *jasną* ; kontury ich niewyraźne, barwa ściśle oznaczyć się nie dająca.

Takie rzucanie plam na tło obrazów podoba się poecie — Lambro w dalszym ciągu widzi cienie pomarłych kleftów; są one „ *posępno-srebrne* “ lub „ *ogniste* “ „ *napół*  sini,  *napół*  lśniący od  *złota* ,  *szkarłatów* .“ Znowu to samo dwukolorowe rzucanie plam; bohaterowi greckiemu pod wpływem opium świat stałe w dwóch plamach się przedstawia:

„Znów mu się  *senne*  ukazały barwy  
 *Ciemno-ognista*  i  *miesięcznej biele* .“

A przed kleftami stali dwaj anieli:  
Jeden  *ognisty* , jak piorunu strzała,  
Drugiego istność księżycowa,  *biała* .“

<sup>1)</sup> Na tym utworze dadzą się najlepiej uchwycić właściwości obrazowania Słowackiego w 1-ym okresie twórczości.



Poeta lubi w ostatecznej konkluzji zbierać rozproszone barwy obrazu w barwną syntezę metafory:

„Jako rozkwitłe Nilu nenufary  
Z kwiatów kobierzec wiążą różnobarwny;  
Jak odświeżone muszle i kamyki  
Pieszczotą fali — tak na cichej wodzie,  
Wiążąc się razem w jasne mozaiki,  
Spłynęły żaglem oskrzydłone łodzie.  
Tam turban kitą ozłocony świetną,  
Tam srebrna dziewic zasłona powiała;  
Od łodzi fala różny połysk brała,  
Barwiona złotem, lub purpurą Tyru —  
Cała ta przestrzeń była łąką kwietną  
Była doliną — szalem kaszemiru.“

(„Lambro“).

Poeta daje w końcowej metaforze syntezę całego obrazu:  
„cała przestrzeń była łąką kwietną — szalem kaszemiru.“

Dalszym znamionym rysem sposobu patrzenia poety na świat — to personifikacja. Widzieliśmy już ją przy opisach świątów i zniemców — używa jej poeta wszędzie. Natura w opisach Słowackiego żyje i czuje, jak człowiek.

„Kwiat się przegląda w jeziora kryształe,  
Choć chmury słońca nie zakryją światu.  
Kwiat liście zwiesza i kryje się w fale,  
Lilia wodna może przeczuć burze;  
Kwiat czuje.“

(„Arab“).

Nieszczęśliwy Arab z zawiścią patrzy na palmę (strofa VI):

„O nie! ta palma musi być szczęśliwa.  
Źródło się kryje pod stopami drzewa.  
Patrz jako liściem miłośnie powiewa:  
Kocha się w źródle, przed słońcem zakrywa,  
Bo słońce wzrokiem wykradłoby wody.  
Lęka się oczu srebrnego księżycy,  
Na liściach spuszcza rosę i ochłody;  
Wodom niebieskie odebrała szaty,  
I dała swoją barwę, swoje lica;  
Kocha się w źródle i stroi się w kwiaty.“

Poeta żyć każe nawet rzeczom martwym. W „Paryżu“ —

— „z Sekwany łona  
Powstają gmachy polamanym składem.

Gmachy skręconym wydają się gadem  
Cóż zębem *dachów* łuska się, najeża.“

Gdzieindziej klasztor „*czoto* w chmurach *trzyma*.“

Częstokroć, chcąc nadać lotność przedmiotom, poeta uskrzydla je; jest to swojego rodzaju ornitologia poetycka.

Płynące łodzie są „oskrzydłone,“ Zmija w pojedynku z baszą „czarnej tarczy okrywa się *skrzydłem*,“ galera turecka „odwraca pierś złotą, ozdobną straszylem, skąd wkrótce ognistem wyleci strach *skrzydłem*.“

Łódź w „Lambrze,“

— „jest jak delfin w wodzie rozigrana  
Czasem statek złoty, po wieżchu fali szedł *plasim* loty.“

Personifikacja w rozmaitych rodzajach, to w wysokim stopniu ulubiona figura poetycka Słowackiego. W ten sposób przedstawiane otoczenie współ-myśli i współ-czuje z człowiekiem. Najpiękniej wystąpiło w „Ojcu zadżumionych.“ Nad nieszczęśliwym, przez ludzi opuszczonym starcem, lituje się przyroda — litościwy wielbłąd wsadza mądry łeb w poczerniałe szmaty namiotu, morze wyje nieszczęśliwemu ojcu, lub płacze z nim, słońce krwawi się na nieboskłonie; „z ptaszyni ni jedna nie przyleciała“—zato w domu pomarańcza dzika zapyta: „starcze! gdzie są twoje dziatki?“ W dziedzińcu kwiaty spytają o córki, spytają o nie błękitne obłoki.

Dla zachowania przejrzystości zbieram krótko to, co powiedziałem o technice poetyckiej Słowackiego w młodzieńczych utworach: autor „Bieleckiego“ głównie *patrzy*, — rzadko *słucha*; do obrazów swoich dobiera *barw jaskrawych*, lubi *malować planami* o zatartych konturach, z figur poetyckich używa głównie *porównania* w formie *personifikacji* w najszerszem tego słowa znaczeniu— a więc posiada ogromnie wyrobioną *fantazję* twórczą — niewiele zaś *refleksyi*.

*Wszystkie te charakterystyczne cechy organizacji twórczej ma w większym lub mniejszym stopniu Calderon.*

I hiszpański poeta więcej *patrzy*, niż *słucha*—w sposobie zaś obrazowania ma wiele wspólnych upodobań z poetą polskim.

Słońce wydaje mu się „*różą płomienistą*“ (Alkad z Zalamei) „*świt zapala latarnie na niebie*“ (Lekarz własnego honoru), *złote róże* słońca oświecają progi nieboskłonu, zorza otwiera słońcu bramy wschodnie („Dom o dwóch bramach...“). O zachodzie „słońce spada na krańce błękitu, jak *rozżarzona kula*“ („Miłość po-



śmiertna“) „na *skroń* kładzie jasne wieńce“ — „*rubinowa twarz*“ jego do wód się chowa („Lekarz własnego honoru“); dzień biały *kona*, zórz wianek blednieje, niebo *ostania się szarym* płaszczem mroków („Dom o dwóch bramach...“).

Gdzieindziej „słońce *kona* na *brylantowej mogile*“ „skała żali się, powój smuci“ („Tajna krzywda“).

Wszystkie te piękne metafory, może nie tak jaskrawo barwione, jak opisy wschodu i zachodu u Słowackiego — wykazują za to w jeszcze szerszym zakresie używanie personifikacji. Figura to ulubiona Calderona: „noc *ukrywa* chmurne *tono* pod płaszcz ponury“ „*miłość wiję* wieńce i kwiaty rozrzuca“ — nawet „*sromota skacze* do ocz, jak wąż — nad głową kracze, jak kruka“ („Lekarz własnego honoru“).

Ornitologii poetyckiej używa Calderon con amore — nietylko noc jest „*czarnopióra*“ lub „nocna opona“ posiada „*skrzydła*“ albo pióropusz na kapeluszu jest „jak *skrzydło ptaka*“; bohater w „Miłości za grobem“ chciałby lecieć „na *skrzydłach* tęsknoty“ po „złotym szlaku nadziei“; nawet „smutek *zwija skrzydła* przed snem“ a znużone imię „*rozkłada skrzydła* czarne nad głową.“

Calderon kocha się w porównaniach do kwiatów, brylantów — lubi barwy złote lub srebrne. „*Srebrne* minarety“ w Alpuharze („Miłość za grobem“) „*płyną* po morzu skał i gajów“; „*blyszczące*“ oczy kochanki są „*słońcem*, przy którym niebo blednieje“ „*tracą blask brylanty*.“ O świcie zorza „*wyplukuje perły*; uciechy—to często „*lilie* przedwcześnie uwiedły, *róże* poschły“; twierdza na stoku górskim zawieszona, to jak „*zastygła kaskada*“ — albo „*płynie* po morzu skał, wśród *piany kwiatów*“ („Miłość za grobem“); krynica, to „*srebrna szarfa*, wysadzana *perłami*“ lub „*harfa*“, której strunami są „*złote kamyki* u spodu“ (Alkad z Zalamei). Niebo to „*szyba szklana* niebieskich stropów“ ręce „*jak bluszcz* oplatają szyję“ (Lekarz własnego honoru).

Zwłaszcza pod względem malowania *plamami*, zamazywania obrazu i zlewania barw wszystkich w jedną dużą plamę — pokrewieństwo obu twórczości jest uderzające. Monolog Fenixany w pierwszej scenie „Księcia niezłomnego,“ może służyć jako wzorowy przykład. W obrazie tym sporu morza z ogrodem o blaski — odnajdą się wszystkie niemal charakterystyczne cechy Calderonowskiego sposobu obrazowania.

Obraz przeładowany nawalem porównań i metafor, pełen jaskrawych tonów srebrnej piany morskiej, płonących kwiatów w purpurze zachodzącego słońca — zlewa się ostatecznie w jedną

złocistą plamę, „i ziemia, i niebo, i morze“ stapiają się w barwisty kleks o niedającej się ująć barwie i zarysie.

W „Lekarzu własnego honoru“ do obrazu księcia galopującego po błoni, blasków używa słońce, łąka daje kwiaty tak, „że raz wydaje się *słońcem* a raz *wiosną*“ — a kiedy infant spadł z konia, wtedy to „co było kwiatem, różą się stało“ — i zmieszało się „niebo, wiatr, ziemia, słońce, ptak, rumak, promień i kwiat.“

Po pięknym opisie ogrodu („Domu o dwóch bramach ustrzedz trudno“) poeta dodaje na zakończenie: „I *czerwinią* stało się potem to, co *zielenią* było przedtem.“ Maurowie w Hiszpanii byli dawniej „*ogniem*“ — dziś są „*cieniem* i popiołem.“

Tyle o sposobie malowania u hiszpańskiego poety. Autor „Kochanków nieba“ używając często, jak powiedziałem, personifikacyi, pozostaje w kontakcie z naturą i otoczeniem. Ma on w lutni swojej prawdziwie rzewne i szczere tony; królewicz Zygmunt w „Życie-snem,“ więziony od urodzenia w samotnej wieży, skarży się na los okrutny — „rodzi się ptaszek pięknościory i kwiat, i ryba i kamień przydrożny — i żyją życiem wolnem, bez kajdan. Tylko jam skazany na wieczną niewolę — Ay misero de mi! — ay infelice“<sup>1)</sup>.

Nieszczęśliwy mąż w „Miłości za grobem,“ zwraca się ze skargą ku słońcu: co czynić ma mąż — pyta — który przyszedł szukać małżeńskiego łoża — a nie znalazł miłowania swojego — i grób chyba kopać mu trzeba?

„Nie, nie“ — woła w rozpacz — „milczcie ludzie, góry, wichry, nieba blaski, nie potrzebna mi odpowiedź!“

I góry, i wiatry i dzień biały, czują i rozumieją boleść nieszczęśliwego.

W przytoczonym powyżej opisie zachodu z „Tajnej krzywdy,“ płacze cała natura, widząc „konające słońce“; zali się skąta, smuci powój, morze skarży się ziemi.

Nie kusiełm się bynajmniej o wyczerpanie wszystkich charakterystycznych znamion techniki poetyckiej obu twórców. Chodziło mi jedynie o zaznaczenie pokrewnych cech twórczych obu poetów, o podkreślenie tych znamion rodzimych twórczości, które pociągnęły Słowackiego ku Calderonowi. Ta, iście królewska

<sup>1)</sup> Las comedias de D. Pedro Calderon de la Barca contejadas con las majores ediciones hasta ahora publicadas, corregidas y dadas á luz — por Juan Jorge Keil, Leipsique 1827 — 30. Ustępę przytaczam wedle tego wydania, zawierającego 108 utworów Calderona (w 6 tomach).



fantazya Calderona, którą poeta polski odrazu się zachwycił — zbliżyła obu, bo przejawiała się na zewnątrz w sposób wielce pokrewny w pewnych wspólnych figurach poetyckich, uprawianych z zamiłowaniem przez poetę polskiego już wtedy, kiedy o jakimkolwiek wpływie bezpośrednim Calderona, mowy być nie mogło. Przypatrzmy się wzmiankom o Calderonie w listach Słowackiego. Już samo imię hiszpańskiego poety tchnęło nieokreślonym czarem na autora „Mazepy“ i zapowiadało to poważne zajęcie się Calderonem z chwilą, kiedy „pauvre Lulli,“ przyswoiwszy sobie tajniki dźwięcznej mowy hiszpańskiej, będzie mógł w oryginale poznać dzieła Don Pedra. Biorąc lekcye języka hiszpańskiego w Paryżu (r. 1831), już na samą myśl, że będzie mógł czytać Calderona w oryginale, pisze Słowacki: „Co to dla mnie będzie za źródło przyjemności“ <sup>1)</sup>. A jakkolwiek w listach ze Szwajcaryi nie znajdujemy wzmianek o lekturze Calderona, to jednak twórcę „Ballady“ zajmowały zapewne dzieła autora „Czarnoksiężnika,“ skoro w „Dzienniku z podróży na Wschód“ <sup>2)</sup> ciekawy pod tym względem znajdujemy szczegół. Urywek, jaki przytoczę, rzucił poeta na papier w klasztorze libańskim Bet-chesz-ban (r. 1837). Brzmi on: „Mnich opowiadał mi legendę o pewnej Maryi Hiszpance, która zakochała się w dyable, dla niego naprzód wyrzekła się Chrystusa, lecz kiedy ją prosił kochanek, aby odmieniła imię chrześciane, nie chciała na to zezwolić, nareszcie, po długich naleganiach dyabła, zezwoliła na odjęcie ostatniej litery i zostało Mary, potem, na długie prośby, jeszcze mu jedną literę oddała, aż nakoniec zostało jej tylko Ma i nazywała się Ema. Ta dziewczyna, znajdując się na tragedyi świętej Calderona, krzyknęła głośno z rozczulenia i dyabeł ją rzucił w powietrze.“ Nie wiadomo tylko, czy to mnich opowiada, że ta dziewczyna „znajdowała się na tragedyi świętej Calderona“ — czy uwagę tę dodaje poeta od siebie.

Po powrocie poety z Ziemi św. wzmianki o Calderonie stają się bardziej konkretne, zajęcie się autorem „Nabożeństwa do krzyża“ wzrasta; dowodzą tego wymowne w tym względzie słowa poety w liście z Florencyi z dnia 3 października 1837 r. „Chodzę do biblioteki — pisze poeta — czytać *po hiszpańsku Calderona i usypiać się jego brylantową i świętości pełną imaginacyą*“ <sup>3)</sup>.

Teraz dopiero poczyna się poważna lektura dzieł Calderona, a ślady jej odbijają się na dziełach autora „Kordyana,“ którego

<sup>1)</sup> List z 20 października 1831 r.

<sup>2)</sup> Ogłosił H. Biegeleisen w r. 1891. „Biblioteka Warszawska“ tom IV.

<sup>3)</sup> „Imaginacyę“ tę u Calderona, zauważył już Wężyk (patrz wyżej).

„kochankami“ dotąd byli Byron, Szekspir i Dante. Bluszczowa natura poety owija się około twórczości Don Pedra i przyswaja sobie to, co im obu było wspólne.

Wpływy te hiszpańskiego granda ciekawe przechodzą ewolucje: w okresie przedmistycznym odbijają się one w pomysłach zawiązywania dramatycznego węzła, w tle i w grupowaniu osób działających — aż wreszcie wydadzą przekład „Księcia niezłomnego,“ ten doskonały i oczywisty dowód supremacji hiszpańskiego poety w owych latach nad innymi wpływami, w długie lata ciągnącym się hetmanieniu myślom Juliusza, przez „fenixa poetów hiszpańskich“<sup>1)</sup>.

Nastąpi potem okres mistyczny w twórczości króla-ducha a zarazem najbardziej oryginalna faza twórczości, co do pomysłów poetyckich w życiu autora „Beniowskiego.“ Punkt ciężkości wpływów hiszpańskiego granda przeniesie się na formę, na fakturę dzieł.

Pierwszych, widocznych śladów wpływu Calderona, dopatruję się w poemacie: „W Szwajcaryi“<sup>2)</sup>. Sądzę, że przepiękny ustęp z komedyi Calderona p. t. „Casa con dos puertas male es de guardar“ (Dom o dwóch bramach trudny jest do strzeżenia) w joroadzie I, zmiana 2 — nie pozostał bez wpływu na koncepcję pewnych obrazów alpejskiej idylli! Ustęp ten, to „par excellence“ produkt muzy Calderona.

Don Felix opowiada przyjacielowi o spotkaniu pięknej nieznanym: „Stała<sup>3)</sup> nad pierwszym strumieniem (gdzie miłe wydrążenie, do którego pić przychodzą wszystkie zwierzęta, jakby obawiały się potopu *splątanych kryształów*) stała kobieta w *obramowaniu* (recossada en margen) zawsze zielonych mirtów, które ją otaczały, *jak wstęga* (cenefa) lub *oprawa z szmaragdów*, w *otoce* (anillo) *wodnych brylantów*. Stała tak zajęta podziwem piękności swojej, odbitej w *wodnej kotlinie*, że wątpićby można, czy to kobieta była, czy widziadło.

<sup>1)</sup> „Fama, vida y escritos de Calderon“ w „Verdadera quinta parte de comedias de Calderon.“

<sup>2)</sup> Sądzę, że poemat „W Szwajcaryi“ powstał w czasie pobytu poety we Florencyi. Podobnie twierdzi p. Hösick („Anhelli i 3 poemata“ rozprawy Akad. Umiejęt. wyd. filol. tom IX, serya 2, r. 1895).

<sup>3)</sup> „Casa con dos puertas...“ (cytow. powyżej zbiór Keila). (Ustępy przytaczam we własnym tłumaczeniu — chodzi mi przedewszystkiem o wierność przekładu). Joroad I, zmiana 2, od wiersza 92: „Estaba en la primer fuente...“



Podobnie piękne nimfy, w gładkiem srebrze odlane, *strażniczki krynicy*, tak żywy wygląd mają, że możnaby się spodziewać, iż mówić zaczną. I patrzyła tak zamarła, żem wcale nie mógł się spodziewać, iż poruszyć się może; natura zdawała się mówić do sztuki: Nie chej się i nie chwal, że śmierci kłam zadajesz z większą siłą, niż ja życiu.

Na szelest, jaki sprawilem wśród liści — (biada mi), chcąc zbliżyć się, by bliżej ją podziwiać w miłym zachwycie... odwróciła się, patrząc na mnie z pewnym przestraczem. I nie pominę, czy jej rzekłem, by dumna nie patrzyła na piękność taką, bo naraża się na zakochanie w samej sobie, i że niepodobnem mi było, *widząc nimfę i krynicę*, nie zabawić się w Narcyza. A kiedy odchodziła: „Nie mogłem odróżnić, czy ogród w swych wszystkich częściach ścieżkami był, czy obrazami.“

„I czerwienią stało się potem to, co zielenią było przedtem.“

„W tej samej chwili, kiedy ją ujrzałem, uczułem w duszy wszystko to, co dzisiaj czuję.“

„I pewnej nocy przemówiła do mnie przez kratę ogrodu, a świadkami mego szczęścia była noc i ogród.“

W tłumaczeniu, w którym chodzi głównie o dokładność, nie uwydatnia się może tak dobitnie podobieństwo tych obrazów z obrazami „W Szwajcaryi.“ Przy czytaniu rzeczy w oryginale, odrazu przychodzą na myśl fragmenty szwajcarskiego poematu:

„I tak raz pierwszy spotkałem ją samą

Pod *jasną tęczy różnobarwnej bramą*.“

„Tam ją ujrzałem i wnet rozkochany,

Że z *tęczy wyszła i z potoku piany*

Wierzyć zacząłem i wierzę do końca.“

„*Lilija* jedna cała *jasna*, w bieli (strofa XII)

*Oczekiwała*, aż wyjdiesz z kąpieli

Widząc was obie, takie białe w parze

Myslałem, że śpiąc o aniołach marzę;

I drzeć zacząłem i zadrzałem wszystek,

I *jeden tylko poruszyłem listek*,

Ten listek inne poruszył listeczki,

I szmer się zrobił — ty wybiegłaś z rzeczki.

Nie *jam był winien — lecz lilija winna*.“

Obaj kochankowie spostrzegają piękne nieznajome na tem samem tle, przy tych samych niemal akcesoryach, obaj odrazu uczuwają w sercach drgnienia miłości. Jeden tłumaczy się w sposób analogiczny, jak drugi. Jeden poruszył liście i spłoszył zjawi-

ska — chcąc być *narcyzem*. Drugiego też liście zdradziły — ale to *lilia* była winna.

Sytuacje, sposób obrazowania, podobne; w obu obrazach pełno róż, światła i wodnych opali. Niejedna wspólna nić łączy obu poetów w doborze figur poetyckich. U Calderona uderzają porównania do kwiatów, gwiazd i drogich kamieni. Toż samo u Słowackiego. Usta ukochanej z „Szwajcaryi“ — to „gniazdo pereł i róży“ — ona cała „jak biała róża, kiedy się rozwija, róż pokazuje z piersi odemkniętej — taki rumieniec wyszedł z lica świętej,“ jej „oczy — róże,“ gdzieindziej jest „brylantowa w oczach.“ Nad „kryształową kaskadą“ stoi nieruchoma, „skarży się gwiazd cichej gromadzie“ lub z ukochanym za „gwiazd się chwyta łańcuchy“<sup>1)</sup>.

Na tym punkcie mieli obaj poeci upodobania wspólne.

Popatrzmy, co za mnogość porównań i metafor w przytoczonym z Calderona ustępie; na *75 tropów w 100 wierszach* (od słów „Pues como la mariposa — jak ćma leci do światła) naliczyłem *65 porównań i metamorfoz*. W innych utworach Calderona są ustępy, w których procent taki jeszcze bywa większy — a więc fantazyja twórcza nadmiernie wybujała, o bardzo słabo rozwiniętej refleksyi (sinegdocha i metonimia). Poeta hiszpański lubi, chwyciwszy obraz, rozwijać go w kunsztownych wariacjach. W przytoczonym powyżej fragmencie Felix zoczywszy nieznaną nie wie, czy to zjawisko, czy żywa istota. Poeta chwyta ten motyw i nie wypuszcza go z ręki przez 19 wierszy.

To wszystko musiało ogromnie się podobać naszemu poecie. Nie dziw, że „brylantową imaginacją“ Calderona zachwyca się poeta, u którego zawsze <sup>3,4</sup> tropów — to porównania i metafory. Na tym punkcie wyraźnie zarysowuje się styczność obu twórczości.

Ślady Calderonowskich pomysłów znajdziemy w dramatach Słowackiego z tego czasu. „Principe de los poetas castallanos“ — jak Don Pedra zwie w swoim panegiryku przyjaciel od serca i wydawca dzieł Don Juan de Verra Tasis y Villaruel<sup>2)</sup> był nie tylko „en lo lirico agradable y elocuente, en lo amoroso honesto y respectivo,“ był nie tylko „sonoro en verso“ — ale był hiszpański poeta zarazem „en heróico culto y elevado... agudo y primoroso en la idea.“

<sup>1)</sup> W ramach obrazu widoczny jest wpływ Byrona, a mianowicie: sceny 2, aktu II „Manfreda.“

<sup>2)</sup> „Fama, vida...“ op. cit.



I tak, reminiscencye sztuki Calderona p. t. „Nabożeństwo do krzyża“ („La devocion de la cruz“), jakie nasuwają nam się w „Beatrice Cenci“, pozwalają przypuszczać, że nie bez wpływu na koncepcyę tragedyi Słowackiego pozostał dramata hiszpański.

Na tem samym tle, jak wiadomo, osnuł Shelley swoją „Rodzinę Cencich“, co dało powód do nieuzasadnionych domysłów na temat wpływu Shelley'a na Słowackiego<sup>1)</sup>.

Łącznikiem między autorem „Mimozy“ a Słowackim był — Calderon. Sam Shelley w epilogu swojej tragedyi zaznacza, że obraz przepaści, przez którą przejeżdżał Francesco Cenci — zapożyczył od Calderona.

„Pomiędzy Shelley'em a Słowackim — pisze Felix Jezierski<sup>2)</sup> — tertium comparationis stanowi Calderon. Na tej postaci, jak na wierzchołku oderwanego trójkąta, spoczywa główny punkt analogii. A więc, w ostatniem streszczeniu — Shelley, Calderon, Słowacki.“

I Słowacki i Shelley tedy z jednej czerpali krynicy.

Ale takie ogólnikowe stwierdzenie wpływu Calderona na „Beatrice“ — nie wystarcza. Rozpatrzmy sprawę bliżej:

Już samo zawiązanie akcji i w „Beatrice Cenci“ i w „Nabożeństwie do Krzyża“ podobne. Kazirodcza miłość ojca ku córce staje się, jak miłość brata ku siostrze w sztuce hiszpańskiej punktem wyjścia dla całego szeregu krwawych zawikłań. Legendę o okrutnym Francesco Cenci znał już Słowacki dawniej i już za pierwszym pobytym w Paryżu nosił się z pomysłem napisania tragedyi na tem tle, który to pomysł potem porzucił. Teraz, po bliższem poznaniu się z dziełami Calderona, dawniejszy pomysł i wrażenie sztuki Calderona — zrodziły „Beatrice Cenci.“

I w bliższych szczegółach analogie obu utworów są widoczne. Tomaso („Beatrice“) postanawia zamknąć siostrę w klasztorze, ażeby rozłączyć ją z kochankiem Gianem, sam zaś wyzywa tego ostatniego na pojedynek.

Podobnie Kurcyusz („Nabożeństwo“) zamyka córkę Julię w klasztorze, kiedy brat jej, Lisardo, zginął w pojedynku z Euzebiuszem, jej „galanem.“

1) Por. Ign. Matuszewski „Słowacki i Shelley“ „Przegl. tygod.“ 1887. Brandes „Trzy odczyty o poezyi polskiej“ 19 w. Józef Szujski w „Przegląd. pol.“ dodatek za marzec r. 1872 t. I. F. Hösieck „Beatrice Cenci czyli o rzekomym wpływie Shelley'a studia „O Mickiewiczu i Słowackim.“

2) „Romantyzm angielski 19 w.“ „Bibl. Warsz.“ 1878, t. 4.

Beatrix przed zamknięciem szuka ocalenia w ucieczce — Julia ucieka również z klasztoru.

Giani i Pietro — to bracia bliźnięta, nie znający się zrazu; analogicznym zupełnie jest stosunek Euzebiusza do Lisarda w „Na-bożeństwie.“

Pietro pada pod uderzeniem mściwego sztyletu brata — Lisarda zabija brat w pojedynku.

W innych utworach dramatycznych Słowackiego, wpływ autora „Chochlika“ ukazuje się w wyraźnych zarysach.

Rozglądnijmy się dobrze, a uwagę naszą zwróci postać Ślaza w „Lilli Wenedzie.“ Skąd wzięła się ta figura o obcej nam twarzy w krainie Wenedów? Z jakich krain przywiął wicher tę „mrówkę ludzkości, pełną kłamstwa, wybiegów, tchórzostwa“ i tak niewłaściwie przypiął na legendarnem tle walki Lecha z Derwidem? Skąd ten dysonans w tragicznych akordach harfy siwego króla, co zrodziło w umyśle poety tę śmieszna postać karła w tragicznej gigantomachii?

Otwórzmy pierwszą lepszą ze sztuk Calderona: w każdej z nich, czy to będzie poważny „autos“, opiewający narodzenie Chrystusa, czy tragedia „płaszcza i szpady“ — w każdej znajdziemy figurę trochę błazenka, trochę tchórze, figurę, która chyba służy po to, ażeby publiczność mogła wytchnąć od czasu do czasu po tych okropnościach, jakie się na scenie dzieją.

Hiszpański poeta, „en lo jocoso salado y vivo“ wedle zapewnień przyjaciela<sup>1)</sup>, nie mógł obejść się bez „gracios'a.“

Postać ta, czy to będzie Dżyl, Clarin, Kokin, Benito lub Bryan, ta integralna część sztuk Calderona, to „człowiek natury, zmysłowy, egoista, uosobienie prozy, i jako taki, stanowi antytezę w całym otoczeniu poetycznym, wśród którego obracać się musi“<sup>2)</sup>.

Spójrzmy mu w twarz, a uderzy nas odrazu duchowe podobieństwo tej postaci do figury Ślaza, odrazu poznamy w takim Dżylu np. tę „mrówkę ludzkości, pełną kłamstwa, wybiegów, tchórzostwa“ i pojmiemy zarazem duchową genezę Ślaza w „Lilli.“

I niektóre pomysły z postacią Ślaza związane, zdają mi się być z Calderona przejęte.

W „La vida es sueno“ spotykamy famulusa Clarina, którego wskutek nieporozumienia królem okrzyknięto; w sztuce „Alkad siebie samego“ chłop Benita, przybrany w zbroję księcia Fryde-

<sup>1)</sup> Villaroel op. cit.

<sup>2)</sup> Adolf Świąciecki „Studjum o Calderonie“ Bibl. warsz. tom II, r. 1881.



ryka, za takiego uznanym zostaje przez żołnierzy<sup>1)</sup>. Podobnie Słaz występuje jakiś czas w rycerskiej roli Salomona. Postać Słaza przejął Słowacki stanowczo ze sztuk Calderona<sup>2)</sup>; może i w krwawej postaci Rosy Wenedy, dałoby się odnaleźć pewne pokrewieństwo z Calderonowską Zenobią<sup>3)</sup>. Dalsze analogie, jakiby chciał kto wyprowadzać, nie dałyby się poważnie unotywować.

Najdobitniej zarysowuje się wpływ autora „Miłości za grobem“ w „Mazepie.“ Zauważył to pierwszy Wacław Szymanowski. Zamieścił on w 279 n-rze „Tygodn. Ilustrowanego“ r. 1873 (tom XI) artykuł, gdzie po stwierdzeniu wpływu Byrona i Pamiętników Paska — pisze:

„akt pierwszy odmienny jest formą, a nawet samym planem i układem od następnych. Im dalej robota szła, tem silniej przedmiot za sobą pociągał poetę, odrywając go od pierwotnie obmyślanej formy. *Tło polskie zniknęło, a dramat hiszpański wychodził na jaw.*“

W trzy lata po tym artykule zamieszcza Rewera w 82 n-rze „Warty“ poznańskiej rozprawkę p. t. „Co i jak naśladował Słowacki w „Mazepie“—gdzie stara się wykazać ścisłą analogię między dramatem Calderona p. t. „Lekarz własnego honoru“ a „Mazepą.“ W późniejszych znanych mi rozbiorach tragedyi Słowackiego naliczyłem 20 przeszło autorów polskich, francuskich, niemieckich, rosyjskich i angielskich — którzy mieli rzekomo na genezę „Mazepy“ oddziałać, a w której to okazałej liczbie głośnych nazwisk, o Calderonie prawie nic nie słychać<sup>4)</sup>.

A jednak ten to, nie inny, wpływ okazał się przemożnym w oddziałaniu na genezę „Mazepy.“

<sup>1)</sup> Por. W. Hahn: „Studjum nad genezą „Lilli Wenedy““ str. 45 i nast.

<sup>2)</sup> Pp. Hahn (op. c.) i Monat („O Słowackim“ Myśl r. 1892) tylko częściowo widzą w Słazie wpływ Calderona, który — ich zdaniem — krzyżuje się z reminiscencją szekspirowskiego Falstaffa. — Prof. Tarnowski („Dwa odczyty o Balladynie i Lilli Wenedzie“) nazywa Słaza „niezaprzeczoną, oczywistą kopią, zaczerpniętą z hiszpańskiego dramatu.“

<sup>3)</sup> „La gran Cenobia.“

<sup>4)</sup> K. Zimmerman w sprawozdaniu szkoły realnej lwowskiej za rok 1895 w rozprawie p. t. Studjum nad Genezą „Mazepy“ zwraca uwagę na szczegół, że Słowacki musiał czytać „Lekarza własnego honoru“ w przekładzie Kamińskiego (1826). Biegeleisen w „Objaśnieniach“ do wyd. dzieł Słowackiego, tom V, sądzi, że „scena z lilią (koniec aktu II) ujawnia wpływ rycersko-romantycznej atmosfery (Calderon), gdzie scena taka zupełnie była na miejscu.“ Oto i wszystko, co o wpływie Calderona na „Mazepę“ napisano.

Duży cykl komedyj Calderona, nazwanych „Comedia de capa y espada“ (płaszczka i szpada) wykazuje cały szereg podobnych kombinacyj, gdzie mężowie, zjawiwszy się nie w porę, zastają nadobne małżonki na czulej schadzce z kochankiem.

Sam Calderon <sup>1)</sup> żartuje z siebie:

„To jest — powiada — komedia Don Pedra Calderona, gdzie koniecznie musi wchodzić zakwefiona dama, kryć się kochanek,“ albo: „To być musi bez wątpienia jedna z komedyj Don Pedra Calderona, gdzie nie w porę wchodzi brat i ojciec“ <sup>2)</sup>.

„U Calderona — mówi prof. Porębowicz — niema męskiej postaci, któraby nie była gotowa stać się Otellem w danej chwili.“

Jak dalece przejął się autor „Kordyana“ cechami, charakteryzującami „komedye płaszczka i szpada“ — wykaże porównanie.

Infant Henryk w sztuce p. t. „Lekarz własnego honoru,“ zakochany w pięknej Mencyi, wybiera się do jej ogrodu (vide „Mazepa“) pod niebytność męża, a za niespodzianem zjawieniem się tegoż, *kryje się poza firanki w alkowie Mencyi.*

W sztuce „Dwoje bram — trudna straż,“ Marcela, naznaczywszy schadzke kochankowi w domu swojej przyjaciółki Laury, *chowa go w przyległym pokoju*, postłyszawszy kroki zbliżającego się ojca Laury; w tejże sztuce w sc. 19 dzień II naodwrót Marcela, *kochanka Lisarela, ukrywa się w jego pokoju poza kotarą*, przed bratem swoim. W „Miłości za grobem“ Klara *kryje* kochanka w *przyległym pokoju* — podobnie Mendoza *chowa* Izabelę przed bratem jej Don Alvarem.

Wszędzie nadużywa Calderon sposobu ukrywania kogoś, bądź to za kotarą, bądź w przyległym pokoju, jako środka zawiązywania intrygi.<sup>3)</sup>

Tą jaskrawie w oczy bijącą manierą Calderona przejął się niewątpliwie autor „Mazepy“ i zużytkował, kryjąc królewskiego paza w alkowie Amelii.

Przy bliższem rozpatrzeniu kwestyi, odnajdziemy inne, ciekawe szczegóły.

Weźmy np. „La devocion de la cruz“ („Nabożeństwo do krzyża“), która to sztuka wpływ pewien wywarła na „Beatryx Cenci“ (patrz wyżej).

<sup>1)</sup> Porębowicz, Wstęp do tłóm. dzieł Calderona.

<sup>2)</sup> Porębowicz l. c.

<sup>3)</sup> Sztuka „El escondido y la tapada“ („Ukrywający się i panienska alkowa“) oparta na tymże motywie.



Namiętna miłość Euzebiusza ku siostrze, wykazuje analogię do stosunku Zbigniewa z piękną macochą.

Pojedynek Euzebiusza z Lisardem, (sc. 2 jornada I) brończącym cześć siostry własnej — przypomina pojedynek Mazepy ze Zbigniewem. Euzebiusz, będąc sam na sam z Julią, usłyszawszy kroki jej ojca kryje się w jej alkwowie (sc. 5 dz. I).

Cała scena 8 (jornada I), w której przynoszą trupa Lisandra, zabitego ręką kochanka siostry jego Julii, układem, zachowaniem się ojca zabitego, nawet stekiem niewytwornych obelg, jakimi obrzuca Julię — wszystko to żywo przypomina analogiczne ustępy z „Mazepy“ przed zamurowaniem sypialni Amelii i po śmierci Zbigniewa.

Po przyniesieniu trupa syna, mówi Kurcyusz:

„Niechże się pogrzeb dziś *podwójny święci*  
Bo dwie istoty dzisiaj *śmierć mi skradła*“<sup>1)</sup>

a niżej: (do córki)<sup>2)</sup>

...tutaj nad *trupem przysiadła*  
Ucz się twem *nędnem jestestwem poterać*  
I jego *śmiercią za życia umierać*.“

Przeczytajmy sc. 3 akt V „Mazepy“

WOJEWODA: Ustawić tu katafalk — *trupów będzie para.*

sc. 5. Wojewoda (do żony):

A nie *kładź się* waćpani tam *na dziecka trupie.*

Pierwsze sceny wykazują prawie identyczność myśli i słów — w następnej scenie odwrócił Słowacki myśl, bo kiedy Kurcyusz każe usiąść na trumnie jedynaka — Wojewoda zabrania żonie tego. (To odwrócenie myśli, z różnego pojmowania moralnej kary u obu poetów wynika, zdaje mi się tem bardziej stwierdzać, że scenę tę przejął Słowacki z „Nabożeństwa do krzyża“).

Żona Kurcyusza, niewinnie o niewiarę posądzona, na krzyż przysięga, że jest niewinną — Wojewoda to samo każe uczynić Amelii.

<sup>1)</sup> Tłóm. Porębowicza: od słów: Los dos á un tiempo...

<sup>2)</sup> Od słów: „Y en tanto que el entierro...”

Przypatrzmy się scenie 9 i 10, w sztuce Calderona „Dwoje bram—trudna straż“ („Casa con dos puertas“)

Feliks, kochanek Laury, zoczywszy za drzwiami ukrytego człowieka, wpada w szaloną zazdrość, podejrywa (niesłusznie) kochankę o niewierność — a mimo to za nadejściem jej ojca, nie wyjawia swojego odkrycia, pragnąc cześć Laury ocalić! — Zupełnie podobną sytuację mamy w sc. 6 aktu III „Mazepy“, gdzie Zbigniew, jakkolwiek słyszy za firanką alkowy szelest ukrytego Mazepy, gotów nawet krzywoprzysiędz, że nikogo w pokoju nie ma, byleby ochronić Amelię od hańby.

Podobnież w dalszym ciągu:

Zbigniew odwiedzając uwięzioną Amelię w przebraniu mniacha, ciężkie czyni jej wyrzuty — u Calderona Feliks, również zasłonięty, odwiedzając Laurę, zarzuca jej niesłusznie zdradę.

Nie chcę mnożyć nużących porównań. Analogie przytoczone, aż nadto, sądzę, wystarczają dla stwierdzenia, że głównych motywów do fabuły „Mazepy“, dostarczyła Słowackiemu twórczość Calderona.<sup>1)</sup> Na tej tragedyi da się najwidoczniej wykazać wpływ hiszpańskiego dramaturga na *myśl* autora „Kordyana“, wpływ, który niedługo potem znajdzie swój najpełniejszy wyraz w przekładzie „księcia niezłomnego“, tego „księcia“, który poecie „kości wewnętrzne połamał, w którym są pioruny poezyi — bo nie na nerwy, ale na samo czysto czucie uderza, nie melancholię, ale boleść obudza, nie rozhartowuje czytelnika, ale go czyni silnym i podobnym spokojnemu aniołowi.“<sup>2)</sup>

Słowacki kilkakrotnie wyraża się w słowach, które stwierdzają dosadnie, jak dalece uniłowaniem było mu to „dziecię“, nie z jego krwi i kości pochodzące. Dnia 15 stycznia 1844 pisze do W. Stattlera o „Księdzu Marku“, który „stoi jak *książe niezłomny*.“ W dzienniku snów i widzeń (spisywanych od początku 1844 roku), do których w okresie mistycznym swego życia ogromną

<sup>1)</sup> Motywy pewne, jak pomysł ukrycia bohatera, odnajdziemy i w Balzaku („La grande Bretèche“—Prof. Chmielowski w „Ateneum“ r. 1897), i w W. Hugo („Hernani“); zważywszy jednak, że u Calderona występuje motyw ten częściej, aniżeli u innych autorów, że stanowi niemal zasadniczy punkt wyjścia jego intrygi dramatycznej, bijący w oczy czytelnika, że wreszcie „Mazepę“ pisał Słowacki w okresie niezaprzeczonego działania wpływów Calderona—godzi się przypuszczać, że na pomysł ukrycia Mazepy w alkowie wpłynął głównie Calderon. Zresztą oba wpływy, jako jednorodne, nie wylęczają się nawzajem.

<sup>2)</sup> List z początku r. 1845. wyd. Meyeta t. II str. 225.



wagę przykładu — pisze: (sen 8 marca 1844.)<sup>1)</sup> „Śnił mi się nieboszczyk książę Orleanu, jak gdyby wchodził na wschody Tuille-ryjskie i ze mną mówił.

Uderzył mię on po ramieniu i pytał, czy się tem dotknięciem nie obrażam; odpowiedziałem mu *wierszem Calderona, że król nie może urazić.*“

A możemy dodać z wszelkiem prawdopodobieństwem, że poeta odpowiedział wierszem niezłomnego księcia z dialogu między nim a królem, gdy ten ostatni, po zerwaniu układów, każe mu nogi całować, a don Fernand klęka z pokorą i spełnia rozkaz bez szemrania. Możliwy i inne sceny przytoczyć, (np. dzień II zmiana przy końcu) w których nadludzka przebija się pokora książęcego męczennika. Powyżej przytoczona wzmianka dowodzi z drugiej strony, że poeta utożsamiał siebie z nieszczęsnym infantem, a przekład swój „El principe constante“ uważał za jeden z najważniejszych płodów swojego pióra.

Stwierdza to dobitnie inna jeszcze wzmianka, jaką w przytoczonym dzienniku snów odnalazłem. W opisie snu z 30 kwiet. na 1 maja 1844<sup>2)</sup> czytamy, jak „jakaś autorka Marachta (duch indyjski) deklamowała „Ks. Marka“ i *Księcia Niezłomnego*, mówiąc: że to cudowna poezya. Nade dniem zaś *Mickiewicz to samo powtórzył*“

Cenił więc poeta przekład swój ogromnie wysoko, stawiał go, jak i inne utwory z tego czasu, nieskończenie wyżej od płodów swojego pióra przed sierpniem roku 1842 powstałych.<sup>3)</sup>

Chcąc zrozumieć, co ukochał poeta tak gorąco w swoim „Księciu“, dlaczego z tak ogromnej liczby dzieł Calderona, to właśnie za najbardziej godne swojego przekładu uznał — musimy rozważyć, o ile sam bohater hiszpański odpowiada ówczesnemu pogładowi poety na świat, a o ile mistyczny podkład ducha niezłomnego męczennika był pokrewny mistycyzmowi autora „Króla-Ducha.“

Ideał poświęcenia i cichej ofiary oddawna zaprzętał ducha polskiego poety — posągowa postać Anhellego, biała Lilla, to były ukochane twory fantazyi polskiego twórcy, który motyw ten na różne tonacje przerabia i powtarza, aż po ostatnie godziny swojego życia. A więc: Chelonida, córka króla Leonidasa w „Agesylausie“

<sup>1)</sup> „Poezye, utwory dram. i proza“ wyd. Józef H. Rychter, Kraków 1889.

<sup>2)</sup> Rychter op. c.

<sup>3)</sup> 2 sierp. 1842 r. 1 list do matki z widocznymi śladami zwrotu ku mistycyzmowi.

i król Agis w tymże dramacie z ofiarą własnego życia dla szczęścia ludu, i męczennica krzyża, matka Mokryna Mieczysławska, i okrutny Chan w „Dziejach wielkiego Nowogrodu“ skazany na przeprowadzenie oczyszczającej ofiary krwi i ognia, od którego sam płonie, i brat jego po duchu Król-Duch, Popiel—to wszystko ogniwa tego samego łańcucha, zasadniczy motyw tej samej pieśni, której śmierć dograć nie pozwoliła. Jedne z tych postaci po drodze krwi kroczą—inne, ciche i udręczone idą, niosąc całopalenie z wszelkich osobistych pragnień i porywów, całkowitą abnegację własnej jaźni; i jedne i drugie, ku jednemu, „finalnemu“ dążą celowi, jedni i drudzy skazani i na tę najcięższą mękę, że plonów swoich poświęceń oglądać nie będą, że z posiewu krwi własnej owoców nie doczekają. I jednych i drugich jednoczy ta sama idea, poczęta w duchu poety na długie lata przed mistycznym zwrotem jego myśli, a której zwrot ten nie zaciera, ale pogłębia i rozwija.

„Biada tym, którzy chcą jednego lata  
Owoców, a o męczeństwo nie proszą,  
A o dar ducha do nieba kołają,  
Jak ty, nie wzięwszy go czynem i pracą“<sup>1)</sup>

— pisze poeta

„Mój król, mój Pan—to nie mocarz żadny,  
Ni ten, na którym trzy koron się piętrzy,  
Ale duch pierwszy grobu—światowładny,  
Chociażby w chłopku, duch świata najświętszy“

a dalej:

„Bo nie ten, który z rdzy pancierz oskrobie,  
Albo w mogiły dawnej zajrzy trzewa,  
A prochom dawnym spoczynek naruszy —  
Wiek pomknie; leez ten kto się dotknie duszy“

„Jam się duchem podniósł, zbożył, zwszechmocniał“ — mówi poeta przez usta Waltera Stadiona—„a tu chcę być, jak umarły.“

„Ja już nie mały Julio“ — pisze do matki 2 sierp. 1842 r. — „nie to nudzące dziecko, prowadzone na pasku przez Byrona i innych, ale człowiek prowadzący teraz dalej z tego właśnie punktu, do którego imni mnie rozpaczą i pięknnością ducha dowiedli.“

<sup>1)</sup> „Słowacki. Dzieła pośmiert.“ wyd. Małeckiego tom I str. 86.



I w tymże liście czytamy słowa, doskonale tłumaczące to umiłowanie poety „Niezlomnego,“ który mu „kości wewnętrzne połamał.“

„*Wszystkie wielkie duchy bohaterów i poetów*“ — pisze — „*były świętymi i może świętszymi nad te, które po pustyniach chodzą, bo więcej za fałsz cierpiały, więcej dla prawdy zrobiły, a moc miały, bo przez swoją wysokość były z Bogiem niewidomie połączone.*“

To jakby doskonała charakterystyka Don Fernanda, tak, jak go poeta pojmuje (w przekładzie).

„Książę niezłomny“ w *przekładzie* odpowiada doskonale temu, co poeta w owym czasie w teorii wyznaje. Dzieje infanta, to poetycki obraz tej ciągłej ewolucyi ducha, dążącego do „celu finalnego“ przechodzącego „ogniowe próby chłost Bożych“ i wewnętrznego cierpienia.“<sup>1)</sup>

W tej ewolucyi „przeaniela się“ natura ludzka—człowiek staje się „prostym, czującym.“

Taką jest droga ku jasności wiekuistej wiodąca — po niej kroczy „Książę niezłomny.“

Postać tę musiał ukochać poeta, bo ona odpowiadała w zupełności temu, co o ideale człowieka sobie wyroił, i co mu szeptał „wicher boży we włosach.“

Czyni miecza i siły śpiewa poeta o tyle, o ile przez nie uzyskuje się to „przeanielenie“ duchów niższych i zbliżenie ku „finalnemu celowi.“

Zresztą, bohaterowie jego są wolni od pychy wszelkiej, pełni pogardy dla ciała a zapatrzona się w ducha: „a ty rozrzuc twoją glinę nieszczęsna formo człowieka!“ „Synowie Boga jesteście!“ — woła poeta w wierszu z d. 8 lutego 1848 r.<sup>2)</sup> — więc „do Boga ręce podnieśmy, język rozwiązujemy niemy.“

Na tem tle uczuć i myśli poety tłumaczy się jasno, co skłoniło go do przełożenia „Niezlomnego,“ i co uczyniło mu postać tę drogą. Dzieje infanta, męczennika idei, odpowiadają doskonale temu, co Słowacki wówczas czuł, i na czem swoje dzieła budował—książę niezłomny mieści się w zupełności w szeregu innych, oryginalnie stworzonych postaci.

A teraz, co do stosunku przekładu do oryginału. Przekład ten—to w swoim rodzaju unikat w dziejach literatury powszechnej.

<sup>1)</sup> List do matki 18 stycznia 1843 r.

<sup>2)</sup> Małecki op. c. str. 73.

Prof. Porębowicz (op. c.) pisze, że Calderon, gdyby żył, całowałby ręce naszemu poecie za takie tłumaczenie. A ja śniem twierdzić, że hiszpański poeta, choćby znał najwyborniej język polski, nie poznałby poprostu swojego dzieła, gdyby naturalnie nie wyszedł poza sferę pojęć 17 stulecia.

I w pojmowaniu głównej postaci, jako przedstawiciela idei, i w samejże myśli przewodniej — rozbieżność między przekładem a oryginałem jest widoczną. Pod względem formy stoi przekład bezwarunkowo wyżej. Bliższe zestawienie wykaże słuszność moich sądów.<sup>1)</sup>

Zacznijmy od różnic w treści: Wysuwam na pierwszy plan ustęp, w którym Fenixana opowiada Mulejowi o spotkaniu starej Afrykanki (dzień II sc. 1) i o przepowiedni, jaką z jej ust usłyszała. Wiadomo, jak Słowacki wierzył w ostatnich latach swojego życia w sny i widzenia. Przytoczyłem powyżej ustępy z dziennika snów i widzeń, jakie od r. 1844 poeta spisywał. Ta wiara w sny i przeczucia, przebija się we wszystkich utworach dramatycznych z ostatniego okresu.<sup>2)</sup>

To też ustęp taki w „Księciu“ musiał podobać się naszemu poecie. Tylko w przekładzie spotkanie z czarownicą rodzi w duszy pięknej księżniczki obok przestachu, przeczucie smutnej przyszłości—czego oryginał nie uwydatnia.

W sławnym opisie konia (dzień I sc. 2), Calderon patrzy na skon wiernego towarzysza okiem widza, przyzwyczajonego do walk byków w hiszpańskim cyrku—Słowacki oplakuje konia, jak przyjaciela<sup>3)</sup> i towarzysza.

Nieliczne opuszczenia lub trawestacje wskazują na ogromne wyrobienie smaku estetycznego autora „W Szwajcaryi.“ Wszelka zmiana wychodzi na korzyść utworu przerabianego: porównanie o *Kaukazie* (jornada II wiersz 570 — 72), który wstrzymuje *Nil* w biegu—zmienił Słowacki na „skałę, która opór stawia.“ U Calderona Don Juan staje u boku infanta w jego pojedynku z królem—u Słowackiego zakrywa księcia ciałem. Te drobne szczegóły zebrał już Miciński (op. c.)

<sup>1)</sup> P. Miciński w „Życiu“ r. 1899 str. 156 i nast. przedsięwziął jedyną dotąd próbę porównania obu tekstów. Rozprawka, podana w formie osobistej impresyi, prócz kilku szczegółów, nie wyczerpuje tej ciekawej kwestyi.

<sup>2)</sup> Por. wyrok Ks. Marka na Kossakowskiego („Ks. Marek“ akt II sc. 1) „Śniła mi się postać taka“—„*Sen srebrny Salomei*“ „Agezylaus“ Rychter op. c. str. 77, str. 162, str. 175 „Z dziejów wielk. Nowogr.“ str. 271 i in.

<sup>3)</sup> Miciński op. c.



Ja chciałbym zwrócić uwagę na ustępy, mojem zdaniem ważniejsze.

Infant w oryginale drze pergaminy, ale ich nie połyka, na rozkaz króla nie klęka i nóg mu nie całuje. Słowacki dodaje te szczegóły od siebie, chcąc wyzbyć bohatera wszelkiego, choćby cienia pychy—i w tem pozostaje poeta wierny swoim przekonaniom z owego czasu, chcąc wedle nich stworzyć bożego na wskrós rycerza.

Jornada II w oryginale, zaczyna się w sposób następujący:  
Fenix (wbiega):

Zara, Róza, Estrella!  
Niemasz nikogo, ktoby mi odpowiedział?

W przeróbce woła Fenixana z ganku:

Zara! Estrella! Róza!—Cóż?  
Niema nikogo—oprócz róż

Ten dodatek „oprócz róż“ jest bardzo charakterystyczny dla polskiego poety.

Na wołanie księżniczki wchodzi Mulej i mówi:

oryginał:  
Bądź ty mi słonkiem a ja cieniem  
[twoim,  
Który za słońcem postępuje!  
Usłyszawszy głos twój słodki,  
Z tej oto góry zeszedłem.  
O czem myślisz?...

przekład:  
Piękna! w wołaniach imię zmień,  
Ja ci odpowiem, lutni słodka,  
I oko twoje mnie napotka,  
Boś ty jest słońce, ja twój cień,  
Za tobą chodzę *naksztalt* chmur,  
I słysząc *echo* twego głosu,  
Wołanie twoje—zszedłem z gór...  
Co dumasz?

Jak tu znać rękę autora „W Sz wajcaryi“!

Następuje opowiadanie Fenixany, o którym już wyżej wspominałem. Bardziej jeszcze charakterystycznym jest stosunek uwiecznionego księcia do niewolników, który w przekładzie przedstawia się odmiennie, niż w oryginale.

W tejże samej scenie (nieco niżej) następuje rozmowa księcia hiszpańskiego z niewolnikami. Całe to przemówienie infanta do niewolników o wiele cieplejsze, niż w pierwowzorze.

Książę Calderona wchodzi z trzema niewolnikami i woła ich słowem: „Przyjaciele.“

Słowacki zmienił już początek tej sceny; w przekładzie wchodzi don Fernando *w książęcym ubiorze*—niewolnicy pracujący w ogrodzie *zbiegają się ku niemu*. Wtedy on wita ich słowem: „Bracia.“ Cała inscenizacja różna w przekładzie, kontrast pomiędzy bogatym ubiorem księcia (co podkreśla Słowacki i czego niema w oryginale), a łachmanem pracującego niewolnika, to umiłowanie wzajemne, które pędzi niewolnika od taczki ku władcy, pomimo przepaści społecznej, ich dzielącej, a księciu każe witać sługi swoje ciepłym słowem „bracia“ — tego wszystkiego brak u Calderona. A dodał to poeta od siebie, bo to odpowiadało jego ówczesnym wyobrażeniom o wszech-zbrataniu ludzi, o królu-duchu w siermiędze.

Odchodzących niewolników żegna w oryginale don Fernando w sposób następujący:

„Dusza mi zasunęła się w przykrą ciszę, wiedząc, że odchodzicie, nie otrzymawszy z rąk moich łaski... Któż mógłby im pomóc?... Co za ból!..

Tak mógł mówić „książe“ Calderona, deklamator, w którym więcej patosu i retoryki, niż prawdziwej szczerości uczuć.

Ale tak nie mógł odezwać się mityk i święty Słowackiego, To też ustęp ten w przekładzie brzmi:

*„Duch mój został pełny mąk  
I w smętnem dumaniu stoi,  
Żeście wy od moich rąk,  
Biedni, tak odeszli z niczem!  
Biedni! biedni bracia moi!  
Któż nad screem niewolniczem  
Ulituje się prócz Boga?!*

I w tych słowach naprawdę wyczuwa się ból niezłomnego zbratania się ducha jego z losem maluczkieli. „Biedni! biedni bracia moi...“ dodaje poeta, podkreślając znowu to zupełne zbratanie się stanów w cierpieniach niewoli. „Chyba Bóg zlituje się nad nimi,“ mówi poeta polski, pogłębiając ogromnie myśl oryginału.

Wchodzi Mulej i mówi, że z podziwem patrzył, z jaką miłością traktuje infant niewolników.

Infant odpowiada:

oryginał:  
Bolejąc nad ich losem i srogiem nie-  
[szczęściem,

przekład:  
Zaprawdę, żem przejęty litością,  
I przejęty był cierpieniem,



W którym pogrążonych widziałeś  
 [tych niewolników,  
 Uczę się sam być nieszczęśliwym.  
 I może dzień kiedyś przyjsć,  
 W którym będę *ich* potrzebował.  
 (I algun dia podra' ser  
 Que *los* haya menester).

Patrzac na te męczenniki,  
 Które *pan do tacek pęda*.  
 I uczyła mnie ich nędza,  
 Jak znosić więzy haniebne  
 I los swój dźwigać biednemu.  
 Kto wie? może mnie samemu  
 Wkrótce *to* będzie potrzebne.

Poeta znów dodaje od siebie myśli, których w oryginale niema, usuwa to, co mu fałszywą dźwięczało nutą, „przeaniela“ bohatera.

Tak pojmował poeta polski „niezlomnego“ i taką stworzył kreację, o jakiej się hiszpańskiemu dramaturgowi ani śniło, ani śnić mogło. Zobaczmy, jak poeta pojmował i jak oddał scenę zetknięcia się świata realnego z krainą ducha, scenę, w której duch Infanta wiedzie do boju zastępy chrześcijańskie. Scena taka także musiała zachwycić poetę-mistyka.

Don Henryk (jornada III, sc. 2) chce powstrzymać don Alfonsa od bitwy, sądząc, że pora zbliżającej się nocy jest ku temu nieodpowiednia. Don Alfonso odpowiada mu:

oryginal:

Żadna mi rada nie usunie gniewu,  
 Ani na chwilę nie odwlokę zemsty.  
 W mej silnej dłoni dla Afryki dierzę  
 Bicie śmiertelne.

przekład:

Na nic nie zważam, *dusza* moja *zbrojna*,  
 A *duch* w mej piersi *równie* *piorunowi*,  
 A *duchy* *święte* *pilnują* *mych* *skroni*,  
 A dla Afryki niosę śmierć w tej dłoni.

W oryginale niema ani „ducha w piersi równego piorunowi“, ani „duchów świętych, skroni pilnujących.“ To dodał od siebie poeta mistyk, wierzący w ciągłe duchów obcowanie.

W dalszym ciągu utrzymuje Alfons, że don Fernando męczeństwem swoim okupił zwycięstwo dobrej sprawy.

Następuje scena z duchem — akcja w obu tekstach rozbiega się zupełnie:

oryginal:

FERNANDO (za sceną):  
 Do walki, wielki Alfonso, wojna! woj-  
 [na! (głos trąby)  
 ALFONSO: Czy słyszysz, jak głosy  
 [zmieszane

przekład:

(*Ściemnia się — słycać w powietrzu  
 anielskie trąby i różne głosy duchów*).  
 ALFONS: Cyt... słyszysz bracie?...  
 HENRYK: Głosy jakby śnią się...  
 ALFONS: Głuchną... i znowu...

Smutne i lotne rozdzierają wichry.  
HENRYK: Tak, a pośród nich słycać  
Trąby, grające pobudkę.

ALFONSO: Henryku, możesz rozpo-  
|cząć rozprawę,  
Dziś bez wątpienia pomocne nam  
|niebo.

FERNANDO (w płaszczu, z pochodnią):  
Chcę widzieć twój zapal i męstwo,  
Dziś w twojej sprawy obronie  
Postarałem się u nieba  
O zwolnienie mnie z niewoli,  
Byle mnie, rzadkim przykładem,  
Bóg w miejsce tyłu kościołów,  
Jedną obdarzył świątynią.

A tą płonąca pochodnią,  
Od wschodzącego pożyczoną słońca,  
Rozplomieniam twe chrobre zastępy,  
By szły naprzód bez przerwy i końca,  
A ty dziś, wspaniały Alfonso,  
Byś się zbliżył do Fezu wierzei  
Z tryumfami twym chęciom równymi,  
Lecz byś pierwej nie wieńczył swych  
|skroni,

Aż ja wolny na zachód odejdę.  
HENRYK: Nie wiem, czy prawdą, co  
|widzę, Alfonsie.

ALFONS: A ja zaś we wszystko to  
|wierzę,

A jeśli dla chwały to dzieje się  
Boga, zwycięstwem nazwij tę wojnę.  
(Wychodzą).

GŁOS FERNANDA: Alfonsie! Alfonsie!

HENRYK: Głos mego brata... i znów  
|jakieś trąby  
Smętne, powietrzne, rozplakane gło-  
|sy...

ALFONS: *A więc to Pan Bóg z całemi*  
*[niebiosy*  
*Schyła się ku nam owinięty nocą.*

(Wchodzi duch Fernanda z pochodnią)

DUCH: *Z błogostawieństwem tobie i po-*  
*Dla twojej, Alfonsie wiary, [mocą*  
*Pan Bóg zesłał tę noc ciemną,*

*I zlitowany nademną*  
*Pozwolił opuścić mary,*  
*Gdzie płakali... odejść od nich.*

*A tu z duchów ciżbą liczną*  
*I z tą pochodnią gromniczną,*  
*U gwiazd zapaloną pochodnią*  
*Isć przed wami. Za mną...*  
*Za mną!... (Wychodzi).*

HENRYK: Bracie, *opuszcza mnie męstwo.*  
*Zda się, że czaszkę dwujamną*  
*Miał ten...*

GŁOS FERNANDA (za sceną): *Za mną!*

ALFONS: *Słyszysz?*

GŁOS FERNANDA (ginący w odległo-  
|ści): *Za mną!...*

ALFONS: *Na koni, bracie, Bóg nam daje*  
*[zwycięstwo!*  
*(Wychodzą za duchem Fernanda).*

Scena w przekładzie o wiele krótsza, została z gruntu przeobrażona. Poeta wypowiada myśli zupełnie obce oryginałowi — scena ta w przedstawieniu poety polskiego ma o wiele więcej dramatycznego napięcia i pełnego grozy kolorytu.

Tyle co do treści; dla wykazania różnic *formalnych*, przytaczam pierwsze sceny obu tekstów: <sup>1)</sup>

<sup>1)</sup> Zachowuję rytm i ilość wierszy oryginału; odstąpienia od myśli oryginału w przekładzie podkreślam.



oryginał (jornada I, sc. 1):

ZARA (do niewolników): Zaśpiewaj-  
cie ta; i niechaj

Przyoblekając się w szaty  
Fenix nadobna z lubością  
Słucha pieśni pełnych bólu  
I uczucia, których często  
W kąpeli będąc, słuchała.

CANTIVO 1: Muzyka, dla której gęślą  
Są żelaza i łańcuchy  
Nas wiążące, może-ż ona  
Brzmieć radością?

ZARA: O tak; ona  
Stamtąd słucha, zaśpiewajcie.

CANTIVO 2: O, piękna Zaro, ta męka  
Przewyższa wszystkie na ziemi.  
Jedynie dzikie stworzenie,  
Z rozumnej obrane rozwagi,  
(sin discurso racional)  
Śpiewa wesoło w więzieniu.

ZARA: A czyliż wy nie śpiewacie?

CANTIVO 3: Śpiewamy, lecz aby własne  
Osłodzić męki, nie cudze.

ZARA: Śpiewajcie, ona tam słucha.

CANTIVO (śpiewają): Pod ciężarem  
[lat się ugnie,  
Co wspaniale jest; i nie masz  
Dlatego, co łatwem w czasie,  
Nie masz opornej zdobyczy.

(Wchodzi Rosa).

ROSA: Hej, ustąpcie i zakończcie  
Śpiewy wasze, niewolnicy,  
Bo oto do tych ogrodów  
Fenix zstępuje, ta druga  
Jutrzenka łuk, aby pycha  
Napelnąć naokół blonie.

(Wychodzą niewolnicy).

przekład (dzień I, sc. 1):

ZARA: Zaśpiewajcie, niewolnicy,  
Moja pani *śród łązienki*  
*W perłowej igrze miednicy*  
*Jak tańędzie bałamutne*  
I prosi was o piosenki,  
Ale tęskne, ale smutne.

PIERWSZY NIEWOLNIK: Czyliż na-  
[szych brzęk kajdanów,  
Czyliż pieśni niewolników  
*Rozweselić mogą panów?*

ZARA: Ona *lubi śpiew słowików,*  
*Kiedy się po laurach gubi,*  
I piosenki wasze lubi,  
Zaśpiewajcie, Fenix słucha.

NIEWOLNIK: Nasza *pieśń boleścią głucha.*  
Ach! najgorsze przeznaczenie!  
I najgorsze to cierpienie  
Śpiewać, kiedy *serce boli!*  
Śpiewać temu, co w niewoli.  
Trzeba *na to być ptaszkami*  
Bez rozumu.

ZARA: Czyż wy sami  
Nie śpiewacie bez rozkazu?

NIEWOLNIK: Każda *boleść chce wyrazu,*  
Kiedy *w sercu jej za ciasno,*  
I my tłumim boleść własną,  
Gdy nas z kajdan pieśń unosi.

ZARA: Zaśpiewajcie, Fenix prosi.

NIEWOLNICY (śpiewając): Czas jest  
[panem *tego świata.*  
Czas jest panem *i mąk duszy;*  
Czegoż srogi czas *nie skruszy,*  
*Nad grobami, gdy przelata?*

ROSA: Dosyć pieśni, Fenixaua  
Już umyta i ubrana,  
Sama schodzi do ogrodu  
*Użyć porannego chłodu,*  
Niech się każdy *kwiatek lęka.*  
*Że pięknością go zagasi,*  
Bo wychodzi, jak jutrzyenka.

(Wchodzi Fenix i niewolnice).

ESTRELLA: Jak piękną powstałaś  
[dzisiaj!

ZARA: Niech się nie chełpi świt jasny,  
Że jemu światło zawdzięcza  
Ogród, i wonie przestodkie  
Róża i barwę purpury,  
I jaśmin białość...

FENIX: Zwierciadło!

ESTRELLA: Zrozumiała jest porada  
Ze zwierciadłem, gdy plam żadnych  
Nie odbije na powierzchni.

FENIX: Na cóż mi się piękność przyda,  
(Nawet jeśli bym ją miała)  
Skoro braknie mi wesela,  
Skoro szczęścia mi nie staje.

CELINA: Co wam to?

FENIX: Gdybym wiedziała  
O, Celino, to, co czuję  
W moich własnych niezuć mącie,  
Bolem byłoby pochlebstwo;  
Ale mojego cierpienia  
Właściwej nie znam przyczyny;  
Co niegdyś smutkiem mi było,  
Teraz mi jest melancholia.  
Wiem tylko, że umiem odczuwać,  
(Solo sé que sé sentir)  
Lecz tego nie wiem, co czuję,  
(Lo que se sentir, no sé)  
Co było złudą mej duszy.

ZARA: Nie mogąż rozwiać twych  
[smutków  
Ogrody, które na wiosnę  
Okrywa z róż kolumnada  
Nad świątyniami z jaśminów?

(Wchodzi Fenixana).

ESTRELLA: Wstałaś piękna?

ZARA: Wdzięk twój krasi  
Cały ogród, oko pali.  
Niech się jutrzienka nie chwali,  
Że ten ogród nie ciemnieje,  
Bo nie ona światło leje;  
Bo ogród ten *pośród gmachów,*  
*Nie od drzew nabrał zapachów,*  
*Nie od róż nabrał rubinów,*  
*Białości nie od jaśminów,*  
*Lecz od ciebie...*

FENIX: Daj zwierciadło!

ESTRELLA: Nie dziw, piękna, żeś cie-  
[kawa,  
Tej płci, na którą nie padło  
Żadnej plamki.

FENIXANA: Głosi sława,  
Że ja piękna, że ja miła.  
Gdyby to i prawda była,  
Cóż mi po tem, kiedy źle mi!  
Nie wesoło na tej ziemi!

SELINA: Cóż ci jest?

FENIXANA: Co mi jest, Selino?  
Ach! gdybym ja to sama zgadła,  
Gdyby mi to od zwierciadła  
*Powiedziano!* — ach! dziewczyno!  
Wnetbym sama boleść własną  
*Nakarmiła do przesytu*  
I widziała w sercu jasno.  
Ale teraz, *w mgle przedświatu,*  
Czuję tylko, że mnie kruszy  
Jakiś smutek i tęsknota;  
I że to jest męka duszy,  
Męka duszy i zgryzota,  
Gdy w uczuciach się tych miota,  
Których czuciem czuć nie może.

ZARA: Jeśli cię, pani, nie bawią  
Te ogrody *w barw ubiorze,*  
Gdzie *wiosnie posagi stawią,*  
*Róże, w poplątanych czołach*  
Na jaśminowych kościolach;



Zwróć się ku morzu, gdzie płynie  
Złowny korab słoneczny.

ROSA: A skoro ogród zobaczy  
Tę czerwień po fali płynącą,  
Ze smutkiem rzeknie do morza:  
Ku skłonom zbliża się słońce,  
Za krótko dzisiaj plonęło.

FENIX: Nie rozweseli mnie wcale  
Zabawka z cieniem dalekim,  
Ani w odbłaskach widoczne  
Zawody ziemi i morza,  
Kiedy się toczą wspaniale  
Zapasy piany z kwiatami  
I kwiatu z pianą o blaski;  
O, wielce ogród zazdrośnie  
Spogląda na morskie bałwany,  
Chcąc naśladować ich obieg.  
I tak zefirek — kochanek  
Ugina kwiatki i woune  
Strąca z nich rosy, tak czyniąc  
Z liści, którymi kołysze,  
Ocean kwiatów,—a kiedy  
Znów morze na widok ogrodu  
W tej naturalnej postaci  
Smutne jest, wtedy się stara  
Ozdobić, strojąc swe brzegi  
W królewską szatę z kamieni.  
Prawom uległe odmiennym,  
Wspaniałą prowadzą walkę,  
Błękity błonia z zielenią  
Zatok; tam widać kędziory  
Pierza, a ówdzie o różnych  
Odcieniach barwy, ten ogród,  
To jedno morze kwieciste  
To morze-ogród pian białych.  
Ach, jakże wielkim mój smutek,  
Gdy go osłodzić nie mogą  
Ni łąka, ni niebo, ni ziemia,  
Ni morze...

ZARA: Zaiste ogromne  
Cierpienie zmaga się z tobą.

Obróć twe oczy na morze,  
Kędy dla *twojej tęsknoty*  
Płynie wóz ze słońca złoty.

ROSA: Gdy taki zachód zobaczy  
Na morza *ogniśtem łonie*,  
Ten cały ogród *w rozpacz*  
*I melancholiach utonie*,  
I zawoła idąc w cień:  
Ach! jak krótki był ten dzień.

FENIXANA: Ani się tem rozweseli,  
Ani *tem żądań ukorzę*,  
Że moje *smutki podzielię*  
*Pomiędzy ziemię i morze*,  
Że pójdę *z myślami w tan*,  
*I sprzęgnę te oba światy*;  
Z pianami równając kwiaty  
Kwiaty równając do pian.  
Bo ogród, kiedy zazdrośny  
Spojrzy na *fale szalone*,  
Chciałby tak płynąć, jak one;  
I zaraz zefir miłośny  
*Dwa razy miłośniej dysze*;  
*I szalniej rozkochany*,  
*Z gałęzi, które kołysze*,  
Czyni kwiatów oceany.  
A morze, gdy się zasmuci,  
Spojrzawszy na te ogrody,  
Wnet ucisza *szklane wody*;  
Z fal wysokich *pianę zrzuci*;  
I drugim prawom poddane,  
Równe *zdobywa uroki* —  
*Z szmaragdów mając zatoki*,  
*Z błękitów piersi ulane*.  
I tak, tu *kwiatowy łąn*  
I ogród *pełen szkarłatów*  
Wydaje się morzem kwiatów.  
Tam morze — ogrodem pian.  
Ach! cóż to za smutek głęboki  
Ten smutek *co w sercu ma łożę?*  
Że nie dba na kwiatów *uroki*  
Na niebo, na ziemię i morze.

ZARA: Wielki smutek twój! ach!  
li głęboki!

(wchodzi król z orszakiem).

Słowacki 100 wierszy oryginału, oddał w 115 wierszach. W oryginale pisane są te sceny w 4-wierszowych „redondillach“ (rymuje: 1 z 4 i 2 z 3). Cały przytoczony fragment zawiera 24 redondilli i 8-io zgłoskową nierymowaną romanzę (śpiew niewolników). Dla przykładu przytoczę jeden taki czterowiersz:

- 1) „Cantad aquí; que ha gustado  
 2) Mientras toma de vestir  
 3) Fenix hermosa de oír  
 4) Las canciones; que ha escuchado.“

1) 10 zgłósk. } 2) 7 zgłósk. } rymują.  
 4) 9 „ } 3) 8 „ }

Rytm tedy dosyć niejednolity — w przekładzie ta niejednolitość znika.

Wspomniana powyżej 8-zgłoskowa romanza, złożona z daktyli i trochei, ma w miejsce rymu asonancję:

Al peso de los años	e, e, a,
Lo eminente se rinde	o, e, i,
Que a lo facil del tiempo	a, a, e,
No hay conquista difcil.“	o i, i.

Słowacki miejsce to przełożył (z powodu trudności językowych) zwykłym czterowierszem.

Zresztą w oryginale są wiersze 7, 8 i 9-zgłoskowe, zwykle 1 i 4 wiersz o równej ilości zgłósek.

Miejscami brak rymu, a nawet rytmu.

Słowacki formę wszędzie wygładza, zachowując stale rytm i rym.

Scenę po lądowaniu Fernanda—a więc świat chrześcijański—oddaje Słowacki wierszem 11-zgłoskowym (rym: 1, 3, 5 i 2, 4, 6).

Koniec jornadas I w oryginale jest częścią 8-zgłoskowy, częścią 13-zgłoskowy. Cały ten fragment w przekładzie oddany wierszem 13-zgłoskowym. Opowiadanie Fenixany w jornadas II, ujął Calderon w 5-wierszowe „quintylle“ (rym: 1, 2, 5 — 3, 4, i: 1, 4, 5 — 2, 3). W tejże budowie zwrotkowej utrzymany następujący dyalog Fenixany z Mulejem — Słowacki w miejscach tych zachowuje przeważnie kształt „redondilli.“

Po scenie Fernanda z niewolnikami rytm w oryginale znowu zaniedbany, miejscami brak rymu.



Piękny ustęp w joroadzie II, w którym don Fernando mówi o znikomości wszechrzeczy, przedstawiał dla tłumacza nie małe trudności. W oryginale ujął hiszpański poeta słowa te w 3 zwrotki: dwie pierwsze 4-wierszowe, o rymach:

1, 4,	1, 4,	— ia	}	rymują.
2, 3,	2, 3,	— ana		

Zwrotka 3 — zawiera 6 wierszy, a wszystkie rymują:

1, 3, 5 — *aron*  
2, 4, 6 — *eron*.

Ta wielce kunsztowna budowa zwrotkowa, mnogość rymów, właściwa językowi hiszpańskiemu, nastęczała naszemu poecie zapewne niemałe trudności. Jak z niej wybrnął poeta, pokaże przytoczony ustęp z przekładu:

„Kwiaty, co wschodzą na ranek umyte  
I tak się w zorzach rozwinęły jasno  
W objęciach nocy pomarszczone zasną  
I dla nich już dnie nie wrócą przeżyte.  
Lilie w tęczę kolorów spowite,  
I umoczone w złoto i karminy  
Zejdą, jak duchy aniołów z doliny,  
Z jednym dniem życia pięknego pozbyte.  
A czy to rosy spadały obfite,  
Czy otulone były mgłą i tęczą,  
Śmierć je znalazła w godzinę urodzin.  
Tak ludzie kiedyś przyjdą i zaręcą,  
Że wieki, które się wloką i dręcą,  
Nie były dłuższe nam od smętnych godzin.

Ilość wierszy (14) zachowana jest wiernie wedle oryginału—widocznem nadto usiłowanie poety zachowania dużej ilości jednaki rymów (5 rymów *yte*), co jednak niezupełnie się udaje (wskutek tego może poeta zaniechał podziału na 3 zwrotki), następstwo rymów wykazuje pewną nieregularność.

Natomiast jako wzór arcymistrzostwa formy autora „Beniowskiego,” przytoczę piosnkę niewolnika w zmianie I (jornada I) tak, jak ona się przedstawia w obu tekstach:

oryginał (rytm zachow.):  
 Na podbicie Tangeru  
 Przeciwno Fezu tyranowi  
 W obronie infanta Fernanda  
 Wysłał król swego brata.

przekład:  
 Oj, na Tanger wysłał król —  
 Jaki ból, jaki ból!  
 Na podbicie wysłał świata  
 Don Fernanda swego brata  
 Posłał król, posłał król!  
 Aby zawojował Fez,  
 Ile łez, ile łez!  
 Don Fernanda wysłał król,  
 Ile łez, jaki ból!..

8-zgłoskowy, nierymowany czterowersz oryginału, oddał Słowacki wzorową pod względem budowy zwrotką:

↑	—		↑	—		—	—		—	—		a
—	—		—	—		—	—		—	—		b
—	—		—	—		—	—		—	—		c
—	—		—	—		—	—		—	—		c <sub>1</sub>
—	—		—	—		—	—		—	—		b <sub>1</sub>
—	—		—	—		—	—		—	—		a <sub>1</sub>
—	—		—	—		—	—		—	—		c <sub>2</sub>
—	—		—	—		—	—		—	—		b <sub>2</sub>

Ten mistrzowski splot trochei i amfimakrów, wzajemnie sobie odpowiadających, pomieszanie rymów żeńskich i męskich — podnoszą nieskończenie śpiewność piosnki, nadając jej dziwnie smętną barwę dumki, której napróżnobyś doszukiwał się w oryginale.

Tak pod względem myśli i formy „tłumaczył“ nasz poeta. Oryginał od przekładu dzieli dwuwiekowa przepaść, wraz z całym nieskończenie subtelniejszym poczuciem piękna polskiego poety, z rozwiniętą kulturą myśli i przeczuleniem czucia, na co czas, odmienne warunki rozwoju poetyckiego i dusza polskiego „tłumacza“—mistyka 19 w. się złożyła.

Nie użyłem też chyba paradoksu, skoro powiedziałem, że poeta hiszpański nie poznałby płodu swojego pióra. Słowacki zapożyczył ramy obrazu i zamknął w nie „myśli swoje“ i „czucia swoje“ — w miejsce dyalektyka, pełnego dogmatyzmu i nienaturalnej czułości, — dał smutnego męczennika idei. Calderonowski książę czuje i myśli tak, jak każe mu jego twórca—za dekoracją stoi sam autor i kieruje krokami infanta.

Słowackiego „Niezłomny“ w ten sposób czuć i myśleć musi, bo to wcielenie uczuć serdecznych samego poety, bo to sam twórca. Polski „Niezłomny“ ma twarz mistyka z czasów Hoene-Wronskiego, wielkie zapatrzenie się w krainy ducha, które z uśmiechem



słodkim pozwala znosić cierpienia ciała, tej „z gliny powłoki;“ — ma świadomość krwawej za życia Golgoty, którą przejść trzeba, by znaleźć cichość i ukojenie za światem.

Z miłością brata spogląda nań blady Anhelli zroszone czoło ociera mu łzawa Eloë, „grobów strażniczka“ — rodzeństwo to po duchu.

Ukochał Słowacki swojego „Niezlomnego“ — wspominał o nim często, a i w późniejszych swoich dziełach niejednokrotnie złożył dowody, jak żywo w myśli stał mu don Fernando. I tylko o takim pośrednim wpływie Calderona na późniejsze dzieła poety, może być mowa. „Niezlomny“ tylko w takiej szacie, w jaką go poeta polski odział, mógł mu być drogin.

Inne t. zw. „mistyczne“ utwory Calderona, — o ile je czytał autor „Horsztyńskiego“ — nie mogły go w owym czasie zachwycić. Ani prawdziwie średniowieczne koncepty z „Czysta św. Patrycego“ <sup>1)</sup> („El purgatorio de san Patricio“), ani scholastyczne dysputy szatana ze św. Bartłojem („Las cadenas del Demonio“ jornada II), oparte na uczonych sylogizmach — nie mogły pociągać autora „Króla-Ducha.“ Tylko „Książę niezłomny“ w przeróbce własnej, mógł oddziaływać na późniejsze utwory dramatyczne Słowackiego.

Niedługo po przekładzie „Księcia“ powstaje „Ksiądz Marek.“ Poeta sam łączył obie te postacie, jak to już wyżej widzieliśmy. Ideowo zbliżają się obaj ku sobie; to samo poświęcenie dla sprawy wielkiej, cierpienia i śmierć ciała na stosie ofiarnym kładące. Zakończenie <sup>2)</sup> pierwszych aktów toż samo — bohaterowie pozostają sami, na siebie zdani. Don Fernando dostaje się do niewoli; Bar opuszczają naczelnicy konfederacji.

Obaj bohaterowie giną, nie widząc owoców z posiewu krwi własnej — pomoc przychodzi zapóźno.

Forma „Ks. Marka“ jest nawskroś przejęta duchem Calderona.

Podział na 3 akty, 8-zgłoskowe strofy — przypominają architektonikę „Księcia niezłomnego.“

Figur retorycznych w duchu Calderona znajdujemy w „Ks. Marku“ znaczną liczbę: w dyalogu Judyty z rabinem mówi Judyta:

<sup>1)</sup> Wystarczy przytoczyć ustęp z jorney I, w którym św. Patrycemu doręcza aniol list od... P. Boga, zaadresowany po formie: „A Patricio...“

<sup>2)</sup> Pokrewieństwo obu utworów zaznacza p. E. Dubanowicz w studyum „Ksiądz Marek“ Pam. literacki, rocznik III, zes. 2 i 3.

„Nu—a jak kruk—to zakracze,  
 Nu—a jak pies—to zawyje,  
 A jak księżyc—to pobładnie,  
 A jak gwiazda—to upadnie,  
 A jak słońce....

Lub niżej:

„Bo ja była błyskawicą,  
 Duchem co krwią pole broczy,  
 Śmiercią, gaszącą ich oczy,  
 Naszej wiary tajemnicą,  
 Aniołem na boskich posyłkach“  
 i t. d.

Figury takie żywo przypominają anafory i metafory z „Księcia Niezłomnego“ np. dzień I zmiana 2 (w opisie konia):

*A był orłem, gdy puścił się lotem,*  
*A gdy piersią uderzył — był grzotem,*  
*A pod dumnym — szedł z dumą szlachecką,*  
*A pod starcem — jak starzec poważnie“*  
 i t. d.

Tak i łańcuch metafor, kolejno po sobie następujących, jest zupełnie w duchu Calderona. Np. początek z „La vida es sueño.“

*Hipogryfie gwałtowny,*  
*Który z wiatrem pomykasz,*  
*Gdzie, płomieniu bez blasku,*  
*Bez barwy ptaku, bez pletwy*  
*Rybo, nierozumne zwierze,*  
*Gdzie w obłądnym labiryncie*  
*Skał nagich pędzisz niekielzany,*  
*Wydierasz się i rzucasz?*  
*Powstrzymaj się tu na tej górze*  
*Faetonie zwierząt dzikich*  
 i t. d.

Figur Calderonowskich w „Księdzu Marku“ — wiele. W dialogu rabina z Kossakowskim, mówi ten ostatni:

*Posłał mu dwóch senatorów,*  
*Dwóch nietoperzy, upiorów,*  
*Dwie choroby, dwie dżum i trupów,*  
*Dwóch sejmowych kościotrupów.*



Opis latarni, niesionej przez Józefata, pełen niespodzianych porównań, jest zupełnie w duchu Calderona:

Zapał ten *kaganiec ślęczny*,  
 Tę latarnię z pergaminu,  
 Co jako *księżyc z bursztynu*  
*Po ciemnych ulicach chodzi*,  
 Księżyc, który na *srebrnicy*  
*Róże malowane rodzi*  
*I rzuca po błotach ulicy*,  
 Gdzie ja, żydówka, przechodzę.  
*Tęczę — za most mojej nodze*,  
*Kwiaty rzuca na kałuże*  
 Abym *stąpała na róże*.

Przytoczony ustęp jest nawskroś przejęty duchem Calderonowskiego „gongoryzmu.“ Porównanie latarni z księżycem, rozwijane w następnych wierszach i uzupełniane metaforami róż i tęczy — to maniera Calderona.

Postępująca za światłem latarni Judyta, wygląda „jak słup w bieliznę ubrany“ „mgłą owinięta pochmurną — za *księżycem z porcelany*, za *powietrzną jakąś urną złotą*, świecąca do koła, *jak lilia*, co kielichem *złotym* oświeca anioła.“

Jak nie różnobarwna przewija się dalszy ciąg porównań na temat najprozaiczniejszej pod słońcem latarni z „pergaminu“ — co zupełnie przypomina owego „hipogryfa“ z „La vida es sueño“ <sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> Wymieniam po kolei tropy, przepojone duchem Calderonowskiego stylu (wedle „Dzieł Słowackiego“ wyd. Parylaka, tom. 6).

(Wiersze liczone z góry).

Akt I:			Str. 163 wiersze 21 i nast.		
Str. 113	wiersze	22 i nast.	„ 169	„ 10	„
„ 115	„	19—21 i 28—30	„ 170	„ 10	„
„ 117	„	5 i nast.	„ 171	„ 2	„
„ 123	„	25 „	„ 172	„ 9	„
„ 124	„	1 „	„ 173	„ 17	„
„ 132	„	27 „	„ 174	„ 16	„
„ 135	„	18 „	„ 178	„ 17	„
„ 136	„	5 „	„ 179	„ 1	„
„ 141	„	16 „	„ 181	„ 2	„
Akt II:			Akt III:		
Str. 157	wiersze	14 i nast.	Str. 185	wiersze	12 i nast.
„ 158	„	12 „	„ 192	„ 23	„
„ 159	„	1 „	„ 205	„ 11	„
„ 160	„	13 „	„ 207	„ 10	„
„ 161	„	19 „			

Długi spis widocznych śladów formalnych, wskazuje, jak dalece przejął się Słowacki formą Calderona.

I nie dziwota — poeta pozostawał pod bardzo świeżem wrażeniem „El principe constante“ — i dopiero w pracy nad jego przekładem zapoznał się gruntownie z formą Calderona. Charakterystycznym objawem, jaki uderza w badaniu porównawczem obu twórców, jest to, że Słowacki przed przekładem „Księcia“ zapożycza się u hiszpańskiego poety w pomysły dramatyczne, a wpływom formy Calderona nie ulega, bo jej dostatecznie nie zna. Natomiast, po dokonaniu przekładu, poeta nasz głównie wpływom formy hiszpańskiego poety zdaje się ulegać.

Z natury rzeczy najwięcej oddziałała strona formalna twórczości Calderona na „Księdza Marka,“ pisanego pod świeżem wrażeniem „Księcia Niezłomnego.“

Bardziej niezawisłym pod tym względem jest „Sen srebrny Salomei.“ Pewne pomysły w treści „Księcia niezłomnego“ — odbiły się i na tym utworze.

Przepowiednia Wernyhory, dana staremu Gruszczyńskiemu, przypomina wróżbę starej Afrykanki — ustęp, w którym duch Gruszczyńskiego prowadzi wojsko regimentarza do zwycięstwa (akt. IV), jest najwidoczniej przejęty z analogicznej sceny w „Księciu.“

Pod koniec utworu popadianki przynoszą omdlałą Salomeę i wydają ją wzamian za trupa Seneneńki — podobnie „Księżę“ kończy się sceną, w której wódz chrześcijański za trupa nieszczęśliwego infanta wydaje córkę maurytańskiego władcy.

We formie widoczny wpływ Calderona, jakkolwiek w mniejszym stopniu, niż w „Księdzu Marku.“

Taż sama krótka 8-zgłoskowa budowa zwrotek, bez końca ciągnące się dyalogi i monologi, wreszcie ulubione tropy Calderonowe. I tak: akt I, str. 80, wiersz 15 (z góry).

SEMEHENKO: Czego potrzeba księżniczce?

KSIĘŻNICZKA: Świętojańskiego robaczka w różyczce,

*Gwiazdy i kwiatu, rybki i motyla,*

*Fenixa, myszki białej, krokodyla,*

Sługi i pana, smutku i zabawy.



Znowu ulubiona przez Calderona „gwiazda i kwiat;“ „Fenix poetów hiszpańskich“ ze szczególną predylekcyą, (często nieszczęśliwie) nazywa rozmaite przedmioty „fenixem“<sup>1)</sup>.

Słowacki otrząsa się coraz więcej z pod wpływów mowy Calderona, która w okresie mistycznym oddziaływa głównie na formę polskiego poety.

Jeszcze w „Zawiszy Czarnym“ możemy się dopatrzeć dalekiego echa „Nabożeństwa do krzyża.“ Podeptanie znaku Chrystusowego na polach Grunwaldu, staje się punktem wyjścia dla zawiązania nici dramatycznej — tak jak i w sztuce Calderona ten krzyż nie małą odgrywa rolę w zawiązaniu i rozwiązaniu akcji.

Jeszcze akt IV „Agezylausa“ nazwie poeta „dniem“ — i to będzie wielce już zatartym śladem wpływu formy hiszpańskiego dramaturga.

Zresztą autor „Samuela“ zanurzając się coraz głębiej w obłądne labirynty mistycyzmu, własne tylko będzie śpiewał rojenia, jakie mu „duch Boży we włosach“ podszeptnie, dążąc ku „finalnemu celowi“ po drodze, na jakiejby się nie utrzymał bez niebezpiecznego zawrotu głowy „kawaler orderu św. Jakóba“ i kapelan dworu hiszpańskiego z 17-go stulecia.

#### MARYAN SZYJKOWSKI.

1) Podobnież:			
	Akt I.	Str. 150 wiersze	1 i nast.
Str. 80	wiersze 23 i nast.	„ 151	„ 16 „
„ 90	„ 3—8	„ 153	„ 13 „
	Akt II:		Akt IV:
Str. 102	wiersze 15 i nast.	Str. 162	wiersze 19 i nast.
„ 117	„ 10 „		Akt V:
„ 119	„ 19 „	Str. 186	wiersze 5 i nast.
„ 120	„ 18 „	„ 188	„ 16 „
„ 121	„ 24 „	„ 189	„ 1 „
	Akt III:	„ 191	„ 15 „
Str. 136	wiersze 3 i nast., 18 i nast.	„ 193	„ 17 „
„ 149	„ 25 „	„ 194	„ 6—10.

# PRZEMIANY.<sup>1)</sup>

## Powieść współczesna.

### XXXIV.

W samo południe, (do obiadu zostawało jeszcze sporo czasu, więc bez zrozumiałej przyczyny) pani Anna zapytała lokaja, który właśnie wycierał lustro, o pana rządcę. I dowiedziała się z krótkiego sprawozdania, że odjechał rano, bardzo wczesnie, prawie o brzasku, z tłómokiem, że konie nie wróciły dotąd, że dzień powrotu nie był wiadomy. Wysłuchała uważnie do końca. Lokaj ponownie zabrał się do roboty i starannie szmatką, unoczona bodaj w spirytusie, mył grube szkło kosztownego zwierciadła. Przyglądała się chwilę.

— Tyle brudu! — rzekła — należało wcześniej pomyśleć... Przywykła rozkazywać i panować nad sobą...

I wyszła z pokoju. Zdawało się jej, iż niezbędnie musi być w swoim gabinecie. Stamtąd jednak wnet udała się do sypialni, a tylko po to, żeby bez potrzeby zamknąć jakąś szufladę, stamtąd do ogrodu. I tu nie umiała dobrać sobie alei. Szła śpiesznie, zmieniając wciąż kierunek, zawracając, jakby szukając czego.

---

<sup>1)</sup> Patrz zeszyt sierpniowy, str. 213; — wrześniowy, str. 449; — październikowy, str. 32; — listopadowy, str. 244; — grudniowy, str. 417; — styczniowy, str. 26; — lutowy, str. 225; — marcowy, str. 442; — kwietniowy, str. 27; — majowy, str. 265; — czerwcowy, str. 443.



Mżył nużący deszcz z niskich, wątlých, przeciągających jak dymy chmur. Przez park płynęły szumy. Pełno było zbutwiałych liści na błotnych ścieżkach... Jakiś kudłaty, nędzny pies z podkurczonym ogonem tulał się wśród drzew...

— Szalony...—trzeźwo i przytomnie pomyślała, oglądając się za ratunkiem. Ale pies umknął.

Potem zjawiła się nieprzewartana potrzeba przekonania się, że jego już niema.

Powlokła się w stronę domku ogrodowego, przytknęła czoło do mokrej szyby. Teodorek sprzątał pokój. Podnosił z podłogi jakieś koperty, badał ciekawie, sylabizował. Zastukała w okno, jak w ową noc... Od tamtej chwili nie była tutaj...

— Na długo pan odjechał? — same poruszyły się wargi.

— A nie wiadomo... — wesoło odparł jasnowłosy chłopiec — nie mówił. „Musić“ na długo. Nie kładł się przez całą noc, wyglądał „nudny.“

— Niema tam listu?

— Szmatał ich „walał się“ na podłodze...

— Na podłodze? — powtórzyła jak echo.

— Deszcz pada, może pani wejdzie?—dobrodusznie zapraszał Teodorek.

Służba pałacowa była bardziej sztywne.

Usłuchała chłopca, który wydał się jej miłym i dobrym. Dałaby mu chętnie rubla, gdyby miała... Rozglądała się obojętnie wśród bielonych ścian nieznanego mieszkania. Oto jakiś obrazek nad łóżkiem, oto prosty, sosnowy stół, wyplatane krzesło, plany folwarków pod szkłem, w ramach, płodozmiany. Nawet odczytała jeden z nich z uwagą. Ugór, żyto, kartofle, owies, koniczyna biała... Pracował nad tem i sam to wszystko wypisał... Przyglądali się niegdyś, jak duże holendry chodziły po soczystym, ciemno-zielonym, zwartym dywanie białej koniczyny... Było to w maju, tak, w maju... Pochyliła się badawczo nad kopertami, nad strzępami listów i rachunków, które chłopak był zmiotł do kupy, potem dalej szukała spojrzeniem po całym pokoju jakiegoś znaku, jakiegoś śladu, jakiegoś dowodu...

Na stole, w miejscu widocznem — dziwna, że nie zauważyła tego na wstępie—leżała paczka w białym papierze, zapieczętowana, z nadpisem: księgi i ważne dokumenty... I między kartami tych ksiąg, między arkuszami akt nie było nic...

Wydało się jej w tej chwili, iż słyszy czyjś cichy, szyderczy śmiech. Obejrzała się. Młody lokaj wybałuszyl na nią dwoje ciekawych oczu, stał poważny i uroczysty, splótłszy ręce na miotle...

Na pustej drodze od pałacu do oficyny, którą zmierzyła spłoszonym wzrokiem, także nie było nikogo; nie zbliżało się grono rozbawionych, uśmiechniętych, wesołych gości, które, widziało się jej, że idzie przypatrywać się, jak ona, Anna Opolska, „desperuje“, jak zbiera pamiątki po swoim rządcey, jak dumna smętnie w opuszczonym przezeń domu... Ten wyraz „desperować“, „desperacya“ prześladował ją zjadliwą ironią, kąsał morderczą śmiesznością brzmienia i treści, urągał, nagrawał się, drwił, chichotał.

I wyszła znowu na deszcz bez parasola, który wtykał jej w ręce uprzejmy Teoderek... Błądziła po blocku alei, deptała więdnące liście, stawiała pod drzewami i znowu szła. Przenokła. Ale nie mogła wracać do domu, gdyż nieopuszczała jej obawa, że tam w salonie wesołe grono gości zabawia się na jej rachunek i koszt, zabawia się kosztem jej „desperacyi.“ Prym między niemi trzymał Niezaminowski. A tego nie mogła znieść... Więc krążyła wśród parku. Raz przyszła jej ochota objąć gruby pień lipy, przytulić się do niego, oprzeć czoło o chropawą, wilgotną korę. Uczyniła tak, chciała by wybuchnąć płaczem, lecz nie miała łez. W szeleście gałęzi słyszała śmiech dowcipnych pań i panów...

Postanowiła podążyć w dalekie pola, ukryć się w dzikim zakątku jej własnych lasów, tam w samotności, wolna od dowcipnego śmiechu, zastanowić się, rozważyć coś, rozpatrzyć, rozeznaczyć, rozsądzić. I wyruszyła już, aliści w drodze zmieniła zamiar.

— Może do zimowego ogrodu? — pomyślała — pod palmy... lubiła przecież palmy...

— Dobrze, do zimowego ogrodu... — zgodziła się, jak gdyby propozycja wyszła od kogoś obcego.

Tam, gdy w martwej zadumie wodziła okiem po dużych, błyszczących, suchych i sztywnych liściach ulubionej rośliny, znalazł ją doktor, który miał do niej jakiś interes. Powtórzył raz i drugi, nim zrozumiała.

— Dobrze.—Przystąpiła chętnie (było jej wszystko jedno, dokąd iść i po co) i bez parasola, bez kapelusza, tak jak stała, ruszyła do szpitala. Wysoka i słodka staruszka miała się znacznie gorzej i pragnęła widzieć ją przed śmiercią.

Pani Anna przywitała ją wymuszonym i niewłaściwym uśmiechem, potem ukłękła przy łóżku, ukryła głowę w kołdrze. Chora z wysiłkiem cofnęła nogi z pod jej twarzy.

Pani Anna nie modliła się i żadna myśl nie mąciła niezgłębionego spokoju, który zagarnął ją i zabrał jej duszę na same dno swojej sennej topieli. Ukłękła, bo pamiętała, iż tak należy uczynić przy konających. O litanie, gromnicę, o księdza nie



chciało się jej troszczyć. W pokoju był cikliwy zapach jakiegoś lekarstwa, zapewne eteru.

— Pani moja! już mnie zawołano — cicho odezwała się chora — pragnę podziękować...

Pani Anna utkwiała w niej zimne, zdziwione spojrzenie. Reszta słów zastygła na sinych wargach staruszki. Wówczas zdobyła się na wysiłek, dźwignęła się z kłęczek, usiadła, przemówiła.

— Może pani czego potrzeba?

— Nie, nic — szepnęły sine wargi, i chuda, śmiertelnie biała ręka podniosła się ku twarzy. Chorą męczyła czkawka.

Pani Anna patrzyła długo, uważnie, nieruchomym, natarczywym wzrokiem, widziała białą, wyniszczoną rękę staruszki, widziała jej gasnące, znużone oczy, pasma siwych włosów, zapadnięte skronie, zmarszczki, dziwny, bolesny, niezwykły wyraz sztucznie, z mozołem zaciśniętych ust, widziała ostatnią mękę ciała i ostatnią słabość ducha — i nie bała się śmierci, nawet nie myślała o śmierci... Zazdrościła dłoniom, że spoczną, a zwłaszcza oczom, iż przestaną spoglądać, że zawrą się nad niemi powieki, że wytną w ciemności i we śnie, który będzie trwał, trwał... Jednocześnie uprzytomniła sobie dosadnie, że ona sama niebawem opuści ten pokój, że wróci do pałacu, że będzie obiad albo wieszczera, potem noc i znowu dzień... I będą jej oczy wciąż patrzyły, pracowały, mordowały się... Samo patrzeć sprawia niekiedy ból... próbowała przytknąć powieki... Dobrze jest... cisza i ciemność, tylko zapach eteru, tylko szmer zegara... powieki otwierały się pomimo woli. Pani Anna znowu topiła martwe, obojętne wejrzenie w konającej.

— Jakże to będzie, pani? — spytała raz bezmyślnie.

— Miłosierdzie Boże... — był szept.

— Miłosierdzie Boże — potwierdziła tak samo bezmyślnie.

Dwa te wyrazy zapisały się jej w pamięci, i długo powtarzała je sobie, nie tykając ich znaczenia.

— Miłosierdzie Boże...

Czas upływał, zachodził doktor, felczerka, dozorczyjni, pani Anna nie przerywała swego niemego czuwania. Potem zjawił się ksiądz w komży z długą, fioletową wstążką. Ukłoniła mu się i wyszła.

W domu rozmawiała o czemś z mężem, przeglądała jakieś książki, snuła się po salonie, kilka godzin tkwiła koło jakiegoś okna — tak aż do wieczora. Mocny sen, niby uderzenie obucha, pozbawił ją przytomności, ledwie zgasiła światło. Ale śród nocy zbudziła się. Pierwej spostrzegła gęsty mrok, potem usłyszała szmer desz-

czu na szybach, potem przypomniało się jej... Skoczyła na posłanie, rozwarła szeroko oczy, patrzyła w mrok... Z ciemności szła góra, ogromna, większa niż wszystko co widziała kiedykolwiek, ogromna bez miary... Runęła na nią, przygniotła ją kamiennym, beznadziejnym ciężarem — niema ratunku i wyjścia!...

Suchemi, bez łez oczami, oczami dziecka, które nie pojmuje, które nie zna i nie doświadczało nigdy, które dziwi się, pani Anna spoglądała w niedolę swoją. I tak już będzie, tak już zostanie na zawsze... Powoli toczą się wody rzeki nieszczęścia, powoli, jak dni, jak lata, jak życie... Długą jest droga, długim — szlak mozolny, znuźdny gościniec, który wypadnie jej przemieszanych krok za krokiem, dzień po dniu, stopami obolałych, niechętnych nóg. Długa droga, obca i nudna, śmiertelnie obojętna...

Spoglądała zdumionemi, przerażonemi oczami. To jest nieszczęście, nieszczęście, o którym tyle w książkach, w poezyi, w rozmowach?!... Gdzież jego piękne oblicze, jego białe skrzydła, jego czarowna mowa?

To jest nieszczęście?!... ciemność i pustka, zniechęcenie i znużenie, zdrętwiała obojętność i fizyczny ból w piersi... Na co jej to!...

I chciałyby zerwać się z łóżka i biedz kędyś i uciec od tego widma, od tej znozy, od góry tej, od nocy tej, od tego pokoju, od domu tego, który jest jak grób, od deszczu, który ścieka po szybach, zostawić tu nieszczęście, niby ohydny trupa, zostawić siebie samą, zostawić dławiący, fizyczny ból w piersi — i pojnowała, że niema ucieczki i ratunku, że to, co jest, zostanie i będzie... To jest nieszczęście... Splotła swoim zwyczajem ręce na głowie, patrzyła w mrok.

### XXXV.

Nazajutrz z rana pierwszym uczuciem, które owładnęło sercem pani Amy, był wstyd. Obejrzała szybkim rzutem wzroku cały dzień miniony od początku, stanęła sama przed sobą, jak gdyby przed obojętnym widzem, w zabłoconej sukni, przemoknięta, z rozpełzającymi się, wiszącymi, mokremi kosmykami włosów, niby z gniazdem węzów na głowie, w ubrańnem obuwiu, widziała siebie w ogrodzie na deszczu, w szpitalu, potem w domu, błakającą się po pokojach, nieprzytomną — i wstydziła się... Jakżeby



drwił z niej oczami Niezaminowski, jakież zjadliwe szepty pójdą po okolicy, po salonach, po świecie!... Służba patrzy i rozumie, domyśla się i zgaduje, sądzi, powtarza, opowiada... Doświadczyła złowrogiego dreszczu na samo przypuszczenie żartów, dowcipów, kpin i śmieszności, którą może się okryć... Zadzwoiła na Olesię, zapytała ją, jak każdego dnia o pogodę, długo, jak zwykle, wybierała sobie suknię z tych, które wyliczała wesoła służąca. Wzięła kąpiel, czesała się, ubierała się, słuchając gadatliwych, trzpiotliwych opowiadań Olesi o śmierci staruszki w szpitalu, o wyjeździe pana rządcy, którego konie wróciły dopiero nade dniem, o jakiejś kłótni we dworze, piła kawę, potem odbyła pracowitą i sumienną rewizję w pokojach gościnnych, znalazła nieporządki, za które strofowała służbę, zajęła się bukietami, napisała w imieniu i zastępstwie męża kilka listów, wydostała z szafy wszystkie kosztowności, bawiła się migotaniem drogich kamieni, obtarła je starannie z kurzu... Dzień upływał normalnie. Na obiedzie był Kamieniecki, gość niespodziany i rzadki, który nie przyjeżdżał nigdy bez interesu. Tym razem wszakże nie zamknął się w gabinecie z Opolskim, nie prosił go o pożyczkę lub podpis na wekslu, nie brał na stronę pani Anny. Był tylko mówniejszy niż zwykle, wyglądał podniecony, którem to ożywieniem krył jakąś troskę. Mówił dużo o swoich dzieciach, o Klarze, która już odjechała do męża, o synach i Adze, najwięcej przecież o najmłodszej Maryńci, która przeziębła na dalekim, wieczornym spacerze, zabłądziła w ciemności i musiała nocować u Skibowskich czy w jakimś innym domu sąsiedzkim. Przytem przebiegłe badał panią Annę bystrym wzrokiem. Pani Anna nie spuszczała oczu, pozwalała sondować siebie chytrym, wścibskim, śledczym spojrzeniem pana Hilarego, słuchała, niespokojnie pytając siebie, jaki jest cel wizyty niebezpiecznego sąsiada i jaki jest cel długiej, szczegółowej, powtarzanej z pewnym naciskiem, opowieści o jakimś nieudanym spacerze Maryńci. Nie mogła tego zgruntować.

Kamieniecki wyrzekał także z nienawiścią, z gniewem, z zaciekłością na Turowskiego, rozwodząc się nad szkodliwym wpływem, nad niepożądanem towarzystwem takiego pana, nad jego ciemną i nieciekawą przeszłością, nad zbytnią łagodnością władz, które takiego jegomościa, oczywistą zakałą społeczną, wypuszczają w świat, na szeroki gościniec życia.

— To zdaje mi się druh i przyjaciel, powiernik pana Stefana? — wtrącił uszczypliwie.

— Doprawdy nie wiem, panie.

— Niech pani wpłynię, niech pani wmówi panu Stefanowi. Taki zacny człowiek, jak on, powinienby unikać... A i pani na swoich imieninach mogłaby się obejść — zażartował.

— Imieniny bywają raz do roku — odparła wymijająco. Spuściła głowę. Wspomnienia napływały niewstrzymanym nawałem, jak banda zbirów, wyważyły szczerze zamknięte drzwi jej serca, plądrowały... Tak dawno był ten dzień, ten krótki dzień! Jeden był dzień taki, jedyny w życiu!... I nie zostało po nim nic... Jak ptak, trafiony kulą w piersi...

Miała zamknięte oczy.

— Pani wygląda blado — odezwał się Kamieniecki — może niezdrowie?

Szybko podniosła powieki.

— Blado... skądże? Najszczęśliwsza z kobiet—uśmiechała się.

— Szczęście rozpieszcza. Gdy trwa długo, czasami dość drobniaku, znikomego, jak płatek śniegu, ażeby spowodować cierpienie... Na białej szacie znać najmniejszą plamę...

— Więc i na moich śnieżnych szatach?...

— Pani jest nieskazitelna!... Mówiłem, powtarzam, twierdzą, wierzę...

Pani Anna patrzyła mu w oczy.

— Bo pani jest z marmuru — dodał ciszej. Afrodys wyszła z morskiej piany, pani — z lodowców na Alpejskim szczycie.

— Tak, panie.

Ruchliwe, ciekawe, szperające spojrzenie Kamienieckiego łamało się o jej zimny, spokojny, władczy wzrok.

Przed wieczorem odbyła się eksportacya zwłok ze szpitala. Dzień był chłodny, pochmurny i nadzwyczajnie wietrzny. Nad drogą, którą wyruszył kondukt, drzewa szumiały groźnie, trzęsły się, zlorzecząc czemuś, rozdzierały złote i krwawe szaty i ciskały liściastymi ich strzępy, chwiałały, zawodząc, wierzchołkami, wiały znużonymi gałęziami... W tej wrzawie niemilknącej, w tym szeleszczącym gwarze posuwał się cichy i skromny pogrzeb. Pani Anna, idąc za trumną, doznała dobroczynnej ulgi. Zamiast salonów, w których obrzydł jej każdy sprzęt, obmierzły same ściany, gnębiło samo ich powietrze — były pola odludne, puste, gładkie, były dalekie przestrzenie jesiennego krajobrazu, był powiew chłodny, mocny, surowy a rzeźwy, był pod stopami miękki piasek gościńca, zasypany liśćmi... Zamiast przebiegłej, sprytniej, niebezpiecznej, świetnej i męczącej, wymagającej nieustannej czujności, roznowy Kamienieckiego, z której, bała się, że lada chwila wybłyśnie zjadliwe ostrze szpady szyderstwa, wymierzone w jej ra-



nę, w tę ranę ukrywaną, sekretną, tem boleśniejszą im bardziej ukrytą — teraz tylko wiatr gadał w konarach, huczny, szumny, szlochający wiatr... A przed oczami wysoki wóz z białą trumną, z którego nie zdejmowała wzroku, za którym, widziało się jej, iż idzie do przystani nieprzerwanego spokoju, w krainę niezamąconej ciszy, w krainę wytchnienia... To słodkie złudzenie koło ją. I szła jak gdyby we śnie... Nigdy jeszcze pogrzeb nie był dla niej tak słodką wędrówką. Nie wzywała śmierci, nie przychodziło jej zgoła na myśl umrzeć — ta trumna na żałobnym wozie była dla niej symbolem czy obietnicą błogiego snu, bezbolesnego stanu, wiekuistego pokoju, i sama w żarliwej tęsknocie, jedynym upragnieniem roiła o tem, jeśli to było marzeniem, żeby ledz kędyś wśród milczącej równiny. Spocząć i nigdy nie wstawać... Nie wróci już do swego pałacu, do swoich strojów, do Kamienieckiego, do obowiązków i zajęć, którym odjął się cel, które są jak gniazda puste dalekich, wygnańczych ptaków, jak suche drzewa spalonego lasu, jak lalki woskowe — podobizny żywych ludzi... Sunie ten cichy wóz, przez pola, po więdnących liściach, drogą bez końca, bez kresu, ona idzie za nim, pójdzie przez światy, pójdzie bez powrotu...

Niestety, doktor, który poczuwał się do prawa i zadania roztaczania nad nią opieki i zbliżał się do niej nieustannie bądź z ciepłym okryciem, bądź z jakąś uwagą i radą, niestety tłum oficjalistów dworskich i służby, których nie spostrzegła na początku, których ciekawe spojrzenia dotyczyły ją raz po raz, przywołały ją do trzeźwego porządku, do czujnej baczości nad sobą... Rozwiewały się łagodne zwoje mgły, budziła się ostra świadomość... Była znowu panią Anną Opolską, która cierpi i chytrze, ostrożnie, bojaźliwie kryje cierpienie, która sztucznym wysiłkiem, nużącym mozołem woli tłumi ból, która boi się ócz ludzkich, która ma mężnie znosić smutek, próżnię, nicość istnienia, która musi zapomnieć... Oto teraz bierze udział w eksportacji, potem faetonem odjedzie do domu. Kamieniecki zapewne jeszcze jest... Rozmowa, żarty, salony pełne światła, kolacya przy świecznikach o 24 świecach... (już teraz raził ją ten blask). Trzeba żyć! Tak, trzeba żyć, jeszcze wiele dni, jeszcze dziesiątki lat dźwigać tę górę olbrzymią bez miary, którą ujrzała po raz pierwszy w mroku zeszłej nocy... Jak i o czem żyć, dla jakiego celu, w jakim zamiarze, przez jakie postanowienie, czyją mocą?

Patrzyła w białą trumnę na wysokim wozie, wspominając rozmowę, w której usłyszała wyrzut i naukę... Dziś chciałaby pytać, chciałaby tym świetlistym, świecącym od dziwnego blasku,

przenikliwym oczom, w których paliła się tajemnicza wiedza, móżdżek ukazać swoje życie, życie — posąg rozbity, życie — obraz rozcięty nagłym cięciem miecza... Jakie jest przeznaczenie takiego posągu zdruzgotanego, jakaż treść skaleczonego obrazu?... Wówczas dowiedziała się, iż należy żyć dla Boga. Rozważała te słowa przez przeciąg dni kilku, potem zapomniała. Zjawiły się przed nią w tej chwili w surowym, mniszym habicie, ze srogim spojrzeniem... Żyć dla Boga... Tylko że Bóg jest nieskończenie daleko... Modlitwy i prośby opadają, jak znużone żórawie, którym nie przelecieć morza... Za morzem niezmiernym cierpienia jest Bóg... Oto jest jej ludzka droga, jej samotny szlak ziemskiego bólu, a Bóg daleko, mądry i niepojęty widz niedoli człowieczej, król obojętny i pan, nieubłagany mocarz, rozdawca łask, które kruszą serce i szczęście... Wszakże Bóg wiedział i chciał, przecież krzyże życia to widome znaki łaski... Daleki jest Bóg od zbolatego serca! za morzem niezmiernem cierpienia jest Bóg... Tam czeka na tych, którzy, podeptawszy każdą radość i każde pragnienie na ziemskim brzegu, pójdą w to morze i przepłyną, żeby osiągnąć nowe szczęście, szczęście surowe i zimne, w którym niema nadziei, które jest jak całun... W niej sił nie starczy, żeby przepłynąć to morze, w niej żal jęczy za podeptanem szczęściem, w niej szlocha tęsknota... Wyrzec się?! Przecież odebrano jej wszystko!... Więc cóż ma oddawać, co z ludzkich zawodnych zdobyczy poświęcić Bogu? Nie opuści mszy, zachowa posty, odbędzie spowiedzi, ale tego żalu, tego jęku tęsknoty nie wyrwie z niej nikt... Daleki jest Bóg, widz niepojęty i mądry, za morzem, za morzem niezmiernem cierpienia...

Miała w tej chwili groźny prawie wyraz twarzy. Patrzała w trumnę, słuchała drzew, które srożyły się... Widziała przed sobą, tak jak pierwszej nocy, drogę życia, długą, bez kresu, którą wypadnie jej przemierzyć krokami zmęczonych, obolałych nóg. Zrywał się bunt...

Chmury przetarły się i na moment wybiegło słońce... Ciepły jego promień jasnym muśnięciem dotknął jej głowy. Niby oblicze w nagłej, utrudnej radości złociście uśmiechnęły się na krótko pola; wątle, nikłe, długo gnębione chłodem i słotami runie drżały z rozkoszy każdym słabym ździebelkiem, zapaliła się w gąszczach drzew purpura, jasna pożłota, mosiądz i bronz... Trwała droga radość...

Spojrzała w głęboką płoń błękitną między chmurami, spojrziała po polach... Jakiś dawny dzień szedł ku niej po świetlistym szlaku słońca... pamiętała...



Jak płacz długo tamowany, wybuchła tęsknota.

Było szczęście, było przy niej, było z nią — i sama, sama!... zniszczyła, odtrąciła, porwała, złamała... Sama nie chciała, nie umiała, nie ceniła, nie kochała tego szczęścia... Przez nudne i puste lata zimnego życia czekała, żeby przyszło drogie szczęście, długo czekały dusza i serce... długi był dzień tęsknoty, krótki — szczęścia... sama odwróciła się...

— I przez co? przez sumienie, przez zasady, przez mądrą moc? — smagała siebie szyderstwem — Nie! przez wstyd, przez niski wstyd, przez plugawą bojaźń śmiechu ludzkiego, przez brzydką pychę, przez gnuśną dumę... Gdyby był kto inny, gdyby Niezaminowski — nie słuchałaby swoich surowych zasad, swojej ostrożnej cnoty! Bo świat byłby pochwalił... Ale pokochała skromnego, nieznanego człowieka, pokochała rządcę—i w suchem, chłodnem, przezornem—och jakim przezornem!—w trzeźwym, rozsądnem, rozważnem sercu zabrakło mocy... Minęło szczęście... Została w swoich nieskazitelnych szatach, na swojej roztropnej, chlubnej drodze i czuwa, ażeby żaden cień domysłu, żaden obłok podejrzania nie zniżył jasnej aureoli, która ją otacza, żeby, broń Boże, nie zgrzytnął śmiech świata... Suche, chłodne, rozsądne serce... Sama jest sobie winna, sama...

Słońce ukryło się za ciemno-szarą, stalową chmurą. Pogasło dokoła. Odezwał się cieniem dzwonieniem dzwon cementarza. Pani Anna jęła śpiesznie odnawiać pacierz. Trumnę ludzie brali już na barki.

Śpiew, szumiące drzewa, liście, krzyże i mogiły, potem dół, żółty piasek...

Pogrzeb był skończony. Ksiądz odszedł, za nim inni, gawędząc, zatrzymując się przed piękniejszymi pomnikami.

Uczucie beznadziejnej samotności ogarnęło panią Annę. Wszyscy są już gdzieindziej, po tamtej stronie, — ona jedna tu — na ziemi, wszyscy pomarli...

Ona sama, samotna i ostatnia — i Bóg, a Bóg daleko — za morzem cierpienia.

Sama jest, gdy wszyscy odeszli, sama z brzemieniem życia, taka samotna!...

Płakała nad świeżym grobem obcej staruszki, jak gdyby nad kimś najbliższym, płaczem najszczerszym, płaczem nad sobą.

## XXXVI.

Na palcach, ostrożnie, jak mógł najciszej zbliżył się Turowski do drzwi swego pokoju, słucał chwilę, zajrzał przez dziurkę od klucza — zastukał.

— Proszę — odpowiedziano.

Wszedł. Panna Maryńcia, klęcząc na podłodze, rozpatrywała grube stopy zakurzonych ksiąg.

— Pan to wszystko czytał?! — zawołała — jakie to wszystko mądre, ciekawe i trudne! Nie spałam całą noc, paliłam świecę — wskazała lichtarz, w którym tkwił tylko ogarek — brałam to jedną książkę, to drugą... chciałabym wszystkie naraz... zaczynałam, nie kończyłam, nie rozumiałam... A pan to wszystko umie?! — zazdrościła.

Marcin uśmiechnął się.

— Umiałem — zapomniałem.

— Tak się panu wydaje... przez skromność... pan strasznie jest rozumny!...

— To pani tak się wydaje — żartował łagodnie.

Trudno było poznać Turowskiego. Rozjaśniło mu się w przedziwnej a dobrej jasności oblicze, wygładziły się gorzkie zmarszczki, miękko i cicho brzmiał głos.

— Usiądźmy tu, na kanapie — poprosiła panienka — naprzeciwko tamtego... Lubię jego twarz, chociaż nie wiem kto to... rozumna twarz, tylko zimne wejrzenie... Niech mi pan opowie, jak było z panem, pan wie, tam na świecie... to są wielkie dzieje...

Usiedli, Marcin posłusznie zaczął wspominać... Opowiadał niechętnie, ale poważnie, jak gdyby na egzaminie życia przed powołanym sędzią, w skróceniu o swoich przejściach, pracach i nadziejach. Ożywił się pod koniec, wspomnienia muskały mu duszę, tak jak wiatr wiosenny muska twarz... Maryńci głęboka zmarszczka znaczyła bolesną uwagę na czole.

— Panie, panie! — przerwała — i ja tam pójde i ja będę tak samo! Właśnie myślałam zawsze, żeby uczyć się dużo, żeby bojować, żeby stanąć po tamtej stronie zasłony, za którą kryje się przyszłość, żeby kłaść cegiełkę po cegiełce...

— I jestem już tu — wołała — jestem wolna! Wiedziałam, iż dość jest przyjść do pana, że pan ułatwi, poprowadzi, wskaże... Zaczęło się...

Jakiś smutny, żałosny uśmiech gościł dokoła ust Marcina.



— Pan śmieje się — mówiła panienska — pan uważa mnie za dziecko! nie jestem za młoda... Wyglądam może... ale zniosę wszystko... Więc jakże będzie? — zniżyła głos — pójdę stąd dziś, zaraz, zanim spostrzegą i wyszukają... pan podwiezie mnie trochę, dalej znowu pójdę piechotą...

Smutne oczy mistrza prawie z pieśczołą dotykały płonącej zapałem twarzy panienki.

— Pani niema pasportu — rzekł, żeby coś powiedzieć.

— Nie mam, ale to nic! przedostanę się przez granicę, sły-  
szałam, że można. Żołnierze strzegą i strzelają, ale w ciemną noc...

Turowski już nie zaprzeczał.

— Skąd pani jest taką? — zapytał.

— Jakto skąd? dość mieć serce i oczy.

— Oczy — powtórzył Marcin. Ciągłe patrzył na nią, jak gdyby badając jej postać, rys po rysie, szczegół po szczególe. Chwilami brała go ochota musnąć pocałunkiem te ciemne włosy. Było mu dziwnie dobrze, nieledwie tak dobrze, jak w owej niezapomnianej godzinie przed pojedyńkiem.

— Może to źle, iż uciekłam z domu — gwarzyła Maryńcia — Będzie przerażenie i gwałt... Mamy żałuję, ogrodu, brudnych dzieciaków z wioski... Ale ja z niemi nie mogę się zgodzić. Myślałam nieraz, że oni są z innej planety, ja z innej... Naprzykład Karolek i Maciej... Młodzi, studenci — i Boże!...

— Lolo był dobry dla mnie — opowiadała jeszcze — on ciągle śmieje się okropnym śmiechem trupiej czaszki... człowiek bez wiary, jak bez oczu... I Pawła lubię, rozumny jest, poważny, zamyślony... Spierał się z papą o robotników i o szynki... Tylko, że on jest dziecinny czy naiwny... Siedzi i wyklada przed Agą, jakie są obowiązki kobiety, żony, pani domu i obywatelki... Przed Agą! — zaśmiała się głośno — Aga poziewa... A zdaje mi się, że i Paweł nie pojmuje przyszłości. Mówił ze mną długo, słuchałam zimna, bo ja nie uznaję konserwatystów... Konserwatyści działają tak, jak mama z choremi... Ziarnko homeopaty do butelki wody...

Turowski cieszył się.

— Pan żartuje ze mnie?

— Bynajmniej.

Maryńcia przeszła się po pokoju.

— Zazdroszczę panu! — trzepała — tyle książek, te mądre twarze na ścianach... to pewno autorowie tych dzieł! W samotności może pan z niemi rozmawiać... Urządź sobie pokój zupełnie tak samo. Książki, portrety... Nie widzę tylko Krasińskiego i żadnego z nich... Dlaczego?

— Nie znam się na poezyi.

— Oni byli więcej niż poeci! Chyba pan zapomniał... jak można! — unosiła się — dziwię się... Chciałam zawsze pana zapytać... W tem jednym nie zgadzam się... Trzeba iść ich drogą, rozwijać ich hasło... A pan, a wy wszyscy odwracacie się od przeszłości... Proszę to wytłómaczyć...

Turowski milczał.

— Ja wielbię i czczę—wołała—ja w Paryżu odszukam ulice, na których mieszkali, i uklęknę—urwała—tylko że, zanim do Paryża, trzeba stąd... Pan powiedział o koniach? Niech pan powie zaraz!

Marcin nie poruszył się. Panienska spojrzała na niego niespokojnie.

— Panie, cóż będzie?

Marcin zwiesił głowę. Brał go żal.

— Szkoda mi pani — odezwał się — ale...

Na podwórzu zaturkotało. Maryńcia rzuciła się do okna.

— Znowu goście! pierwiej pan Modrzec... teraz znowu... Nadsze konie! Boże! papo! — przykucnęła do ziemi.

— Panie! — szeptwała — niech pan idzie, niech pan zauknie mnie na klucz... Ani słowa!... Niech pan mnie ratuje!

Na klęczkach przyczołgnęła się ku niemu. Wzięła go za rękę, ścisła ją gorączkowo.

— Pan mnie obroni! — prosiła, całując rękę.

Marcin wyrwał rękę, wstał, wahał się chwilę, patrzył w zmaczoną, drżącą, trwożną twarz dziewczyny. Ciche westchnienie wymknęło mu się z dna duszy—wyszedł. Z wyszukaną grzecznością, z uniżoną uprzejmością przyjął Kamienieckiego. Zaprowadził go do salonu, przepraszając za niskie progi, za ubóstwo, za bezład. Potem milczeli na dwu fotelach, blisko obok siebie, niby dwaj bracia. Kamienieckiemu nie chciało się zaczynać. Ruda jego twarz była niewyraźna. Mrugał czerwonymi powiekami, poruszył kilkakrotnie wargami.

— Pan domyśla się, co mnie sprowadza tutaj — rzekł sucho.

— Właśnie nie wiem, skąd taki zaszczyt... Ani mi się śniło...

Kamieniecki poruszył się niecierpliwie.

— Zresztą... może odgadłem — cicho, powoli mówił Turowski—przypomniałem sobie... mamy niezafatwione rachunki, ośmieliłem się być zuchwałym, odważyłem się podnieść rękę... pan chciałby spłacić dług... chyba ta okoliczność... służę... możemy po amerykańsku... na losy — szeptał zjadliwie.



Pan Hilary wysłuchał do końca, spuścił oczy. Nastąpiło milczenie.

— Widzę, że nie trafił... przepraszam.

Znowu była cisza.

— Córnka moja znajduje się u pana.

— Panie, skąd ta pewnośc?!

— Nie może być gdzieindziej!

— Właśnie, że jest wszędzie, tylko nie tutaj.

Kamieniecki mrugał powiekami.

— Po co ta komedya! O co panu idzie, chyba nie o wykup!

— Chcę wyprowadzić pana z błędu. Jakies złośliwe języki...

Milczeli na dwu fotelach, blisko obok siebie, rzekłbyś dwaj bracia.

Kamieniecki bawił się grubą, złotą dewizą.

— W takim razie nie zostaje mi nic innego, jak odprządz konie i rozlokować się tu na długo—mruknął gniewnie.

— Nadzwyczajnie mi miło, cieszę się szczerze — podchwycił Marcin — tylko, że niskie, niziutkie progi, niewygodnie, nudnie, głodno... — bawił się jak kot z myszą.

— Proszę mi oddać córkę! — krzyknął zniecierpliwiony ojciec.

— Panie! bez krzyku! Nie oddam! — szepnął nad samym uchem Kamienieckiego.

— Przyślę panu policyę, wdrożę proces, pan pożałuje!

— Proszę...

Kamieniecki przebiegł po pokoju.

— O co panu chodzi? — zapytał, siląc się na cierpliwość, stając przed gospodarzem—jest nieletnia, prędzej albo później odzyskam ją i zabiorę. Więc co? Uniosłem się, to prawda, przepraszam pana—słodko mówił Kamieniecki—z panem nie można... teraz zwracam się jak ojciec... Rachuję na dyskrecyę pańską, na delikatność, potrafię odwzięczyć się... Mam wysokie stosunki, pan potrzebuje protekcyi...

Turowski śmiał się.

— Jaki pan dobry! — przemówił.

Pan Hilary odsunął się od niego, usiadł, czekał. Upływały chwile, za oknem nudnie pluskał deszcz.

— Nie spodziewał się pan dobrodziej—szydził Marcin — wysiadywać w salonie banity, szubrawca, chudopachołka... Zostanie pan na obiadek, prawda? Wydam dyspozycyę... Rosół z kury, dobrze? Czemu chata bogata, tem rada.

Kamieniecki milczał cierpliwie.

— Pan dobrodziej przyjechał za późno... Córeczka daleko... wzięliśmy wczoraj ślub, po nocy... z Kamienieckich Turowska! Kochaliśmy się długo... „Taką jak byłaś“ nie powrócisz więcej.

Pan Hilary podniósł zaniepokojone oczy na wroga.

— A tak, panie, tak... Miłość, ucieczka, mezalians, skandal...

— Moja córka jest nieletnia.

— A cóż to ma? Za pieniądze wszystko. Zaciągnąłem dług na rachunek posagu, sypnąłem...

Turowski wyszedł i wrócił po chwili.

— O co panu chodzi? — po raz trzeci spytał Kamieniecki.

— O córkę pana — poważnie odparł Marcin. Spochmurniał, znudziła go ta zabawa.

— Dobrze, więc o co?

Marcin wyprostował się.

— Zaraz — rzekł prawie groźnie — oddam córkę, ale podyktuję warunki. Proszę słuchać: primo córka pana otrzyma pasport — wyliczał, załamując palce przed twarzą Kamienieckiego — secundo wyjedzie dokąd zechce, tertio dostanie pieniędzy na utrzymanie.

— Jakiem prawem? — syknął gość.

— Żadnem. Inaczej nie oddam — i rozgłoszę, okrzyczę, opiszę...

Pan Hilary myślał, uśmiechnął się dyskretnie.

— Zgadzam się—powiedział cicho—choć to wszystko jest dosyć fantastyczne i zakrawa na melodramat.

— Tak... melodramat—potwierdził Turowski—i dlatego nie chcę grać w nim roli bohaterskiej. Ani słówka o tem, że córka pana była u mnie... Rozumie pan?

— Nie mam czem się chwalić! córka moja mogłaby mieć lepszy gust — pół gębkiem zauważył pan Hilary.

— Być może — posepnie odparł Marcin, — zniechęcony czy znudzony — być może—ziewnął rozgłośnie, nie zakrywając ust — mnie bo nic a nic nie obchodzą wasze rodzinne historye... Nie dbam o tytuł rycerza prześladowanych niewiast.

— Skończmy panie...

— Tak, już pora...

— Ale jeszcze jedno—nieśmiało i cicho zaczął Kamieniecki, spuszczać oczy — widzę, że pan jest miękki i ugodliwy, że pan odznacza się wyrozumiałością... pan wspomniął... mieliśmy istotnie zajście dosyć... przykre, przeprawę, sprzeczkę, spotkanie... dosyć burzliwe... puśćmy to w niepamięć, panie... Ja zapomniałem, darowałem... żeby też i pan zechciał — ujął dłoń Turowskiego, pa-



trzał mu w oczy chytrze i znacząco—ja się odwdzięczę... obiecuje protekcję... zresztą na takim folwarku panu jest ciasno i ciężko... służę pożyczką, jeśli pan nigdy nikomu...

Marcin odepchnął go, zmierzył spojrzeniem pełnym wstrętu, splunął, wskazał palcem drzwi — i wyszedł. Po chwili wyprowadził na ganek zmieszana, drżąca, bardzo bladą pannę Marynię. Nie podniosła na ojca spłoszonych oczu. Za to Kamieniecki szarpnął ją morderczyn wzrokiem. Otulił ją w burkę, zarzucił na głowę kapiszon.

Pożegnanie było zimne. Kamieniecki nie próbował wyciągnąć ręki i tylko uchylił kapelusza. Zajechała elegancka karetka o czerwonych kołach, ogromne konie parskają — karetka odjechała...

Marcin zamknął się w swoim pokoju. Rozrzucone książki, chustka do nosa, jakaś szpilka od włosów przypominały dziwnego gościa. Zdawał się jeszcze brzmieć w nudnej ciszy gabinetu jej głos naiwny, dziewczęcy, miły... Tam, na polanie w chwili, gdy podnosił pistolet, świergotały jaskółki. Dlaczego podobne uczucie ogarniało go i teraz? Uczucie dziwne! żałosna panięc rzeczy najdawniejszych, rzeczy utraconych bezpowrotnie, żal za czemś drogiem, czystym, jasnym i dobrem, za światem dzieciństwa, za widzeniem kołyski, za snami niewinnego serca, za szczęściem promiennych złudzeń, tęsknota, cicha i smętna tęsknota... Mogło by to serce być innym, mogło by i życie... Gdzie są lipy, wonne, cieniste, gościnne, opiekuńcze, prastare lipy? Niema tych lip, tych lip nie było nigdy...

Nad stosami zakurzonych ksiąg unosiła się nuda, za oknem, w deszczu, wśród szarego nieba snuła nuda, widmo potępieńcze, upiór wtulony w opończę, nieruchomy, cierpliwy, cikliwa zmora. Nawet w więzieniu było weselej. Tam przynajmniej żyła obok niego nadzieja, a w nim tliło się niegasnące pragnienie wyrwania się na swobodę. Jeszcze tłukła się w nim wówczas siła, jeszcze ryczały w piersi buntownicze żądze, jeszcze nie rozstawał się z marzeniem, z zamiarami, z bolesnem majaczeniem ognistej i lotnej myśli... Teraz? Teraz zostało mu chyba przespacerować się na tanten świat. Akurat właśnie!... przecież ludzie mierzą sobie w skroń nie z rozpacz i nie ze szczęścia—ale z nudy. Przeglądał niegdyś z ciekawością statystykę samobójstw i cyfra samobójstw dla nieokreślonych powodów była najznaczniejszą... Nuda kryła się za niemi — pojmował to obecnie. Zanucił młłą, ogranał przez wszystkie pozytywki melodyę walca. Ongi w kamienicy na ulicy Bolesć skakało w nim serce, ile razy na cuchnące podwórze przychodził kataryniarz z małpą albo ptakami. Ujrzał wyraźnie

małą w czerwonym fraczku, wywracającą koziółki, klatkę z ptakami, które za 5 kopiejek wyciągały wróżby. Jakżeż zazdrościł szczęśliwym pokojówkom, które śmiało, bo z pieniędzmi, podchodziły do dziada. Sam stał zdala nieśmiały, niepewny. Nieraz odpuścił go katarzyniarz. Upokorzenia, krzywdy, wzgarda, gorycz — od pierwszego dnia na ulicy Bolesć. A serce dziecka pełne było szczęścia, dobroci, serce pragnęło kochać!... Nad brudnymi ściekami stawiał pierwsze kroki, na śmietniskach wylewał pierwsze łzy... Może inaczej popłynęłoby życie, inaczej...

Rozpamiętywał młodość swoją, epokę burz i zapałów, epokę boju i czynu, epokę niszczenia i nienawiści. Słuchali go ludzie, umiał rozpłomienić salę, walił młotem w spleśniałe ściany... krótko! teraz bez niego obywa się jakoś świat, zapomnieli o nim — towarzysze. Niepotrzebny jest...

Ciągle gwizdał tę samą mdłą melodyę walca.

Niepotrzebny jest ludziom i sobie, należy odejść! Tchórz wegietuje i trwa, byle trwać, człowiek odchodzi spokojnie i dumnie, gdy przekona się, iż życie jest lichem, jego życie. Bo życie wogóle nie jest ani liche ani złe... a może być radosnem bez końca, bez końca... Ukazał mu się na chwilę jakiś świat słoneczny, ktorego może nie widział nigdy... załkała tęsknota. A ludzie uczynili z życia szpital, więzienie, deptak, kruchnę, biuro... gdzie słońce, szpital miłosierdzia, deptak obowiązków, miejsce pracy, kruchta żebracza, więzienie, nudy... gdzie słońce i moc, radość i wolny lot... Nad łąką świergołą jaskółki i budzi się żal, budzi się pamięć żalosna rzeczy dalekich i dawnych, utraconych bezpowrotnie, pamięć krainy szczęśliwych snów...

Wyszukał rewolweru, śpiewając walca, potem swoim zwyczajem stanął pod oknem. Matka w kaloszach, w podkasanej spódnicy brnie przez błoto. Wzdrygnął się.

— Trzeba odjeżdżać — pomyślał — oni (Skibowscy) w jedną stronę, ja w drugą. Hanka... Dumał.

Sam osiodłał sobie konia i w płaszczu nieprzemakalnym, z rewolwerem w kieszeni wyruszył.

— Marcysiu! — wołała, doganiając go matka — jadę za godzinę na pociąg do Ugodzina opłacać podatki... wracaj rychło, trzeba domu pilnować...

— Dobrze, wróce, dopilnuję — mruknął uśmiechając się.

— Wracaj Marcysiu, nie można zostawiać domu.

Pomknął drogą do stacyi. Gdy ukazał się powóz Skibowskich, ukrył się w drzewach, potem jechał za nimi ślad w ślad.



## XXXVII.

Skibowscy spotkali się na stacji w Zgorzelinie z Pawłem, który wykazał wiele troskliwości, galanteryi i względów. Prowadził starego pod rękę, kupował bilety, podsadzał do wagonu, niósł tłumoki, zabawiał pannę. Był mówny i miał pozór człowieka, któremu dobrze dzieje się na świecie, który jest rad podróży i pewny powodzenia. Chodził zamaszyscie, głośno wydawał rozkazy nadskakującym tragarzom, domagał się energicznie osobnego przedziału w wagonie pierwszej klasy, wyłajał bez ceremonii jakiegoś żyda, który przy kasie nastąpił mu na nogę. Publiczność patrzyła na niego z szacunkiem... Hanka także była wesołą obok nasepionego ojca. Tego kosztował snąc niemało wyjazd daleki i na długo — trawił w sobie zgryzotę, smutek i złe przecucia. Gdy siadł do pociągu, przeżegnał się i jał szeptać swój pacierz. Bał się podróży, domyślał się, iż to skazanie jego przez konsylium lekarzy ugodzińskich na kosztowną kurację u zamorskich niemal wód, było poniekąd groźnym wyrokiem—więc żałował żony, córek, swoich starych kątów, fotelu obitego zieloną ceratą, szumiącej nawy lip, żałował pół widnych z okna, gospodarstwa, lubo rozprzeżonego, codziennych zajęć, swojego nieba, swojej wody. Teraz dopiero, gdy przewidywał, że już nie wróci, że nie ujrzy nigdy, cenił to wszystko i teraz dopiero pojmował, jak dalece przywykł i jak mocno kochał... Bydlę umiera — myślał zgryźliwie — w swoich stronach, a człowieka na śmierć wloką na koniec świata... te bliagery—tak nazywał doktorów—nie rozumieją, iż żadne leki nie pomogą na cudzym chlebie... Rodziny chleb, ojczysta woda, ojczyste niebo—ot czego mi potrzeba... umarłbym spokojnie... Szeptał pacierz...

Tymczasem Hanka chciwie wyglądała przez okno, jak gdyby sto razy już nie widziała żółtych zabudowań zgorzelińskich, zawiadowcy w czerwonej czapce, znudzonego żandarma, przechadzających się konduktorów. Ale wszystko wyglądało dziś inaczej. Inaczej brzmiał dzwonek, inaczej gwizdała lokomotywa, inni byli podróżni — pociąg szedł daleko, do Warszawy, inny pociąg, nie ten towarowo-osobowy, powolny, nudny, pospolity, którym jeździła do Ugodzina... Oto jeszcze kilku śpieszących chłopów, cała partya w łupciach, z tobołami na plecach... czyżby i oni do Warszawy? Nie zdążą, opóźnią odjazd... Nagle z tłumu spojrziała na nią twarz Turowskiego, blada, posępna, może urągliwa.

— Boże! — cofnęła się z przerażeniem.

— Co pani jest? — spytał Paweł, który stał obok niej.

— Nic...

Pociąg drgnął, wagon zahuśtał się i potoczył. Czerwona, ceglana wieża ze zbiornikiem wody, którą w tych stronach śmieśznie nazywają „wodokaczką“ czy wodną kaczką, zwrotnica, latarnia — i puste pola, zadżdżone, smutne... Jada w świat, w daleki świat... tylic świat — powiedzieliby chłopi — już jada naprawdę.

Do ostatniej chwili bała się, iż coś przeszkodzi, że ojciec rozmyśli się i nie zechce. Bała się nawet ku zawstydzeniu serca i w tajemnicy przed samą sobą, iż stan ojca poprawi się o tyle, iż podróż okaże się zbyteczną. Niech mu Bóg da zdrowie — ale po kuracyi...

Teraz radość, jak ptak z gniazda po nocnym spoczynku, zrywała się w niej i leciała w dal, w światy, ku Warszawie, ogromnej, drogiej, nieznannej, ku tamtym miastom, góróm i morzom, w świetliste mgły... Dwa miesiące prawdziwego życia! Rozwarły się zamknięte długo podwoje, ukazał się przez nie przestwór szeroki i wolny... Jada!... Będzie tworzyć. Już teraz snują się w niej przedziwne obrazy, gwarzą przeczucia przyszłych objawień, gromadzi się natchnienie, które strzeli płomieniem, wzbiera moc. Młoda jest i świadoma mocy swojej, swoich przeznaczeń i praw... Tam, w Warszawie, zapewne ukazał się już pierwszy jej utwór, dziecię drogie wątle i kalekie — takim staje przed oczami jej, które patrzą w przyszłość, przed duszą, która drży w wieszczem napięciu i kryje w niedostępnej kaplicy swojej tłum snów promiennych i wielkich... Zamknie je w słowa i oskrzydłone, świecące pośle między ludzi, przemówi ich głosem anielskim, napełni ziemię słonecznym ich korowodem. Dusza bierze lot, dziś jest pierwszy dzień blasku...

Nie myślała wcale, iż trzeba będzie wrócić na dawny tor, do ponurego domu, do lekcji, między obory, do ekliwej nudy niedziel i gnębiącej pracy powszednich dni... Zwłaszcza niedziele i święta były ciężkie — wydawały się jej oddaloną przeszłością — Boże! Siostry wdziewają czystą bieliznę, którą musi im sama przygotować, i suknie, te z szafy; msza, którą ojciec odczytuje na klęczkach przed obrazem, kredens pełny parobków, obiad z leguminą — przedmiotem pragnień i domysłów dzieci, po obiedzie czasami proboszcz, czasami inny jaki sąsiad i nuda w nudnym, półciemnym, posępnym, zimnym salonie... przez ile to lat?!

To wszystko zostało za nią, za wstęgą lasów, nad którą wisi biaława zasłona deszczu. Tam, dokąd pociąg gna, wypoga-



dzia się. Chmury zarumieniły się i niby uśmiech wynurza się blade sinuga bladego błękitu... Symbol i przepowiednia! Zawsze od dzieciństwa spoglądała w zorze, ciekawa krain złocistych i purpurowych, które leżą za niemi, i kołatała do tych bram świetlnych błaganiem serca, tęsknotą duszy, skrzydłem myśli, zupełnie jak sierota z baśni, która staje przed podwojami niebios i pyta o matkę. Kochała zorze zachodnie, które były dla niej nadzieją, zapowiedzią, obietnicą... Za chwilę zapalała się na niebie i pociąg mknęła w tamtą stronę. Spełniło się marzenie...

— Pani jedzie rada? — pytał Paweł.

— Tak, panie — odparła z prostotą — a pan?

— Ja tylko do Warszawy.

— Prawda! pan zaręczony i panu nigdzie nie może być dobrze bez narzeczonej...

Mówiła chętnie i łatwo, bez zwykłego lęku, i Paweł z trudnością poznawał w niej tę milczącą, wzruszoną, smutną, trwożną Hanke, którą widział w salonie Kamienieckich, potem w Jaworowie, potem na imieninach.

— Pani się zmienia — rzekł.

— I pan także.

— Odkryłem źródło pociechy — uśmiechnął się Paweł.

— Może nawet nie szukając?

— Może...

— Bo nigdy nie należy wątpić — myślała głośno — pod najbardziej zachmurzonym niebem jest błękit. Szczęście, jak obłubieniec biblijny przychodzi budzić śpiącą duszę, najciemniejsze noce mają swoje świty, szczyty należą do tych, którzy nie znają trwogi i unieją piąć się...

— Pani także, bo i ja... — wstawił Paweł.

Ale nie dopuściła go do słowa, mówiła dalej.

— Komu dana jest moc, czyj duch czuwa, świadomy powołania, tego nie złamią żadne wrogie siły, żadne krzywdy! Jak orzeł rozepnie skrzydła, jak Prometeusz dokona swego ognistego czynu, jak Zarathustra wyrwie się z niewoli życia, z nędzy żebraczego istnienia...

Urwała niespodzianie, zmieszana własną gadatliwością, spłoszona otwartością. Spuściła oczy. Teraz Paweł ją długo wykladał przed nią swoje poglądy na życie — pracę, na człowieka — służbę zasad, na społeczeństwo — jednolite zrzeszenie świadomych jednostek, zbiorowisko napiętej woli i energii. Od tego przeskoczył do własnej, żywej sprawy, wyłożonej w odczuciu, do ludu, do ziemiaństwa, do stromiectw i politycznych kierunków. Słuchała go

z roztargnieniem, nie odstępując od okna, chwytając widoki. Dojeżdżali do stacyi. Nagle panna Skibowska cofnęła się, jak tam w Zgorzelinie.

— Stefan Modrzec, rządcą Opolskich — niekoniecznie w porę objaśnił ją Paweł.

— Tak... Spozstrzegłam — szepnęła — tylko dlaczego na tej stacyi?

Usiadła na fotelu, spłotła ręce na kolanach, zwiesiła głowę. Wesołość znikła, jak uśmiech. Twarde, skrzepłe, zimowe śniegi leżały na łące, pod lodem zastygła krynica... A wiosna daleko, za dziesiątą górą, za dziesiątą rzeką, ale nie tam, kędy pędzi pociąg, i nie tam, kędy szybko uciekają zadżdżone pola... Chyba nigdzie... Powraca bolesć, jak twardy wierzyciel, po ostatni grosz należności i zdiera szorstką ręką barwną szatę złudzenia. Chciałaby zapomnieć, zdawało się—już zapomniała... Była szczęśliwą jak dziecko z pierwszego listka wawrzynu, czuła w sobie radość i moc, wyliczała przed sobą wszystkie pociechy życia i wszystkie cele świetlane i krzepiące, ustawiła działa ciężkiego kalibru, działa niezawodne. I cóż z tego, że duch jej może rozpostrzeć skrzydła i lecieć w blask, lecieć przez morza, kiedy jej żal tej łąki, tej kwietnej łąki, która umarła pod śniegami, tej żywej krynicy, krynicy szczęścia... I krąży nad łąką kochania, nad krynica szczęścia jej dusza, jak ptak...

Tymczasem Paweł opowiada jej o czemś, co jej zgoła nie obchodzi, czego nie słucha, wagon turkocze, przechodzą konduktorzy, jacyś panowie w miękkich flanelowych czapkach... Dlaczego on się nie ukazuje? Jedzie razem z nimi, szedł z tłókiem... Mijają godziny, mijają stacye... Już jest ciemno, zapalono świece...

— Niechby pan odszukał... poprosiła Pawła.

— Kogo, proszę pani?

— Pana Stefana... ojciec mój tak go lubi... ma do niego interes...

Paweł poszedł posłusznie. Znowu upływają chwile, długie, nieskończone... podróż jednak nie jest taką rozkoszą... Jakiś niezwykły chłód owiał ją właśnie w chwili, gdy on stanął we drzwiach przedziału. Ukłonił się jej, przysiadł się do ojca...

Oparła czoło o zimną szybę. Za oknem wieczór, pociąg gna przez ciemność...

— Pani towarzyszy ojcu? — zaczepił ją przechodząc.

— Tak.

— Pierwszy wyjazd za granicę ma dużo uroku.



— Tak.

Paweł ustąpił mu fotelu. Milczał. Nie patrząc na niego, po głosie odczuła, iż nie jest już tym zwycięskim, zuchwale szczęśliwym, którym widziała go raz ostatni.

— Pan na długo?

— Nie wiem jeszcze... mam pilny interes... może potrwa...

— W każdym razie przed zimą pan wróci?

— Tak... przed zimą... zapewne...

— Do pracy — szepnęła.

Była cisza. Stukały koła, ktoś na drugiej kanapie rozprawiał głośno o drożyznie, o ciężkich czasach, o zepsuciu świata.

— To dziwna — rzekł — przez tyle czasu nie wyjeżdżaliśmy, teraz podróżujemy razem... to dziwna — uśmiechnął się.

Uśmiechnęła się posłusznie.

— Może i wrócimy tym samym pociągiem...

Z trudem kleił zdania, które to napływały tłumem całemi okresami, jak gdyby wyjęte z książki, to znowu znikwały bez śladu. Pragnął powiedzieć jej coś dobrego, serdecznego, zostawić jej jaką pamiątkę.

— Mówiłem pani — odezwał się głosem stłumionym — że mimo pozorów, że na przekór...

— Że boleść jest czynem ducha — odpowiedziała cicho.

— Mówiłem to? — jakby zdziwił się — boleść jest czynem ducha — powtórzył.

— Pan mówił także o zatopionych miastach i baśni, o silnych wolach, które biorą, i o słabych, które tęsknią...

— Pani wszystko pamięta! — uśmiechnął się.

W tej chwili oczy jej po raz pierwszy spoczęły na nim. Widziała twarz, poprostu okropną, straszliwie wychudzoną, trupią, zmaląłą...

— Pan cierpi! — wyknął się z niej bezwiednie szept — biedny pan! Gdybyś mógł panu pomóc!...

W zupełnem wyrzeczeniu się siebie żałowała go bezgranicznie. Dotknęłaby pieszczotliwie ręki jego, gdyby to wolno było, jak czyniła z siostrami, ile razy płakały, ukarane przez ojca... całowałaby tę rękę ze czcią...

— Nie wiem dlaczego — mówiła tak cicho, że zaledwie słyszał ją — nie wiem przyczyny... ale coś wielkiego, coś szlachetnego... takie cierpienia są jak skrzydła, jak cokuły pod posągami... wyrośnie pan...

Pochylił głowę i milczał. Zamilkła także. Patrzyła tylko w niego natargiwie nieskończonem spojrzeniem, którem obejmo-

wała go, garnęła, tuliła, kołła... Z samej duszy, z samego serca szło to spojrzenie. I wyszła z niej dusza i jak gdyby po niewidzialnem promieniu spłynęła po tem spojrzeniu i kornie na klęczkach chyliła się do jego stóp i na podobieństwo niewiasty ewangelicznej poczęła te stopy „polewać łzami, ucierać włosami głowy swojej, mazać drogin olejkim litości...” I oddałyby siebie na zatracenie i niedolę, przyjęłyby każdy los i każdą katuszę, byleby ustała męka jego, oddaliło się od niego cierpienie... A wszakże jego szczęście było dla niej wyrokiem śmiertelnym, gdy, jego boleść czyniła go bliższym i łamała tantą piękną i silną, której świecące, zwycięskie spojrzenie zapamiętała rozpacz jej serca!... teraz słodka cichość zaległa jej istotę, święta dobroć i miłosierdzie, jak dymy wonnego kadzidła, unosiły się z głębin... Gdyby on wiedział! Zdjęłaby mu z ramion ciężkie brzemie, czarodziejским balsamem uzdrowiłaby krwawiące jego rany! Gdyby on wiedział!...

— Żegnaj panią — przemówił — życzę pomyslniej podróży i szczęśliwego powrotu.

W niepohamowanym porywie gwałtownie wyciągnęła do niego rękę i mocno uścisnęła gorącą, rozpaloną jego dłoń. Poruszył wargami, może chciał jeszcze coś powiedzieć.

— Dziękuję pani — szepnął.

Uklonił się.

Przez szereg gwarnych, ludnych wagonów Stefan brnął do swego ostatniego III-iej klasy. I tu także było gwarno, ludno i wesoło. Żołnierz, wracający do domu na zawsze po czteroletniem wygnaniu grał na harmonice, szwargotali żydzi, wrzeszczało jakieś niemowlę, jakiś uczeń już pod wąsem droczył się z panną, wysoką i pełną o dużych, czarnych, strzelistych oczach, która co chwilę wybuchała śmiechem...

Patrzył na to wszystko, jakby nieswojami oczami, jakby z wielkiej odległości i tak jak się patrzy w książkę, wydrukowaną nie tylko w obcym języku, ale także nieznanymi czcionkami. Były chwile, iż nie słyszał zgoła ni dźwięków muzyki, ni hałasu rozmów, ni krzyku dziecka. Cichło i zamierało wszystko dokoła, czyniło się nawet ciemno. Tylko koła stukwały... nieznośnie, bez końca, każdym uderzeniem miażdżąc głowę. Czaszka pod ciosami tych mocnych, żelaznych kół przysła oddawna i bolał mózg, sama miękka, delikatna, szara miazga... Koła stukwały... Na stacyach był moment ulgi, ale wówczas bał się, iż otworzą się drzwi i ukaże się ktoś znajomy, tak jak już raz ukazał się Paweł. Jakto? zno-



wu? Paweł oczywiście stał przed nim, z uśmiechem przyjaznym na licach.

— Przeszedłem złożyć uszanowanie i wizytę — mówił.

I podejrzliwie obejrawszy ławkę, zajął na niej miejsce.

— Dlaczego jedziesz (byli z sobą to na pan, to na ty) dziś III-cią klasą? — zapytał — dawniej nie...

— Tak... przez roztargnienie...

— Tylko zakochani chorują na roztargnienie, ale ja nie zła-pałem siebie ani razu na roztrzępaniu — pochwalił się Paweł.

— Za miesiąc będzie mój ślub — dodał, wpatrując się w to-warzysza — mam nadzieję, że nie odmówisz mi swojej obecności... koleżeństwo...

— Ależ owszem... dziękuję... nie omieszkać...

— Ślub w Warszawie—gadał ze swadą—29-go października nowego stylu, w kościele Wizytek, o 5-ej, potem przyjęcie u Ka-mienieckich. Nazajutrz rano—jazda do Naborowa, do pracy... My-ślałeś może, że pójdziemy za modą i fruniemy za granicę... Gdzież tam! Nie chcę tego. Od pierwszego dnia obowiązek! Byleby wy-spieszyć z domem... Mam ogrom kłopotów...

— Zapewne.

— Ale to są miłe kłopoty. Ptak wije sobie gniazdo, a czło-wiek buduje dom — uśmiechnął się — prawo natury, mój drogi. Wierzę teraz, że założenie rodziny jest początkiem prawdziwego życia. Samotność wykrzywia charakter i rozgorycza, bo każdy potrzebuje wytchnienia, osłody, pociechy, ciepła. Mężczyzna tylko wówczas pracuje z całych sił, gdy ma dokąd wrócić po wypoczy-nek, po słowo zachęty, po chwilę szczęścia. Zresztą żona to po-moc, a dzieci—to pole do działalności i środek przekazania przy-szłości swoich myśli... Żeń się, namawiam...

Stefan milczał.

— Mam do ciebie jeszcze jedną prośbę — znowu prawil Pa-weł—jadę teraz obstałować meble, powozy i rozmaite temu podobne rzeczy, a nic nie znam się, nie umiem, nie lubię. Może ze-cheesz mi dopomóc? Umówmy się, dobrze? Gdzie ty mieszkasz w Warszawie?

— Kiedy ja w Warszawie... kiedy ja nie zatrzymam się...

— Jakto?! Więc ty nie do Warszawy? Myślałem... dokąd-że tedy?

Stefan wahał się. Nie znalazł jeszcze celu podróży.

— Ja tylko tak... ja do Krakowa... — bąknął.

— Do Krakowa. Nie lubię tej dziury... — Paweł pogardli-wie wydał wargi.

Nastało milczenie.

— Ale tu jest wesoło!—odezwał się Paweł—i muzyka i flirt... Za to dym i zapach śledzi.

I rozglądał się z zajęciem, niiby w jakim muzeum. Był w wyśmienitem usposobieniu, czuł potrzebę rozmawiania i dlatego mimo milczenia Stefana nie wychodził. Stary Skibowski położył się spać, panna popadła naraz w stan niepojętego odrętwienia, w przedziale pierwszej klasy, który zajmował, panowała poważna cisza—a nie lubił od niejakiego czasu przebywać z samym sobą. I przyszedł aż tu, do byłego kolegi, którego bynajmniej nie kochał, do którego miał nawet żal z powodu Turowskiego, który także, jak panna Skibowska, ujawniał stan niezupełnie normalny. Wolał tę rwącą się, nieudaną, sztuczną rozmowę w smrodliwym hałasie klasy III-iej, niż wygodną samotność u siebie, w której zmuszony byłby wrócić do zaniedbanego oddawna rachunku myśli. Nasunęło mu się dziś, gdy trzy razy wędrował po pociągu, przez całą jego długość, pewne proste a doniosłe spostrzeżenie. Oto widział wszędzie: i w I-szej klasie i w II-iej i w III-iej samych tylko wesołych ludzi. Wszędzie ludzie rozmawiali z ożywieniem, grali w karty hałaśliwie, émili papierosy, jedli i pili, słyszał śmiechy, śpiewy, dysputy, anegdoty... Żydzi i oficerowie, urzędnicy i ziemianie, studenci i kobiety — wszyscy mieli na twarzach wyraz wesela i rozbawienia, ochoczy zapach w głosie, żywość podniecenia w ruchach. Ogólna uciecha narzucała się oczom. Szereg oświetlonych płomykami gazowemi, zapchanych wagonów czynił wrażenie pokojów, napełnionych wrzawą radości. I pociąg pędził wesoło. Tak samo pociągi, które szły w przeciwną stronę po drugim torze i szybko migwały rzędem jasnych okien, rozdzierały mrok huczącą, błyskawiczną smugą światła i wesołości. Było coś podniecającego w atmosferze.

— Tak, życie, samo życie jest radością—myślał Paweł kilka razy w przeciągu tego wieczora—dość spojrzeć na ludzi. Ludzie cieszą się, że żyją, jeżdżą i cieszą się, gawędzą i cieszą się, że znaleźli się w towarzystwie takich samych wesołych ludzi, jak oni, skwapliwie zawierają znajomości, żeby mówić, iż im jest dobrze na świecie, żeby mieć przed kim wylewać nagromadzony zapach i radość życia, grają w karty, żeby wspólnie wesoło pędzić czas, jedzą, częstując siebie, żeby wspólnie używać, śpiewają chórem (studenci) by rzucić w przestrzeń z pełnej piersi krzyk zadowolenia... Jak gdyby nie było zgoła trudnych zagadnień, jak gdyby życie nie było dzbanem, który trzeba napełnić i dźwigać... póki ucho się nie urwie! Każdy z tych ludzi rad jest z życia



i z siebie, każdy wie, poco żyje... O tem, że jest kres, nie myśli nikt... I po co? Żyć, działać, cieszyć się, mieć tę dobroczynną pewność przeznaczenia swego i spokojne przeświadczenie o ważności własnej osoby, które to oba uczucia cechują wszystkich tych jadących panów... samo życie jest radością... Można żyć łatwo, wygodnie, bez kosztu i bez mozołu, tak jak żyją zapewne ci weseli ludzie...

Trafiało mu to do przekonania i usposobienia i chciałby tak jak tanci podróżni, których mijał w szybkim przegładzie, mówić, opowiadać o sobie, dzielić z kimś radość, cieszyć się z kimś. Do nowych znajomości nie był skory, a w Stefanie, którego błędne, znużone oczy unikały jego błyszczącego wzroku, nie znajdował wtóru. Nie dawał wszakże za wygraną i wciąż nawiązywał pękającą nić rozmowy.

— Pamiętasz! — odezwał się po jakiejś dłuższej przerwie — przed trzema miesiącami jechaliśmy razem. Ja wówczas po raz pierwszy... Dużo zmieniło się od tego czasu!...

— Rzeczywiście... istotnie...

— Ani myślałem, że tak się skończy.

— Tak... trudno było przypuszczać...

— Dlaczego? Co ty chcesz przez to powiedzieć? — z urazą zdziwił się Paweł.

— Nic...

Nastąpiło milczenie.

— Lubię jeździć pociągiem—rzekł Paweł—wesoło!... Wszystkim jest dobrze, wszyscy radzi... wrzawa i śmiech... chyba tylko szczęśliwi podróżują...

— Sami szczęśliwi ludzie...

— Tylko ty... jakby?...

— Niezdrow jestem — prędko odparł Stefan.

I znów była przerwa.

— Słyszałeś mój odezyt? — jeszcze pytał Paweł.

— A jakże... z wielkiem zajęciem...

— Wytlómacz mi przeto... znasz tutejsze stosunki... dlaczego nikt... dlaczego tak żadnego... — urwał.

— Dziwiłem się... nie rozumiem—krztusił się Stefan—życze powodzenia — jak nożem uciął, zakończył.

— Powodzenia!—podchwycił Paweł—nie uganiem się za powodzeniem. Nie dobijam się chwały, rozgłosu, popularności... Leży mi na sercu sprawa — utopił w Stefanie świecący wzrok, marszczył czoło, siląc się na odpowiedni dobór wyrazów.

— Myślałem długo, badałem... znasz także położenie ekonomiczne na zachodzie — mówił wolno, gładząc swoje czoło — groźna fala idzie, rozstrój, rozluźnienie, rosną zastępy proletaryatu, agitacya szerzy się na wsi. Otóż chciałbym u nas stworzyć włościaństwo zamożne i światłe, więc niepodatne na żadne wpływy, a na to trzeba, żebyśmy my, ziemianie, zabrali się do pracy — rozwijał ulubione poglądy.

— Jak encyklika Leona XIII-go rozwiązała kwestyę robotniczą, tak moje skromne uwagi usiłują załatwić kwestyę wiejską. Ale nie miejsce tu o tem mówić — rzekł ciszej, obejrzawszy się niespokojnie.

— Rzeczywiście.

— Zależy mi na twojem zdaniu... ty przecież społecznik... możebyś przyszedł do mnie — prosił Paweł — tam jest cicho — pogadamy — przyjdź koniecznie.

— Dobrze, za chwilę — łatwo zgodził się Stefan.

Ale zaledwie Paweł wyszedł, już całkiem zapomniał, że rozmawiał z nim kiedykolwiek. Koła stukają i biją po mózgu, lecz zato jest sam — w ciszy. Skądś z daleka płynie skoczny ton harmoniki, zdaleka także dochodzi gwar żydowskiego szwargotu. To nawet przyjemnie. Do niego nie mówi już nikt, nie potrzebuje wyteżać uwagi, żeby rozumieć, wysilać się na odpowiedź, a bez tamtych odgłosów byłaby cisza zanadto cmentarna. Ludzie żyją, gawędzą, grają, śmieją się, jedzą... oto jego sąsiad wydobywa koszyk, z koszyka — imbryk, szklanke, mięso. Dobrze. Jakże on będzie to jadł? — pomyślał z odrazą. Sam od wielu już godzin nie miał nic w ustach. A jednak tamten je. Kraje szczyrykiem pieczeń wołową, gęsto naszpikowaną słoniną, na cienkie plastry, energicznie porusza szczękami...

Odwrócił się do okna, tak go brzydził widok jadała. Jedzie. Noc, pola, zapewne mokre, od czasu do czasu snopy iskier. Po szybkim miganiu tych iskier znać, że pociąg rwie całą parą. Tamto odsuwa się coraz bardziej... Im dalej odjedzie, im większa przestrzeń legnie między nim a tamtem, tem trudniej będzie wspomnieniom dotrzeć do niego... Jeszcze teraz otaczają go kwilącym rojem, jeszcze lecą za nim, niby ciżba liści jesiennych, zerwanych drzewu, jeszcze szarpią mu serce nieukojonemi rękami, jak głodne dzieci szarpią matczyną suknię, wołając „chleba!“ A chleba niema! i niema gniazda, z którego wybiegły te kwilące ptaki, i niema drzewa, na którym chwiały się w słonecznym blasku one, dziś martwe liście... Dość wspomnień! Trzeba myśleć



spokojnie i trzeźwo, trzeba zastanowić się zimno nad celem tej jazdy, nad przyszłością.

Usiadł sztywnie, wyprostował się, wyteżął pod zmarszczonym czołem uwagę, którą usiłował skupić.

— Przedewszystkiem jakieś zajęcie — mówił sobie — świat jest szeroki, są obowiązki, społeczeństwo stawia każdej dojrzałej jednostce wymagania. Liga naprawy, do której założycieli należał przecież sam, dopomina się jego współpracownictwa, strofuje go za zaniedbanie. Obiecał napisać kilka dziełek, zabrać się do kółek włościańskich... Robota jest... A i rozprawa „o skutecznym rad sposobie“, gdyby ją wykończył, mogłaby otworzyć przed nim jedną z sal wykładowych wszechnicy... Robota jest... Tak, to prawda. Zasklepił się w Pełowie i odwykł, ale skoro tylko stanie między dawnymi ludźmi... Był niegdyś społecznikiem, co się zowie... Nie wiedział, co to jest żyć dla siebie, tonął całkowicie w „sprawach“, coraz to innych a służących jednej sprawie, wkładał duszę i serce w kółka, w delegację, w samokształcenie, w składki, w nawracanie, w „naciąganie“ filistrów, w dysputy z „facetami“ z innych obozów... On nawet myślał i czuł za innych... Zapodział się gdzieś ten zapach... Martwym i chłodnym spojrzeniem obejmował dalekie młodzieńcze obrazy. Jest samotny obecnie, sam, z życiem swoim i z cierpieniem i nie pomogą kółka, organizacje, cała tamta wrzawa, która była jak gdyby uciekaniem od życia. Życie jest po za tem i po nad tem. Leży przed nim niby bryła, z której musi wykuć kształt zrozumiały i wyraźny, trapi go trudnem nad miarę zagadnieniem, przesładuje uciążliwem pytaniem, spogląda w niego wzrokiem, który on zna i pamięta, który mącił mu i dawniej zadowolenie i spokój... Oto jest sam z życiem swoim, samotny człowiek.

I złamała się myśl jego od nadmiernego ciężaru chwili.

Może potem, może kiedyś odpowie sobie i życiu — nie teraz, nie dziś... dziś trudno jest...

Jedzie... koła turkoczą, czasami gwizdże parowóz. W wagonie niektórzy pokładli się spać. Otyły pan, który zajadał pieczeń, naszpikowaną słoniną, i pił herbatę, chrapie, żołnierz wygląda przez okno i gra na swojej harmonice, zaledwie poruszając palcami, cicho, machinalnie. Smutna śpiewka sływa na brudną podłogę...

Na drewnianym fotelu, ostatniem, wolnem miejscu, które zostało w przedziale, tkwi w półleżącej pozycji mężczyzna — chłop, chory, strasznie chudy, żółty trup. Bezsenne oczy w niemej męce zatrzymały się na jednym punkcie przestrzeni. Powieki opadają

zwolna ciężkie i znużone, kryją wzrok, znowu podnoszą się i znowu opadają. „Dosyć już, dosyć!“ zdają się mówić te oczy. Głowa chwieje się bezwładnie, uderza czasami o drewnianą ścianę. Czapka zsunęła się, ukazując bujne, czarne, bez siwizny kędziory młodego człowieka: wyniszczone, papierowe ręce spolotły się na piersi, z półotwartych ust z trudem wydobywa się oddech... Straszne są te oczy, duże, nieme, znekane, wpadnięte, nad ostrym, sterczącym nosem, straszny jest ten człowiek... Silny był niegdyś, kwitnący! wczesnym rankiem, o rosistym świetle zaprzęgał gniadą szkapinę i szedł w pole krajać długie skiby — biegł głos jego po niwach — walił siekierą w mocne sosny, łupał od jednego uderzenia tęgą, sękatą kłodę na drwa, zadawał sobie na plecy wór sześciopudowy i stapał, jak gdyby w zabawie, pierwszy był w tanaach, pierwszy do dziewczek... I kładł w lipcowe południe snop po snopie na swoją drabinę, naładował wóz wysoki i wiózł suche wystaje zboże do gumna, gadając do gniadej szkapy... Dobrze było życie!...

Nad chorym czuwała żona, wieśniaczka w siemiedze, zbledzona, nieśmiała, może pierwszy raz w podróży. Jak dziecku, podaje mężowi kawały bułki, umoczone w mleku. Stefan ustąpił im swoją ławkę, podesał choremu palto, wyjął z walizy poduszkę. Czynił to wszystko sztywnie, surowo, przemawiając krótkimi, rozkazującami zdaniami. Gniewnie wyrwał kobiecie rękę, gdy ta chciała mu ją wycalować, ze zmarszczonem czołem słucał jej długiej, bezładnej, płacziwej opowieści o chorobie męża, który „ciągiem zrzuca“ i nic zarobić nie może już trzeci roczek, o rozmaitych środkach, których próbowali, o znachorach i felczerach, o bracie męzowskim, który krzywdzi i ziemię odbierze, o jakiejś krowie, o jakimś zielsku, które spowodować miało całą chorobę i całe nieszczęście. Teraz oto wybrali się na żądanie chorego do miasta, do sławnego doktora, bez pieniędzy, bo ostatnie poszły na bilet.

Kobieta płakała, wycierała nos w koniec chustki, którą miała na głowie, i wciąż opowiadała dziesięć razy to samo, z temi samemi szczegółami, wplatając zawsze tę samą historię krowy, kupionej w czwartek na targu za 27 rubli, która w tydzień padła, i ziela, przyniesionego przez żonę męzowskiego brata... Mówiła i o dzieciach swoich i o ziemi i o jakiejś ulewie, która położyła owies, o pożarze w sąsiedniej wsi, o proboszczu, który zlitował się nad jej nędzą i dał pół rubla na wyjazd.

Stefan słucał cierpliwie, nie przerywając, i resztę drogi przestał pod oknem do rana. Następnie, jakkolwiek miał bilet do



Warszawy, wysiadł w tem mieście, do którego chłopka wiozła chorego męża.

## XXXVIII.

Marcin Turowski stał w tłumie gapiów na stacyi w Zgorzeleinie i żegnał spojrzeniem odchodzący pociąg. Na chwilę w oknie drugiej klasy, obok dużej, brzydkiej głowy Pawła, ukazała się Hanka—i wnet cofnęła się. Zabrzniał trzeci dzwonek nad samem uchem Marcina, lokomotywa gwizdnęła raz i drugi, wagony drgnęły i poszły sunąć. Koła obracały się gładko, sprawnie, równo, lekko—dobrze by było ledz pod niemi—i biegły po szynach. Ciężki potwór pociągu, im dalszy, tem szybszy, tem podobniejszy do zwinnej żmii, znikł, wkrótce umilkł i hurkot pędzących wagonów, połknięty przez ciepłe, wilgotne powietrze. Zapadła cisza, senna i nudna, jak szare niebo, jak słońce, jak wieś jesienna, jak stacya w głuszy. Ludzie rozchodzili się, poziewając... Turowski patrzył jeszcze w dal. Na moment zawładnęła nim straszliwa tęsknota. Czemu nie wskoczył do uciekającego pociągu? Mknąłby dniem i nocą bez wytchnienia przez ludne kraje, przez olbrzymie miasta, widziałby ciżby ludzkie, ogromne gmachy, ulice pełne turkotu, wrzawy, pełne pośpiechu i światła, zanurzyłyby się, jak dawniej, w zgiełkliwy potok życia... Obraz wielkiego miasta zajaśniał mu w głowie. Dzwonki tramwajów elektrycznych i głucho, warczące dudnienie ich pędu, gwizd pociągów, ryk fabryk, szerokie okna sklepowe, wysokie kamienice i gwar, hałas, stukot, pośpiech, gonitwa... Kobiety, tysiące kobiet, tysiące ócz świecących, kuszących, natrętnych, gorączka pożądań, gorączka pracy... a pod czarnem niebem nocy, gdy cichnie wrzawa pracy, szept rozkoszy w przyhytkach żądz, w jaskiniach, w tajemniczych komnatach krótkiego szczęścia... Wyciągnąłby chciwe ręce po garście złota, po upojenie!... po co mu Hanka, po co bojowniczy trud! Jeszcze można żyć na świecie! Są piękne kobiety, jest szampań, jest złoto i są uciechy, kupowane za złoto. Złoto jest panem świata. Jaskrawe jego góry leżą wzdłuż gościńca życia, odbywa się wyścig tłumów, drżą pożądliwe, sępie, drapieżne palce wysuniętych rąk, każdy chwyta, zagarnia i bierze, każdy, kto może, toczą się zapasy, trwa walka... ten jest pan świata i ta jest myśl życia! — złoto...

...głupi był, że nie zmagał się z innymi, że nie cisnął się, że nie brał, że nie posiadał...

...głupi był, że marzył, że pragnął, że usiłował walczyć, przekształcić, przebudować...

...głupi był, że cierpiał, że szukał na świecie dróg, których niema, że wierzył...

...głupi był, bo jeden jest pan—złoto, głupi, bo i jego bojowanie, zwane inaczej, nie było borykaniem się o złoto, o złoto dla tych, którzy nie mają, którzy mieć pragną?...

głupi!... Miałby wszechmoc i rozkosz... Alboż tak upłynęłoby mu życie jego?

Bije z ziemi wodotrysk niewyczerpany, a na imię mu: użycie, na imię mu szczęście, tłoczą się dokoła niego ludzie, każdy z kubkiem. Na straży porządku, na straży wodotrysku stoi dozorca sędziwy i groźny, który się nazywa sprawiedliwość, i bierze zapłatę. Kto rzuci mu garść złota, napełni kubek i wypije—odejdzie, zbliżają się inni, płacą i znowu wracają, wciąż płacąc... Sędziwy i groźny dozorca nie dopuści nikogo bez złotej opłaty, sprawiedliwy dozorca...

On, Marcin Turowski, nie posiadał kubka i nie posiadał złota, głupi był... widział góry złota wzdłuż gościńca życia, widział bijący z ziemi wodotrysk szczęścia — i gardłował za czemś, czego nie słuchała ciżba śpiesząca, goniąca, głodna, chciwa... Bojował o złoto dla tych, którzy nie mają—stróż—dozorca sędziwy i groźny, stróż sprawiedliwy zostanie ten sam, sprawiedliwy dla tych, którzy płacą... i prawo życia zostanie to samo... Dlaczego nie wskoczył do uciekającego pociągu? terazby spróbował!... teraz postawiłby kubek żądy pod strugi wodotrysku, teraz zgarwałby kupę złota, teraz już wie, że zmieniają się tłumy walczące, że zwycięstwo może przejść do zwyciężonych, ale że stróż-dozorca, dozorca sprawiedliwy zostanie ten sam...

Żandarm kolejowy zajrzał mu w oczy — i to go otrzeźwiło. Na stacyi nie było już nikogo. Wyszedł na podwórze po konia, którego polecił jakiemuś chłopakowi. W tej chwili na trzęskim wozie zajechała matka. Miała niezliczone pakunki: widocznie wiozła sana na sprzedaż do Ugodzina masło w faskach, sery, grzyby, wędlinę. Strzegła czujnie każdej rzeczy.

Marcin chciał zemknąć, lecz zmienił zamiar i zbliżył się do matki. Pomógł jej wysiąść, pomógł zabrać część tłumoków.

— Raz, dwa, trzy, pięć... — liczyła Turowska. Potem krzykliwie wydawała fernalowi jakiś rozkaz, powielekroć powtarzany, wskazówkę, że ma jechać do domu stępa, że nie wolno mu nikogo podwieźć i t. p. Była zabryzgana błotem. Miała krótką spó-



dnicę, na głowie grubą chustę i kapelusz w rękę, zawinięty w chustkę.

— A ty, Marcysiu — zwróciła się do syna — wracaj wnet i strzeż, pozamykałam co mogłam, ale zawsze...

— Do widzenia — cicho przemówił Marcin i pochylił się do jej ręki.

Pocałowała go w głowę i zaraz znowu jąta liczyć pakunki. Odwykła snuć od podróży i traciła głowę. Każdy żyd i chłop na stacyi wydawał się jej podejrzanym złoczyńcą, czyhającym tylko na jej masło, sery, wędlinę. Miała błyszczące oczy i wypieki, dyszała, jak gdyby ze strudzenia. Ze starej, zniszczonej sakiewki wyjęła miedziaki i opłaciła posługacza, a gdy ten dopomniął się o więcej, dodała mu szybko jeszcze trzy kopiejki. W domu nie byłaby ustąpiła.

— Zdzierają—skarżyła się przed synem, wciągając odwieczne rękawiczki—byleby ruszyć z domu płac i płac... ale musiałam wyjechać... wiozę na sprzedaż masło, trochę serów, trochę wędliny i grzybów—mówiła cicho, oglądając się niespokojnie—zepchnę podatki i asekurację, może coś jeszcze się okroi... ciężkie czasy... co zbierzesz, to wydasz, co zarobisz, stracisz... — wtajemniczała syna, który stał z pochyłoną głową, myśląc o czem innym.

Oddawna już nie rozmawiali ze sobą.

— Damy sobie radę—zwierzała się dalej Turowska—byleby pracować, oszczędzać się, byleby głowa była na karku. Wszyscy wypuszczają mleko pachciarzom — nie zgodziłam się i dobrze. Wiozę dziesięć pudów masła, masło teraz po 16 rubli, sto sześćdziesiąt rubli z jednego miesiąca, to ładny grosz! po co żyd ma zarabiać?... Mówiłyby zapewne jeszcze długo, szczególnie podniecona, ale przerwał jej Marcin.

— Do widzenia — żegnał się znowu cichym głosem, znowu całując rękę matczyną.

— Wracaj tedy, Marcysiu, i już nie odjeżdżaj... Strzeż... Zajdź do gumna i do obory, żeby nie kradli, żeby wiedzieli, że ktoś czuwa... jutro będą rznęli sieczkę... zaraz każda baba zagarnie do spódnicy... dopilnuj — prosiła Turowska.

— Dobrze — szepnął Marcin.

— A gdyby przyszli po zboże, albo po pieniądze, nie dawaj nikomu nic. Zostawiłam, ile było potrzeba.

— Dobrze...

Marcin oddał się, dosiadł konia i ruszył. Tę noc spędził na przeglądaniu książek, listów, własnej pracy ekonomicznej (o czarytzmie) niedokończzonej, notatek, fotografii... Rysował się przed

nim trud życia, obraz lat, dobrych i złych. Dalekie to było i obce, nie budziło żalu. W duszy rozpostarł się spokój. Każdy ma przecież dzieciństwo i młodość, okres sił i szczęścia, każdy starzeje się i umiera. Przychodzą inni i żyją, trochę lepiej, trochę gorzej—może tak samo. Życie trwa we wszechświecie, płynie falą, może doskonali się. Cóż znaczy człowiek—atom, atom Turowski? Jest i niema go... Liście opadają—pełno ich było na drodze, pod drzewami, gdy jechał — giną owady i ptaki, nikną chmury, zmierają ludzie... A zawsze są zielone drzewa, jest śpiew ptaków, szemrze praca owadów, zawsze jest cudna gonitwa obłoków, cudne kołysanie się łanów, blask i plusk fal, gwar ludzki... zawsze jest życie bolesne i piękne, gorzkie i drogie, ciężkie i szczęśliwe, pełne brudów i krzywd, ale zapewne potrzebne, zapewne słodkie, zapewne doniosłe... atom Turowski... ...książki, notatki, arkusze studium ekonomicznego, jakaś mowa pisana w zapale, mowa-grom... ...pamiętki, skrawki wspomnień, szczątki istnienia... uczył się i wierzył, bojował, czuł wielkość własną i potęgę, chciał obalać i stwarzać — atom Turowski, pyłek Turowski, owad krnąbrny i pyszny...

Na drzewie wiekuistem drzał z oburzenia, z żądz panowania liść, jeden z tysiąca, liść jednoroczny i mówił do drzewa rodzica ów liść znikomy i wątpy: nie chcę być tobie posłusznym i żądam, żebyś mnie słuchał... wyrwę ciebie z korzeniami i zasadzę w innym miejscu... będziesz bliżej słońca... w wilgoci i w cieniu wędną dolne gałęzie... ja głoszę nowe prawo... wyrwę ciebie z korzeniami.

Tak szemrał znikomy liść, aż przyszedł dzień, że opadł zwierzony... Liście opadają, jedno zielone czasu burzy, przed porą, inne — cicho gasną. Wiele burz szalało, wielkie wiały wichry... Kładły się pokolenia, kładły się biedne rzesze ludzkie, rzesze głodne i ciemne, cierpliwe i posłuszne, znużone, sterane, padały karne szeregi na rzezi wojennej... historia świata... prastare drzewo trwa, wiecznie zielone... po co istniały miliony pokoleń, po co zapalały się ogniki żywotów, po co lały się potoki krwi i potu, brzmiał długi jęk? historia świata... warstwy kości, zaspasy prochu... I on, atom, pójdzie za wszystkimi...

A prawo życia, myśl życia — jest żyć, żyć aż do śmierci... jak łąny, jak trawy, jak obłoki, jak fala...

Dumał, patrząc w świece, które paliły się na biurku, niby dwie żywe istoty, dobrotliwe, spokojne, świadome przeznaczenia, cierpliwe. Potem dalej niszczył listy, arkusze rozprawy, fotografie, wszelką pamiętkę, wszelki po sobie ślad z ukrytym uśmiechem



· mądrości, z rozważnym spokojem. Tak samo niszczyłyby zabawki dzieciinne.

Dziecko wyrosło i dojrzało — pora już przestać, pora zacząć co innego.

Nie ogarniała go żadna trwoga, nie trapiło żadne pytanie. Jak gdyby poznał i wiedział. Spoglądał z wierzchołka, czynił szybki i niedbały przegląd przeszłości, zaledwie zatrzymując wzrok na wspomnieniach, które wstawały z martwych. Tam, na równinie dźbełko, pasemko pajęczyny, pełznąca mrówka — to on, Turowski Marcin, to jego droga, jego działalność. Spoglądał z wierzchołka.

Daleką już była tęsknota—żądza, której doświadczył jeszcze niedawno na stacyi w Zgorzelinie, daleką, jak pociąg, który ści-gał wówczas spojrzeniem. Gdzie jest ten pociąg w obecnej chwili? pomyślał przez mgnienie.

Noc, pod czarnym niebem gna pociąg, turkocząc, sypiąc iskrami. Jedzie Stefan, Paweł Naborowski i ona, Hanka. Niech jadą.

Atomy, mrówki, widziane z wierzchołka, mrówki na niezmiernej równinie. Nie widzi już pociągu! Chyba bardzo wyteńczył oczy!... Dziwny jest spokój dokoła wierzchołka i na wierzchołku.

Nad ranem, gdy świece, dobre istoty, dopalały się na biurku, ukończył zajęcia, położył się i spał mocno do południa. Wówczas posłał po karbowego i kazał mu zwołać chłopów z sąsiedniej wsi, żeby przyszli natychmiast i z worami. Następnie udał się do pokoju matki i tam długo wszelkiemi sposoby usiłował otworzyć komodę. Wydobył z niej wreszcie klucze od śpichlerza. Gdy chłopci zjawili się, wyszedł do nich. Stali wszyscy, sami starzy gospodarze, bez czapek, zdziwieni i niemi, może odrobinę trwoźni. Kazał im włożyć czapki, patrzył długo, jak gdyby w jakim namyśle, w ich badawcze, czujne, niespokojne, baczne, niedowierające oczy. Unikali jego wzroku.

Znowu po latach miał przed sobą tłum, w który mógł ciskać zagwiami płonących słów, który mógł rozzarzyć, poruszyć, porwać jak dawniej, jak ongi... Ale sam był już innym. Nie chciało mu się używać słów, nie lubił słów... patrzył ciągle w twarze sterczące, chude, ogorzone, niezgolone, na ręce czerwone, żylaste, mocne, brudne, na czapki spłowiałe, wyłożone, nędzne... Mrówki... Chłopi przestępowali z nogi na nogę.

— Mało macie ziemi? — zaczął donośnie.

— Mało, panoczku — odparli chórem.

— I zły urodzaj.

— A wiadomo kiepski — potwierdzili.

— Grad wybił, deszcz moczył i porosło — zatrzepał seple-  
niąc najstarszy wśród zebranych, dziad o małych, zapadłych, czar-  
nych oczach. Skarżył się szybko i niewyraźnie, opowiadając o ja-  
kiejś klęsce.

— Grad wybił — z roztargnieniem powtórzył Marcin.

— Idźcież i bierzcie — rzekł po chwili, otwierając śpichlerz.

Chłopi nie ruszyli z miejsca. Spojrzeli po sobie, spuścili oczy.

— Idźcie.

Chłopi westchnęli, ale ani drgnęli. Raz po raz któryś podej-  
mował na Marcina zdumiony wzrok, oglądali się niespokojnie.

— Bierzcież, kiedy każę! — huknął zniecierpliwiony Tu-  
rowski.

— Kiedy, panoczku, cudze — mruknął któryś.

— Nie nasze — zabrzmiał chór.

— Ale to moje jest i ja wam darowuję — mówił rozkazu-  
jąco twardym głosem. Pilno mu było i chciał, żeby to się prędzej  
skończyło.

— Pani przyjedzie — odbierze.

— Nie odbierze.

Nie poskutkowało i to zapewnienie. Wówczas wyrwał jedne-  
mu worek, sam poszedł do śpichlerza i sypał zboże. Piętrzyły  
się w zasiekach stopy żyta i owsa zeszłorocznego, które matka  
zachowała, spekulując na zwyczaj. Nasypał jeden wór i drugi.

— Idźcie — zapraszał znowu.

Wtedy rzucili się wszyscy gromadą, z pośpiechem, tłocząc  
się, pchając się.

Marcin stał na progu, uśmiechał się, wywijał różgą. Gdy  
nie zostało już ani ziarnka, i ostatni chłop wyszedł z ciężkim  
worem na plecach, zamknął drzwi.

— Po konie pójdziemy, panoczku — rzekł jeden z nich.

— Dobrze, poczekam.

I usiadł na jakimś kamieniu koło zboża. Miał dziwną twarz,  
ni to uśmiechniętą radośnie, ni to przed rozplakaniem się.

Chłopi wrócili niebawem z wozami, ładowali ziarno, poma-  
gając jeden drugiemu i kłócąc się, po tem odjechali nie składając  
podziękii, chyłkiem, jak gdyby po dokonanej zbrodni, unikając  
Marcinowego spojrzenia. Turowski przyglądał się im wszystkim  
razem i każdemu z osobna i nie mówił nic. Skrzypiały wozy na  
drodze, potem ucichło. Na podwórzu nie było już nikogo. Marcin.  
dumał. Twarz jego wciąż była dziwna. Sznur obładowanych mró-  
wek znikł. I dobrze. Będzie im przez chwilę lżej, potem znowu



'to samo, zawsze to samo. Ucieszyli się. Chciwie zagarniały chude, czerwone, zmordowane, brudne ręce, garściami cenne ziarno do worków, sprzedadzą, upiją się, napieką chleba, przetrzymają zimę — potem znowu to samo... Dobrze.

Turowski dzwignął się i nie rzuciwszy ani jednym spojrzaniem na dom, wyszedł w pole. Depcząc po rozbłoconych zagonach, po runi, dążył do lasu.

(dok. nast.)

KAZIMIERZ ZDZIECHOWSKI.

# Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Lublinie.

## (1818 — 1830).

### I.

Na mocy traktatów rozbiorowych (r. 1795) obwód lubelski przypadł w udziale rządowi cesarza austriackiego. Ze wszech miar destrukcyjna gospodarka urzędników niemieckich wkrótce doprowadziła Lublin do stanu opłakanego. W szkolnictwie miejscowym zaprowadzono opatrzny, przestarzały system nauczania, obywateli wyzyskiwano przez nakładanie wielkich podatków, ludność bez miary zaciągano do służby wojskowej, kościoły pojezuickie w Lublinie obrócono na magazyn wojskowy, klasztory stopniowo znoszono, liczne zaś powstające pożary niszczyły gmachy publiczne. W okresie tak ustalającej się gospodarki austriackiej w Lublinie, nadechdzić poczęły z Zachodu wiadomości o wypadkach pod Jeną i Auerstädem, kiedy w połowie 1807 roku rozniosła się wieść o urzędowym ogłoszeniu Księstwa Warszawskiego. Reakcja austriacka utrzymywała się jednak mimo wszystko w całej swej mocy. Wreszcie dnia 14 maja 1809 entuzjastycznie witany przez ludność z korpusem swoim znalazł się w Lublinie ks. Józef Poniatowski. Szczególny widok przedstawiały wówczas ulice miasta, świeżo uwolnionego z pod opieki Austrii. Wszystkie okna i balkony napełniały się podnieconymi chwilą widzami. Zewsząd powiewano chustkami...

Pułkownik z awangardy ks. Józefa — Dziewanowski zawczasu już był zorganizował zarząd departamentu lubelskiego, do zwierzchności cyrkularnej powołując podkomorzego Grabowskiego, b. posła na sejm Joachima Owidzkiego i trzech braci Józefa, Ku-



jetana i Wincentego Koźmianów. Tak więc już z ramienia nowej administracji było komu księcia Józefa powitać *ex officio*. Ze swej strony miasto i obywatele dali wielki bal dla wodza w domu na Korcach. Ks. Józef zaszczycił go obecnością swoją i był — jak pisze Koźmian<sup>1)</sup> — uprzejmy i wesół. Z Lublina minister wojny Księstwa Warszawskiego szybko ruszył z armią przez Zamość do Galicji. Życie w mieście powoli zaczęło cichnąć, w przyłączonym do Księstwa departamencie lubelskim wznagała się natomiast twórcza praca organizacyjna. Z godną podziwu szybkością powstaje w obwodzie szkolnictwo ludowe, w Lublinie odradza się szkoła departamentowa, w r. 1810 zakłada się średnia szkoła w Hrubieszowie, a zaraz roku następnego rząd Księstwa Warszawskiego powołuje do życia szkoły wydziałowe w Zamościu, Opolu i Chełmie. Tak więc w ciągu krótkiego czasu, mimo szczupłości środków skarbowych Księstwa, nowe rządy w departamencie do broczynny poczęły wpływ wywierać, dając świetne zapoczątkowanie akcji kulturalnej i dla dalej prowadzonej owocnej pracy w dobie przyszłego Królestwa Kongresowego.

Obok żywej działalności ze strony administracji Księstwa, w Lubelskiem wybitne spotykamy przykłady samodzielnej, z łona samegoż społeczeństwa wypływającej działalności obywatelskiej. Departament ten więcej od innych dzielnic obfitował w jednostki żywotne i chętne do pracy publicznej. Nie dziw też, że właśnie w Lublinie powstawała częstokroć inicjatywa społeczna o wiele wyprzedzająca w danym kierunku działalność pozostałych obwodów. Ze wszech miar ciekawą i godną uwagi jest w tym czasie poruszona przez prefekta lubelskiego Jabłonowskiego myśl zawiązania pierwszego prowincjonalnego Towarzystwa rolniczego. W grudniu roku 1811 prefekt nadesłał Radzie Centralnej Warszawskiego Towarzystwa Rolniczego właściwe zawiadomienie o projekcie lubelskim, kiedy w niespełna miesiąc widzimy już inicjatywę zamienioną w czyn. W myśl swojego założenia Towarzystwo rolnicze lubelskie unikało zbytnej centralizacji i w tym celu potworzono oddziały powiatowe w Zamościu, Tomaszowie, Tarnogrodzie, Lubartowie.<sup>2)</sup> Wieść o pierwszym odbytem posiedzeniu dochodzi w dniu 15 stycznia 1812 r. z Tarnogrodu, gdzie,

<sup>1)</sup> Kajetan Koźmian „Pamiętniki.“ Poznań 1858, t. II, str. 11—13.

<sup>2)</sup> Wł. Grabski „Historja Towarzystwa Rolniczego.“ Warszawa 1904, t. 1, str. 52—53. — St. Chełchowski „Lubelskie Towarzystwo Rolnicze.“ *Gazeta Rolnicza* 1901 nr. 25.

jak stwierdza protokół, w mowie inauguracyjnej szeroko uwzględniano kwestyę krajowej hodowli owiec; na takimże zebraniu powiatowem w Lubartowie Michał Ejdziatowicz czytał referat o „Uwagach nad przyczynami upadku i nędzy stanu rolniczego w Polsce i nad sposobami podźwignięcia onego.“ W dn. 15 i 16 lutego 1812 r. zarządzono ogólne zebranie Towarzystwa w Lublinie; obecnych było na niem 26 członków. W powitalnej mowie prefekt ks. Maciej Jabłonowski wzywał zebranych do powszechnego zorganizowania zebrań powiatowych, poczem dłużej radzono nad usunięciem Żydów z karczem i zaprowadzaniem oszczędności w wydatkach. Bliższe omówienie spraw tych pozostawiono jeszcze do roztrząsania towarzystwom powiatowym. W innych punktach porządku dziennego uwydatniły się przemówienia Jasińskiego i Kraszewskiego o zbiorze koniczyny, nadto Józefa Wyszyńskiego o zakładaniu fabryk cukru z buraków. Wiemy dalej, że na jednym z następnych posiedzeń W. Horodyński miał odczyt „O nawozie, czyli pomnożeniu gnoju;“ bliższe ślady działalności Towarzystwa zatarły się w pomroku wypadków wojennych. Mimo to (nawet nie zważając na ogólne w tym czasie napięcie polityczne z powodu epokowych wydarzeń Napoleońskich), powszechna akcyja obywatelska w lubelskiem nie słabnie wcale, czego żywym przykładem programat „Popisu publicznego uczniów szkoły lubelskiej,“<sup>1)</sup> gdzie czytamy, że „na żałośny głos nauczycielów, iż są bez książek, czuli miłośnicy znaczną dosyć złożyli sumę do utworzenia Instytutu bibliopolicznego. Można śmiało mówić, że stopień do jakiego w niektórych wiadomościach posunęły się szkoły w r. 1812 temu ułatwieniu winni jesteśmy. Instytut bibliopoliczny, wniesiony na pierwszą odezwę profesorów do osób sprzyjających naukom, jak świadczą dzieje obrad Zgromadzenia w chwili rozpoczęcia nowego porządku Edukacyi zastępował brak i niepełny jeszcze wybór dzieł potrzebnych w bibliotece szkolnej tem dogodniej, że roku 1813 w domu szkolnym unieszczone pod bezpośrednim szkół tych dozorem zostawał.“

Tak więc w Lubelskiem nie ustawała praca obywatelska, kiedy w lutym roku 1813 rząd Księstwa wraz z resztkami armii opuścił Warszawę, zajętą nazajutrz przez wojska rosyjskie, które niebawem całe Księstwo objęły w posiadanie. Wkrótce potem powstaje Najwyższa Rada Tymczasowa Warszawska i zajmuje się

---

<sup>1)</sup> „Popis publiczny uczniów Szkoły Wojewódzkiej Lubelskiej.“ Lublin 1818, str. 26 in IV-to.



przygotowawczemi sprawami do zorganizowania konstytucyjnego Królestwa Kongresowego. Na porządek dzienny wypływają wielostronne kwestye społeczne, między któremi szczególniejszą uwagę zwróciła zapoczątkowana przez władzę wyższą ankieta krajo-  
wa, co do zapatrywań ziemian na kwestyę polepszenia bytu włościan. Województwo lubelskie szczególnie w tej sprawie było zainteresowane, ile że na ogólną ludność z górą 400,000 (w r. 1818 województwo liczyło 412,731 mieszkańców) zastęp włościan był najliczniej reprezentowany ze wszystkich dzielnic Królestwa i wynosił 56,195, nie włączając wcale 21,129 zagrodników, komorników i służby. Podkreślić tu wypada, że ludność włościańska w Lubelskiem, w stosunku do innych województw, czy departamentów, była stosunkowo dość dobrze uposażona w ziemię, i kiedy na jedną osobę przeciętnie wypadało tutaj po 22,7 morg., w krakowskiem statystyka wskazywała zaledwie 10,4, w kaliskiem 15,5. Jedno tylko płockie prawie że dorównywało lubelskiemu, bo sięgało po 21,9 morg. na jednego włościanina. Tem chlubniej więc świadczy o ziemiaństwie lubelskiem, iż mimo lepszych stosunkowo warunków włościańskich niż w innych stronach, niemal ogół obywateli oświadczył się w ankiecie za chęcią poprawienia bytu matorolnych. „Zapytajmy się samych siebie — pisał jeden z obywateli, Piotr Balicki <sup>1)</sup> — czem jest włościanin w Polsce, co jego za dola, co go od przemocy broni, czyli w istocie jest dość mocne prawo obronić go od ucisku, czyli w pracy swojej znajduje tę nagrodę, aby mógł żyć swobodnie? — Na każde z tych zapytań, o wspacznym, sprawiedliwości prawa i ludzkości przekonamy się skutku. Czy jest ten człowiek, który do pierwszych potrzeb życia nie ma więcej nadto, co mu dziedzic lub oficjalista ekonomiczny pozostawił!“ W takim przeważnie tonie nadchodziła większość odpowiedzi od ziemian lubelskich, stanowiskiem swoim najwymowniej stwierdzających aspiracye bardziej postępowe, bardziej ludzkie.

W maju roku 1815 na mocy traktatów kongresu wiedeńskiego, ustalono przynależność do Rosyi Królestwa Polskiego, zaś w kraju stopniowo wchodzi w życie ustawy pozwalające korzystać z praw dość szerokiej autonomii i swobód obywatelskich. Ogłoszenie o wprowadzeniu nowego ustroju politycznego w kraju obudziło ogólne zajęcie umysłów. Generał Radziwiński, zastępca

---

<sup>1)</sup> „Projekt względem ulepszenia losu włościan“ przez P. Balickiego (Arch. rękop. Czartoryskich w Krakowie — № 5234).

prefekta lubelskiego, głosił, „że odzyskaliśmy byt narodowy, spełnione są te życzenia, do których Polak przy tak licznych ofiarach, przy tylu poświęceniach się bezskutecznie dążył.“ W innym nieco tonie przemawiał Grzymała, prezes rady departamentowej lubelskiej. „W sześćdziesiątym roku życia mojego — mówił — przystępując do tej nowej zmiany widzę w niej byt nasz narodowy... A zatem kochając z całą miłością ojczyznę swoją, widzę, że ją mam... i do zaprzysiężenia tejże wpośród współziomków moich przystępuję.“ Poseł lubelski Joachim Owidzki mowę swoją kończył: „Do tych szczodrot, tak wysoko od narodów cenionych, dodać raczył wielkomyślny Aleksander szczególne dla nas swobody i prawa. Zostawia nas przy rządzie własnym i wojsku.“<sup>1)</sup>

W Lublinie więcej niż w innych miastach prowincjonalnych powstaje wcale silny ruch społeczny i intelektualny. Zawsze gorliwy w zabiegach, kiedy chodziło o budzenie żywszego tętna w społeczeństwie, prokurator Klemens Urnowski wydaje w r. 1815 „Almanach lubelski,“ tegoż roku w Lublinie powstaje jedno z najstarszych w kraju Towarzystwo dobroczynności. Trzynastego maja 1816 roku pod prezydencją Rozalii z Lubomirskich hr. Rzewuskiej zawiązuje się godne uwagi na ową dobę — Lubelskie Towarzystwo Przyjaciół Muzyki. W tymże czasie, niezależnie od wychodzących co roku w Lublinie kalendarzy, pod wpływem zbudzonego ożywienia społecznego w r. 1816 powstaje „Dostrzegacz ekonomiczny i polityczny lubelski,“ którego, po niespełna półrocznym istnieniu, zastąpił w r. 1817 „Pamiętnik gospodarczy i naukowy lubelski.“ Z „Doniesienia“ dowiadujemy się, że myśl wydawania w Lublinie, „jako pierwszym po Warszawie mieście w Królestwie“ „pisma peryodycznego gospodarczego“ podał wydawcy, drukarzowi miejscowemu, Janowi Karolowi Pruskiemu prokurator K. Urnowski, późniejszy profesor Uniwersytetu Warszawskiego i autor licznych prac naukowych. Na redaktora wydawca uprosił „jednego z profesorów szkół tutejszych,“ ale prenumerata napływała bardzo skąpo, i pierwszy numer miał zaledwie 30 przedpłacicieli.<sup>2)</sup> Zawiodły też nadzieje na udział współpracowników a redaktorowi wypadło być autorem całego dzieła. Kie-

1) Józef Bojasiński „Rządy Tymczasowe w Kr. Polskiem.“ Warszawa 1902. Monografie w zakresie dziejów nowożytnych — wyd. Szymon Askenazy. Tom I, str. 34—35.

2) H. Lopaciński „Pamiętnik Gospodarczy i Naukowy w Lublinie.“ Odbitka z „Kalendarza Lubelskiego“ na r. 1899.



dy nareszcie i liczba prenumeratorów doszła zaledwie do kilkadziesiątu, Pruski narażony na duże straty nakładowe, zdecydował się wydawać miesięcznik, któryby do sześciu arkuszy druku zawierał. W końcu jednak zamiary wydawcy spełzły na niczem i widząc, że prenumeratory się nie zjawiają, na ostatniej stronie № 1 „Pamiętnika“ ogłosił: „Mam zamiar oświadczyć łaskawym prenumeratorom, że mimo uczynionego na wstępie projektu względem dalszego wydawania tego dzieła, od zamiaru odchodzę. Lublin, dnia 23 czerwca 1817 roku.“ Zarówno „Dostrzegacz“ jak i „Pamiętnik“ nie mógł jeszcze znaleźć poparcia u czytelników, ale zważyć trzeba ogromne trudności wydawania pisma specjalnego na początku ubiegłego stulecia, kiedy i dziś jeszcze nasze organy fachowe licie znajdują poparcie u szerszego ogółu, jak nie mniej nawet w kołach ludzi zawodowych.

Z drugiej strony nie da się powiedzieć, aby ożywienie społeczne wśród ziemian w tym czasie miało stracić na dawnym napięciu. Przeciwnie, społecznie nawet widzimy pewne wznożenie się ruchu ohywatelskiego w lubelskiem. Towarzystwo Królewskie Gospodarczo-Rolnicze w Warszawie, chcąc rozwinąć szerszą działalność ziemian w kraju, wystosowało odezwę do wszystkich prezesów wojewódzkich, nalegając na zakładanie poszczególnych towarzystw rolniczych prowincjonalnych. Nawoływania Warszawskiego Towarzystwa z pośród głuchych na tego rodzaju zachęty innych województw, skuteczny odzew znalazło w Lublinie. W myśl danej inicjatywy prezes komisji wojewódzkiej lubelskiej, Domański, przejęty ideą dobra społecznego, zaprosił w dniu 20 maja 1817 r. 23 osoby na sesję wyborczą, celem nominowania członków zarządu zawiązać się mającego Towarzystwa Rolniczego w Lublinie. Po dłuższych naradach, po odmowie Radzimińskiego z Biskupic, prezesem Towarzystwa jednogłośnie obrano Joachima Owidzkiego, pośła lubelskiego, „męża — jak pisał „Pamiętnik lubelski“ — z obywatelstwa, gorliwości o dobro kraju, z różnych znakomitych urzędowań, z nauk i z wzorowego rolnictwa znanego.“ Na sekretarza generalnego powołano Wincentego Kossakowskiego. Po dokonanych wyborach prezes Owidzki przedstawił stan upadku rolnictwa i przyczyny tego zjawiska, podając wreszcie środki, jakimi podnieść stan włościański i pomnożyć jego dobytek. Następne, drugie posiedzenie odbyto w dniu 20 czerwca tegoż 1817 roku, na które stawiło się 107 osób z miasta i obywatelstwa. Zebranie zagał prezes Owidzki przemówieniem, w którym przedstawił różne okresy wzrostu i upadku rolnictwa, znaczenie jego i przywileje nadawane przez różnych monarchów temu

stanowi; jego wartość użyteczność i trwałość, wykazując wreszcie pierwszeństwo rolnictwa przed innymi zajęciami. Podnosił znaczenie zniesienia t. zw. dziesięcin wytycznych, a w końcu przeczytał ułożoną przez siebie ustawę Towarzystwa, którą zebrani jednomyślnie przyjęli. W uzupełnieniu tego statutu, odczytano jeszcze nadto „Projekt do ustaw dla Towarzystwa rolniczego województwa lubelskiego,“ ułożony przez Wojciecha Gutkowskiego, ruchliwego ekonomistę, ex-redaktora „Dziennika ekonomicznego zamojskiego“ (Zamość 1803—1804). Gutkowski uważając, że pisma teoretyczne małe sprawiają wrażenie, a często nawet odstręczają dla swej niepewności, proponował doświadczenia rolnicze, dokonywane przez Towarzystwo na wydzierżawionych gruntach. Celem zebrania odpowiedniego funduszu zalecał wydanie 60 akcji po 500 złp., a z zebranych pieniędzy 15,000 proponował obrócić na dzierżawę włości, zaś drugie tyle włożyć w zaprowadzenie wzorowego gospodarstwa i urządzeń przemysłowo-rolnych. Z racji przedsięwzięcia takiej pracy Gutkowski przeciwny był uznawaniu Warszawskiego Królewskiego Towarzystwa Gospodarczo-Rolniczego za instytucję zwierzchnią dla Lublina, zalecając jedynie utrzymywanie z niem przyjaznych stosunków.

Projekt ustawy składał się z 73 paragrafów, w których Gutkowski stopniowo omawia organizację Towarzystwa i urządzenie gospodarstwa doświadczalnego. Majątek miał być wydzierżawiony na lat 20. We wsi tej projektował założenie szkoły gospodarstwa praktycznego z rocznym kursem, w ciągu którego dwie godziny dziennie byłyby poświęcone teorii. Działalność ściśle rolnicza Towarzystwa miała być skierowana głównie do gospodarstwa roślinnego, zwierzęcego i technologii rolniczej. Tak więc w szczegółach swoich projekt Gutkowskiego mijal się nieco z przyjętą na zebraniu bardziej uproszczoną ustawą Owidzkiego. W zaakceptowanym statucie Towarzystwo cel swój wyrażało w „dążeniu do podniesienia upadającego rolnictwa, ożywieniu w niem przemysłu i pracy, szukaniu rzetelnego dobra dla kraju,“ dalej ustawa potwierdza w zupełności program Towarzystwa Królewskiego Gospodarczo-Rolniczego w Warszawie, które uznaje za swą naczelną władzę (§ 9.) i w duchu jego rozmiarów pragnie działać i jego polecenia za obowiązujące uznawać. Co do liczby członków, Towarzystwo pocztu nie ogranicza (§ 15) i dostęp ułatwia nie tylko dla rolników, lecz lista pozostaje otwartą dla wszelkich klas. Zebrania odbywać się miały trzy razy do roku w dniach 20 czerwca, 20 października i 20 marca, „gdyż do tych terminów przywiązane są zdarzenia ważne w rolnictwie i takie właśnie pożyte-



czne zajmą narady (§ 10).“ Nadto w ważnych sprawach miano zwoływać zebrania nadzwyczajne. W myśl § 1 ustawy Towarzystwo Rolnicze Lubelskie podzielono na cztery wydziały: 1) rolnicy, 2) leśny wraz z ogrodnictwem, 3) wychowu wszelkiego rodzaju pożytecznych zwierząt, 4) umiejętności i kunsztów. Dyrektorem wydziału rolnictwa obrano W. Estkę, a asesorem Domańskiego; ogrodnictwa i leśnictwa—dyrektora poczt W. Grundicka; asesorem — nadleśnego Ordynacyi Zamoyskiej, Szwaba; kunsztów i umiejętności — zarządzającego Ordynacją Zamoyskich, Mallhomme'a, a asesorem — angielskiego mechanika Macdonalda; chowu bydła — Świeżawskiego, asesorem — W. Załęskiego z Raciborowic. Bliższe dzieje Towarzystwa lubelskiego są nieznanne, p. St. Chełchowski utrzymuje w „Gazecie Rolniczej“ (1901 r. № 25), że razem z Towarzystwem Królewskim Gospodarczo-Rolniczem w Warszawie upadło około roku 1820. W archiwum rękopisów biblioteki uniwersyteckiej w Warszawie znalazłem pisaną przez Gutkowskiego „Ustawę Towarzystwa Rolniczego Województwa Lubelskiego“ z adnotacją u góry „do posiedzenia ogólnego z dnia 11 listopada 1821 roku.“<sup>1)</sup> Nowa ta ustawa składała się ze stu punktów, ale czy miała posłużyć dla zreorganizowania dawnego Towarzystwa, czy też powstania już nowego — trzeciego w Lublinie, tego wysledzić mi się nie udało.

Całość przedstawianego przez nas ożywienia intelektualno-społecznego w Województwie Lubelskiem wypadłaby jeszcze niezupełnie, gdybyśmy pominąć mieli jeden z najcharakterystyczniejszych objawów społecznych, obywatelskich — daru hrubieszowskiego Stanisława Staszycza. Już od roku 1801 klucz hrubieszowski znajdował się w ręku tego znakomitego obywatela. W niezwykłej miejscowości, podzielonej następnie na 60-morgowe działki zapanował ustrój społeczny i ekonomiczny, jaki nie mało wpływał na powolne kształtowanie się pojęć odmiennych, od starej rutyny kojarzeń myślowych w kraju szlachty starej daty. Oprócz jednak celów polityki ekonomicznej Staszyc, ustanawiając gromadę hrubieszowską, miał na celu również postęp kulturalny i oświatowy gminy. Z mocy zawarowań Staszycza w każdej z czterech wsi, należącej do gminy, urządzono szkołę, a piątą w samem miasteczku Hrubieszowie. Dobroczyne skutki z podniesienia poziomu oświaty w kluczu hrubieszowskim rychło wybitnie zaznaczać

<sup>1)</sup> Archiwum rękopisów biblioteki uniwersyteckiej Warszawskiej, kod. pap. № 494.

się poczęły w gospodarce tamtejszej ludności. W tej ewolucji oświatowej może właśnie jedynie szukać należy podstawy zrozumienia swego stanowiska przez włościaństwo hrubieszowskie. W podnoszeniu świadomości gospodarczej kmieci, być może, ukrywała się cała tajemnica znakomitych rządów w ówczesnem włościańskim Towarzystwie Rolniczem w Hrubieszowie. Działalności Staszycy, niewątpliwie, w pierwszym rządzie przypisać należy zasługę, że czynem własnym zwrócił uwagę społeczeństwa i w życiu dosadnie wykazał niezbędną konieczność wzniesienia walki z analfabetyzmem i podjęcia akcji zakładania szkółek. Jeżeli nie bezpośrednio to pośrednio Staszyc w lwiej części wpłynął na zbudzenie się w Królestwie Kongresowem silniejszej działalności oświatowej. Lublin, ktorego tętno życia umysłowego i społecznego było znacznie wyraźniej niż w innych ogniskach kraju, nadawał się w szczególniejszy sposób do akcji rozszerzania w województwie doniosłej idei szkolnej. To też nie dziw wcale, że przy zabiegliwym poparciu ze strony rządu Królestwa Kongresowego, Województwo lubelskie w roku 1820 liczyło już 105 szkół elementarnych, to znaczy miało ich z górą dwa razy tyle, ile ich widzimy później w roku 1835.<sup>1)</sup> Podkreślić również wypada doskonały stan szkół wydziałowych w powiatach, nie potrzebując zbytnio podnosić prawdziwie kwitnącej podówczas szkoły wojewódzkiej w Lublinie, obsadzonej wybornie w ciału nauczycielskie, i uposażonej wcale zamożnie w utensylia naukowe.

Z upadkiem w r. 1817 w Lublinie wspomnianego już wyżej Instytutu bibliopolicznego, na mocy odstąpionych szkole  $\frac{3}{4}$  akcji skompletowano fundusze 5,400 złp. i w stosunku do wartości udziałów komitet obywatelski złożył 677 dzieł w 1,394 tomach. Przy pomocy tej znacznej ofiary odrazu podniesiono bibliotekę szkolną, którą dotąd zasilano tylko prywatnemi darami i szczupłemi zasiłkami, kiedy niekiedy przez rząd udzielanemi. W tym też czasie powstaje przy Szkole lubelskiej gabinet fizyczny i mineralogiczny, stale odtąd wzbogacany licznemi, nieraz większej wartości darami. Liczną była również w Szkole frekwencya młodzieży, mimo iż wówczas Lublin liczył zaledwie z górą 12 tys. mieszkańców, a po miastach powiatowych miano swoje szkoły wydziałowe, w r. 1819 Szkoła lubelska liczyła 384 uczniów, a poczet ten wzrastał stale, tak iż w r. 1828 wynosił 600 młodzieży,

---

<sup>1)</sup> H. Wiercieński „Opis statystyczny gub. lubelskiej.“ Warszawa 1901, str. 163.



w przeciwieństwie do roku 1840, kiedy do gimnazjum tamtejszego uczęszczało 377 wychowanców.<sup>1)</sup> Szkoła wojewódzka lubelska miała też wpływ szeroki na ówczesne umysły a działalnością swoją zasłużyła na specjalną uwagę. Kierownikiem, duszą ówczesnej Szkoły był człowiek niezwyklej miary, nie tylko jako pedagog i rektor, ale jako opiekun sercem całym miłujący młodzież. Rektor Andrzej Smolikowski, sam wysoce wykształcony, uczeń Kołłątaja i Jana Śniadeckiego, skupił wokoło siebie najwybitniejszych ówczesnie profesorów szkół średnich. Niektórzy z podwładnych mu nauczycieli, jak Morykoni, Neuburg, Witkowski, sami w następstwie powołani zostali na rektorów, inni znów jak Jan Kanty Krzyżanowski przeszedł na członka komitetu do ksiąg elementarnych przy komisji oświecenia, a Woelke — na profesora starożytności i literatury do Uniwersytetu Królewsko-Warszawskiego. Duch szczerze naukowy, jaki panował w gronie rady profesorskiej, niekłamana miłość dobra społecznego i zapał do pracy, jaki bił ze Szkoły lubelskiej, nie mógł bez dobroczyńnego pozostawać w Województwie wpływu. Obywatelska, od r. 1789 prawie bez przerwy przez lat 40, działalność pedagogiczna Andrzeja Smolikowskiego, przygotowywała glebę umiejętnie, by posiane ziarno przyniosło plód zdrowy i obfity. W tej pracy znoej rektora Smolikowskiego w dużej części szukać należy przyczyny intelektualnego tętna umysłowego w Lublinie, tętna, któremu miasto zawdzięcza, iż historii wolno go wysunąć na czoło ówczesnych grodów prowincjonalnych.

Ale nie należy zapominać, że dzięki pomyślnemu zbiegowi okoliczności, obok rektora Smolikowskiego, w okresie pierwszej ćwierci zeszłego stulecia w Lublinie i jego województwie widzimy cały zastęp jednostek świątłych i ruchliwych, prace których były niejako uzupełnieniem społecznych zabiegów kierownika Szkoły lubelskiej. Do szeregu tych ludzi w pierwszym rzędzie należy wspomniany już Wojciech Gutkowski, zwłaszcza w sferach ziemiańskich dający wiele inicjatywy o szerszym pokroju. Pominać niewolno też świątłej działalności Jana Tomorowicza, doktora medycyny i chirurgii, dalej Kossakowskiego, komisarza wojewódzkiego, Franciszka Kuberskiego, profesora szkół lubelskich, człowieka nader ruchliwego, autora wielu prac w zakresie nauk przyrodniczych i stałego wydawcy lubelskiego „Kalendarza gospodarskiego.“ Wybitne miejsce w ówczesnem życiu odgrywał również

<sup>1)</sup> Ibid. str. 174.

przeor dominikanów O. Teofil Wszelaki, człowiek zalet duchowych i głębszych wiadomości naukowych. Dodać też wypada, że w lubelskiem w tym czasie stale zamieszkiwali dwaj pisarze wybitni, całemu krajowi znani — Franciszek Zabłocki i Kajetan Koźmian. Tak więc widzimy, że obok najruchliwszych wówczas na prowincyi stron płockich i kaliskich, Lublin miał dane ku zajęciu specjalnego stanowiska, dalekiego od cech właściwych prawdziwemu partykularzowi. O tętnie życia stanowią nie miejscowości, ale ludzie, którzy w danej okolicy przebywają. Wydawca „Pamiętnika Lubelskiego“ J. K. Pruski miał wszelkie ku temu dane, by gród swój nazwać „pierwszem po Warszawie miastem w Królestwie.“

Znając bliżej nastrój społeczeństwa lubelskiego, nie można się i dziwić, że zapragnęło ono pierwsze przyświecać przykładem pozostałym grodom prowincjonalnym. Dla hasła podniesienia tętna oświatowego wśród warstw niższych, dla celów zakładania szkół i szkółek, a zarazem spólnego zogniskowania wszystkich jednostek nie obojętnych dla spraw ewolucyi tajników wiedzy, nie dziw, że w Lublinie w roku 1818 dojrzała myśl zawiązania wojewódzkiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Opiekuńcze rządy Królestwa Kongresowego sprzyjały wielce w doprowadzeniu do skutku podjętej raz na czasie myśli. Teka ministra oświecenia nie próżno spoczywała w ręku jednego z najgorliwszych rzeczników postępu nauki. Lubelskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk nie długo też czekało na zatwierdzenie ustaw przez ministerium Stanisława hr. Potockiego.

## II.

„Długo miłośnicy nauk w Województwie Lubelskiem ubolewali — głosi metryka powstania Towarzystwa<sup>1)</sup> — że przy niemożności połączenia sił swoich i bez wzajemnego udzielania swych myśli, nie mogli dość korzystnie naukowemu poświęcić się zawodowi. Niedostateczna ich liczba w samym Lublinie, a trudność komunikacji z mieszkającymi na prowincyi, była temu przeszkodą. Zebranie się wreszcie Rady ohywatelskiej na posiedzenia swe

<sup>1)</sup> Wstęp do „Ustaw Tow. Przyj. Nauk w Lublinie.“ Lublin, druk K. Pruskiego, roku 1820, str. 20.



w miesiącu maju roku 1818 tak długo oczekiwaną dało sposobność; jakoż za staraniem kilku mężów równie zaszczyconych pięknymi nauk zalety, jak gorliwych o skutek tych zbawiennych zamiarów—pierwszy zawiązek Towarzystwa tego w samejże Radzie w dniu 23 miesiąca maja roku 1818 utworzony został. Towarzystwo to, złożone wówczas z radców wojewódzkich, których imiona w pocście członków będą dla nich zawsze chlubą i pierwszej zasługi zaletą, złożone z urzędników, nauczycieli wojewódzkich i niektórych wojskowych, przybrało tytuł: „Towarzystwa Przyjaciół Nauk,“ a za cel działań swoich, „nie tak wyższych nauk przedmioty, jak raczej pierwiastkową młodzieży instrukcyą i staranność o rozkrzewienie nauk początkowych w szkołach elementarnych wiejskich i miejskich.“ Raz uznawszy potrzebę ściślejszej organizacyi naukowej, założyciele Towarzystwa lubelskiego nie zwlekali z ukonstytuowaniem się instytucyi. W miesiąc po zapadłej uchwale utworzenia Towarzystwa, w dniu 21 czerwca Rada Wojewódzka zwołała drugie przedwstępne posiedzenie, na którym ostatecznie ułożono regulamin i statut działalności „Przyjaciół Nauk.“ Aby zaś „w zbawiennym zamiarze,“ jak się wyraża ustawa, z tem większą działać powagą, Towarzystwo złożyło raport Komisji rządowej wyznań religijnych i oświecenia publicznego, przedstawiający plan przyszłej działalności, prosząc o urzędowe zatwierdzenie instytucyi. Odpowiedź nadeszła z szybkością godną zaznaczenia nawet w naszych, obecnych warunkach: petycja Towarzystwa Lubelskiego, już w dniu 7 lipca t. r. znalazła sankcyę oficyalną w Warszawie, wraz z dodaniem słów życliwych, dobrze świadczących o ówczesnym duchu obywatelskim Komisyi.<sup>1)</sup> „Rozważywszy nadesłane sobie pod dniem 25 (czerwca) r. b. ustawy zawiązującego się Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Województwie Lubelskiem, z prawdziwem ukontentowaniem widzi (Komisya) chwalebne gorliwych Obywateli zamiary rozszerzania oświecenia przez najistotniejsze środki, a między innemi przez usiłowania, mające ułatwić rozszerzanie szkół elementarnych. Nie wątpi Komisya rządowa, iż wytrwanie członków Towarzystwa w dążeniu do tak zbawiennego celu, znakomite przynieść może dla kraju pożytki, i tem chlubniejszemi staną się wykonane ich prace, że będą mogły posłużyć na wzór i zachęcenie dla innych Województw.“ Po tak gorąco skreślonej odpowiedzi Komisji rządowej, Towarzystwo niebawem przystąpiło do ściślejszej

<sup>1)</sup> K. W. Wójcicki. Bib. Warsz. 1875, tom IV, str. 178—184.

szej organizacyi, zapraszając do udziału szersze grono członków, dla informacyi których w druku ogłoszono przepisane ustawy. Statut lubelski w ogólnym zarysie wzorowano na Królewskim Towarzystwie Przyjaciół Nauk w Warszawie, program rozszerzając jedynie przez dodanie akcyi oświatowej i pedagogiczno-szkolnej.

Dla wypełnienia zakreślonych celów, Towarzystwo postanowiło: „a) udzielać prace oryginalne w przedmiotach nauk i umiejętności; b) czynić tłómaczenia dzieł wzorowych, zwłaszcza takich, których upowszechnienie szczególniej byłoby użyteczne; c) czynić wyjątki z wszelkich pism peryodycznych i tychże wiadomości związek z naukami i umiejętnościami mających Towarzystwu udzielać; d) ułatwiać sposobności czytania użytecznych książek i nabywania onychże w wszelkich klasach społeczności; e) roboty i tłómaczenia na publicznych posiedzeniach czytać, lub w imieniu Towarzystwa drukować się mające, roztrząsać; f) nad wszelkiemi metodami początkowej instrukcyi zastanawiać się, i też do okoliczności miejscowych zastosowywać; g) do zakładania szkółek miejskich i wiejskich zachęcać, i ile możności zaprowadzenie onychże ułatwiać“ (§ 2). W miarę stopniowego rozwoju instytucyi, Towarzystwo pracę swoich członków zamierzało podzielić „na trzy działy, t. j. nauk, umiejętności i instrukcyi elementarnej“ (§ 3). Posiedzeń publicznych postanowiono odbywać dwa do roku, w dniu 18 kwietnia i 18 października w sali popisów szkolnych (§ 9). Zwyczajne zaś posiedzenia miały się odbywać w pierwszą niedzielę każdego miesiąca o godzinie 9-ej z rana w gmachu szkolnym (§ 10). „Na publicznych posiedzeniach czyniony będzie w krótkości raport z działań Towarzystwa przez prezesa, jako też ogłoszenie ubytych i przybyłych członków, tak czynnych jak i honorowych, poczem nastąpi odczytanie cenniejszych prac członków na posiedzeniach zwyczajnych do tego przeznaczonych“ (§ 13). W myśl zakreślonego ustawą § 28 dla uniknięcia odczytywania na zebraniach prac nie licujących z powagą Towarzystwa naukowego, wszystkie odczyty na publicznych posiedzeniach mają być wygłaszane, „lub które mają w imieniu T-wa wychodzić, podlegają poprzedniemu roztrząśnieniu i tym celem mają być na imię prezydującego złożone.“ Prezes otrzymane pismo oddaje komisyi z dwóch lub trzech osób złożonej (§ 29), która w oznaczonym czasie wyłoży treść pracy i wyrazi na piśmie swoje zdanie i uwagi. W skład prezydium Towarzystwa mieli wchodzić: prezes, wice-prezes, sekretarz i zastępca sekretarza. Wszyscy ci członkowie zarządu wybieralni byli co dwa lata (§§ 15—17). Obowią-



kiem prezesa było: „prezydować i obrady zagajać, — rozważyć jakiegokolwiek rzeczy raz tylko do następującego posiedzenia odłożyć dla dokładniejszego roztrząśnienia, — w imieniu Towarzystwa pisać, odpowiadać, zapytywać się i posiedzenia w każdym razie potrzeby zwoływać, — przy końcu urzędowania zdawać sprawę z prac Towarzystwa na publicznem posiedzeniu, — równość zdań rozwiązywać“ (§ 18). Sekretarz miał być pomocnym prezesowi, nadto „utrzymywać dziennik wszelkich posiedzeń Towarzystwa, mieć skład aktów pod swoim dozorem, pobierać składkę, zatrudniać się zaspokojeniem wszelkich wydatków, tudzież redakcją roczników, składać corocznie rachunki przed komisją z trzech członków od prezesa wyznaczoną“ (§ 19). „Wszelkie wydatki czynione być mają tylko stosownie do postanowień Towarzystwa, w czem większość głosów stanowi“ (§ 20). Artykuł dodatkowy orzeka, iż „członki Towarzystwa przyrzekają sobie nawzajem wszelkie oznaki szacunku i związku“ (§ 31) a nadto Towarzystwo zastrzega sobie prawo przejrzenia tych ustaw co dwa lata „i poprawienia niedogodności“ (§ 32).

Tak w ogólnem brzmieniu zredagowaną i ułożoną ustawę podpisało z łona lubelskiej Rady wojewódzkiej 24 założycieli Towarzystwa. W gronie tem spotykamy nazwiska ludzi powszechnie poważanych, znanych z prac na polu obywatelskiej pracy publicznej. Do członków założycieli wliczono: prezesa Rady Joachima Owidzkiego, Piotra Balickiego, Białoskórskiego, Ignacego Bielskiego, Sebastjana Czaplica, Józefa Darowskiego, Leona Dembowskiego, Dłuskiego, Wojciecha Dolińskiego, Jana Głogowskiego, Józefa Jabłonowskiego, Jezierskiego, Józefa hr. Małachowskiego, Andrzeja Mazurkiewicza, Wincentego Ostrowskiego, Kazimierza Puchalę, Antoniego Radzymińskiego, X. Jana Radzymińskiego, X. Skórskiego, Wincentego Skotnickiego, Jana hr. Suchodolskiego, Tuszyńskiego, Antoniego Wisłockiego i Tomasza bar. Wszyńskiego. W ramy ujęty zakres działalności Towarzystwa, stopniowo znajdował urzeczywistnienie w podejmowanych pracach członków. Nie zwlekając długo, niemal z miejsca przystąpiono do obrania Zarządu Towarzystwa, powołując ludzi ze wszech miar na stanowiska swe odpowiednich. Godność prezesa spoczęła w ręku Joachima Owidzkiego, obywatela szanownego, zasłużonego posła na Sejm, autora wielu odezw i głębszych uwag o społeczeństwie. Do pomocy prezesowi, na jego zastępcę przydano rektora Andrzeja Smolikowskiego, zaś urząd sekretarza zlecono profesorowi Kazimierzowi Puchale, jednemu z najpracowitszych w Lublinie ludzi, zarazem trochę historykowi, a nawet rymotwórcy. Na

zastępcę sekretarza wybrany został znany pedagog Jan Kauty Krzyżanowski, późniejszy profesor Wszechnicy warszawskiej. W tym składzie obrany Zarząd snać w odpowiednie dostał się ręce, skoro osoby powołane na urzędy prezesa, jego zastępcy i sekretarza, wytrwały niemal przez cały czas 12-letniego istnienia Towarzystwa. Żywy bieg instytucji nie jednemu przecież wydziałowi zawdzięczać należy. Wokoło Towarzystwa skupiło się wiele jednostek chętnych do pracy, przytem ludzi inicjatywy, pełnych wiary w lepsze jutro. W kładzionych dla dobra Towarzystwa trudach, ludzie ci widzieli dobro społeczeństwa — poczucie spełnienia obowiązków publicznych było im pełną zachętą do dalszych, ciężkich, a tem trudniejszych, że na prowincyi kładzionych prac znojących. Wogóle przyznać to trzeba, że Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Lublinie, wstępny bojem odrazu zdobyło sobie szeroką sympatyę zarówno w Województwie, jak nawet w kraju całym. Tej życzliwości, z jaką do Towarzystwa od początku odnosić się zaczęto, przypisać należy znaczną, jak na ów czas i na charakter naukowy instytucji, liczbę członków czynnych i honorowych. Już w pierwszym roku, w spisie osób należących do Towarzystwa spotykamy 46 osób, a lista wzrastała z rokiem każdym.

W gronie Towarzystwa, w poczcie członków honorowych spotykamy najwybitniejszych w kraju ludzi. Widzimy ministra oświecenia Stanisława hr. Potockiego; późniejszego autora „Pamiętników“ Kajetana Koźmiana; generała wojsk polskich Piotrowskiego; głośnego w kraju z pięknej przemowy na Sejmie r. 1811, autora wielu listów pasterskich i zasłużonego obywatela, gr.-katol. biskupa chełmskiego F. Ciechanowskiego, spotykamy dalej senatora Wincentego Grzymałę, Ksawerego Potockiego, przyszłego biskupa kaliskiego ks. J. Koźmiana i w. in. Wkrótce po ukonstytuowaniu się, w specjalnej odezwie postanowiono zwrócić się o radę do Królewskiego Warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk w sprawie wyboru pieczęci i jednocześnie uproszenie o zaszczyt zasiadania w Lublinie czcigodnego Stanisława Staszycza. „JWMD. — pisał Owidzki <sup>1)</sup> — Towarzystwo przyjaciół nauk w Województwie tutejszem, lubelskiem, pod opieką Rządu zawiązane, każdy swój krok w tym ważnym przedmiocie za wiadomością przyzwoitej Władzy czynić zamierzyło i z tej jego troskliwości wynikło, iż JWPD., wspierając usilnością naukę, każdego w tym

<sup>1)</sup> Krauslar „Towarzystwo Warszawskie Przyjaciół Nauk.“ Księga III. Warszawa 1902, str. 290.



względnie zawiązku jesteś przyjacielem. Jego właśnie duchem natchnieni Lublinianie utworzyli ten chlubny dla siebie zawód. Wiedząc zatem moi koledzy, iż mnie dawne z JWPD. łącząc zawiązki, polecić mi raczyli, ażebym Go upraszał o udzielenie nam wiadomości, jakiej Towarzystwo tutejsze w uroczystych zdarzeniach pieczęci używać może, czyli krajowej z stosownym napisem, czyli też jakowej innej? Równie Towarzystwo tutejsze przejęte dla Meża, któremu oświatę winien jest Naród i którego z własną chlubą pomiędzy współobywateli Województwa liczy, widzieć pragnie swoje grono Jego uświetnione imieniem. Z tego więc powodu, za powszechnem życzeniem zaproszonym JW. Pan Dobrodziej jesteś, ażebyś raczył przyjąć w niem miejsce i niżeli rąk Jego urzędowa dojdzie ekspedycya, chciej łaskawie przyjąć mego serca dla siebie wyziew. Łączmy się nawzajem. My wstępując słabym jeszcze krokiem w Wasze ślady, umiemy cenić Waszych wysiłków pożyteczność, a wskazane nam w naśladownictwie wzory, zostają świętym naszego zawodu celem i w nim winne lubej Ojczyźnie spostrzegamy obowiązki.“

Na posiedzeniu w Warszawie uchwalono poradzić Towarzystwu Lubelskiemu, aby jako pieczęć dla siebie obrało orła królewskiego z napisem wokoło: „Pieczęć Towarzystwa Przyjaciół Nauk Województwa Lubelskiego.“ Uwzględniając zaproszenie prezesa lubelskiego zgodził się też Staszyc na pomieszczenie nazwiska swego w gronie honorowych członków. Pozyskanie tej miary jednostki było prawdziwą ozdobą Towarzystwa. Ludzi wybitniejszych Towarzystwo Lubelskie miało jednak nietylko w łonie członków honorowych; niemniej w gronie uczestników czynnych spotykamy jednostki wybitniejsze, dobrze znane i po za granicami Województwa. Do tych, między innymi należy komedyopisarz ks. Franciszek Zabłocki, podpułkownik inżynierji, ekonomista Wojciech Gutkowski, przyrodnik profesor Fr. Kuberski, tłumacz dzieł obcych prałat Kłodnicki, doktorzy medycyny Rozenberg i Tomorrowicz, późniejszy biskup lubelski ks. Wincenty Pieńkowski, dr. Andrzej Mazurkiewicz, wybitny lingwista profesor Fr. Antoni Woelke, przeor Teofil Wszelaki, pastor Glass i w. in. Wszyscy skupili się wokoło spólnego warsztatu pracy naukowej i obywatelskiej, a kierunek wolnościowy Towarzystwa, pozwalał łączyć się ludziom bez względu na ich poglądy i wyznanie. Ten dobór członków wpływał na odpowiednią ruchliwość Towarzystwa, pozwalając na odbywanie zawsze ożywionych posiedzeń zwyczajnych, co miesiąc zwoływanych w kancelaryi rektora Szkoły Wojewódzkiej.

Ze Szkołą wojewódzką Towarzystwo Przyjaciół Nauk od początku utrzymywało stosunki jaknajżyczliwsze, a w drukowanym „Popisie publicznym“ na rok 1818 spotykamy nawet o Towarzystwie krótką notatkę informacyjną: „Prześwietna Rada Obywatelska Województwa Lubelskiego dała sobie hasło spełnić nadzieje i oczekiwanie Najwyższego Rządu, kiedy zawiązując w gronie swoim Towarzystwo Przyjaciół Nauk Województwa Lubelskiego w tem samym miejscu, gdzie młodzież szkolna zwykła zdawać sprawę z całorocznego postępu w naukach; w tem miejscu, gdzie wielu obywatelskich synów, korzystając z dobrodziejstw najłaskawszego rządu, pierwiastkowe ukształcenie duszy i serca odbiera; w tem miejscu, gdzie ciągle swoje odbywając czynności, między innemi toż Towarzystwo obrało sobie za cel zachęcać się nawzajem, a nawet ile od niego zależeć będzie, ułatwiać upowszechnienie tyle, dla klasy nawet najniższej ludu, dobroczynnych szkółek.“ Sprawa oświaty głęboko leżała na sercu Towarzystwa lubelskiego. Zaraz od początku powstania instytucji wyteżano wszystkie siły, około upowszechniania szkolnictwa elementarnego. Nim obmyślono środki dzielnych w tej mierze usiłowań, przedewszystkiem jednak wyznaczoną została z grona Towarzystwa specjalna komisya, której polecono wypracować ogólny plan i obrać metodę, która przystosowana do miejscowych warunków, najlepiej mogłaby odpowiedzieć potrzebie, szczególnie w zakresie szkółek wiejskich. Teoretyczne omawianie sprawy, nie przeszkadzało przecież jednoczesnej akcji czynnej. Powoływaniem do życia szkółek, Towarzystwo zajęte było od zarania swego powstania. W liście z marca roku 1819 prezes Owidzki z niemałą już dumą nadmienia „Przyjaciołom Nauk w Warszawie, że szkółki początkowe zaczynają się w naszym województwie rozkrzewiać. Da im więcej jeszcze popędu postęp swobody i pokoju.“

Mimo skromnych w początkach zasobów Towarzystwa, w celu ułatwienia nauki dzieciom niezamożnym, jako ratę tymczasową w r. 1819 wyasygnowano dwieście złotych na zakupienie książek elementarnych, które szczególnie po szkołach wiejskich miały być rozesłane bezpłatnie. Tę obywatelską działalność Towarzystwa, z niemałym zapałem powitał miesięcznik „Orzeł biały“ (Warszawa 1819, tom III, str. 20), zawsze czuły na żywsze objawy pracy społecznej. „Miło jest Polakowi — pisze — dowiadywać się o tak pięknych usiłowaniach gorliwych obywateli około dobra ojczyzny. Nauki rozkrzewiają się po wszystkich okolicach Polski. Codziennie wychodzą nowe pisma z druku. Pomnaża się liczba pism peryodycznych, które podobno najpewniejszą są miarą postępów oświa-



ty powszechnej.“ Zabiegi obywateli Królestwa Kongresowego istotnie niosły plon obfity. Działalność wybitnych mężów promieniowała. Rękę Staszycza znać było na wielu polach pracy szczerze swojskiej.

### III.

Ogólny zakres, bieg i charakter prac Towarzystwa wybitnie uwydatnia się w trzech kierunkach: literackim, naukowym i oświatowym. W dwóch pierwszych częściach uwidocznia się szczególniej działalność generała Franciszka Morawskiego, ks. Wedykowskiego, rektora Andrzeja Smolikowskiego, Kazimierza Puchały i całego zastępu profesorów. Zwłaszcza działalność Puchały żywo zaznacza się na zebraniach Towarzystwa. Na jednym z pierwszych posiedzeń publicznych w dniu 8 maja 1819 roku Puchała debiutował jako poeta; jego reminiscencye z Horacego wypadły jednak zbyt górnolotnie. We wstępie Puchała sławił Zapał ten, co „ku Greków chwale wzniosł Pindara aż do Feba.“ W dalszej części swej „Ody“ zwraca się autor do Natchnienia i Geniuszu. Całość jednak napuszona i pełna nazw bogów i bogiń. Tendencya przecież pocziwa, a niektóre zwrotki dość udatne:

„Ciebie natchnął, Koperniku!  
Gdy twój umysł badać dąży,  
Że w odwiecznym planet szyku  
Słońce stoi, Ziemia krąży.“<sup>1)</sup>

Dalej utrzymuje autor, że „nad Nilem, Agidą, Padem — Polacy byli przykładem,“ a po zgonie ojczyzny „unieśli swe Bóstwo Chwale, a ludy zdumiały, czeiły ich męstwo, i bliźni.“

Na temże zebraniu, po Puchale, głos zabrał Jan Kąty Krzyżanowski, profesor Szkoły Wojewódzkiej, pedagog wybornie obznajomiony z instytucjami naukowymi w Niemczech, Francyi, Włoszech i Anglii. Na koszt skarbu Krzyżanowski delegowany był swego czasu, aby zapoznać się z metodami nauczania zagranicą, by, wróciwszy, poinformować o nich krajowe sfery szkolne. Jako rezultat swoich studyów i wyjazdów, prof. Krzyżanowski wygło-

<sup>1)</sup> „Oda do Natchnienia“ przez Kazimierza Puchałę. Lublin, w drukarni K. Szczepańskiego. 8-ka, str. 8.

sił odczyt o „Uwagach nad instytucjami pedagogicznymi Pestalociego i Fellenberga, tudzież metodem Bell-Lankastrowskim <sup>1)</sup>.”

„Zabierając dozwolony mi głos w tym przedmiocie w tak szanownem gronie, nie jest moją myślą — mówił Krzyżanowski — ani okazywać potrzeby oświaty — byłoby to bowiem jedno, jak dowodzić, że człowiek w pośród stworzenia wyższym władz umysłowych szczeblem jest obdarzony — ani jest moim zamiarem przekonywać o obowiązku każdego członka społeczeństwa ludzkiego przykładania się względem swojej możności do rozszerzenia oświaty, gdyż ten, równie jak i inne zobopólne ludzkości obowiązki, jest skutkiem ograniczenia władz naszych zmysłowych i umysłowych. — Chęcią tylko moją jest przysposobić choć cząstkę materyałów do gorliwych Towarzystwa zamiarów posłużyć mogących. Mniemam, iż temu zamiarowi odpowiadać będzie wyłożenie i porównanie celów i stosownych im środków, celniejszych Instytutów pedagogicznych, albo raczej sposobów edukacyjnych szczególniejszą uwagę wszystkich prawdziwych ludzkości przyjaciół, teraz na siebie zwracających. — Instytuty Edukacyjne Pestalociego i Fellenberga, tudzież sposób uczenia Bella i Lankustra stanowią ważną epokę nie już w dziejach świata politycznego i uczonego, ale w dziejach świata moralnej i prawdziwej miłości bliźniego, a ich autorowie słusznie pomiędzy dobrze zasłużonych dobrodziejów ludzkości są policzeni. Wyłożyć ich zamiary jest mojem życzeniem, im bardziej pragnę dopełnić najprzyjemniejszego sercu mojemu obowiązku wdzięczności, którą w szczególności osobiście winien jestem szanownym tym mężom, za ich uprzejme w tym względzie objaśnienie i ze swoimi instytucjami obznajomienie.

„Wszystkich trzech — objaśnia prelegent — przedmiotem usiłowań była najniższa, a razem najuboższa klasa społeczeństwa. Fellenberga i Pestalociego są właściwymi Instytutami wychowania, jako cel mające rozwinięcie wszystkich władz człowieka tak serca, umysłu, jak i sił fizycznych, Bella zaś i Lankustra jest tylko szczegółowy metod uczenia. Przechodząc w szczegóły, najprzód co się tyczy Pestalociego: głównym celem wszystkich jego usiłowań było i jest, rozwinać w dziecięciu ten zaród doskonałości, właściwej naturze rozumnej, a która, ażeby się w pierwszych zaraz latach w większej nadspodziewanie okazała mocy, nie wy-

---

<sup>1)</sup> Lublin, druk K. Szepeńskiego, Nakładem Towarzystwa, 8-ka, str. 37.



maga nie więcej, jak tylko pielęgnowania, wszelkie bowiem prace około wychowania człowieka, od samego urodzenia podjęte, nie nadają mu żadnych nowych sił ani władz, tylko dopomagają rozwinięciu już będącym, nie można człowieka uczynić rozumnym, tylko dopomódz, ażeby się stał sam rozumnym.“ Dążeniem Pestalociego było stworzyć nową metodę wychowawczą, opieraną na przyrodzonych potrzebach natury ludzkiej. Teorie nauczania Pestalociego miały szerszą podstawę psychologiczną, czyniąc poważny wyłom w ówczesnych formułkach bakałarskich. Nowa metoda szczególnie kładzie nacisk na początkowe kształcenie władz myśli i spostrzegania dziecka. Pedagogiczne wychowanie domowe jest też zdaniem Pestalociego kardynalną podstawą dalszego kształcenia szkolnego. W głośnym Instytucie Edukacyjnym w Iwerdun Pestaloci starał się praktyką poprzeć swoje dowodzenia teoretyczne. We wzorowym zakładzie słynnego pedagoga — mówi Krzyżanowski — szeroko uwzględniano stronę „moralną i logiczną, t. j. wszelkie nauki i ćwiczenia ściągają się szczególnie do wykształcenia serca i umysłu.“ Dalej nauka „była związkową i zupełną, nie zaś mechaniczną, powierzchowną i cząstkową, jej bowiem celem jest uformowanie całego człowieka — wreszcie była wolną i naturalną.“

Przechodząc do działalności Fellenberga, celem zachęcenia lublinian do naśladownictwa w założeniu podobnego do szwajcarskiego instytutu, prelegent zaznajomił uczestników posiedzenia Towarzystwa z organizacją zakładu naukowego, w którym wykształcenie odbierają chłopcy, rzućeni na los życia ulicy i w następstwie opieki policyi i sędziego. Bezdomnym dzieciom Fellenberg „robiąc największe, jakie być może dobrodziejstwo, nietylko mówi, ale razem i czynami udowadnia, iż to ciągle wyświadczone się dobrodziejstwo, nietylko nie go już nie kosztuje, ale nawet pierwsze poczynione nakłady zwracać mu się poczynają, taki bowiem nadany jest kierunek ich zatrudnieniom, iż zajęte pracą ich siłom odpowiadającą, są w stanie zarobić sobie na utrzymanie tudzież na swoje wykształcenie moralne i umysłowe.“ „Uderzającą okolicznością jest, iż przybywszy na miejsce nie zastaje się ten Instytut w osobnych zamkniętych salach, lecz rozproszony po wszystkich rozgałęzieniach robót wiejskich, po polach, ogrodach, stajniach i t. p., głównem bowiem jest ich zatrudnieniem wszelkiego gatunku roboty wiejskiej, ile tylko do sił fizycznych zastosowana być może, do których zaraz zrana codziennie przez swego nauczyciela bywają różnie wyznaczani. Właściwym zaś naukowym zatrudnieniom oddani są tylko w czasie godziny popołudniowej

i w wieczór przed spaniem, tak iż po całodziennych pracy znojach stają się właściwą rozrywką i pewnem do następnej pracy wzmocnieniem. — Każda godzina ich pracy, stosownie do wieku, jak się pomiędzy 7 a 12 tudzież 12 a 16 rokiem znajdują, jest odpowiednio oszacowana i wartość tychże, równie jak zebranego zboża i jarzyny do funduszu Instytutu wciągnioną, ale z drugiej strony wszelkie w tym Instytucie czynione wydatki na ich pożywienie, okrycie, opał, pomieszkanie, nauczyciela są ściśle obrachowane i z zarobionych funduszków potrącane.“ Ten ustrój Instytutu miał za główną zasadę nauczyć poszanowania pracy i wiary, że nie darowizną, ale własnym trudem dochodzi się do dobrobytu. Jednocześnie, aby pouczyć, że każda praca godną jest człowieka, w zajęciach polnych wychowawców kolejno z nimi zajęci byli na roli i nauczyciele, ich kierownicy.

Metodzie Bell-Lankastrowskiej, dzięki temu, że ją uważał za bardziej znaną i popularną w Lublinie, z racyi wprowadzenia jej w życie w miejscowej szkole rzemieślniczej, Krzyżanowski poświęcił zaledwie słów kilka, dorzucając wzamian wiele samodzielných uwag na sprawy wychowania i nauczania. „Zyczyłoby sobie należało — mówił — ażeby prawdziwi ludzkości przyjaciele w gorliwych swych chęciach nie brali środków za cele i upowszechnienie oświaty w klasach najniższych na samej tylko nauce czytania nie pokładali; wiadomość bowiem czytania jest tylko środkiem, służącym do wykształcenia umysłowego i moralnego, dzielnym wprawdzie, lecz którego dzielność głównie zależy od stosownego usposobienia, i upowszechnionych sposobów, a zatem tem samem od zasad wychowania ogólnego, na które wypadaloby mieć więcej względu we wszystkich stanach, chcąc ażeby oświata istotnie przynosiła korzyści społeczeństwu. Z tych ogólnych przytoczonych uwag, mniemam, że następujące uczynić będzie można wnioski, iż metod Pestalociego jest właściwie edukacyjnym, równie jak i Fellenberga, Bell-Lankastrowski zaś jest metod instrukcyi, i to nie w ogólnem znaczeniu, lecz tylko w szczególnym pierwszym szczebla oddziale. Pestalociego powinien być uważany jako właściwy duch, który we wszelkiej edukacyi panować powinien — Bell-Lankastrowski z korzyścią, stosownie do okoliczności, albo z wszelkimi, albo z niektórymi tylko szczegółami w początkowej instrukcyi zawsze być może użytym. Fellenberga zaś uważam za najstosowniejszy właściwej edukacyi właścian, któryby najdzielniej mógł się przyczynić do ich stosownego uformowania, zapobiedz najcelniejszym trudnościom w zaprowadzeniu szkółek wiejskich zachodzącym,



a nawet i niektórym uprzedzeniom, pozór słuszności za sobą mającym, toż zaprowadzenie utrudniającym.

„Z prawdziwem ukontentowaniem — kończył prelegent — przychodzi mi przywozić, iż Województwo Lubelskie widzi pierwsze związane Towarzystwo na wzór zagranicznych w celu upowszechnienia szkótek, w przedmiocie bliższej opieki i niejako rodzicielskiej, wymagającej, a zatem w przedmiocie, w którym gorliwość obywatelska dzielniejszą być może nad największą usilność rządu, — jest pierwsze, które widzi metod Bell-Lankastrowski nie tylko w różnych zastosowaniach, ale nawet własnych swych szczepach upowszechniające się, nareszcie będzie pierwsze u siebie widzieć tak dobroczynny zaprowadzony Instytut Fellenberga, a to gorliwem staraniem szanownego tegoż województwa współobywatela J.W. Ordynata Zamoyskiego S. W. K. P. Bezwątpienia, jak upowszechnienie w ogólności oświaty, tak zaprowadzenie szczególnego jakiegoś metody różnym podlegać musi trudnościom, lecz wiadomość zastosowania i gorliwa wytrwałość wszelkie te trudności najlepiej przezwyciężyć potrafi.“ System Bell-Lankastrowski dobrze przyjął się w Lublinie, stosowano go w Szkole rzemieślniczej, elementarnej i wojskowej, za staraniem zaś Towarzystwa Przyjaciół Nauk upowszechniać go zaczęto i w uczelniach prowincjonalnych i wiejskich. Na pierwszy ogień poszła szkoła w Janowie, wzorowana na elementarnej lubelskiej. Nowy, nieznanym sposobem nauczania wzbudzał powszechne zainteresowanie w szerokich kołach Województwa, interesowano się nim powszechnie i zaczerpywano informacji, zwłaszcza, że rezultaty w szkołach były nader dodatnie. „Niema dnia — czytamy w „Popisie publicznym“ <sup>1)</sup> — w którymby młodzież nadspodziewanie w naukach początkowych postępująca, nie sprawiała podziwienia w odwiedzających szkółkę (elementarną); a pomimo zamienionej w zabawę nauki, jej obecność nie zagrzewała się do coraz większego dążenia do wyznaczonej sobie mety. Dlatego Instytut naukowy tej najdzielniejszej sprężyny, mogącej ułatwić i upowszechnić w całym narodzie początkową instrukcję, nie może bez uchybienia swemu obowiązkowi pominąć, zwłaszcza, że i w raporcie na Sejmie zdanym, a w „Gazecie Warszawskiej“ umieszczonym, znajduje się wzmianka o szkółce Lankastra w Warszawie i w Lublinie założonej, i wolą jest Komisji rządowej oświecenia publicznego upowszechnić je w naszym kraju.“

<sup>1)</sup> „Popis publiczny.“ Lublin, 1818.

Podjęta w łonie Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Lublinie myśl popularyzowania metody lankastrowskiej spotkała powszechny rozgłos w społeczeństwie, a na łamach czasopism warszawskich liczne z tej racji widzimy artykuły i uwagi. Działalność profesora Krzyżanowskiego stała się prawdziwie kulminacyjnym punktem pedagogicznym Towarzystwa, o którym w tym czasie dzienniki piszą więcej, niż kiedykolwiekbądź dawniej. Zwłaszcza zawsze ruchliwy „*Orzeł Biały*“ poświęca Towarzystwu szersze wzmianki, kreśląc zarazem szczegółowe informacye o historii i istocie metody Bell-Lankastrowskiej. Nowy system szkolny wzajemnego uczenia się elewów przełamywał zacięty opór ze strony przyjaciół starych zwyczajów i metod. „Zresztą—jak to słusznie zauważył „*Orzeł*“ — każda nowość prześladowaną być musi, ale na pociechę świata, prawda nie ulegnie w żadnej walce, a ciemnota, co ją przygnębia, służy tylko do lepszego jej wyjaśnienia. Wiek ten, w którym żyjemy, zgodził się już na to, że oświata jest najpierwszem szczęściem człowieka, a cokolwiek rozkrzewieniu jej pomaga — dobrodziejstwem ludzkości.“ Do tego rzędu — zdaniem „*Orła*“ <sup>1)</sup> — niezaprzeczone ma prawo Metoda Lankastra. Podług tego nowego systemu uczono pisanie, rachunków, rysunków technicznych, technologii, geografii, gramatyki, historii naturalnej, historii polskiej, geometryi, nauki obyczajów i katechizmu. W szkole Dzieciątka Jezus u XX. Dominikanów i P. Sulisza w Warszawie tą metodą wykładano nadto fizykę, chemię, antropologię, architekturę, rolnictwo, ogrodnictwo, mechanikę. W każdej szkole — pisze sprawozdawca — jeden jest tylko nauczyciel i uczy z większą łatwością daleko większą liczbę uczniów, niż dawniej, bo w samych uczniach znajduje zastępców zwanych monitorami albo dozorcami. Nauczyciel przysposabia dozorców przy każdym przedmiocie, jak mają innych nauczać tym sposobem uczy razem uczniów i dozorców. „Zdarzyło się już nieraz — komentuje „*Orzeł*“ — że dzieci dobrze od natury usposobione w piątym roku życia, przez trzy miesiące postąpiły od abecadła do dokładnego czytania, pisanie rachunków i w tak krótkim czasie zostawały dozorcami drugich. Przełamanie pierwszych lodów zawsze bywa najprzykrzejsze. Czytanie i pisanie są dwie trudności, nad których przewyciężeniem najdłużej dzieci się męczą. Ułatwienie im tego wstępu do nauk jest prawdziwą dla kraju zasługą, bo nietylko ich usposabia do prędszego pojęcia

---

1) „*Orzeł Biały*.“ Warszawa, 1819, tom I.



dalszych wiadomości, ale nadto zachowuje od tego przytępienia, które tak częstym było skutkiem dawnego sposobu uczenia. Chwała pozostanie zawsze pierwsze zaprowadzenie do Polski tej zbawiennej metody, a coraz więcej rozszerzające się u nas szkoły Lankastra, coraz mocniej zapewniać będą dla niego ten zaszczyt tem chlubniejszy, że użytek powszechny jest jego zasadą.“ Tak reklamowana metoda istotnie znajdować zaczęła wielu zwolenników w Królestwie. W Warszawie w r. 1819 istniało już dziewięć szkół z metodą wykładową Lankastra, do których, podług wyliczeń statystycznych uczęszczało około 700 uczniów. Nawet na prowincyi powstające szkoły, jak w Łowiczu, Piątku i t. d. wprowadzają metodę lankastrowską.

Przeciw nowemu, tak szybko popularyzującemu się systemowi szkolnemu, dał się jednak słyszeć głos najmniej może spodziewany, bo pochodzący z koła członków Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Lublinie, głos Kazimierza Puchały <sup>1)</sup>. „Czy wyliczone przedmioty — mówi oponent — są istotnie dawane w szkołach nie jest moją myślą ani zaprzeczać, ani utrzymywać, lecz że są metodą Lankastra dawane, to jest tylko czystem przyrzeczeniem i podobne twierdzenie, jak z jednej strony tę metodę w swych obrębach ze wszech miar użyteczną w szarlataneryę zamienia i najzabawniejsze jej skutki w samym zarodku niszczy, tak z drugiej strony te same upośledza nauki, poddając filozoficzne i umysłowe wyobrażenia mechanicznym działaniom i uderzeniu dzwonka. Metoda ta w swojej zasadzie dla szkół elementarnych i początkowych przeznaczona, bujną wyobraźnią tak wysoko jest wzniesiona, iż mało zdaje się brakować, żeby Szkoły Wojewódzkie, a nawet i Uniwersytet nie miał być metodą Lankastra urządzony, bo już potrafił antropologię, fizykę, chemię, rolnictwo, mechanikę i tym podobne podciągnąć pod rozkazy monitorów, temu już niewiele brakuje do podzielenia na tępa wszelkich innych wiadomości i nauk. Lecz w tych wysokich planach zapominano o małej rzeczy, bo o czytaniu, które jednak najcelniejszym i ledwie nie jedynym jest tej metody przedmiotem, i dlatego to, pomimo, iż już od trzech lat ta metoda jest u nas zaprowadzona, nie postrzegamy tablic czytania jedynie tym końcem wypracowanych, a których przygotowanie poprzedzać powinno zaprowadzenie tej metody i dlatego ze smutkiem tę prawdę wyznać musimy, iż nowość i zewnętrzność tej metody, bardziej uderzająca zmysły, niż prze-

<sup>1)</sup> „Orzeł Biały,“ 1819, tom III.

konywająca była przyczyną, że obroty wzięto za ducha metody, a nazwiska nauk za same nauki, a tak całe to dzieło bez podstawy wyprowadzone jest znikomem i bezużytecznem.“ Tak ostro wystąpiwszy przeciwko samej metodzie Bell-Lankastra, Puchala dorzucił własne poglądy na istotę nauczania elementarnego. „Celem główniejszym — mówi — jest udzielać się mające pierwsze wiadomości, tak na drobne części podzielić, ażeby każdy uczący się mógł się najbliżej znajdować w kole swojej pojętności, a razem wszystkie rozdrobnione części w jednej utrzymywać całości; tym sposobem ułatwiając przełamanie pierwszych mozolnych trudności oszczędza czas, a stosownym do zamierzonego celu urządzeniem i koszta. Wystawienie tego podziału na części i przejścia z jednej do drugiej stanowią właściwy rys Lankastra, a urządzenie miejsca jest tylko sposobem, ułatwiającym środki do osiągnięcia zamierzonego celu. Nareszcie i to jakoby w pierwszej ławce siedzący uczniowie uczyli się w jednej godzinie poznawania liter, a w innej ciż sami zaraz liczenia, w drugiej zaś ławce będący, w jednej sylaby dwuzgłoskowe, a w innej zaraz dodawania, nie zgadza się ani z pedagogicznym postępowaniem w udzielaniu tych pierwszych wiadomości, ani z duchem, który chce, ażeby dopiero będący w stanie czytać całe słowa, rozpoczynali naukę rachunków, a przynajmniej na piśmie, gdyż naukę kształcącą pamięć możnaby weześniej rozpocząć.“

Kiedy nad sprawą szkół z metodą lankastrowską głośną toczono dyskusję, kiedy polemizowano nad teoretyczną istotą systemu nauczania, ksiądz Wężyk, organizator szkoły gorzkowskiej, uznając, iż „istotnym zamiarem zawiązania się Towarzystwa w Lublinie jest rozszerzenie oświecenia w kraju naszym i rozkrzewienie szkół elementarnych,“ nadesłał szczegółowy opis swojej szkoły parafialnej, „której skutek doświadczeniem dwuletniem uwieńczony został.“ „Szkoła gorzkowska — pisze ks. Wężyk <sup>1)</sup> — cieszyła się owocami mego urzędzenia, widziałem sam z pociechą serca skutki na dzieciach prostego gminu. A jeżeli (szkoła gorzkowska) niezdolna jest służyć za prawidło dla szkół wiejskich całego państwa, może się jednak przydać do powzięcia myśli w celu uformowania książki, któraby była prawidłem dla szkół parafialnych.“ Jak wiadomo odpowiednie zlecenie Izby edukacyjnej, wkładało na proboszczów obowiązek zakładania szkółek parafialnych, zaś obywatele ziemscy mieli wystawiać domy na

<sup>1)</sup> „Organizacya szkoły gorzkowskiej“ Lublin 1820. 8-ka, str. 82.



pomieszczenie tych uczelni wiejskich. Opis księdza Węzyka, dający obraz szkółki gorzkowskiej, jest więc ciekawym dokumentem nie tylko ze względu na Towarzystwo lubelskie, któremu książka ta była przypisana, lecz również nie w mniejszym stopniu, iż rzuca wiele światła na organizację szkolnictwa wiejskiego w pierwszej połowie ubiegłego stulecia. Praca ks. Węzyka z wdzięcznością musiała być przyjęta przez zarząd Towarzystwa Przyjaciół Nauk, zwłaszcza, że pochodziła od autora, wielce sprawą szkolną przejętego, ceniącego wysoko swój zawód pedagogiczny. We wstępie do referatu, głośno też oświadcza, iż „niema w życiu miłszej rozrywki, jak z dziećmi usposobionemi. Wiek żywy, do przyjęcia wyobrażeń gotowy, siły niezmordowane, chęć popisywania się nadzwyczajna, wesołość młodemu wiekowi właściwa, poufność umiarkowana, wiadomość świeżo nabyta, szczerłość bez obłudy w dzieciach wrodzona, ufność w doskonałości nauczyciela położona, ciekawość — wszystko to razem, acz w różny kształt połączone, bawi i dowodzi, że na umysłach dziecińczych można wszystko wskurąć. Oto tylko idzie, aby nauczyciel był systematycznie uczony i zdaje się, że więcej mieć powinien rozumu do wydobycia pierwiastek, niżeli inny do wykształcenia onych.“

Tendencje proboszcza gorzkowskiego objawiają się też w organizacyi szkolnej, choć w niektórych punktach urągają poprostu dzisiejszym poglądom pedagogicznym. Czas jednak ma swoje prawa. Zbytne pobudzanie do współzawodnictwa, choćby nawet w postępach naukowych, kara cielesna i t. d. zostały dziś całkowicie usunięte z kodeksu pedagogicznego, nadmierne przeciążanie modlitwami, uczenie się na pamięć historii świętej i t. d. nie znajdują dziś uwzględnienia w tej mierze co dawniej, nawet w krajach ultra-katolickich. Niemniej przecież niektóre punkty godne są szczególnego zaznaczenia. Nauczyciel szkoły gorzkowskiej miał więc nadewszystko zleczone, aby „uformować (z ucznia) człowieka tak, aby i sam był szczęśliwym i społeczności ludzkiej użytecznym. Kto podejmuje się być nauczycielem, już tem samem uznaje się być pełen tych cnót i talentów, które go i przed Bogiem i przed ludźmi nad innych wywyższają, oraz których zdolny jest innym udzielić. Te własności ogólne nauczyciela dają mu najwyższy między ludźmi szacunek, korzyść i zasługę. Choćby nauczyciel sam umiał czytać, pisać i rachunki, jeszcze się przecież nauczycielem zwać nie powinien, bo to i konował umieć może, a przecież do leczenia koni, nie zaś do uzdrowienia ludzi jest determinowanym. Trzeba więc być umiejętnym, cnotliwym, i uczyć dzieci zdolnym; a zatem kiedy jeszcze podejmujący się na nau-

czyciela tych własności nie posiada, powinien się ich sam wprzódy nauczyć, powinien się o to ludzi rozumnych pytać, książki czytać, Boga o dar ten prosić i usilnie się wprawiać. Nauczyciel ma sobie z dziećmi postępować roztropnie, poważnie i sposobnie do zjednania sobie ich miłości i zaufania. Stanie się zaś miłym i kochanym od nich, kiedy w słowach, a najbardziej w postępowaniu z niemi, okazywać będzie szczerą miłość, serce ojcowskie, troskliwość o ich dobro, kiedy w ich potrzebach, smutku i chorobie okaże litość, pocieszać, nawiedzać i ratować słabe nie poleni się. Nie ma nauczyciel ustawicznie fukać na dzieci, ale z łagodnością rozkazywać, nazywając uczciwym sposobem: Panie Janie, Antoni etc. zrób Waćpan etc. Chłostać dzieci za lada brednię zakazuje się pod utratą pensyi, a nawet i służby, rygór albowiem ten przytłumia pojętność dziecinną, uczy podłości i bydlęcej podległości, wprawia dzieci w kłamstwo z bojaźni przedsięwzięte. Gdy które dziecko postrzeżone będzie w kłamstwie, opuszczeniu się, uporze lub innych niedoskonałościach, ma je nauczyciel natychmiast przywołać, inkwizycyi wysłuchać i ekskuzowania się pozwolić, i po najszczerszym roztrząśnieniu napisze dekret, który cenzor z obwinionym zaniesie do aprobaty do JX. Proboszcza, gdzie osobne tłumaczenie nastąpi, a skoro potwierdzenie i wyrok będzie, dyrektor egzekucyę wypełni bez najmniejszego relaxowania, okazując uczniom przymus swój i boleść, że karać jest przynaglony. W samem zaś karaniu niema pokazywać zapalczywości, a zatem strzeż Boże, iżby w tym razie hałasował, za łeb targał, policzki wycinał, popychał, bo o to postrzeżonym, natychmiast usuniętym zostanie. Ma nauczyciel wpajać w dzieci uczciwość i punkt honoru, przysposabiając uczniów, żeby sobie mieli za najpiękniejszą nagrodę świadectwo sumienia.“

Oprócz tych ogólnych, zkaźnań, w niektórych punktach bardzo nowoczesnych, przypominających szkołę angielską, przykazań dla nauczyciela i zarazem dyrektora gorzkowskiego, mieszczą się ustępy wysoce charakterystyczne, a razem mało pedagogicznie pomyślane. „Przez cały tydzień—pisze ks. Wężyk—mają się notować zasługi dziecinne lub ich myłki, naznaczając ich wielość już w celu nagrody, już kary, przy dawaniu znaków nagrody ma być zachowana sprawiedliwość, toż co się tyczy znaków kary, wystrzegając się w tem popędliwości. Znaki te zwać się będą: *merita* i *demerita*; merytów 10 mazać będzie demerytów 10. Co by zaś w sobotę więcej pokazało się, tedy za merytów 10 naznacza się grosz jeden i przeciwnie, demerytów 10, plaga jedna. Te pieniądze przewidować przyrzeka JX. Proboszcz, odbierający zaś



obraca je na papier i pióra. Gdyby zaś w sobotę znaki kary przewyższyły, tedy wykupywać się będą uczniowie: 1-o powiedzeniem sentencji, 2-o pokazaniem czytania i pisania, 3-o arytmetyki, 4-o historii nauki moralnej etc. Skoro zaś temi sposobami dla niedbalstwa nie wykupi się uczeń, różgą w miarę demerytów ukaranym zostanie, to zaś karanie nie wprzód nastąpi, aż póki szkoła cała zapytana nie będzie, czyli chce własnemi zasługami bronić obwinionego? a skoro się zadeklaruje na obronę, ma być każdy zapytany wiele z własnych merytów aplikować dla niego determinuje się, te w ogół zebrane, pokażą uwolnienie lub zmniejszenie kary.“ Rozpatrując ten ustęp regulaminu, mimo woli uderza niemoralność nagradzania groszami uczniów za ich postępy w nauce, kombinacja zaś z merytami mogła powodować w elewach złe następstwo, pouczając ich spekulacyi stopniami naukowemi. Podobne prawo szkolne, jak wyżej, w podziw nas tylko wprowadzać może. Wogóle, w całej organizacji szkoły gorzkowskiej ks. Wężyka, obok stron dodatnich, godnych podkreślenia, spotykamy wiele anomalij, wiele rzeczy mocno przestarzałych i wysoce niepedagogicznych.

Organizacja szkoły gorzkowskiej wywołała szerszą dyskusję na posiedzeniu Towarzystwa Przyjaciół Nauk, w której decydujący głos zabierał prof. Krzyżanowski. Nadto własne spostrzeżenia krytyczne profesor Szkoły Wojewódzkiej, a członek Towarzystwa Witalis-Witanowski, ogłosił w specjalnej broszurze p. t. „Uwagi nad organizacją szkoły gorzkowskiej,“<sup>1)</sup> zezwalając na godną zaznaczenia bezstronność, wydrukować na dalszych stronicach „Opowiedź na recenzję W-go Witkowskiego,“ w której z godnością polemiczną ks. Wężyk usiłował zbijać zarzuty Witalisa. Ożywiona dyskusya, jaka za każdym razem powstała, przy pojawieniu się nowych zagadnień bądź szkolnych, bądź pedagogicznych, najwymowniej świadczy o gorącym przejmowaniu się sprawą szerszych kół członków lubelskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Wogóle mimo braków, jakie w instytucyi naukowej prowincjonalnej z konieczności istnieć musiały, to jedno przecież, bez zastrzeżeń, o Towarzystwie lubelskiem śmiało powiedzieć można, że poczucia obywatelskiego i szerszych aspiracyj społecznych nigdy mu nie brakło. Ta strona Towarzystwa jest też jedną z najpiękniejszych cech instytucyi. Nadaje jej tem silniej barwy narodowej i godnie świadczy o nastroju ówczesnych działaczy pięknej doby Królestwa Kongresowego.

<sup>1)</sup> Lublin 1821. 8-ka, str. 28.

## IV.

Możemy mieć słabą nadzieję odnalezienia kiedykolwiek szczegółowych materyałów, do historii instytucyi, o której tradycja przedwcześnie zamarła w Lublinie, a potomkowie członków Towarzystwa drobne zaledwie o przodkach swych posiadają wiadomości. Niemniej rozrzucone po różnych czasopismach doniesienia o Towarzystwie uczonych lubelskich, roświetlają nieco drogi w poszukiwaniach bliższych materyałów. Dowiadujemy się więc, że w dniu 17 października 1819 roku odbyto jedno z publicznych posiedzeń<sup>1)</sup>, na którem prezes Owidzki w stosownem zagajeniu wystawił obraz dotychczasowych prac Towarzystwa, poczem odczytaną została oda „Michał Anioł (Michel Ange), czyli Wskrzeszenie sztuk.“ Przekładu dokonał członek X. Wedykowski. Dalej Ignacy Baranowski, sędzia, czytał wyjątki swojego tłumaczenia z dzieła Raynolda Heidensteina, sekretarza Stefana Batorego, ty czące się wojen przez tegoż króla prowadzonych. Profesor Szkoły Wojewódzkiej Nahajewicz czytał znów wiersz swój „O upadku pierwszych rodziców,“ zaś prof. Woelke wygłosił rzecz „O Saltacyi, czyli różnych rodzajach tańca u Greków i Rzymian, ile te stanowiły część istotną wychowania.“ Na innych zebraniach rektor Andrzej Smolikowski mówił „O ciałach i kulach ognistych na ziemię spadających,“ tudzież głosił „Pochwałę pośmiertną Bartłomieja Kossakowskiego,“ emeryta profesora.

W dziejach rozwoju Towarzystwa wszędzie znać pracę J. K. Krzyżanowskiego, Witkowskiego, Puchały, Wedykowskiego, Morawskiego, Smolikowskiego, a nadewszystko Joachima Owidzkiego, zawsze pierwszego — jak pisał Łysiński<sup>2)</sup> — gdzie szło o dobro kraju.

Na posiedzeniu z dnia 25 czerwca 1820 r. Towarzystwo poprawiło swe dotychczasowe ustawy, nadając im nową redakcyę, choć w zasadniczych paragrafach co do treści, nowy statut mało różni się od starego. Z nowych punktów ustawy, na wyróżnienie to tylko chyba zasługuje, iż ustanowiono nową godność inspektora archiwum, którego obowiązkiem miał być dozór nad składem aktów Towarzystwa, nad książkami i wszelkimi pismami

<sup>1)</sup> „Orzeł Biały“ 1819, tom III.

<sup>2)</sup> Aleksander Łysiński „Andrzej Smolikowski“ — Tygodnik Ilustrowany r. 1877 nr. 57 — 58.



oddanemi przez sekretarza. Utworzono też urząd kasyera, zlecając mu pobieranie składek i zawiadywanie kapitałami. Czynności kasyera miała kontrolować komisya, złożona z trzech członków od prezesa wyznaczonych. Nadto do ustawy wstawiono specjalny rozdział o wyborze urzędników. Nominowanie członków zarządu miało się odtąd odbywać co dwa lata na posiedzeniu zwyczajnem w miesiącu czerwcu. Na prezesa pozwolono wybierać i osoby z poza Lublina, z zastrzeżeniem jednak, że mają mieć „łatwość przybyć w każdym razie potrzeby“; inni zaś urzędnicy z miejscowych obierani być winni. Na wypadek śmierci lub wyjazdu którego z urzędników, prezesowi zezwolono wyznaczać tymczasowego zastępcę, aż do nowego wyboru, lub jego powrotu.

Nowy paragraf wstawiono także do regulaminu o sposobie sądzenia pism; odtąd, wrzecie gdyby „autor odwoływał się tylko przeciwko uwagom recenzentów, do ogólnego zdania Towarzystwa, może żądać odczytania na posiedzeniu zwyczajnem i pisma swego i uwag deputacyi, wówczas trzy czwarte części zdań nie głośnych, przyjęcie lub usunięcie pisma stanowią“ (art. 44). Wreszcie uchwalono, że we wszystkich przypadkach nieobjętych regulaminem, „Towarzystwo bierze za zasadę, w razie potrzeby stosować się do ustaw Towarzystwa Królewskiego Warszawskiego.“ Zgodnie z uchwałą o nowym statucie Towarzystwa lubelskiego, z powodu kończącego się terminu zasiadania wydziału, dokonano wyborów zarządu, do którego jako prezes i wiceprezes ponownie wszedł Owidzki i Smolikowski, zaś godność sekretarza spoczęła w ręku prof. J. K. Krzyżanowskiego. Archiwistą wybranym został prof. Witalis-Witanowski. Urząd sekretarski niedługo jednak pozostawał w zawiadywaniu Krzyżanowskiego. Powołany w r. 1823 na czynnego członka Towarzystwa elementarnego i wizytatora generalnego szkół w Królestwie, ze szkodą wielką dla korporacyi lubelskiej przyjaciół nauk musiał opuścić pożyteczną placówkę. Ustąpienie tak czynnego, pełnego inicjatywy i zapału w pracy członka, długo, raczej nigdy, nie dało się zastąpić w Towarzystwie lubelskiem. Udział Krzyżanowskiego nieprzerwalnie zaznaczał się w pierwszych latach Towarzystwa, widać go na wszystkich posiedzeniach, podejmuje coraz nową sprawę. W roku 1822 wydaje w Lublinie (in 8-ko, stron 40) kwestyjonarz „O potrzebie i sposobie porównywania edukacyi,“ wzorując pytania na broszurze Juliana. „Idzie nadewszystko—pisze na wstępie—o wskazanie sposobów najpewniejszych, najdzielniejszych i najprędszych zadość uczynienia potrzebie reformy i ulepszenia edukacyi. Za przygotowawczy do tego zamiaru środek można uważać ułożenie py-

tań na każdy rodzaj edukacji i instrukcji, podług których mogłyby być opisane wszelkie Instytuta Edukacyjne, tak prywatne, jak i publiczne.“ Kiedy miało zabraknąć w Lublinie prof. Krzyżanowskiego, nie dziw, iż z żalem żegnało go Towarzystwo Przyjaciół Nauk, a po jego wyjeździe osierocony urząd sekretarza przywrócono Kazimierzowi Puchale, który godność swą piastował już do końca istnienia Towarzystwa.

Wystąpienie z grona członków prof. Krzyżanowskiego, nie stanowiło jednak jeszcze o upadku lub zastoju w pracach Towarzystwa. Owszem, w roku 1822 wspomóżona instytucja nowymi siłami: Jana Dysiewicza, Jana Kłodzińskiego, Tadeusza Krępowieckiego, X. Lubaczewskiego, Ostrowskiego, X. Szymona Surmankiewicza, kapitana Żywolta; nadto członkami honorowymi mianując radcę wojewódzkiego Józefa Ciemnińskiego, prezesa komisji wojew. Piotra Domańskiego, senatora Stanisława hr. Grabowskiego, radcę Kretowicza i senatora ordynata Konstantego hr. Zamoyskiego, Towarzystwo wzrosło na tyle, iż o rozwój dalszy obawiać się było zbyt wiele. Towarzystwo lubelskie istotnie wzrastało z roku na rok, pomnażając swój poczet członków coraz nowymi jednostkami. W roku 1823 przybywa generał Franciszek Morawski, w r. 1824 — X. Boryski, Józef Dłuski, Kosiński M. D., X. Łotowski, Miłowicz, Świrski, X. Stankiewicz. Wprawdzie, w tym czasie Towarzystwo ponosi i straty znaczniejsze, a ubytek sił, zwłaszcza poważniejszych, nie mógł być dla biegu prac obojętnym. W roku 1823 X. Koźmian opuszcza Lublin, obejmując stolicę biskupią w Kaliszu. Roku następnego opuszcza miasto powołany na profesora Uniwersytetu Antoni Woelke, w tym czasie umiera jeden z wybitniejszych w Lublinie ludzi senator-kasztelan Wincenty Grzymała, stary przyjaciel Kościuszki, ex-członek rządu centralnego Galicyi, a w następstwie prezes lubelskiej rady obywatelskiej i członek najwyższej instancyi sądowej. Ubył również Towarzystwu, wyprowadzający się do Warszawy, uczonej medyk Jan Tomorowicz i w. in.

Mimo to podtrzymywany przez Towarzystwo puls życia intelektualnego nie słabnął w Lublinie, istnienie w mieście w r. 1827 aż czterech księgarni jest także jednym z wysoce kulturalnych objawów umysłowości ówczesnej. W liczbie tych czterech składów z książkami była też własna księgarnia Towarzystwa. Sortyment widzimy w niej dobrze zaoparzony, na miejscu znajdowały się komplety najpoważniejszych dzieł ówczesnych. W roku 1828 księgarnia ogłasza drukiem katalog znajdujących się na sprzedaż książek, przytaczając kilkaset tytułów na 118 stronicach form.



16-ki. „Są różne nowe dzieła historyczne, naukowe, francuskie i romanse—głosi reklama—są także materiały piśmienne i rysunkowe, wzory do kaligrafii, haftu i cerowania, także materiały muzyczne, pugilaresy, stambuchy i t. d.“ Dziwnem musi się wydawać, iż o kilku wydanych nakładem Towarzystwa broszurkach, nie spotykamy ani wzmianki w spisie bibliograficznym tej księgarni. Wogóle z druków lubelskich katalog wspomina jedynie dzieło p. t. „Annibal, czyli Miłość Ojczyzny, tragedia oryginalna w 5 aktach, cieniom J. O. X. Józefa Poniatowskiego przypisana przez K. Jaworskiego.“ Należy żałować, że katalog księgarni Towarzystwa Przyjaciół Nauk nie przysłużył się do zobrazowania ruchu bibliograficznego w Lublinie. Spółczesnego badacza uchodzą tytuły dzieł, które mogły powstawać w znacznej części z inspiracji Towarzystwa. W Lublinie ówczesnie istniało stosunkowo żywe napięcie umysłowe, więc nie mogło pozostać też ono bez wpływu na ruch literacki. I tak wiemy np., że Kazimierz Jaworski nakładem Fr. Kuberskiego a drukiem Karola Pruskiego in 8-vo ogłosił „Zbiór Wierszy“ (str. 138 + 2), książkę swą przypisując Towarzystwu Przyjaciół Nauk. W roku znów 1824 prezes Komisji województwa lubelskiego, członek Towarzystwa, Ignacy Lubowiecki ogłosił drukiem cenną „Statystykę województwa lubelskiego“ (Lublin, str. 70 folio), pracę, zawierającą wiele szczegółów cyfrowych, i jak naówczas dzieło niemal jedyne, omawiające stosunki dotyczące wyłącznie prowincyi. Wogóle, w przeważnej części za sprawą Towarzystwa, ruch intelektualny nie słabnął w Lublinie, dając wciąż żywe oznaki pracy umysłowej. Po roku 1828 życie jednak, jakby się zdawało zanikać, nie można zresztą temu i wielce się dziwić, jeśli i województwu i Towarzystwu ubyła tak powszechnie ceniona, niemal uwielbiana postać świątłego, pracowitego rektora Andrzeja Smolikowskiego. Powodowany obowiązkami rodzinnymi, zasłużony pedagog zmuszony był przenieść się do Warszawy, prawdziwie osieracając przyjaciół nauk w Lublinie. W dniu 13 lipca 1828 r. Towarzystwo zgotowało też swemu wice-prezesowi gorącą owację. Chcąc uczcić działalność zasłużonego rektora Joachim Owidzki specjalnie zwołał nadzwyczajne zebranie, i w obecności licznie zgromadzonych członków i osób zaproszonych żegnał towarzysza pracy przemową, która — według opinii świadka Aleksandra Łysińskiego <sup>1)</sup> — wszystkich do głębi wzruszyła.

1) „Tygodnik Ilustrowany“ r. 1877 nr. 57 — 58.

Zdaje się, już roku następnego księgarnia Towarzystwa przeszła w ręce Stanisława Strebła. Ruch umysłowy zwoła przygasał. Na porządek dzienny wchodziły sprawy natury politycznej. W umysłach wrażliwszych zarysowywały się wypadki blizkiej przyszłości. W r. 1829 Towarzystwo raz jeszcze poprawiło swe ustawy, ale były to już tylko tchnienia konwulsyjne zamierającego ciała. W r. 1830 zgaśł pierwszy i ostatni prezes Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Lublinie, zasłużony obywatel Joachim Owidzki. Towarzystwo dogorywało. Listopad już się zbliżał...

STEFAN GORSKI,



## Ruch literacki w Niemczech.

---

Północ!—Godzina upiorów i tajemnic; godzina w której tęsknota duszy nie tłumiona i nie krępowana wrzawą dnia, przemawia drżącymi usty. Jak srebrne, czarodziejskie źródło sączy się wątek myśli, a szeroko rozwarte źrenice szukają objawień.

Księżyc tylko, ów wszechpotężny magnetyzer nocy, błąka się po kamiennych krużgankach, zaglądnąc skośnem spojrzeniem w komnaty o gotyckich sklepieniach...

Tak siedział niegdyś Faust nad tajemniczą księgą wiedzy, czyniąc zaklęcia duchów.....

O tej godzinie czarnoksiężnicy i astrologi, alchemicy i magowie ramiona swe ku potęgom nadprzyrodzonym wyciągali. Bajki niańczyne i opowiadania o ogrodach czarodziejskich Klingsora, o pałacach zaklętych duchów gór, snują się, jak tęczowe nici babiego lata po głowie..... Dreszcze mistyczne czcicieli Grala i tytaniczne żądze alchemików, warzących w retortach swych próby nowego złota—wszystko czary bladej północy!

A teraz inny szereg obrazów.

Północ—godzina objawień Kopernika, godzina odkryć Tycho de Brahe'go, Herszla, Frauenhofera, — godzina myśli Beethowena, fantazyj Szopena, wieszczych jasnowidzeń Mickiewicza, Goethe'go, godzina budowy olbrzymich świątyń filozofii.

Lubię tę godzinę mistyczną i jej opowieści o dziejach ducha ludzkiego i tęsknoty ludzkiej. Nie ma bowiem większego klejnotu pod słońcem, ani też wspanialszego dyademu, nad tę tęsknotę. Wszystkie sny i przecucia ludzkości były dziećmi tęsknoty, każde dzieło twórczości człowieczej było pąkowień tego krzewu, a każdy przeblask jej prorocy, odblaskiem przyszłych zórz i urzeczywistnień.

Historia ludzkości jest historią nieustannych urzeczywistnień tęsknoty.

Drżące, niepewne zarysy bajki skryzystalizowała w wiekopomne kształty sztuka, chemia przerosła wszelkie nadzieje alchemików, słabe światło gwiazdy mistycznej astrologii, znikło w pożarze prawdziwych słońc, a krwawe nabożeństwa bałwochwalców stały się prochem marnym w progu wielkich, promiennych świątyń myśli ludzkiej.

Biała dłoń człowieka zamieniła się w żelazną pięść młota, przewierciła wnętrzności gór i ponad przepaście rzuciła śmiało wiadukty; oko ludzkie, żądne światła i wiedzy, powiększyło się do rozmiarów teleskopu, odgadując tajemnice dróg mlecznych, planet i mgławic, a tam, gdzie niezmierne przestrzenie nawet temu zolbrzymiałemu wzrokowi wieczną tamę stawiać się zdawały, narodziły się tęsknocie nowe oczy, oczy chemiczne fotografii i analizy spektralnej, dla których ani ultrafioletowe promienie, ani gazy płonących słońc drogi mlecznej, ani niewyraźne kształty mgławic, nie są dziś tajemnicą. Poznawszy prawa natury zaprzął je człowiek do swego rydwanu, na dzikiego smoka elektryczności nałożył wędzidła, białe fontanny pary, chyże wiatry i srebrne wodospady zaprzął do kieratu swej woli. Od obszarów gwiezdnych zwrócił wzrok w łono mniemanej nicości:—poznał życie bakteryj i cuda przedziwne światów mikroskopijnych. Słowo ludzkie, które się stało rzecznikiem harmonii bytu, zdobyło szybkość błyskawiczną skacząc po drutach telegrafów i telefonów, a myśl ludzka, zabłysnąwszy raz iskrą poznania, zwielokrotniała się potężniej niż głowy żmii błot Lernejskich.

Żaden czarnoksiężnik, żaden mag nie jest w stanie mierzyć się z białą mocą tęsknoty ludzkiej, która nie zna ani granic, ani pokoju. Niema czarów i cudów, po jakiejby ręka jej mglista nie sięgała, niema tajemnic, do których wrot nie kołatałyby!

Tęsknota jest największym czarnoksiężnikiem!

\*

\*

\*

Pod względem niebywałych odkryć i wynalzków, zajmuje jedno z najmłodszych dzieci tej tęsknoty, wiek XIX, zupełnie wyłączne stanowisko. Nawał niespodzianek, któremi nas w ciągu tego



wieku nauka i badanie formalnie przygniotły, ukazał nowe, niesłychane perspektywy, obudził podziw, który spotęgował się aż do ekstazy i pietyzmu dla faktów „rzeczywistości.“ Zdawało się przez pewien czas, jakoby raz na zawsze nastąpić miał przełom pomiędzy przeszłością a przyszłością, jakoby teraz dopiero ludzkość, otrząsnąwszy się z „zanglonych wierzeń“ minionych wieków, pojęła „prawdę“ i, odrzuciwszy na bok wszelkie „rojenia metafizyczne,“ obrała gościniec badań „pozytywnych,“ nie uznając nic, poza materyą, nic poza mechanizmem sił przyrodzonych.

Zawiłe systematy filozoficzne przeszłości, starające się wyjaśnić stosunek duszy do ciała, medytacje spirytualistów i idealistów, Platona, Leibniza i Kanta myśli o duszy—usunięto na drugi plan.

Dusza nie istnieje, myśl jest funkcją cielesną, a organizmem jej—mózg. Siła i materya — oto jedyne potęgi bytu, który jest mechanizmem niezmiennych, bezdusznych praw.

Wiedza, ufna w swoje siły i swe metody badania, które tak świetnie wydały rezultaty, odepchnęła z pogardą filozofię. Stajemy się w ciągu XIX wieku świadkami olbrzymiego rozkwitu dziedziny specjalnych nauk, które gromadzą nieoceniony materiał, ale w swej pracy tracą związek z całokształtem wiedzy ludzkiej i nie są w stanie zużyć odpowiednio swych zdobyczy. Powstają całe biblioteki dzieł specjalnych, olbrzymich foliałów i ściśle naukowych monografij, — ale wszystkie te drogocenne skarby są niedostępne ogółowi ludzkiemu. Kto byłby w stanie, przeczytać je wszystkie, przejrzeć i uporządkować, — ująć w systemat.... tu i tam rozsiane perły i dyamenty wyłowić?

Wobec gorączkowego życia współczesnego, wobec niebywałego rozkrzewienia się gałęzi nauk specjalnych, praca podobna staje się prawie niepodobieństwem. Nawet mężowie nauki nie podejmują się jej. Fachowy badacz botaniki wstrzymuje się od sądu w kwestyach zoologii, tłómacząc się niekompetencyą.

Z każdym dniem zwiększające się olbrzymie skarby bibliotek leżą prawie że bez użytku, tak niedostępne ogółowi, jak niegdyś rękopisy średniowiecznych klasztorów. Rozkwit badań ścisłych i pozytywnej nauki wnosi z sobą, pomimo swej olbrzymiej dokładności, chaos niebywały w dziedzinę wiedzy ludzkiej. O światopoglądzie opartym na nowych badaniach i nowych odkryciach naukowych, mowy być nie może. Nawet subtelniejsze umysły zadawalniają się kojarzeniem najsprzeczniejszych, wzajemnie wyłączających się poglądów i wierzeń, czego wymownym dowodem są naprzykład systematy filozoficzne Spencera, Wundta lub pisma

Darwina, Virchow'a i w. innych, których wymienić tutaj wszystkich niepodobna. Liczba ich — legion.

Może zdala od świata tu i tam mędrzec jaki, znosząc skrzętnie wszystkie rozrzucone po różnorodnych fachowych foliatach odłamki wiedzy, buduje nowy system filozoficzny wszechświata. Nikt o niego nie dba. Fachowcy, którzy stoją u steru nauki oficjalnej, wzruszają lekceważąco ramionami na tego rodzaju usiłowania.

Ogół nie ma czasu.

Dzieła Schopenhauera sprzedają na makulaturę, podobny los spotyka później dzieła filozoficzne Fechnera. Haeckel naraża się na napaści i śmieszność w kołach fachowych swemi pierwszymi traktatami popularno-filozoficznej treści, w których pragnie dać światopogląd.

Podczas tego bezkrólewia w świecie nauki jednej z najmłodszych cór myśli ludzkiej, publicystyce, danem jest odegrać znamieną rolę.

\*

\*

\*

Rozpatrując różne fazy rozwoju ludzkiego możemy zauważyć, że każdy postęp posuwa się w dwóch kierunkach, a mianowicie: wznosząc się nieustannie wyżej, sięga równocześnie głębiej i obejmuje coraz szersze warstwy, zdobywające coraz solidniejszą podstawę.— Weźmy, jako przykład, piśmiennictwo. Od rękopisów, od wynalezienia druku widzimy jedną fazę rozwoju. Dostępne zaledwie kilku wybranym owoce wiedzy stają się własnością szerszej warstwy. Każde ulepszenie prasy drukarskiej przyczynia się do nowego rozwoju. Coraz większa liczba ludzi interesuje się nauką, bada, obserwuje,—a rezultatem tego rozszerzenia pola działalności wiedzy, które zawdzięczamy książce, jest niebywały rozkwit nauk. W końcu gazeta i dziennik zdobywają jeszcze szersze koła, wnosząc okruchy wiedzy aż do ubogich izb skromnych pracowników, pod strzechę robotnika i chłopca. Wiedza coraz dalej zapuszcza swe korzenie, coraz obficie karmi się sokami myśli ludzkiej.

Gazeta i dziennik wywołują potrzebę popularyzacji. Pełz narzekań posypało się już na piśmiennictwo popularyzacyjne, ilekroć załamywali nad niem ręce nawet bardzo poważni myśliciele,



szczydzi z niego fachowcy, zżymali się nań arystokraci ducha. A jednak popularyzacyjna praca wydała i wydaje plony obfite i gra w historii ludzkiego postępu rolę znamioną. Dziś gazeta lub dziennik sięga tam, dokąd książka nawet sięgać nie może.

Ale pominiawszy rozwój dziennikarstwa wszerz i wgląb, zwróćmy uwagę na stale polepszającą się treść i wartość artykułów w pismach i gazetach. Dziś nawet wybitni poeci i niejedni uczeni, o ile n. b. potrafi wysłowić się językiem zrozumiałym ogółowi, drukują myśli swe i wyjątki ze swych dzieł w szpaltach gazet i pism. Przyczynia się do tego bez wątpienia i strona materialna, gdyż w krajach gdzie dziennikarstwo tak jest rozwinięte, jak we Francyi, w Niemczech, Ameryce i Anglii, każdy autor jest w stanie zarobić dwa razy tyle, publikując swe utwory najprzód w organach prasy, sprzedając korzystnie prawa pierwszego i drugiego przedruku, a dopiero w następstwie wydając dzieło swe w formie książkowej.

Pomimo swych niezaprzeczonych zalet, posiada jednakże dziennikarstwo dzisiejsze swoje wady, które są prawdopodobnie fazą przejściową, przyczyniają się jednakże do zwiększenia chaosu i anarchii umysłowej, będącej znamioną cechą naszych czasów. Jedną z głównych wad tego rodzaju—jest absolutna bezwyznanowość. Nie chcę przez to powiedzieć, że każda z gazet powinna pracować według pewnego programu, bądź to politycznej, bądź religijnej treści, ale pragnąłbym zwrócić uwagę na fakt, że pod szarym płaszczykiem obiektywizmu kryje się częstokroć w prasie dzisiejszej absolutny brak światopoglądu i że nie jest w stanie łatwiej wprowadzić w błąd bardzo szerokich warstw społecznych, jak właśnie tego rodzaju obiektywizm.

\*

\*

\*

Pragnąc mówić o Wilhelmie Boelsche'm, którego główne zasługi znajdują się w dziedzinie dziennikarsko-popularyzatorskiej, którego jednakże pomimo tego zaliczyć trzeba do wybitniejszych współczesnych poetów niemieckich, jako poetę nie w znaczeniu tradycyjnem, niemniej jednakże jako prawdziwego poetę, poruszyłem kwestyę publicystyki, ażeby na szarem tle jej, sylwetka tego poety-dziennikarza ostrzej uwydatnić się mogła.

Boelsche jest synem nadreńskich wybrzeży. Studya swe przyrodnicze ukończył w Bonn i Paryżu, gdzie zdobył bardzo wszechstronne, staranne wykształcenie, nie tracąc jednakże pod brzemieniem wiedzy ścisłej, wrodzonej świeżości poetyckiej. Skojarzenie tych dwóch elementów, stworzyło ciekawą i oryginalną indywidualność artystyczną, jakiej dotychczas literatura niemiecka nie posiadała; nie wiem, czy wogóle którakolwiek literatura, z wyjątkiem północno-amerykańskiej, podobną indywidualnością poszczycić się może.

Istnieją dwa wprost przeciwnie idealne światopoglądy o tak wybitnych kontrastach, jak dzień i noc, śmierć i życie. Za przedstawicieli tych światopoglądów w literaturze niemieckiej, można przyjąć Goethego, i Szyllera.

Szyller, który z takim naciskiem używał słowa: „ideał“, uchodzi w opinii publicznej do dziś dnia za absolutnego idealistę w stosunku do „realisty“ Goethego. Opinia ta jest bezwątpienia nieuzasadnioną, gdyż obaj, jak Szyller, tak i Goethe byli idealistami, tylko, że każdy z nich, mówiąc słowami Boelsche'go, w inny sposób pojmował „kosmiczną treść ideału.“

Uprzytomnijmy sobie światopogląd Szyllera.—Okrutna, bezlitośna rzeczywistość otacza nas. Człowiek, rzucony, jakby w wir rozhułkanych fal, nie wie skąd, poco i dokąd. Jedno tylko jest mu wiadome:—nieubłagane fatum pożreć go musi, bez względu na to, czy jego czyny były złe lub dobre, czy drogą jego życia była cnota, lub występki.—Wiecznie wrząca walka, której sensu zrozumieć niepodobna! — Ale ponad ponurą powierzchnią oceanu życia, jaśnieje tajemnicza fatamorgana:—ideał. Wieczna wyspa błogosławionych, która się nam we śnie objawia. Tęcza niezwyklej piękności. Tylko w marzenia ideale tęsknota ludzka znajduje swe urzeczywistnienie. Marzenie to jest jedyną rzeczywistością bytu. Co ma żyć w świecie ideału, musi przepaść w życiu. Pod kopyta końskie!—To los wszystkiego, co piękne na ziemi. Biada szaleńcowi, który wierzy w urzeczywistnienie ideału. Pod kopytami przekona się o prawdzie. Wiecznie tylko widok ideału-tęczy, którego świat nie jest w stanie obryzgać błotem, jest naszą ucieczką; ale to, że będąc przykuci do ziemi, nigdy ideału tego osiągnąć nie możemy, jest krwawą „tragedyą“ rodu ludzkiego, która się nigdy nie skończy.

Goethemu świat przedstawiał się zupełnie inaczej. Świat jego jest jednością podległą nieustannemu rozwojowi. Wszystkie nadzieje znajdują w tym świecie swe urzeczywistnienie. Ideał nie jest utudą, ale snem wieszczym o przyszłości; nowym szcze-



blem ciągle udoskonalającej się rzeczywistości. Już samo Zjawienie się ideału, jest zapowiedzią jego urzeczywistnienia. Przyjdzie dzień, kiedy pierwszy błysk myśli twórczej przybierze kształty realne. Człowiek jest uświadomieniem prawa wiecznego rozwoju, który zawsze i wszędzie rwie się w górę.

Boelsche należy do wyznawców wierzeń Goethe'go. Cała twórczość jego nacechowana jest tą słoneczną wiarą w życie, rzeczywistość, sztukę, w tryumf ideału i postęp ludzkości.

Ponad światopoglądem tym możnaby wypisać, jako *motto* wielkie słowa naszego filozofa Hoene-Wrońskiego:

„Byt jest bytem, celem bytu jest wiedza, a tłem wiedzy jest piękno.“

Stanowisko to odróżnia Boelschego zasadniczo od fanatycznych wyznawców naturalizmu, którzy możliwie dokładne kopiowanie rzeczywistości uważają za jedyne zadanie sztuki dzisiejszej. Dla niego pogłębienie wiedzy nie jest śmiercią marzenia. Przeciwnie, marzenie posiada też samą rację bytu, co wiedza. Z połączenia obu powstaje dopiero prawdziwy czyn twórczy. Temu też zawdzięczają pisma Boelsche'go swą żywość i piękność, pomimo treści naukowo-popularnej.

\*

\*

\*

W jednym z bardziej oddalonych przedmieści Berlina, Friedrichstagen, którego nazwa ściśle jest związana z nazwiskiem Boelsche'go, znalazło się w roku 1888 małe kółko poetów, którzy uciekając przed ogłuszającym gwarem wielkomiejskim, skryli się pod skrzydła ciszy, gdzie na skraju miasta ciągną się piaszczyste równiny brandenburskie, upstrzone gdzie niegdzie jasnymi plamami jezior i ciemną zielenią lasów sosnowych.

Bracia Hart, Bruno Wille, Wilhelm Boelsche i mieszkający w pobliskim Erknerze Gerhard Hauptmann, o którym wówczas świat jeszcze nic nie wiedział, należeli do tego kółka poetów. Nie było to żadne stowarzyszenie literackie. Jedyne tęsknota za naturą i potrzeba skupienia się w duchu, sprowadziła razem tych wygnańców stolicy. Każdy szedł własnymi szlakami. Niekiedy zbierano się u jednego z przyjaciół. Hauptmann czytał wyjątki ze swego utworu dramatycznego: „Przed wschodem słońca,“ który

miał mu zdobyć pierwsze wawrzyny, lub jeden z braci Hartów deklamował swoje poezye. Tutaj przyjęto z zapałem próby nowelistyczne Holza i Schlafa, którzy ze swej skromnej pustelni na przeciwległym krańcu Berlina właśnie w tym okresie czasu wysłali byli w świat pierwsze owoce swej wspólnej pracy.

Wspomniawszy o Hauptmanie, muszę zadość uczynić obowiązkowi sprawodawcy i nadmienić o jego ostatnim utworze dramatycznym „Elga“ który niedawno został wystawiony w Berlinie. Treść tego obrazu dramatycznego, który Hauptmann nazwał nokturnem, wzięta jest z noweli Grillparzer'a. Jest to opowiadanie mnicha o losach wojewody sandomierskiego Starzeńskiego i jego pięknej, zdradzieckiej małżonki Elgi. Mglista forma luźnie skojarzonych scen, które przedstawiać mają widzenie podróżnego, nocującego w klasztorze sandomierskim, upoważnia do nazwy nokturnu. Niepodobna jednakże w utworze tym, odznaczającym się w niektórych scenach rzeczywiście tragiczną nutą, dopatrzyć się pokrewieństwa z Szopenem, jak to niektórzy z berlińskich krytyków niewiedomo jakim prawem utrzymywali. Całość robi wrażenie naprędce rzuconego na papier szkicu.

Ale powracając do naszych poetów z Friedrichstagen, zaznamy, że życie położyło niebawem kres tej skromnej sielance. Hauptmannu'a wyniosły fale na samotne wyżyny powodzenia, gdzie, idąc własnymi drogami, dotarł do szczytów naturalizmu, aż pewnego dnia i jemu zaklęty świat bajki ukazał w marzeniach o „dzwonię zatopionym“ swe srebrne cuda.

Bracia Hart powrócili do Berlina, gdzie Henryk Hart, który otrzymuje stałą subwencję od cesarza Wilhelma, pracuje nad olbrzymim poematem epickim: „Pieśń o ludzkości.“ Epopea ta składać się ma z 24 pieśni, z których każda jest specjalnym poematem, opisującym pewną fazę rozwoju ludzkości. Utwór ten, o ile autor zdoła go wykończyć, objętością swą dorówna księgom poetów wschodnich i będzie bezwątpienia największym, co do objętości, poematem naszych czasów. Wątpię jednakże, czy iście cyklopowe kamienie ciosowe tej epopei, dadzą się połączyć w jedną, harmonijną całość. Juliusz Hart, jest poetą lirycznym. Jego „Tryumf życia“ (ogł. drukiem 1897) jest może w literaturze niemieckiej najtrafniejszem i najpiękniejszym wcieleniem tęsknoty naszych czasów.

Bruno Wille wraz z Wilhelmem Boelsche'm pozostali wierni poezyi cichego zakątka we Friedrichstagen. Wille, założyciel teatru ludowego „Freie Volksbühne,“ posiada wiele wspólnych cech z Boelschem. I on potrafi łączyć wiedzę z poezyą i u niego



jasny płomień nauki nietylko oświeca, ale też grzeje. I on z pietyzmem religijnym głosi hymny na cześć natury, ale tam gdzie Boelsche znajduje poetyczne natchnienia, tworząc dzieła sztuki, Wille pogrąża się w świetlane mgły mistycyzmu, idąc śladem Anioła Szlązaka. Ciekawy kontrast tego rodzaju przedstawia n. p. utwór jego: „Offenbarungen des Wachholderbauns, Roman eines Allsehers“ (1900 r.)

\*

\*

\*

W dziedzinie literatury zdobył sobie Boelsche przedewszystkiem uznanie swemi studjami krytycznemi o Novalis'ie, i wydaniem kompletnem dzieł tego poety, grającego w dzisiejszej poezyi niemieckiej tak znamiennej rolę.

Novalis, którego działalność przypada na czas najwyższego rozkwitu literatury niemieckiej w okresie Getowskim, jest poetą-filozofem tego czasu. Niestety, przedwczesna śmierć położyła w marcu 1801 r. kres twórczości 28-mio letniego młodzieńca. Umarł, pozostawiając potomności prawie same fragmenty, których wartość dopiero dziś należycie oceniono.

Myślą przewodnią, która wszystkie fragmenty poezyi Novalis'a łączy w jedną całość, a czoło poety zdobi trwałym wawrzynem, jest *wiara w poezję, jako źródło prawdy*.

Poezja była dla niego rzeczywistością, ponieważ wszelka rzeczywistość była poezją. Było to, innymi słowy absolutne podbicie bytu przez piękno—harmonia.... światopogląd. Novalis, poeta błękitnego kwiecia romantyzmu, stał się w oczach naszych poetą rzeczywistości, ale pomiędzy jego rzeczywistością, a „rzeczywistością“ Zoli leży olbrzymia przepaść. W połowie XIX wieku stworzono specjalną dziedzinę rzeczywistości. Nauki przyrodnicze, historia i polityka, występując na pierwszy plan, zawładnęły nią, jako swą własnością prywatną. Sztukę postawiono przed komisją egzaminacyjną, która miała orzec o jej wartości praktycznej. „Sztuka powinna się starać wedle możliwości naśladować naturę“—tak brzmi ciasna doktryna tych nowożytnych realistów. Zapomniano o tem, że w każdym objawieniu, leży odzwierciedlona część prawdziwego bytu. Dualizm realistów stawiający po jednej stronie „nauki ścisłe“ jako „rzeczywistość absolutną,“ po drugiej

sztukę, jako zabawkę uludną, mglistą fantastykę, będącą co najwyżej rozrywką, wytchnieniem po pracy, rozdziela jedność bytu, wtlaczając bogatą, różnobarwną wielorakość życia w ciasne formułki doktrynerstwa.

Sztuka jest tak potrzebna człowiekowi, jak chleb powszedni. Cywilizacya zmaleje, jeżeli z niej usunąć sztukę, gdyż wszelki rozwój ludzki ma swą podstawę w marzeniu.

Poezya Novalisa stała się dla Boelschego punktem wyjścia. Wypisawszy na swym sztandarze myśl przewodnią tego poety: „o poezji — źródle prawdy,“ zdobywa dla niej coraz szersze posiadłości, i na tem właśnie polega tryumf Boelschego w literaturze współczesnej. Wszystko przybiera dla niego kształty piękna i wiedza staje się pięknem, wszechświat arcydziełem, człowiek i zwierze, gwiazda i kwiat częstkami jednej jedynej harmonii bytu.

Droga ta prowadzi wprost do Goethego. W niezwykle interesującej, jędrnej pracy: „Goethe w XX stuleciu“ szkicuje Boelsche postać wieszczka z Weimaru, tak jak się nam ona dziś po przeszło wiekowym badaniu przedstawia. Pomimo olbrzymiej ilości pism krytycznych o Goethem, dziełko to o objętości 75 stronic (ogł. drukiem w r. 1903), ukazuje nam nowe i ważne prespektywy.

Toż samo pokrewieństwo duchowe zbliża Boelschego do staro Hermanna Grimm'a, dziedzica spuścizny getowskiej, którego wyczerpujące dzieła o Michale Aniole, Goethem i Homerze są prawdziwymi perłami nowszego piśmiennictwa niemieckiego.

Większa część prac literackich Boelschego połączona została w książce pod tytułem „Hinter der Weltstadt. Friedrichstagenener Gedanken zur aesthetischen Kultur.“ (1901 r.)

Jedną z najgłówniejszych zasług Boelschego jest zwrócenie uwagi ogólnej na filozofię Fechnera. Tutaj podejmuje się publicystyka roli, o której już poprzednio wspomniałem. Podczas bezkrólewia myśli i chaosu nagich faktów, zaczyna szukać związku pomiędzy wiedzą, filozofią i sztuką, torując drogę dla nowego światopoglądu. To, co niedostatecznie jasno wyrażają fragmenty twórczości Novalis'a, to, co drzemie na dnie potężnych utworów Goethego, znajduje urzeczywistnienie w systemacie filozoficznym Fechnera, z którym nas Boelsche zaznajamia. Równocześnie otwiera nam niedostępne ogółowi skarby wiedzy nowożytnej, cuda monografij naukowych i badań fachowych. Tajniki natury, znane tylko ścisłym badaczom-specyjalistom, zaklęte w czarujące obrazy. Olbrzymie perspektywy nowych objawień! Myśl twórcza, otrząsając się z przygniatających ją mas olbrzymich wiedzy specjalnej, wyciąga swe tęskne ramiona ku nowym słońcom. Cała działalność



Boelschego w dziedzinie popularyzacji nauk przyrodniczych jest ciągłą ilustracją coraz potężniej zarysowującego się światopoglądu, którego prorokiem jest Novalis, poetą Goethe, a filozofem Fechner.

\*

\*

\*

Śledząc historię ruchu umysłowego w Niemczech w wieku XIX, widzimy, jak na początku stulecia, dzięki genialnej twórczości Goethego, zarysowują się po raz pierwszy kontury nowego światopoglądu; jak następnie, w okresie ścisłego badania naukowego, które wypełnia większą połowę wieku, masa wiedzy ludzkiej wzrasta do niebywałych rozmiarów, zasłaniając swym ogromem obraz świata, aż znów w końcu stulecia budzi się tęsknota przetworzenia całego zdobytego materiału pozytywnego na nowy światopogląd, zjednoczenia wszystkich rysów poszczególnych w jedną harmonię wszechbytu.

Ta ukryta, głęboko nurtująca tęsknota XIX wieku, staje się pierwszym cudem wieku XX-go.

Przy schyłku XIX stulecia, a mianowicie w r. 1887, zmarł w Lipsku 86-letni profesor fizyki i filozof Gustaw Teodor Fechner. Starzec ten, któremu dzieła fachowe zapewniły imię pierwszorzędnego uczonego, pozostawił pozatem drogocenną spuściznę:—kilka tomów dzieł filozoficznych, napisanych w ciągu długiego i pracowitego żywota. Dzieła te jednakże spotkał los utworów Schopenhauera—sprzedawano je na makulaturę.

Dziś wydobyte na światło dzienne, stały się fundamentem nowego światopoglądu.

Wiek XIX skończył się tryumfem filozofii Nietzschego. Rozpatrując przyczyny tak szybkiego zwycięstwa tego filozofa-poety, dochodzę coraz bardziej do przekonania, że jedną z najgłówniejszych był— optymizm jego.

Ponure, beznadziejne obrazy, jakimi nas obdarzyła filozofia Schopenhauera i Hartmanna, ciążyły złowrogo na umysłach współczesnych. Nietzschego powitano z zapałem, jako oswobodziciela; szczególnie serca młodzieży, dostępnejszej dla każdego objawu optymizmu, filozofia jego zdobyła szturmem.

Jeżeli dziś zsumujemy wszystko, co nam dała filozofia Nietzschego, to pominąwszy jego zasługi w dziedzinie etyki, będziemy zmuszeni ograniczyć się do wartości zawartych w jego najpierwszych utworach i „Unzeitnässige Betrachtungen“, „Geburt der Tragödie“ i w ostatnim wykończonym dziele, w „Zaratustrze.“ Nie są to, co prawda, czysto filozoficzne utwory, mogące uchodzić za podwaliny konsekwentnego systematu filozoficznego. Tam, gdzie Nietzsche jest tylko filozofem n. p. w „Menschliches Allzumenschliches“, „Morgenröte“ „Jenseits von Gut und Boese“ przeważa u niego destrukcyjna tendencja, nie różniąca się w istocie wiele od podobnych objawów krytycyzmu Schopenhauera.

Przypuściwszy nawet, że tylko przedwczesna katastrofa przerwała wątek myśli twórczej Nietzschego i że naszkicowane w Zaratustrze idee filozoficzne byłyby w planowanym wielkim dziele „Die Umwertung aller Werte“, którego tylko fragmenty posiadamy, znalazły swe uzasadnienie, to i w takim razie wątpię bardzo, czy udałoby się Nietzscheму zjednoczyć swe poglądy w jeden niewzruszony całokształt filozoficzny. Już sama idea ewolucjonizmu, której najwyższem wcieleniem była u Nietzschego optymistyczna wiara w przyjście „nadczołwieka“, nie zgadza się z jego teoryami „o wiecznym powrocie wszechrzeczy“, które jak słynne słowa Ben Akiby, są niewątpliwym objawem pesymistycznego światopoglądu. Albo świat jest linią nieustannego rozwoju i o wiecznym powrocie wszechrzeczy mowy być nie może, albo jesteśmy ofiarami nieubłaganego, materyalistycznego, „perpetuum mobile“ i nie mamy żadnego powodu cieszyć się z możliwego przyjścia „nadczołwieka“, którego dalszą konsekwencją będzie znów—wymoczek.

Ze względu na to, możnaby nazwać Nietzschego „optymistą na małą skalę;“ tam bowiem, gdzie przeważa siła twórcza, która się u niego zawsze objawia w formie poetycznej, jest on optymistą, w chwilach rozumowania—bezwzględny pesymista.

Ten dualizm, zawarty w filozofii Nietzschego, musi w końcu wyjść na jaw, tłumiąc znacznie entuzjazm wyznawców jego.

„Optymistą na wielką skalę“ jest Gustaw Teodor Fechner. Znajdujemy pozatem u niego niewzruszony systemat filozoficzny, któremu logicznie żadnych sprzeczności zasadniczych, zarzucić niepodobna.

Fechner wznosi swój światopogląd na pozytywnych rezultatach współczesnej wiedzy, ale nie poprzestaje na tem, jak większa część jego kolegów. Dla niego świat nie kończy się na wzajemnej wymianie wpływów pomiędzy energią a materją.



Światopoglądy materyalistów odznaczają się bez wyjątku niezwykle przygnębiającą nutą.

Wszystko podlega niezmiennym prawom, poza którymi nic nie istnieje. Życie, świat, człowiek—są chwilowemi, przejściowemi objawami materji i siły, bańkami mydłanemi, których tęczowe kolory nie są w stanie ukryć ich przypadkowości. Punktem wyjścia dla materyalistów był człowiek. Jak człowiek zjawia się niespodziewanie, ażeby znów bez śladu przepaść, tak również i świat, ba! cały wszechświat, nie jest niczem innym tylko bańką mydłaną. Cały problemat zależy od pytania, czy człowiek posiada duszę, lub nie. Jeżeli bowiem wraz ze śmiercią kończy się jego życie świadome, ustępując miejsca czysto materyalnemu funkcyom rozkładu, to intelektualne nie było niczem innym, jak bańką mydłaną.

Myśl jest produktem mózgu - powiadają materyaliści. W jaki sposób jednakże mózg myśli, odczuwa i kombinuje, na to miano tylko jedną odpowiedź:—Ignorabimus!

Fechner formułuje najprzód z wielką ostrożnością swój rzekomy dualizm psychofizyczny, w następujący sposób. Wszystkim objawom fizycznym towarzyszą zawsze pewne własności psychiczne, z tego względu przyjąć musimy paralelizm pomiędzy ciałem i duszą. W istocie rzeczy jednakże doświadczenie nasze polega tylko na jednym jedynym paralelizmie psychofizycznym, a mianowicie na naszym własnym. Wszystkie dalsze wnioski robimy za pomocą analogii.

Rozpatrując świat zewnętrzny widzimy w nim absolutną jedność bytu. Darwinizm, szczególnie zaś ostatnie konsekwencye jego, zawarte w znakomitych dziełach Haeckel'a, ukazują nam nierozzerwalny łańcuch tworów, świadczących o jedności wszechbytu. Dlaczego nie moglibyśmy dla całej tej jedności fizycznej przyjąć odpowiedniej jedności psychicznej?

Pytanie na pozór bardzo proste - a konsekwencye olbrzymiej doniosłości.

Przedewszystkiem rodzi się nowe pytanie:—Gdzie dostrzedz można ostateczne granice duszy w świecie materyalnym?

Świat zwierzęcy odznacza się bądź co bądź cechami, które istnienie duszy czynią poniekąd prawdopodobnem (patrz badania Wundta). Ale na tem kończy się nasza mądrość, która sięga tylko tak daleko, jak widoma analogia zewnętrzna sięgnąć może. Świat roślinny nie przedstawia nam żadnych analogij, dlatego też istnienia duszy w nim się dopatrzeć nie jesteśmy w stanie.

Rozwiązanie powyższej zagadki nie da się przeto w ten sposób skutecznić. Musimy szukać go tam, gdzie jedynie badanie paralelizmu psychofizycznego jest dla nas możliwem. Tem jedynem, dostępnem dla nas polem badania, jest człowiek. Tutaj też natrafiamy zaraz na bardzo ciekawy problemat.

Ciało ludzkie składa się z niezliczonej masy komórek, każda z tych komórek, według odkryć naukowych Virchowa, jest jednością fizyczną.

Wielorakość fizyczna w ciele ludzkim posiada równoległą jedność psychiczną.

Wielorakość fizyczna posiadająca tego rodzaju równoległą psychiczną, tworzy w danym razie system mechaniczny, który nazwiemy ciałem ludzkim. Stąd logiczny wniosek, że każdy system mechaniczny, czy to ciało ludzkie, lub roślinne, czy to ziemia lub system słoneczny, posiadać powinien swój paralelizm psychiczny, swoją duszę.

Wszech-dusza jest równoległą wszechświata.

Tym, którym wniosek powyższy wydałby się zbyt śmiałym lub dziwacznym, przypominam, że prawie codziennie używają słów jak: duch kastowy, dusza ludzkości, duch narodowy, psychologia narodowa, instynkta rasowe i t. p. Wyrażenia te są dowodami mimowolnego, lub, powiedzmy lepiej, bezwiednego kojarzenia skomplikowanej wielorakości mechanicznej, jaką jest n. p. naród, kasta, rasa, z jednością psychiczną: duch-dusza....

W ramach krótkiego szkicu niepodobna jest dać, chociażby w najgrubszych zarysach, całokształtu systematu filozoficznego. Wiem, że najważniejsze punkty przytoczonego światopoglądu nie zostały jeszcze należycie wyjaśnione, że należałoby przedewszystkiem uzasadnić lepiej ideę psychofizycznego paralelizmu, ukazać związek jej z pojęciami monistycznymi i poruszyć kwestyę życia i śmierci. Wyjaśnienia te przekraczałyby jednak zakres niniejszej pracy.\*)

Ażeby więc przynajmniej zaznaczyć „leitmotiv“ filozofii Fehnera i przez to ułatwić czytelnikowi chociażby ogólne zrozumienie jej treści uczuciowej, przytaczam kilka słów z traktatu Boelschego, które, o ile mi się zdaje, bardzo się do tego nadają.

\*) Osobom interesującym się szczegółami, polecam traktat Boelschego o Fehnerze, zawarty w wyż. wsp. dziele: „Hinter der Weltstadt“ lub też dzieła samego filozofa: „Nanna“, „Zend-Avesta“, „Das Büchlein vom Leben und dem Tode“, szczególnież zaś: „Die Tagesansicht gegenüber der Nachtsicht“.



„Spoglądając na falujące morze XIX stulecia, pisze Boelsche, niepodobna oprzeć się urokowi filozofa z Rosenthalu (Rosenthal olbrzymi park w Lipsku, gdzie Fechner chętnie przesiadywał).“

W postaci tej łączy się potężna aż do gwiazd sięgająca wiedza tego stulecia z bezgraniczną tęsknotą w jedną harmonijną całość... „Czem jesteś człowiecze? Ty, którego lśniące fale odwiecznych przekształceń wyniosły na powierzchnię bytu, jeżeli jutro czeka cię ponura noc nicości? Czemżeż są te promieniejące światła na nieboskłonie nocy, jeżeli tylko ty posiadasz duszę, podczas, gdy przez biliony mil wszechświata krąży tylko martwa siła materii? Czemżeż jesteś ty, bracie mój, który masz mi być bliźnim, jeżeli nas rozdziela grobowy chłód i ciemność bezdusznego świata?“

„Usta moje szukają twych ust—a pomiędzy niemi leży wiecznie niema przestrzeń o milionach osłupiałych oczu, które z jednej nicości spoglądają w drugą i nic nie widzą...“

„Kto godzinę tę pytań i walki wewnętrznej przeżył, kończy Boelsche, ten zrozumie Fechnera.“

\*

\*

\*

I Boelsche również jest prorokiem tęsknoty ludzkiej — tęsknoty, która szuka i wierzy. Majestat dróg mlecznych i tajemnicze sielanki światów mikroskopijnych — wszystko staje się mu zwierciadłem jedności bytu. Piękno wzorzystych skorup maluczki radiolariów, subtelna gra kolorów w ciałach meduzy morskiej lub opierzenie ptaków rajskich, kielichy kwiatów i płótna mistrzów są mu objawieniem jednej i tej samej harmonii.

„Moja sztuka nie obawia się uścisku morderczej rzeczywistości, powiada dumnie, gdyż jest ona rzeczywistością; ale nie waszą „rzeczywistością,“ zbudowaną na wzór maszyny, pijącej krew swych robotników. *Moja* sztuka i *moja* natura są wieczną jednością.“

Maeterlink napisał obszerne dzieło pod tytułem „Pszczoły,“ opowiadając w nien trochę sucho bardzo ciekawe fakty z życia ulów. Opis jego nigdzie jednakże nie wychodzi poza ramy obserwacji. U Boelschego podobny opis przybrałby formy wielkiej epopei pszczelnej. Bylibyśmy tam nie tylko świadkami różnorodnych wydarzeń w świecie pszczoł, ale bralibyśmy w nich udział,

przeżywając je, jak coś nam pokrewnego, jak wielkie misteryum bytu.

Poezya Boelschego ma coś, że tak powiem, Orfeuszowego i—ożywia kamienie, budzi dusze zwierzęce i roślinne, a serca ludzkie wprawia w szal piękności. Jednym z najpiękniejszych dzieł, jakie Boelsche napisał, jest 3 tomowa „Historya życia miłosnego w naturze“ („Liebesleben in der Natur;“— nad przekładem dzieła tego na język polski pracuję obecnie.)

Byстрыm wzrokiem badacza, czytającego z łatwością w hieroglifach czarodziejskiej księgi wiedzy, ogarnia Boelsche cały świat widomy, wprawiając nas w podziw niezmiernem bogactwem nagromadzonego materiału faktycznego. Ten ogrom wiedzy nie obciąża jednak wcale skrzydeł jego potężnej fantazyi, która wolna od wszelkiej mądrości doktrynerskiej, gotowa jest w każdej chwili wznieść się z nami aż pod niebiosa ekstazy.

Każdy myślący człowiek, chociażby nawet nie miał żadnego pojęcia o naukach przyrodniczych, może z łatwością czytać wspomniane dzieło.

Bogactwo obrazów, przesuwających się jak w kolejdoskopie przed naszym wzrokiem, coraz to nowe perspektywy ukazuje. Widzimy, przeżywamy całą historyę miłosną natury od zjednoczenia się dwóch pierwotnych komórek, aż do subtelnej miłości ludzkiej, we wszystkich jej odcieniach. Widzimy wreszcie, jak miłość ta z początku ślepa, nierozumna, coraz większej świadomości nabiera, jak staje się matką piękności i sztuki. Po długich wędrówkach po świecie, który w tem oświetleniu miłosnem ukazuje się nam, by tajemnicza noc świętojańska, jak potężne święto Walpurgi, znajdujemy się wreszcie w krainie myśli i uczuć ludzkich. Podwoje pracowni się otwierają, w której człowiek, siedząc nad książkami, rozmyśla o miłości. Miłość przez niego myśli, zdobywa w nim świadomość swego bytu poznaje, kojarzy i przeczuwa i w wielkiem objawieniu tajemnic bytu schyla „syn tęsknoty“ głowę przed wielką komedya Boską, której najśmielsza wyobraźnia ludzka przeczuć nie potrafiła.

Od czasu do czasu klepie nas autor poufale po ramieniu, przeplatając swe poważne rozmowy rubasznym żartem. Wątpię, ażeby żarty te podnosiły wartość dzieła, ale nie trzeba brać mu ich za złe. Wesoły nadreńczyk widocznie lubuje się w nich.

Jako próbę stylu Boelschego przytaczam poniżej mały wyjątek z pierwszego rozdziału, tomu pierwszego „Historyi miłości w naturze.“ Jest to wstęp do małego obrazka w potężnym świecie Walpurgi; — obrazka przedstawiającego nam miłość... śledzia.



„Czy słyszysz poświst wichru i chlupotanie wód?—Norwegia.

Ostre, słone powietrze morskie, pełne rybiego zapachu cię otacza. Fale bryzgają o brzegi granitowe.

Odwieczne brzegi!—Tutaj piętrzyła się już wówczas olbrzymia twierdza, gdy pozostała Europa, była tylko wieńcem wysp koralowych, wokoło których igrały wśród fal smoki okresu jurajskiego. Stąd stoczył się później straszliwy wał lodowców lodowej epoki na zamierającą, spustoszałą północno-niemiecką równinę.

Co za potężny, groźny, tajemniczy zamek zaczarowany geologii, — aż do dni, gdy smocze statki wikingów spadły stąd na pianą pokrytą pustynię wodną, szukając płomiennych wulkanów Islandyi i winnic zielonych mitycznej Ameryki roku tysiącznego.

Świat upiorów! Nad ziemią ciężą chmury deszczowe. Ponad skałami od strony morza legło nagie, ostre światło. Niebo i przestrzeń wodna budzą niepojęte przeczucia, jak gdyby coś od morza szło...

Może latający holender, ów upiór-statek odwiecznych legend, z czarnymi linami i żaglami na tle siarczano-żółtego nieba. Owa dyabelska pięść bajki żeglarskiej, wpijająca swe potężne, czerwone szpony w grzywy rozhlukanych fal.

Ptaki morskie napełniają powietrze bojaźliwym wrzaskiem.

Świat upiorów! Czegoż fale morskie na brzeg ten już nie wyniosły ludzkości?—we śnie i na jawie!

Tutaj po raz pierwszy dokładnie poznano wieloryba, potężnego ssaka wolnego morza. Tutaj powstała legenda o kraku, który, jak wyspa, wyłoniwszy się z przepaści wodnych ciągnie w bezdeń morską olbrzymiami łapani pająka najwspanialsze okręty—legenda, która znalazła w końcu rozwiązanie, gdy odkryto w ciemnych gardzielach oceanu olbrzymie czernice.

Tutaj ukazywał się od czasu do czasu wąż morski, o bujnej grzywie, a pod przeraźliwie długimi zwojami jego cielska pieniały się zielone wody fiordu. Podanie tak stare, jak istnienie ludów żeglarskich, a dotychczas niczem jeszcze nie wytłómaczone.

W przepaściach tego morza, tam gdzie opodal brzegu skalnego ziele straszliwa głębia, tam gdzie ocean, jakby w drugi głębszy jeszcze ocean się stacza, żyje pewien gatunek gwiazd morskich—z pierzastymi koronami na wiotkich do ziemi przysłanych łodygach, podobny przedziwnej lilii barwnych, koralowych nizin morskich, w istocie jednakże zwierze, obce naszym czasom, samotny maroder z niebieskich mórz okresu kredowego, w których głębi kotowały się olbrzymie lilie wodne, na podobieństwo mieniących się lasów palmowych, dając schronienie wstrętnym

płazom owych czasów. Coś w rodzaju dżungli indyjskich siedziby tygrysa królewskiego...

Czyż znów jeden z tych dziwów morza zbliża się ku wybrzeżom? Zmrok rzuca chłodne refleksy na ocean. Ale na powierzchni wód tli się magiczny blask, wlokąc się ku odwiecznym granitowym brzegom.

Blask ten wżera się w zmrok wieczorny i srebrzystą smugą zbliża się wśród mgieł, wzwyż powierzchni wodnej. W podobny sposób, aczkolwiek o wiele potężniej, ukazuje się już zdala na widnokręgu żeglarzowi mórz polarnych lodowaty obraz zbliżających się, spiętrzonych, zimnych mas kryształowych, które zastąpić mu mają drogę, jak czaty pustyni skostniałych biegunów. Niweczący życie chłód cementarny nieskończonych przestrzeni planetarnych sączy się tam na powierzchnię potężnej, wirującej wkoło słońca kuli ziemskiej, która na swych ciepłych barkach dźwiga olbrzymi ciężar życia.

Ale kry lodu o tym czasie — to rzecz niemożliwa!

Srebrzysty blask pochodzi od tysiącogłowego olbrzyma, który coraz bardziej się ku nam zbliża.

Nie jest to jednakże jeden olbrzymi potwór. Niezliczone rojowisko zbitych w kupę tworów, podobne wyspie srebrnej sunie się naprzód.

Sledź zbliża się w milionowych, niezliczonych zastępach.“

\*

\*

\*

To co „Historya miłości w naturze“ daje nam w ogólnych zarysach z punktu widzenia miłości, uzupełniają inne dzieła Boelschego, jak np. „Von Sonnen und Sonnenstäubchen,“ „Entwicklungsgeschichte der Natur,“ „Aus der Schneegrube,“ „Weltblick,.“ Wszędzie też sama różnorodność, też sama poezya wiedzy ludzkiej i też sama wspaniała jedność światopoglądu.

W naszych czasach przejściowych, gdzie szkoła ze swym balastem odwiecznym ani nas praktycznie do życia przygotować nie potrafi, ani idealnego światopoglądu nam dać nie może, dzieła w rodzaju utworów Boelschego, są dla niejednego może wyłącznym źródłem wiedzy, pierwszą podwaliną rzeczywistego wykształcenia, dlatego też zasługują na specjalną uwagę.



I znów na końcu mej wędrówki dzisiejszej po światach myśli staje mi przed oczyma obraz północy.

Tym razem jest to północ człowieka patrzącego z wyteżoną uwagą w przyszłość. Północ człowieka XX stulecia, który pragnąłby czytać w dziwnych hieroglifach swego wieku.

Harmonia bytu? — Czy wolno mówić o niej w świecie łez, nienawiści, okrucieństwa i zbrodni? Czy tam, gdzie prawo silniejszego, gwałt i niesprawiedliwość są na porządku dziennym, znajdzie się miejsce dla miłości?

Nie kłopotz się biedne serce! — Dotychczas żaden najśmielszy sen nie dorównał rzeczywistości.

Tyle rzeczy, o których przodkowie nasi marzyć nawet nie mogli, stało się dla nas rzeczywistością.

Nowe urzeczywistnienia budzą nowe tęsknoty. Tęsknoty zaś są na to, ażeby prędzej czy później zostały urzeczywistnione.

JAN KACZKOWSKI.

## Literatura czy aktorstwo?

Chroniczna choroba teatrów warszawskich: wyniszczenie finansowe, doszło w ostatnich czasach do stanu zapalnego; z ust przygodnych dyagnostów padło nawet ważne słowo: *bankructwo*, w czem naturalnie może być sporo przesady. Oczywiście, że takie objawy, jak wzrost niepomierne długi, stale od pewnego czasu pielęgnowanego przez zarząd; niepłacenie w terminie pensyi artystom, najskąpiej nawet uposażonym; niezaspokojone należności dostawców, — wszystko to wygląda bardzo niepokojąco. Ale teatry warszawskie są, bądź co bądź, instytucją rządową, która, choć nie powinna była dopuścić do tak kompromitującej ostateczności, potrafi jednak, znalazłszy się wobec niej, obmyślić sposób wybrnięcia z trudnego położenia. Jaki to będzie sposób? — nad tem zastanawiać się nie widzimy potrzeby. Niech o to głowa boli tych, którzy takie stosunki wytworzyli. Nam tylko pozostaje, przy ocenianiu tych stosunków, zdobyć się na odwagę cywilną i sprawiedliwie rozdzielić odpowiedzialność za grożące niebezpieczeństwo.

Rzecz prosta, że najwinniejsi, uchylając się, jak zwykle, od tej odpowiedzialności, po za sobą szukają przyczyn zachwiania się finansowych podstaw tutejszych teatrów. Nikt tam nie mówi o fatalnej gospodarce, o rujnującem faworyzowaniu opery włoskiej kosztem dramatu i komedyi, mieszkających „kątem,” nie mających w co się ubrać ani na czem usiąść, a stale o „deficyt“ oskarżanych; nikt nie wspomina o urzędowem wtrącaniu się niepowołanych do spraw artystycznych, o rozwieleniu się protekcyi, o deprawującem grasowaniu kobiecych wpływów, o zupełnym rozstroju w sferach kierowniczych, słowem, o tem wszystkim, co wysoko niegdyś stojącą instytucję spycha na coraz niższy poziom.



Natomiast przy panującej epidemii strajków, krąży dowcipnie wynalezione przystosowanie do teatru hasel aktualnych. „Publiczność strajkuje,“ mówi się napół żartem, napół seryo (częściej seryo niż żartem), i koncept ma starczyć za argument. Możeby i starczył, —bo frekwencya do naszych teatrów osłabła istotnie w sposób zastraszający, — gbyby argument czy koncept nie był obosiecznym. Niedosć bowiem zażartować na temat strajków, trzeba mieć gotową odpowiedź na pytanie: skąd się strajk wziął, a tu aktualność właśnie nasuwa cały szereg niepożądanych wywodów: o systemie prowadzenia teatrów, o grzechach biurokracyi, o samowoli urzędniczej i o rozmaitych analogiach z ogólną sytuacją.

Te zaś analogie nie mają w sobie nic naciąganego; owszem, dyrekcyje rządowe naszych scen bywały zawsze zabawnym zwierciadłem, odbijającym w śmiesznie drobnych redukcjach różne po sobie następujące „systemy.“ Mieliśmy onego czasu w teatrze rządu policyjnego absolutyzmu; pamiętamy tam później reformy: na szeroką przeprowadzone skalę i utrwalone w historyi teatru, jako doba bujnego rozkwitu literatury i sztuki; po nich nastąpiły na przełomie dwóch systemów dyletanckie eksperymenty, zakończone zupełną reakcją, która wzmocniła tępy opór administracyjnej wszechwładzy. Zmiany osób wprowadzały może pewne różnice w małoznaczących szczegółach; w gruncie rzeczy jednak, z wyjątkiem owego krótkotrwałego liberalnego epizodu, teatry nasze nie miały nigdy dyrekcyi, miały zawsze — kancelaryę.

A ta kancelaryja zaludniała urzędnikami nie tylko swoje biura. Rozkładowa jej atmosfera wciskała się powoli i na scenę; pod jej to wpływem wytwarzał się nieznanym gdzieindziej, wynaturzony typ reżysera-urzędnika, aktora-szefa, pilnującego w powierzonym sobie kierownictwie przede wszystkim „posady,“ niezdołnego do niezależności wobec uroszczeń administracyi, nie umiejącego nigdy postawić „kwestyi gabinetowej“ tam gdzie o dobro, o godność sztuki chodziło, i gdzie mu narzucano kombinacye w innym sensie „gabinetowe.“ Zatruwani kancelaryjnym powietrzem, przedzierzgli się też stopniowo w urzędników i — artyści, z rana przychodzący mniej więcej regularnie do biura, a wieczorem odrabiający mniej więcej sumiennie role-referaty. I nie można nawet porównywać tego z tak zwaną „urzędową“ sceną w wiedeńskim Burgu, lub w berlińskim Schauspielhauzie. Tam jest może zapóźniony, oficjalny akademizm — ale jest i sztuka; tu odbywa się odrabianie czynności administracyjnych w rosnącym z każdym dniem nieładzie, wśród coraz wyraźniejszej anarchii.

Przyczyna anarchii prosta. Sztuka niełatwo abdykuje. Wszystko co w niej jest samodzielnego, twórczego, wszystko co uskrzydla duszę artysty do szerokich i wysokich lotów, co go w akcie kreacji dramatycznej brata z ideałami poezji—wszystko to protestuje przeciw przemocy kancelaryi. Stąd, jeżeli nie otwarta walka, trudna na gruncie „chleba powszedniego,“ to tajone, głuche zmaganie się artyzmu z administracją, a przy takim szamotaniu rozluźnia się do reszty ostatnia więź jakiej takiej dyrektywy, niknie nawet cień myśli kierowniczej. Niema jej też dzisiaj w naszych teatrach, które przyspieszonym krokiem dążą samopas, na oślep... nie wiadomo czy ku ostatecznej otchłani, w każdym razie ku nieznannej przyszłości. Jaka będzie ta przyszłość? — nie podejmujmy się wróżyć;—to pewna, że nie nowy gmach ją uratuje, jeżeli w nim stare zamieszkają grzechy, ani też ocala pieniądze, zdobyte na załatanie budżetu, jeżeli je po dawnemu chłonać będzie bezdenna beczka śpiewających i tańczących Danaid. Długi finansowe ktoś prędzej czy później zapłaci; ale są inne, idealne długi, o których zaspokojenie dopomina się główna w naszych teatrach wierzytelka — sztuka, a o tych myśleć muszą ci, co je przez szereg lat zaciągali, co mieniać się jej wyznawcami, czcicielami, służebnikami, często „kapłanami“ pamiętali przedewszystkiem o swoim „ja“ i w zwierciadle sztuki sobie tylko z uwielbieniem się przyglądali.

I tu właśnie nieodzowna jest odwaga cywilna,—bo tu nasza własna zaczyna się odpowiedzialność. Czas już zajrzeć prawdzie w oczy i powiedzieć sobie z goryczą, z bólem ale ze szczerością: że scena warszawska, dawniej przodująca, zajmuje dziś wśród teatrów polskich miejsce na szarym końcu; że przy układaniu bilansu twórczych dorobków w polskim teatrze, mało kto liczy się z tą sceną na seryo; że w państwie sztuki wygląda ona jak miasto, które straciło charakter stolicy, a nie wyzbywszy się stołecznych pretensyj ma fizyognomię kąta prowincjonalnego.

Dla czego zostały pretensye, jeżeli znikły cechy stołeczne?

Pretensye są zapewne uzasadnione; wszakże scena warszawska posiada w składzie artystów talenty i zdolności znakomite, wybitne, pożyteczne; wszakże co parę tygodni afisze obwieszczają jakąś nowość; wszakże figurują tam od czasu do czasu głośne, lub zdobywające rozgłos nazwiska. Ani słowa; ale te talenty i zdolności razem wzięte nie stanowią zwartego personelu; te nowości, podsumowane, nie składają się na organicznie wytworzony repertuar;—a to wszystko, przygodnie tylko kombinowa-



ne nie jest na prawdę promieniującym szeroko ogniskiem artystycznym.

Bo takiego ogniska nie rozpala nawet w najcywilizowanych ośrodkach żadna opieka, ani kontrola rządowa, czy nią będzie intendentura cesarska w Wiedniu lub Berlinie, albo protekcja rzeczypospolitej w Paryżu; rozniecają je sami artyści płomieniem własnych dusz i podtrzymują ciągłym dopływem ożywczych pierwiastków kultury. U nas przestano podsycać ognisko — więc gaśnie. I to jest wielki, nie do darowania grzech naszego teatru, który nie umiał czy nie chciał o tem pamiętać, że do pewnego stopnia trzymał zawsze we własnych rękach losy polskiej sceny; że bądź co bądź nie znajdował się nigdy w tak złych warunkach, któreby sparaliżować mogły zupełnie zbiorową pracę, gdyby ją podjęto wspólnymi siłami, pod hasłem utrzymania teatru warszawskiego na stanowisku, godnem świetnej jego przeszłości.

Trzeba było tylko zespolić te siły w jedną duszę sceny polskiej, a zespoliwszy strzedz ją od rozpryskiwania się na drobne samolubne aspiracyjki; taka zaś spójnia, występując z powagą przedstawicielki sztuki, dałaby zawsze do myślenia administracji, zostającej przecież w pewnej zależności od żywiołów, któremi radaby kierować. Z tej sytuacji teatr nasz nigdy dobrze sobie sprawy nie zdawał; gdyby się w niej oryentował, byłby łatwo doszedł do wniosków:

że reżyser, stojący twardo na stanowisku sztuki, może zawsze skutecznie bronić praw swojej autonomii kierowniczej, bez narażenia się na utratę tak zwanej „posady,” bo odwaga cywilna budzi szacunek nawet w tych sferach gdzie zawadza;

że wytworzony w niezależny sposób repertuar, mógłby zdobyć sobie obsadę, niewykoszlawioną zewnętrznymi wpływami;

że w interesie artystów leży urzeczywistniać rozumne plany kierownika zapewniające każdemu talentowi, każdej zdolności sposobność do rozwijania się na najwłaściwszych drogach;

że wreszcie i kierownik i artyści, poczuliby wtedy za sobą publiczność, suggestywowaną niejako do współdziałania w twórczej działalności teatru polskiego.

A w takim razie możnaby administracji zostawić jej kancelaryę — punkt bowiem ciężkości dyrekcji przemieśli się gdzieindziej.

Wszystko to brzmi w tej chwili po akademicku, wobec rzeczywistości, która się objawia we wstrząśnieniach jakiejś wycieńczającej gorączki. Teatr żyje paroksyzmami buntującej się sztuki, w których, jak w malignie, przypomina sobie czem niegdys

był; ale po paroksyzmach następuje apatyczna, obezwładniająca bierność, na tej zaś właśnie administracya opiera swoje kancelaryjne roboty. Tymczasem publiczność, szukająca w teatrze nie jakiejś sekcji ministerjum, tylko przybytku artyzmu, ogląda się naokoło gdzieby go znaleźć mogła i mając już dawniej utworowaną w innym kierunku drogę, dąży do... Filharmonii.

Czy znajduje tam to czego szuka? Nie wiem — w każdym razie przygląda się dość ciekawemu eksperymentowi, śledzi ów przeniesiony gdzieindziej punkt ciężkości kierownictwa teatru.

Teatr w sali koncertowej? Cóż scena ma wspólnego z estradą? Zapewne że bardzo mało; ale ta odrobina pokrewieństwa może dostarczyć materiału do refleksyi, które też natarczywie nasuwają się pod pióro. Realnym podkładem tych refleksyj jest fakt bardzo zwyczajny: po ukończeniu sezonu w Łodzi, teatr tamtejszy zjechał do Warszawy i na wakacyjną siedzibę wybrał sobie Filharmonię, dokąd ściągają tłumy publiczności. Czem się to dzieje? Czy przyjezdna truppa działa atrakcyjnie talentami wykonawców, czy też korzysta poprostu z promieniującej jeszcze szczęśliwej gwiazdy samej instytucyi, pod której dachem gości? Bynajmniej — Warszawa miała już dawniej sposobność zapoznania się z aktorskimi siłami sceny łódzkiej, i uznając zapewne sumienną pracę tego towarzystwa, nie może jednak zachwycać się wirtuozostwem wykonawczem, którego tam nie spotyka. Co zaś do gwiazdy Filharmonii,—trudno powiedzieć żeby teatrowi łódzkiemu przyświecał ten jej promień, który naszą instytucję muzyczną najżywszym otoczył blaskiem:—zespół koncertowy. Można by raczej w tem znaleźć zbliżenie sceny łódzkiej do estrady, że produkcye jej przypominają poniekąd włoską *commedia del arte*—improwizacyę aktorską na zadany temat. Konieczne w warunkach czasowej gościny natężenie pracy aktorów sprawia, że artyści łódzcy częściej improwizują niż grają; ale kierownictwo dba o wybór tematów i pielegnuje repertuar dramatyczny podobnie jak Filharmonia uprawiała repertuar symfoniczny. Scena więc i estrada jednakowe znajdują rozwiązanie zagadki zjednywania sobie widzów i słuchaczy—w literaturze.

Rozwiązanie powinnioby tam gdzie należy dać dużo do myślenia: tu bowiem tkwi ów punkt ciężkości, ku któremu zdaje się grawitować publiczność. Istotnie, wygląda to wszystko tak, jak ghyby miała się ku końcowi doba aktorskiej supremacyi w teatrze, jak gdyby widz, przesycony efektami samej interpretacyi, zateśknił za „dziełami,“ które zdradnym tłumaczom dostarczają wątków do fantazyj „odtwórzonych:“ jak gdyby nad sceną zaświ-



tać nareszcie miała zorza literacka. Czy tak jest rzeczywiście—może przyszłość niedaleka wyjaśni. To pewna, że występujący wszędzie i po wszystkie czasy antagonizm między aktorstwem a literaturą, przybrał u nas w tej chwili plastyczne kształty we współzawodnictwie teatrów warszawskich, gdzie dramatem i komedią kieruje aktor, z teatrem łódzkim, którego kierownictwo objął literat. Tutejsza scena ma pokazać *jak* się gra; — łódzka chce zająć tem *co* się gra. Walka to oczywiście na krótką metę i dlatego może pozostać nierozstrzygniętą; warto jednak przypatrzyć się zapaścom i ocenić bezstronnie ile jest arcyzmu w koncertach aktorskich teatrów warszawskich i jak się przedstawia literatura na scenie łódzkiej.

## II.

Rzut oka nie zmierza tym razem ani do głębin ani do szczegółów krytycznych; ma przedstawić sytuację ze stanowiska chwili obecnej z perspektywą w przyszłość, a ta chwila, jako odbicie w szczupłych ramach przełomowego momentu, który nas wszystkich wstrząsa na szerszej widowni, zbyt jest ważną i dla polskiego teatru, żeby myślom zostawić mogła czas i swobodę do gubienia się w subtelnościach analitycznych. Na inny raz zatem odkładamy aparat szeroko motywowanych literackich rozbiórów; obecnie niech nam wystarczy najogólniejsza charakterystyka ścierających się w naszych oczach prądów.

Że teatry warszawskie z osobliwszą niekiedy obojętnością traktują to *co* się gra na polskiej scenie, dowodzi choćby wystawienie w minionem ćwierćroczu takich sztuk jak „Niezdecydowany“ lub „Dostojne igraszki.“ Produkcję francuską można jeszcze jako tako wytłómaczyć psychologią kierownictwa: autorem „Niezdecydowanego“ jest aktor, a w komedyi p. Beera są role,—pokusa więc była zapewne zbyt silna, żeby oprzeć się jej mógł aktor-reżyser, mający naturalnie swój zawodowy kąt patrzenia na literaturę. W rzeczy, zatem, zbudowanej według teatralnego szablonu z zapamiętanych figur i sytuacji aktorskiego repertuaru, mieliśmy istotny koncert wykonawczy, w którym panowie Śliwicki i Frenkiel wraz z panią Teklą Trapszo, prowadząc świetnie naczelne motywy sztuki, osłaniadli po wirtuozowsku wewnętrzną jej banalność. Taka osłona nie zawsze jednak wystarcza; nie pomogła nic „Dostojnym igraszkom“ p. Morawskiego. Mimo bo-

haterskie a zawsze artystyczne wysiłki pp. Żelazowskiego, Wojdałowicza, Wolskiego pań Ludowej i Ireny Trapszo, utwór, wyglądający na „igraszkę“ z widzów, miał zaledwie parę przedstawień, t. j. zajął tyle właśnie czasu ile potrzeba go było publiczności do postawienia zapytania: jakimi drogami tego rodzaju fabrykaty wciskają się do repertuaru i czy to jest sposób popierania na scenie polskiej twórczości oryginalnej?

Pytania daremne; nikt na nie nie odpowie tam, gdzie wszystko dzieje się przypadkiem, gdzie repertuar jest dziełem ślepego trafu. Traf naprzykład dostarczył reżeseryi trzy jednoaktówki, złożone różnemi czasy przez różnych autorów; każda z nich oddzielnie wzięta ma większą lub mniejszą wartość; razem zestawione tworzą kakofonię stylów i nastrojów. Na taką kakofonię złożyły się: „Biały królik“ Stefana Krzywoszewskiego, „Don Juan i Hamlet“ Adolfa Nowaczyńskiego i „Pożegnanie“ Zygmunta Przybylskiego, grywane stale w ciągu jednego wieczoru.

Może to fantazyja modernizmu, protegującego, jak wiadomo, jednoaktówki, jako modny szczebel ku estradowej „nadscenie?“ Nie ludźmy się; to nie nowa forma dramatycznej produkcji, w której jeden i ten sam poeta rozszczepia jakąś ideę przewodnią w trzy różnolite lecz wspólną myślą spojone ogniwa; to poprostu tak zwana w języku zakulisowym „składanka,“ używana przez reżyserów starego stylu, do łatania dziur repertuarowych, pod pozorem urozmaicenia widowiska. W danym razie była istotnie rozmaitość, — przedewszystkiem rozmaitość talentów i zdolności twórczych; najwybitniej zaś odznaczył się w tym osobliwym trójspiewie autor „Don Juana i Hamleta.“

Nazwisko Adolfa Nowaczyńskiego nie jest obcem czytelnikom „Biblioteki,“ spotkali je dwukrotnie przed kilku laty w naszym piśmie pod dzielnie napisanemi szkicami literackimi. Oceniając nowy podówczas dramat Hauptmanna „Woźnica Henszel,“ p. Nowaczyński bystro i trafnie scharakteryzował fazy twórczości szląskiego poety; w artykule p. t. „Do Damaszku“ poddał zajmującej analizie psychologię głośnych wtedy „neo-katolickich nawróceń“ w literaturze francuskiej i skandynawskiej, scharakteryzowaną w typowych tego prądu przedstawicielach: Verlainie, Huysmansie i Strindbergu wraz z całą falangą pozujących na „skrucę“ dekadentów. Później uprawiał autor tych studyów rodzaj o którym można i trzeba powiedzieć, że nie należy do literatury; aż oto niespodzianie, na jednej ze scen polskich ukazał się dramat „Smocze gniazdo“ podpisany nazwiskiem A. Nowaczyńskiego, który stanął odrazu w rzędzie silnych, oryginalnych, pisarzy



scenicznych. Nie potrzebuję wyjaśniać, że teatr, który się pośpieszył z wystawieniem utworu dużego talentu, — to nie teatr warszawski; i że kierownictwo naszej sceny postąpiło zwykłym trybem, — to jest zapoznało publiczność tutejszą z p. Nowaczyńskim, wcielając do repertuaru drobiazg, który z natury swojej nie może wyjaśnić jej z kim ma do czynienia. „Don Juan“ i Hamlet“ należy do cyklu siedmiu jednoaktowych dramatów, poczynanych w rozjątrzonej stale nastroju. Przenikający je ferment — to pozostałość poprzedniego, nieliterackiego okresu, pełnego namiętnych, niczem nieposkromionych „erupcyj“, a żłobiącego sobie po manowcach satyryczne łożysko. Temperamentu satyryka nie wyzbył się p. Nowaczyński nawet w późniejszych studyach krytycznych, gdzie wnosi pasyę wytrawiania gryzącami kwasami charakterystycznych rysów, łudzac się często co do rzekomo pogłębiającej siły tych jądów, rozlewanych zwykle w pogoni za „osobliwszemi epitetami“, za nadzwyczajnemi określnikami, które częściej przystrajają charakterystykę w zmienne, migotliwe barwy i blaski, aniżeli sięgają do jej wnętrza. Ale znalazła się forma, pozwalająca satyrykowi pozostać sobą i jednocześnie oddzielić się poniekąd od własnych twórców — forma dramatyczna.

Na pozór brzmi to paradoksalnie: znamy przecież dramaturgów-satyryków i wiemy jak samowładnie a dydaktycznie gospodarują w duszach swoich bohaterów, nie rozłączając się z nimi ani na chwilę. Otóż brak właśnie wszelkiego dydaktyzmu w dramatach p. Nowaczyńskiego stawia autora zdaleka od wprowadzonych na scenę figur, co nawet zdaje się sprawiać mu rzetelną przyjemność. Dydaktyzm wypływa bądź co bądź z sympatyj satyryka dla poprawianego przez satyrę świata; p. Nowaczyński nienawidzi swoich bohaterów, lub w najlepszym razie ma dla nich pogardliwe politowanie; z rozkoszą więc wydobywa z ich fizygnomii wewnętrznej bodaj nawet karykaturalne rysy brzydoty, nie oszczędzając ich przytem w charakterystyce fizycznej. Nawiasowość tej charakterystyki krańdzącej w książce „na stronie“ a po za akcją i wyglądającej jak informacye reżyserskie, dawane czytelnikowi czy widzowi, jest właśnie owem osobistem oderwaniem się autora od dramatu. „Oto jak ja ich widzę“, zdaje się mówić p. Nowaczyński, idąc śladem Altenberga; ale zostawia przytem zupełną swobodę publiczności widzieć ich jak jej się wydają, i czytelnik czy widz, wtedy nawet gdy jest świadomy sąsiedztwa karykatury, czuje że ta karykatura, — to tylko egzaltacya życia, może forma oburzenia na jego nędze i ohydy.

Jakie jest źródło tego oburzenia? To pytanie nastęrczyć się tu musi koniecznie, bo w dramatach p. Nowaczyńskiego nie natykamy właściwie nic takiego, coby wskazywało na etyczne bodźce jego satyry. Mówi się tam w głosach autorsko-reżyserkich o „zepsuciu“ o „zgniliznie“ ale to wszystko brzmi podobnie jak „grzech“ i „wina“ u Przybyszewskiego i odzywa się gdzieś *jenseits von Gut und Bösen* a z bliska wydaje się jak gdyby na brzydotę oburzał się przede wszystkim... artysta. Dość wczytać się w owe „informacje“ sceniczne, aby w nich dostrzedz więcej zawziętości z powodu szablonowo ustawionego pokoju, symetrycznie rozwieszonych „landszaftów“, niedopasowanego do umeblowania fortepianu, aniżeli gniewu na marność natur ludzkich, na nikczemność charakterów. I dziwna jest w tej zawziętości mięszanina: Oskar Wilde i Januarius Sowizdralius zdają się tam mrugać do siebie poprzez stulecia błyskawicami dojnującego dowcipu; Bernard Shaw śmieje się z oddalenia wieków do Tilla Eulenspiegla; wytworny modernista-esteta brata się wskrosz upłynione czasy z sowizdrzałem XVII wieku, rozbijającym babom garnki na rynku krakowskim: wszystkich zaś łączy nowoczesna abominacja dla mieszczaństwa, szukająca, bodaj u „prymitywów“ satyry, wcielenia odwiecznych przeciwieństw między bezwładnością „opasłej filistery“ a lotnym geniuszem cygaństwa „który szybuje wysoko na skrzydłach świętego śmiechu.“ Burżuazya, jest też we wszystkich niemal dramatach p. Nowaczyńskiego zmorą, którą odpędza od siebie z namiętnym roznochem. I czy to w „Domu Kalek“ lub w „Miłosierdziu ludzkim“ nicuje filantropię mieszczańską: czy w „Walcu barona Molskiego“ albo w „Cyrcy Mańkowskiej“ obnaża etykę małżeńską burżojów; czy wreszcie w „Sobowótze“ i w „Prawie Mimicry“ przedstawia ciekawą kombinację egoizmu rodzinnego ze specjalną odmianą urzędniczej filistery,—wszędzie, nad całym tym światkiem zdaje się rozlegać przełómaczone na nowożytny język hasło Woltera *écrasez l'infâme!*

Wyjątek stanowi „Don Juan i Hamlet,“ zabawne zestawienie samca-kabotyna w osobie europejskiego tenora, kompletującego swoją listę *mille e tre*, z eunuchem schyłkowcem, filozofującym i estetyzującym na temat psyche niewieściej. Teorye Don Juana i Hamleta mają swoje plastyczne wcielenie w dwóch kobiecych postaciach: w podolskiej gąscc, która uciekła z domu za śpiewakiem, i w żonie filozofa, autorce gwałtownych erotyków, których ogień, źle mówiący o mężu, pali się na benefis kabotyna. Scyssye dramatyczne wywołane w tym kwartecie niespodzianem wtargnięciem ojca podolanki, podrzędną tu właściwie odgrywają rolę:



dyalog, jako jędrna charakterystyka figur, stanowi wszystko, a w dyalogu jedynie pani Lüdowa jest na wysokości zadania.

Pan Stefan Krzywoszewski felietonizujący z powodzeniem na scenie, powrócił znów do formy, która, zamykając cały dramat w jednym akcie, zbliża się do ideału felietonu, zamkniętego w jednym odcinku. Można w tej formie wspiąć się do wyżyn artyzmu, i nie był od nich dalekim p. Krzywoszewski jako autor „Pięknej ogrodniczki;“ ale w „Białym króliku“ zanadto natrętnie odzywał się do nas dziennikarz, utrzymujący z konieczności zawodowej towarzyskie stosunki z wszelaką bohemą. Więc znów, po raz nie wiemy już który, dekadенcki światek megalomanów literackich, malarskich, rzeźbiarskich, a wśród nich naiwny, sentymentalny chłopiec, po mieszczańsku olśniony fajerwerkową frazeologią geniuszów, uragających filisterskiej trzodzie, i na zabój rozkochany w aktorce, która na nim, jak na „białym króliku,“ doświadcza mocy swego „fluidu.“ Eksperyment kończy się samobójstwem biedaka; a kiedy widz zapytuje: co, jak, kiedy, dla czego, i usiłuje, z nikłych konturów sylwetkowych, ze słownika gwary cygańskiej, coś więcej wyłuszczyć prócz *hic, haec, hoc* z Jowialskiego, może tylko jednej doczekać się odpowiedzi: wszakże to felieton.

Pan Zygmunt Przybylski pisze, jak wszystkim wiadomo, „dla publiczności.“ Publiczność też sformułowała sobie raz na zawsze zdanie o autorze „Wicka i Wacka.“ „Takie to wszystko pocziwe, co pisze Przybylski“ mówi się z powodu każdej jego premiery i powiedziało się to samo na przedstawieniu „Pożegnania.“ Można przytaknąć publiczności i tym razem. Tak, bardzo jest pocziwa jednoaktówka p. Przybylskiego; a ponieważ autor, pisząc ją, myślał o widzach nie o literaturze, wszystko zatem w porządku, zwłaszcza gdy pp. Wolski i Wostrowski i pani Tekla Trapszo, poparli silnie, jak artyści zwykle popierają, tę poetykę popularnego pisarza.

Po długim milczeniu odezwał się pan Jan August Kisielewski w „Sonacie.“ Wszystkim się zdawało, że to gra nowa twórczość — a to echo grało. Echo z przeszłości. Czy dawnej? Sprzeczano się o to w krytyce. Niepotrzebnie, mojem zdaniem, bo chronologia nie jest tu w żadnym stosunku do wewnętrznej treści dzieła. „Sonata“ — to muzyka duszy poety, grająca w niej nieustannie; wszystko więc jedno kiedy ją słyszymy — czas nie zmienia jej motywów, nierozzerwalnie z istotą duszy związanych. Mniejsza też o to, czy „Sonata“ napisana została przed „Karykaturami“ czy po nich; występuje tam stosunek sztuki do życia, występuje symbolicznie, *sub specie aeternitatis*, musieliśmy zatem

spotkać się z nim prędzej lub później, a to prędzej czy też później mogło zapewne stanowić o formie uplastycznienia idei, ale nie o samej idei. Pod jednym tylko względem data narodzin „Sonaty“ może nie być obojętną; odsunięta daleko, podkreślona przewlekającym się milczeniem, dowodziłaby że p. Kisielewski wydał z siebie wszystko co miał do wydania, że nie ma nic więcej do powiedzenia. Czy tak jest? Nie chcę przesądzać, choćby nawet materiału do takiego smutnego horoskopu dostarczyć mi miała psychologia pewnych kierunków nowoczesnej twórczości literackiej.

Psychologia to zaiste osobliwsza. Egotyzm jest w niej zasadniczą treścią, a jednak potrafi być obiektywnym; ma poetów wizjonerów, wydobywających z głębin własnego *ja*, „bezkresne“, „prabytowe“ światy i—podrobionych realistów, którzy zdają się fotografować rzeczywistość. Podkreślamy wyrażenie „podrobionych“, bo w gruncie rzeczy ten realizm ma to samo źródło co owe wizye: widzi na zewnątrz to tylko co mu subiektywne wejście z pośród objawów życia uplastyczniło. Są talenty kojarzące w sobie niby w soczewce te dośrodkowe i odśrodkowe promienie twórczości: do nich należy naprzykład Przybyszewski, który przyobleka hallucynacyjne widzenia duszy w przedmiotowe, dotykalne kształty; są inne, niezdolne do takiej syntezy, i przerzucając się kolejno od egotycznych fantazji do przedmiotowych obrazów. Te i tamte mają jedną wspólną cechę: łatwo się wyczerpują. Wszak autor „Złotego runa“, nurkując we własnej duszy, jedną właściwie wyłowił w jej głębi ideę i prezentując ją z różnych stron niebardzo nawet troszczy się o odmiany w realnym podkładzie. I nie może być inaczej. Patrząc tylko w siebie, siebie się tylko na jaw wydobywa, a wywołane w ten sposób zwierciadlane odbicia, muszą te same powtarzać wizerunki. Chyba że Narcyz przestanie przyglądać się sobie; ale wtedy pierzcha wszystko—znika często twórczość sama, bo znikł i ten kawałek świata, na którego tle zobaczył się Narcyz.

Pan Kisielewski odtworzył parę realistycznych obrazów doskonałem wczuciem się w świat studenckiej cyganeryi. Rzeczywistość jednak, drgająca w „Karykaturach“ i „W sieci“ z jakimś nerwowem, prawie bolesnem napięciem—to właściwie nie obserwacja spostrzegacza, badającego bezinteresownie objawy życiowe, to raczej gorączkowe wchłanianie z życia tego jedynie, czego łaknie dusza pisarza. *Ja* egotysty nie wykracza tam po za rzeczywistość, którą na swoje potrzeby assimilowało; po dokonanej assimilacji, gdy nastąpiło nasylenie, *saturatio completa*, wrażli-



wość zneutralizowana nie reaguje już na świat otaczający: *ja* przestało się oglądać koło siebie — i nic nie mówi. Idzie teraz o to, co znaczy takie milczenie, a tego pytania nie mogła rozwiązać „Sonata,” choć się do nas muzyką duszy odzywa.

Muzyka to niewyraźna, o rozlewnych, bezkonturowych melodiach, i więcej jej w słowach, w stylu niż w grze uczuć i myśli. Dźwięczy często efektownie lecz nie układa się w harmonie psychologiczne, w akordy ideowe. Motywem naczelnym jest naturalnie miłość, jako ostateczny wyraz stosunku sztuki do życia, jako siła utajona w obu tych twórczych biegunach. Siła zapładniająca czy niszcząca? Pan Kisielewski nie decyduje się ani na jedno, ani na drugie. Jego obłąkany bohater napisał był niegdyś pod wpływem namiętnego uczucia „sonatę,” — więc miłości świat zawdzięcza arcydzieło. Ale żona kompozytora dowiedziawszy się, że Egeryą męża była jej własna siostra, doprowadziła ją zazdrością do samobójstwa, i zniszczyła rękopis kompozycji, a wtedy artysta, nie będąc w stanie napisać powtórnie tego, co raz stworzył w natchnieniu (osobliwy kompozytor!) — zwaryował i w obłądnie próbuje nadaremnie przypomnieć sobie „sonatę;” dlatego wdowie, dręczonej wyrzutami sumienia, miłość wydaje się burzycielską potęgą. Ten, na dziwnej logice oparty wniosek, taką ją napełnił trwogą o los córki, genialnej śpiewaczki, że pragnie wyrwać z jej serca panujące tam uczucie, które zakochanych bardzo już daleko zaprowadziło i nie cofa się przed odsłonięciem tajemnicy obłąkania ojca. Wtedy znów staje się to, co, jak ustawicznie powtarza mistyczna wdowa, „stać się musiało;” śpiewaczka traci odrazu głos, podobnie jak kompozytor stracił swoją „sonatę;” artystka, jak ojciec, dostaje pomieszania zmysłów. Dziedziczność zatem. Ale skąd się tu wzięła, co tu robi, w jakim jest stosunku do zasadniczego pomysłu i czego właściwie dowodzi? Czy ona będzie rozstrzygającym argumentem, czy też rozwiązać ma niesformułowaną właściwie zagadkę różnica między idealną a zmysłową miłością, zgoła w dramacie nie dotknięta?

Nie dowiemy się tego nigdy — i autorowi zdaje się to być zupełnie obojętnem. Wsłuchuje się w swoją „sonatę” i to mu wystarcza. Rozpoczął od ognistego *allegro*, w którym sztuka wyświęca heroinę na swoją kapłankę; potem miłość celebruje w namiętnem *andante*, ujętem w dwuśpiew kochanków i przerwaniem zgrzytliwym *scherzo* na temat *memento mori*; wreszcie tragiczny *final*, wprowadza na scenę motyw szalejącego fatum, zacierający do reszty wszelki rysunek a pozostawiający wrażenie plam o przyćmionych kolorach. Bo, rzecz dziwna, po tej muzyce doznaje się

sensacyj malarskich. W uszach brzmi piękna poetyczna proza a przed oczami mkną, ledwo ujęte w jakieś nikłe linie, na poły tylko z barwnych mgieł wynurzone postacie: waryata, w melancholii swojej obcującego z geniuszem, artystki z oczami błędnie w nieskończoność wpatrzonemi, rozkochanego demona, dla którego Miłość ma oblicze Śmierci. Wszystko to zlewa się w jakiś mętny nastrojowy obraz, który, jeżeli jest odbiciem spekulującej nad sztuką i życiem duszy, może wywołać równie nieokreślony nastrój, ale w kierunku myślowym doprowadzić musi widza do wniosku, że metafizyka jest słabą stroną p. Kisielewskiego, że autor „Karykatur“ i „W sieci“ szczęśliwiej niż w symbolu „Sonaty“ tchnął poezję w realistyczne malowidła i że na tym dopiero gruncie stosunek sztuki do życia z artystyczną przedstawia się plastyką. Lękamy się tylko, żeby poecie tego gruntu nie zabrakło pod nogami, żeby świat, zamknięty dotąd w czterech ścianach pracowni lub kawiarni, nie został dlań całym światem; żeby jedynym wyrazem życia nie wydała mu się otrębywana tam walka literatów, malarzów, rzeźbiarzy z filistrami; żeby poza temi ciasnemi widnokręgami, którym tylko frazeologia wszelkich kabotynów fikcyjną nadaje rozległość, nie znikł z przed oczu p. Kisielewskiego człowiek, z bogatą swęj duszy komplikacją, z tragizmem wszechstromnych swoich z życiem kollizyj. Lękamy się i gorąco pragniemy, żeby ten szczery talent jaknajprędzej zadał kłan naszym obawom; tymczasem spieszymy zanotować, że p. Tekla Trapszo i p. Roland *con amore* prowadzili erotyczną w „Sonacie“ melodyę.

Jeżeli narzekano na mglistość symbolów p. Kisielewskiego to twórca „Erosa i Psychy“ p. Jerzy Zuławski naraził się na wprost przeciwne zarzuty: symbole jego mają grzeszyć zbytnią plastyką, dekoracyjnością, teatralnym efektem. Mówi się o tem do jednego z celujących dziś poetów słowa; mówi się w dobie, kiedy z głębin tego słowa nie potrafimy dziś dobyć myśli bez pomocy muzyki, linii, barwy, dotykalnych kształtów; kiedy w dekoracyjne przybory musi być oprawiony najlichszy, tuzinkowy sonecik! W dziwnych doprawdy żyjemy czasach. Nigdy może twórczość nie dążyła tak ascetycznie do odcieleśnienia się, nigdy z takim upragnieniem nie wyrwała się na motyliach skrzydłach Psychy z poczwarnych oprzędów zewnętrznego życia i nigdy plastyka tego życia nie narzucała się jej tak natarczywie na nieodstępną w sztuce towarzyszkę. Poezya schodzi w otchłanie duszy z metafizycznym kagankiem a my musimy własnemi oczyma zobaczyć to na obrazku, bodaj w winietce na końcu strofy, bodaj w inicjale na początku pieśni, bodaj w wycisku na okładce książki. I w takiej



to chwili, kiedy przychodzi poeta, rozsnuwający dramatycznie historię duszy, potrzebujący zatem do pochodzenia jej przez dzieje obrazów scenicznych, złączonych jak ogniwa jednego łańcucha ideą ewolucyjną „Psychy;“ kiedy pomysł swój rzuca na deski teatru, gdzie poddać go musi grubemu zawsze aparatowi teatralnemu—w takiej chwili my, obłudnicy idealizmu, nie umiejący dziś kroku postawić bez zmysłowej podpórki, mamy pretensję do dramaturga za jego „dekoracyjność!“

Można oczywiście sprzeczać się z p. Żuławskim o sam pomysł — i tu jednak sprzeczka musi być jałowa. Bo nie chodzi przecież o profesorską reprodukcję greckich *antiquitates*, ani o to, czy poeta poszedł za Platonem, Hezyodem lub Apulejuszem, albo czy zagłębiał się w Orfickich misteryach—zwłaszcza że naprawdę nie poszedł za nikim, lecz na kanwie uroczej helleńskiej allegorii dohaftowywał kwiaty własnej poetyckiej inwencji. Jest to zapewne tak zwana „*Gedankenpoesie*,“ ale właśnie dlatego wolno jej zniżać się z filozoficzną konsekwencją i przetwarzać z zupełną swobodą mityczny materiał.

Pan Żuławski korzystał z tej swobody, nie kępując się niczem i jeżeli Eros jego jest, jak chce tradycya, tym, który

„...nad otchłanie

Chaosu rękę ściągnawszy, z bezruchu

Wywołał drgnienie i, zakławszy w duchu,

Wywiódł zeń wszechświat stubarwny i złoty.“

jeżeli jest w nim

„...początek

I koniec wszystkim rzeczom, których wątek

W pierścień się splata.“

jeżeli bóg Miłości jest też bogiem Śmierci i „zowie się także Thanatos,“ — to Psyche natomiast ma nowożytny wyraz na greckim obliczu. Nie znajdziemy jej na dzikiej skale, wyglądającej z trwogą śmiertelną potwora, który ma jej gwałt zadać z rozkazu zagniewanej Wenery; ale cudna królewna Arkadyi śni często, że przed wiekami zrodziła się z człeczkiej ogromnej tęsknoty za słońcem, pięknem, niebem i zaświatem; marzy, że „bóg poświęciciel jakiś, co zbawia i wznosi, choć chłosta“ uniesie ją szczęśliwą w „jakieś złote gaje i rozwieszona na głazach ruczaje, morza ogromne, niebosiężne szczyty, i w róż uśmiechach rozlśnione błękity,“ że, „kiedy dokoła wszystko będzie ciche, on po imieniu zawoła ją: Psyche! i coś rozbudzi w niej, co jest nią samą.“

## Marzy więc i czeka

„... stęskniona, pragnąca a pewna,  
 Że przyjdzie w jakąś najsłodszą godzinę.“

I przyszedł, gdy mrok zapadał; gdy wzmagająca się woń kwiatów „ciężkie i słodkie kadzidła rozlewa, między rozkosznym szeptem drżące drzewa:“ gdy bliskość jego „strumień wieści, od łkań serdecznych zanosząc się w ciszy;“ kiedy „gwiazdy błogością pijane sennie tam patrzą z głębin błękitów.“ Przyszedł — i niewidzialny, tuląc Psyche w objęciach „tonią błękitów poniósł ją skrzydlaty na jakieś we snach widywane światy.“ I świt dopiero kres położył miłosnej ekstazie. Bo Tajemnicą jest Eros, niedostępny śmiertelnym; twarz jego zakryta; zna go ten tylko, kto go nie poznaje, chociaż go zaznał. Gotów jest więc do odlotu; jego skrzydła chyże muszą doścignąć noc, która ucieka; ale tu właśnie dzieje się coś, co pomysł poetycki pogłębia, co myśl filozoficzną kieruje szlakami poezji. Mógł poeta sparafrazować Apulejusza motyw ciekawości niewieściej i dodać jeszcze jeden wariant Wagnerowskiego *Lohengrina*; p. Żuławski nie chciał parafrazy — wolał inwencję myśliciela. Do mimowolnego odsłonięcia oblicza zmusza Erosa nie natarczywość rozkochanej Psyche, lecz chamskie dotknięcie parobka Blaksa, który pochylonego nad królowną młodziana chwyta za skrzydła. Z pod opadającej zasłony wybłyskuje w świetle zorzy twarz promienna, straszna, oblicze boga, którego nigdy już nie mają ujrzeć zrozpaczona Psyche i przerażony Blaks; a modły kochanki do władców Olimpu o odzyskanie tego, który jej dał dotknąć spragnionemi wargi czary miłości, to tylko sprawiły, że jej przez usta Hermesa pozwolono mieć nadzieję. Eros wróci, — mówi boski poseł — ale

„Musisz za karę zanim go odzyszczesz,  
 Jako wygnanka przejść ten świat szeroki.  
 Goniąc za szumem jego boskich skrzydeł;  
 Musisz go szukać, wznosić się i padać,  
 I ręce łamać, i łac łzy, i biadać,  
 Łudzić się, błądzić wśród burz i mamideł.  
 O ciernie stopy ranić i opoki—  
 Aż się dopełnią odwieczne wyroki,  
 Bo kto śmiał spojrzeć w twarz zakrytą boga,  
 Musi go poznać przez ból i męczarnie,  
 Zanim go znajdzie w szczęściu — i ogarnie!“

W pokutnej zaś wędrówce musi królewskiej pątniczce towarzyszyć znieprawiony pacholek, i ta właśnie nierozdzielność dwóch



odpychających się wzajem a spętanych ze sobą istot, nietylko kryje głębszy symbol ale i działa, potęgując się stopniowo, jako czynnik dramatyczny. Parobek—to materya czychająca z zasadzki na ducha, to życie przyziemne, z nienawiścią wyciągające grube, brudne palce, ku wszelkim skrzydłom, które się do podniebnych lotów rozpościerają. Dotknięcie tych rąk szorstkich, twardych, miażdżących, poczuje Psyche w swej tułaczce na własnych motywach skrzydełkach ilekroć wyfrunąć zapagnie ku wyzwoleniu. W Aleksandryi zacięży na nich władca dłoń Blaksa, prefekta rzymskiego, który wypędzi z przed oblicza biesiadnej kompanii, wędrowną śpiewaczkę, wzywającą w tęsknej pieśni innego jakiegoś Erosa, niż ten, którego tu sławią bachanckie strofy. Pod krzyżem, dokąd w mury klasztorne schroniła się Psyche za radą aleksandryjskiego niewolnika, zwiastującego jej przyjście proroka wielkiej, wszechludzkiej miłości, Chrystusa,—przygiął ją klęczącą do ziemi, nie prorok ów, ale sprawujący w jego imię przemoc, Blaks-opat, wróg słońca, do którego młoda, żadna życia mniszka, zasłuchana w pieśń błędnego rycerza, z upragnieniem wyciąga ręce, za co ma resztę życia spędzić w mrokach podziemnego lochu. Z Blaksem kondotierem spotka się oko w oko Psyche w postaci udzielnej księżny włoskiej, gdy najemny dowódca wojsk niemieckich, opanowawszy siłą jej dzierżawy, żąda książęcej władzy wraz z ręką władczyni; kiedy ci, co przed chwilą miłość jej w pięknych oktawach przysięgali, teraz służalstwem wobec najmity życie ratują. I wtedy, wśród tych fałszerzy boskiego Erosa, ofiarujących jej tylko artyzm zmysłów, albo chuć zwierzęcą, ona, córka Odrodzenia, wielbiąca na przełomie stuleci Piękno i tylko Piękno w ostatnim hańsacie z czary życia zbawczą wypija truciznę. Nie umiera jednak, bo „kto w twarz boga spojrzal jest nieśmiertelny—musi żyć na wieki.“ Więc z wyżyn sztuki, ze szczytów arystokracji ducha, po stopniach renesansowych pałaców, zstąpi między tłumy i tam ją ujrzymy we frygijskiej czapce, pijaną szałem wolności, którą uosabia na innym tragicznym etapie historii, gdzie Czas końcem skrwawionej kosa dotyka strasznego drogowskazu z napisem: Francya—1792. Ale i tam pokona ją Blaks-szynkarz, Blaks podżegacz ludu, który zbudziwszy w ciżbie podłe, złe, drapieżne zwierzę, topi ideę wolności we krwi mordowanych więźniów. Nie zapominajmy, że i Blaks jest nieśmiertelnym: tkwi w tym szynkarzu zarodek przyszłego mieszczaństwa, dziedziczącego potęgę społeczną po wytepionej arystokracji. Ta potęga tak jest wielka w „dniu dzisiejszym,“ że bankier Blaks „kupił gruntownie“ wszystko, nawet Psyche, że sponiewierał w niej,

dla swojej przyjemności nawet kult Erosa, że pilnuje bacznie, żeby tego kultu w zbrukanem sercu kurtyzany nie rozniecila na nowo jakaś zabłąkana iskierka czystszej miłości. I próżno szamoce się Psyche w tym żelaznym uścisku, próżno w szalonych orgiach szuka wyzwolenia; wybawić ją może jedynie śmierć; tej więc pożąda, podpalając swoją złocistą klatkę. Ogień tylko ją oczyścił; skrzydlata Psyche w tęsknocie za miłością odnalazła sama siebie i właśnie jako dusza świadoma jest najniebezpieczniejszą dla władającego całym światem Blaksa, który ją też w więzieniu trzyma zamkniętą. Ale świat bez duszy krzepnie; słońce miłości zagasło i wszystko, nad czym panuje wyczerpana własną przemocą wszechwładza, lodowacieje w stygnącej atmosferze. Życie zewsząd ustępuje, ucieka nawet od tego, który przywykł rozkazy mu wydawać, a głucha wieść krąży, że tylko uwieziona jednem tchnieniem odrodzić je może. Poraz ostatni staną naprzeciw siebie Blaks i Psyche — on, żeby na jedno jej skinienie runąć martwym i wyzwolić nareszcie gnębiętego ducha z więzów materii, — ona, żeby w objęciach Erosa, który zwie się także Thanatos, znaleźć

„...zapomnienie wieczne

I ukojenie tęsknot ostateczne,

I szczęście wielkie, nieprześnione ciche!”

Czy mogła znaleźć? Wątpimy — bo wraca odmienną od tej, którą był Eros opuścił w Arkadyi, wraca dźwigniętą w próbach i cierpieniach na wyżyny, gdzie inne może z jej piersi dobrać się krzyki, niż ów dawniejszy, w omdleniu żądz wyjęknięty: „panie, łaknę płodu, jak kwiat!” Rozdźwiękiem właściwie jest ten epilog i jedyną rzeczywistą dekoracyjnością dramatu, który myślowo kończy się na zwycięstwie Psychy nad Blaksem. Ale rozdźwięk nie zacierą przecież piękności poematu, ani przyémiewa jasności idei, prowadzącej duszę ludzką pod przewodem miłości przez *aspera ad astra*, od instynktu do samowiedzy, i rzeźbiący, jak to już w początku zaznaczyliśmy, na helleńskim uśmiechniętem obliczu Psychy, rys nowożytniej powagi. Może to zbliżenie na współczesnym gruncie wiekami od siebie oddalonych ideałów, może ta próba uplastycznienia śnionego przez Ibsena „trzeciego Królestwa,” — powrotu do natury przez ducha, — przemówiło tym razem szczerą poezją do umysłów słuchaczy, dość, że „Eros i Psyche” cieszą się stałym powodzeniem, do którego zresztą przyczyniają się w znacznej części p. Frenkiel, wyborny w roli Blaksa i jako Psyche panna Mrozowska, artystka sceny krakowskiej, trochę



w grze przestylizowana ale zaciekawiająca talentem niepospolicie samorzutnym i pomysłowym.

Nie pominiemy dla ścisłości dramatu Engla „W przystani.“ Znamy autora; zajął nas przed paru laty oryginalnie pomyslanym obrazem p. t. „Nad wodami,“ gdzie pierwiastek religijny wytwarzał w sztuce silne dramatyczne napięcie.

W nowym dramacie spotykamy się również z tym motywem, który do zwykłego konfliktu małżeńskiego wprowadza ideowy pierwiastek. Dlaczego milczy i stoi nieruchomo na swoim miejscu ów Chrystus, przed którym wiarołomna żona przysięgała, że nie dawniej nie zaszło i nigdy nie zajdzie między nią i jej towarzyszem lat dziecinnych? Dlaczego nie runął świat cały, kiedy zachwiała się wiara w sprawiedliwość Bożą w sercu zdradzonego męża, rybaka z przystani, który ku niebu szle te pytania, a nie znalazłszy odpowiedzi idzie szukać jej wraz z dzieckiem na dnie morza? I tragizm istotny uderza w widza nie z pospolitej sytuacji między mężem, żoną i kochankiem, ale z tego załamywania się świata moralnego w duszy prostego człowieka, który takiej katastrofy przeżyć nie może. Świetnym bohaterem tej tragedji jest p. Zelazowski; talent jego znalazłszy się tu w swoim żywiole, z doskonałą szczerością odtworzył naturę pierwotną w afektach, a pogłębiłą myślowo w ciągłym obcowaniu z nieskończonością.

### III.

Taki jest plon dramatu i komedyi na dwóch najpierwszych scenach warszawskich w ciągu ostatnich trzech miesięcy. Czemuże on wzbogacił teatr, jako przybytek, gdzie literatura i sztuka przy wspólnym ołtarzu służyć mają ideałom? Powiedzmy bez ogródki: tem najwięcej, co na tym ołtarzu składali artyści. Były przedstawienia dobre dzięki talentom aktorskim, które wszędzie, pod każdą dyrektywą, bodaj bez żadnej dyrektywy, zainteresowałyby widza, samym swoim kunsztem, zdolnym nawet w zupełną nicosć telnuć pozory życia. I w tem właśnie tkwi niebezpieczeństwo tego kunsztu, jeżeli on tylko jeden stał się duszą teatru; a taka groźba wisi już nad naszymi scenami. Afisz ciągnie publiczność nazwiskami aktorów, nie zapowiedzią utworu; tym zapowiedziom przestano poprostu wierzyć, utrwaliło się natomiast przekonanie, że tylko mistrzostwo aktorskie nie zawodzi i doszło do tego, że patrząc na grę artystów w „Dostojnych igraszkach“ nie myśli się o krzywdzie wyrządzonej repertuarowi. Jestto po-

czątek rozkabotylnizowania publiczności, choroby, na którą umierają teatry jeżeli im z ratunkiem nie przychodzi literatura. W ten zaś ratunek nie wierzą znów u nas w sferach kierujących; literatura uchodzi tam za jakiś czynnik rewolucyjny, któremu nigdy zaufać nie można; a że obejść się bez niej niepodobna, więc najpożądańsze są wszelkie surogaty literackie, coś w rodzaju *echten Feigenkaffee*, materyał o tyle niezbędny o ile go aktor do swojej sztuki potrzebuje. Stąd owa bezbarwna połowiczność naszych teatrów; stąd ten brak charakteru i bierność wśród ruchu ewolucyjnego w literaturze i sztuce, który wszędzie pociąga za sobą istotnie żywotne teatry. Dzisiejsza warszawska scena stanęła w stosunku do tej ewolucyi gdzieś na boku; nic określonego nie wyraża, w żadnym właściwie nie zdąża kierunku, a to co ma dobrego nie płynie od steru, z jakiejś przewodniej myśli i nawet w artyzmie swoim ma cechy ciasnej, aktorskiej wyłączności.

Dopóki ta wyłączność korzysta z monopolu, może spać spokojnie; pierwsze poważne współzawodnictwo musi jej błogi sen zakłócić. Nie waham się nazwać poważną konkurencyi teatru łódzkiego w Filharmonii. Scena prowincjonalna — zapewne; ale scena, której kierownictwo, obeznane ze stosunkami teatralnemi w Warszawie, wie dobrze, gdzie w nich najłabsza strona, i jaką tam bronią uderzyć. Trupą rozporządza średnią, lecz na przynętę dla publiczności warszawskiej, zupełnie jak opiekunka Filharmonia, ma w pogotowiu dobrych solistów. Zbyt drogą dla teatrów warszawskich Siemaszkową, zaproszono tam na dłuższą gościnę; przygodnie na tej scenicznej estradzie czy scenie estradowej ukazują się wybitniejsi artyści teatrów galicyjskich, panie Mrozowska, Sulima, p. Zelwerowicz; wkrótce spodziewany jest tam p. Kamiński. Sukurs to niepośledni w walce współzawodniczej; ale wojuje się w tym teatrze głównie — repertuarem.

Kampania miewa licznych widzów, przyglądających się przede wszystkim wodzom, a za takich uznano w Filharmonii... pisarzy dramatycznych, — aktorowie odgrywają tam role szeregowców. Nie jestto bynajmniej rola podrzędna: ma bowiem znaczenie pracowitego pośrednictwa między autorem a publicznością, podjętego zbiorowo w celu zapoznania jej z „dziełem.“ Do Filharmonii nie przychodzi się „dla“ gry; odwiedza się ją nawet często „mimo“ gry, dla poety, dla jego utworu, dla interesującego z tych lub owych powodów przeblysku w literaturze, która tym sposobem występuje na pierwszy plan. Występuje silniej lub słabiej, jedna sympatyje, albo wywołuje odporność, ale daje jakieś bodźce, umysłowe czy uczuciowe, filozoficzne czy artystyczne,



utrzymuje publiczność w ideowym zetknięciu z życiem. Kierownictwo teatru łódzkiego zdaje sobie z tego sprawę, że dyrektywa nie polega bynajmniej na narzucaniu widzom osobistych upodobań lub antypatyj kierownika; że w stosunku do kultów literackich, dyrektor ma obowiązek być bezwyznaniowym, a w krytyce swojej ma prawo oceniać tylko siłę talentu pisarza i poziom sztuki w jego dziele. Można indywidualnie stać w zupełnej względem Ibsena niezależności — ale grać go trzeba. Można czuć się podrażnionym retoryką d'Annunzia, ale d'Annunzio musi być przedstawiany; można zgadzać się lub nie zgadzać z Hauptmanem; ale nie wolno odrzucić „Hanusi,“ dla tego, że się samemu jest naturalistą; ani odtrącić „Kolegi Cramptona“ w imię swego prywatnego idealizmu. W takiej perspektywie, ogarniającej całość zjawisk literackich i artystycznych, spotykać się można i trzeba, nie z samymi tylko geniuszami i nadzwyczajnymi talentami; myśl jakaś, nurtująca wśród stosunków społecznych, wtargnie na scenę, popchnięta ręką jako tako uzdolnioną, zajmie sama przez się i pobudzi do refleksyj; zagadnienie psychologiczne podjęte z mniejszym niż w genialnym dziele mistrzostwem, ale z innej strony, zaciekawi odmiennością widnokręgów. W ten sposób wielki „Mag północy“ zetknąć się może z namiętym poetą Południa, z małym syonistą zachodu, w towarzystwie Skandynawczyka, który stanie jak *der vierte im Bunde*, a publiczność w „Norze,“ w „Giocondzie,“ w „Cichej tragedyi“ i w „Mam prawo kochać“ przypatrzy się małżeństwu, roli w niem kobiety, stosunkowi miłości do sztuki przy oświeceniu Ibsena, d'Annunzia, Langego i Nordaua. Skala talentów różna, ale i objęte nią światy rozmaite, zwłaszcza gdy do przeciwnych biegunów robią wyprawy Norwegczycy i Francuzi i znajdują takie okazy psycho-fizjologii, jak skojarzona w jednej Menadzie, syrena i harpia nazwiskiem Hedda Gabler, lub odkryta przez Prévosta „pół-dziewica“ z zagadkowym wyrazem dyskretnego znieprawienia, której na imię Maud. Więc patrzy się w napiętym nastroju na ponury obraz rozkładu etycznego rodziny w „Święcie pokoju,“ bo obraz malował potężny artysta Hauptman i nie bez zajęcia ogląda się grube malowidło Czecha, Hilberta zatytułowane „Wina“ choćby dlatego, żeby przypatrzeć się, jak jest traktowany temat, na którym dwaj polacy Krzywoszewski i Feldman budowali swoje dramaty („Tęcza,“ „Cień“). I tak dalej i tak dalej: prawdziwe perły niżą się wraz z imitacyjami mniej więcej kunsztownemi, na nic repertuarową, która ma tę zaletę, że nie rwie się i mieni się barwami życia.

Eklektyzm zatem. Ale w takim razie na podobną dyrektywę zdobędzie się każdy ruchliwy aktor? Zapewne. Tylko duża różnica

zachodzi między eklektyzmem aktorskim a literackim: pierwszy jest na usługach grających, drugi myśli przedewszystkiem o piszących; tanten patrzy zawsze na dzieło pod kątem „roli,“ ten szuka w niem duszy poety; w pierwszym odbić się może stan sztuki dramatycznej w danej chwili; drugi odzwierciadlać powinien różne kulturalne momenty w rozwoju literatury.

Rzecz oczywista że czas i miejsce wyodrębniają w Filharmonii z całokształtu repertuarowego pewne tylko momenty. Na szczupłej, płytkiej i wązkiej scenie, niezaopatrzonej w niezbędne przyrządy inscenizacyjne nie można pozwolić sobie na dalekie widnokreśli historyi, na poetycznie oderwane od rzeczywistości horyzonty; warunki techniczne zmuszają wprost do zamknięcia się w granicach współczesnego życia, których ciasnotę pozorną, rozszerzać mają tęsknoty i aspiracje „duszy nowożytnej.“ Przy tem i konieczność natężonej gospodarki repertuarowej nakazuje kierownictwu unikać przedstawień skomplikowanych pod względem ilości personelu i manipulować małemi grupami aktorów, dzielącami między sobą zadanie urozmaicenia repertuaru. A jednak, mimo te ograniczenia, przeciętna frekwencja publiczności, jest w Filharmonii pokaźną, pokaźniejszą niż w widowni naszego teatru dramatycznego. Czem to objaśnić? Nad tem pytaniem warto było zastanowić się — i nie inny był cel niniejszych uwag.

Nie chcielibyśmy źle być zrozumiani: nie chcielibyśmy, żeby te uwagi wywołały wrażenie obniżające niesprawiedliwie znaczenie teatrów warszawskich, a wywyższające nad słuszną miarę wartość artystyczną teatru łódzkiego; nie chcielibyśmy zwłaszcza w tej chwili, kiedy artyści naszej sceny rozpoczęli w Wilnie występami swojemi nowy rozdział przerwanych przez lat kilkadziesiąt dziejów teatru polskiego. Ale goście wileńscy wrócili do Warszawy, do tych samych stosunków, z których wyrwali się na chwilę; a choć chwilowa również jest gościna teatru łódzkiego w naszym mieście i minie okres warszawskiego współzawodnictwa, tak samo jak minęła doba wileńskiego przedstawicielstwa — to przecież na ustach publiczności tutejszej błąkać się będzie niechybnie pytanie: co przeszkadzało teatrowi warszawskiemu wytworzyć sobie równie bogaty jak w teatrze łódzkim repertuar? — bo ostatecznie do tego pytania redukuje się wynik zestawienia działalności obu teatrów. Jest zaś ono wyjątkowo ważnem obecnie, kiedy może niespodzianie wyrosnąć pod bokiem teatrów rządowych teatr prywatny i na ruinach dotychczasowego monopolu utrwalić niebezpieczną konkurencję.

Argument, że repertuar łódzki jest wytworem dłuższego czasu niż bieżący sezon wakacyjny nie może być odpowiedzią, bo



większość sztuk grywanych w Filharmonii, bez względu na to czy obecnie w Warszawie czy dawniej w Łodzi weszły do repertuaru, nie były grane na naszej scenie, czyli że u nas nikt o nich nigdy nie pomyślał. Zwykłe zastrzeżenie co do warunków cenzuralnych, musi stosować się i do Łodzi, która im na równi z Warszawą podlega; ma więc ono tylko wagę w zestawianiu repertuaru warszawskiego z Krakowskim lub Lwowskim. Ale i trwanie dotychczas tych warunków, związane jest tak dalece z bezwładnością kancelaryjną dyrekcji tutejszych teatrów, że trzeba było aż inicjatywy pisarzy dramatycznych polskich, żeby sprawa cenzury dramatycznej w Królestwie Polskiem stanęła na gruncie urzędowych rozpatrywań. Wystąpienie autorów polskich zwracających uwagę czyją należy, na „tendencyjną surowość (słowa znanej depešy) z jaką spotyka się charakter narodowy i społeczny sztuk polskich,“ było ze wszech miar koniecznem w obecnym stanie rzeczy, przeszkadzającym, jak się wyraża telegram: „rozwojowi poezyi dramatycznej i polskiego teatru w naszym kraju.“ Twórczość bowiem z której dziedziny wyłączono nie tylko historyczną przeszłość narodu ale i najbardziej palące zagadnienia i znamienne stosunki teraźniejszości, musiała, w kompromisach z cenzurą, stawać się coraz płytszą, poziomą i jałową tak że przyszłość jej była poprostu zagrożoną. Czy oddali się od nas ta groźba? To jest tak samo niepewnem, jak cały obecny reformatorski widnokrąg: jedno tylko nie ulega wątpliwości, że dyrekcya teatru, nie powodując się oczywiście temi samemi jak polscy pisarze pobudkami, (czego nikt od niej nie wymaga) mogła była z własnego zapoczątkowania, jako instytucya rządowa, kierując się dobrze zrozumianym interesem, przyczynić się do polepszenia stosunków cenzuralnych, a nie zdobyła się nawet na usunięcie takiego dziwoląga, jak nazywanie dwiema literami J. S. twórcy „Mazepy,“ którego nazwisko krąży w całych stosach książek a nawet ukazuje się *en toutes lettres...* na prowincyi. Ważność rządowej interwencji w tej sprawie dobrze rozumiał nieżyjący dziś generał Puzyrewski, który, określiwszy w charakterze prezesa ówczesnej komisji teatralnej, jako jedno z głównych zadań teatru polskiego, pielęgnowanie mowy i literatury polskiej, zobowiązał się był podjąć starania w celu zmodyfikowania kontroli cenzury nad tą literaturą. Nie zdążył generał Puzyrewski dotrzymać przyrzeczenia; czyżby dziś, w dobie projektowanych reform w różnych sferach urzeczywistnienie tych zamierzeń miało być trudniejszym niż podówczas? Niedaleki czas rozstrzygnie zapewne te wątpliwości; a tymczasem teatr Łódzki wykazał dotychczas, że nawet w oficjalnie zakreślonych granicach, dyrektywa

sprężysta, kierująca się zmysłem krytycznym, smakiem artystycznym i dbająca przede wszystkim o literaturę, może wytworzyć ruchliwy, barwny i tętniący życiem repertuar, który publiczność pociągnie.

Za kilka tygodni teatr Łódzki powróci zapewne do swojej stałej siedziby; ale pozostanie po nim wskazówka i przestroga. Wskazówka dla tych, którzyby zdobyli się na energię, przypuszczenia szturm do monopolu i uzyskali koncesję na teatr prywatny; przestroga dla kancelaryi, rządzącej naszymi teatrami, która by się jeszcze ludzi chciała, że wszystko iść tam może po dawnemu. O prywatnych przedsiębiorców nie troszczymy się w tej chwili; ale na sercu nam leżą losy sceny, z której dziejami związana jest nierozzerwalnie historia teatru polskiego. Losy te nie zależą, jak to już zauważyliśmy, ani specjalnie od uporządkowania finansów, ani wyłącznie od wybudowania nowego gmachu; wszystko to jest potrzebne, może niezbędne — ale najpotrzebniejszą jest zmiana systemu urzędniczo-aktorskiego na kierunek artystyczno-literacki.

Tylko przy takiej zmianie rozszerzą się widnokreśli repertuarowe, ogarniając wszystkie wzloty i głębie narodowej i wszechświatowej twórczości; tylko wtedy teatr, rozporządzający tak cennym jak u nas materiałem artystycznym, może się stać tem, czem być powinien i może: zwierciadłem zarazem i czynnikiem kultury; zwierciadłem, odbijającym w sobie wszystkie jej duchowe objawy; czynnikiem, który duszę ludzką unosi poprzez powikłania rzeczywistości życiowej i mirażę marzeń na wyżyny prawd najwznioślejszych. Na punkcie zwrotnym ku nowej drodze trzeba będzie oczywiście rozwiązać raz na zawsze zagadkę: aktorstwo czy literatura? Pokusy na obie strony będą silne; aktorstwo wystąpi z takim naprzykład argumentem jak efektowne przedstawienie „Erosa i Psyche” wsparte doskonałą grą, całym aparatem dekoracyjno-kostiumowo-iluminatorskim i reklamą lwowskiej artystki; literatura w „Cichej tragedii” wskaże jak bez błyskotliwości inscenizacyjnej, bez pomocy muzyki, barw i światłocieni i tylko przez spokojne, skupione nastroje, kierownik artystyczny wydobywa z dzieła silne, niekiedy wstrząsające wzruszenia. Wybór na rozdrożu zdaje się trudnym, — a tymczasem rozstrzyga tu najprościej synteza: nie literatura *czy* aktorstwo, tylko literatura *i* aktorstwo. Literatura jako dusza, aktorstwo jako ciało, *rzędzone* przez duszę. Bo też teatr jest niczem innym tylko syntezą literatury i sztuki.



# *Pułaski w Ameryce.*

## VIII.

### Charlestown i Savannah. — Śmierć Pułaskiego.

Gdy okazało się, że nic przeciwko Indianom przedsięwziąć nie można w zimie, Kongres odnowił poprzednio już wydane postanowienie, kierujące Pułaskiego z jego legią do Karoliny południowej, gdzie miał oddać się pod dowództwo gen. Lincoln'a. <sup>1)</sup>

Prawdopodobnie postanowienie to nastąpiło wskutek porozumienia osobistego pomiędzy Wydziałem Wojny a Pułaskim, wskutek którego, Pułaski cofnął żądanie o dymisyę, a które upoważniło go do postawienia pewnych wymagań. Pod datą bowiem 4 lutego 1779 przedstawił on memoriał Kongresowi następującej treści:

„Gen. brygady K. Pułaski, czując się bardzo zaszczyconym zaufaniem, jakie mu okazuje Kongres, posyłając go na Południe, prosi go o odpowiedź na następujące artykuły, które ma zaszczyt mu przedstawić:

1) Życzy sobie, aby nie zostawał pod niczyją komendą, prócz głównego dowódcy na Południu, chociażby tam znajdował się jakiś oficer wyższy, oraz pragnie, aby upoważniono go do korzystania z prawa swego, jako bezpośredniego dowódcy kawalerji, oraz legji niezależnej, które go stawia w bezpośredniej zależności od głównego dowódcy armji;

2) Życzy sobie, aby upoważniono go do zmiany po drodze koni zmużonych, lub w inny sposób niezdatnych do służby; w tym

<sup>1)</sup> *Journal of Congress*, V (1779), p. 42.

celu kwatermistrz musi otrzymać rozkazy od Wydziału Wojennego zgromadzenia koni i furazżu w pewnych odstępach.

3) Prosi o upoważnienie go do zwiększania oddziału swego po drodze, jeśli znajdzie odpowiednich rekrutów, oraz aby kompania kapitana Scott'a została przyłączona do jego oddziału, jak to rozkazał już był generał Waszyngton. W dalszym ciągu żąda nominacji kilku oficerów, oraz załatwienia rachunków legii z kapitanem Baldesqui.

Co do tego ostatniego punktu, znajdujemy w kilku listach jego wzmianki, że włożył sporo własnych pieniędzy na wyekwipowanie legii.<sup>1)</sup> Mimo to Komitet Kongresu przeznaczony na sprawdzenie rachunków, robił ciągłe trudności, tak, iż w listach Pułaskiego pełno jest skarg na nie,<sup>2)</sup> a w końcu Baldesqui zniechęcony, podał się do dymisji.

---

<sup>1)</sup> Tak w liście pod datą 17 września 1778, pisze: „Szczegóły rachunków należą do skarbnika. Nie będzie trudnem dla mnie przyjąć na siebie wszystko, co uznane zostanie za zbyt uczynne, gdyż wydałem co najmniej 16000 dolarów własnych pieniędzy.“ (*Message* i t. d., str. 17).

<sup>2)</sup> Tak w liście z 4 grudnia 1778 r.: „Panowie, przykro mi, że okoliczności zmuszają mnie często do zażaleń. W tej chwili donoszą mi o szykanach, które Kongres pozwala czynić w stosunku do rachunków legii. Po przedstawieniu najjaśniejszych dowodów i po dokładnem zbadaniu, przysyłają mi je powrotnie, abym po trzymiesięcznym kłopotcie rozpoczął wszystko na nowo. Nie jest to, Panowie, sposób wynagrodzenia trudów, które ponosimy, aby dobrze wam służyć. Procesowanie się nie jest moim zawodem. Proszę tylko was zakończyć tę rzecz w jakikolwiekby sposób“ (Rękop. Kongr. 164—80). 16 lutego pisze (w Filadelfii): „Panowie, nie będę więcej dokuczał wam przedstawieniami swemi, gdyż mam nadzieję, że interes ogółu będzie pobudką wystarczającą, aby skłonić was do zakończenia spraw, które mnie tu zatrzymują“ (tamże, 164—90). Narzeka również na wydatki, które musi ponosić, zostając w tem mieście. 18 lutego pisze, że chciałby załatwić rachunki legii przed wyjazdem; oddział jego wymaga jego obecności. „Będę wam obowiązany za wypłacenie mi 15000 dolarów, stanowiących bilans moich wydatków. Nie żądałbym tych pieniędzy, lecz znaczne wydatki, jakie poniosłem od czasu, gdy jestem w tym kraju, zmuszają mnie do tego“ (164—94). Suma wydatków na wyekwipowanie legii wynosiła 105,111 dolarów. Aby ocenić jej rzeczywistą wartość, należy pamiętać, że pieniądze papierowe, w których odbywały się wypłaty, miały wówczas wartość 20 razy mniejszą niż moneta. Rzeczywisty wydatek wynosił więc cokolwiek więcej od 5000 dolarów. Oto są niektóre ceny: konie kupowano po 300—400 dol., para butów 26.66 dol., trzewików—6 dol., karabiny po 15 dol., sztucery (rifles) po 25 dol., gwiazdki na czapki po ¼ dolara. Znajdujemy także wydatek 60 dol. „na naukę tręba-



Niektóre z postawionych przez Pułaskiego warunków zostały przyjęte, inne nie. Waszyngton odpisał, że oddziału Scott'a nie mógł mu dać.<sup>1)</sup> Kongres zgodził się na uzupełnienie oddziału do jego wielkości pierwotnie określonej, lecz to nie zadawałniało Pułaskiego. Wydział Wojny przedstawiał Kongresowi, na jego prośbę, że liczba ludzi zostających pod jego dowództwem nie odpowiada jego randze ani celom, dla jakich oddział był utworzony. Gdy ustanawiano legię nie było bynajmniej postanowione, aby ona tylko zostawała pod jego komendą; od czasu do czasu i w miarę potrzeby oddziały lekkiej broni miały być dodawane z armii głównej, aby umożliwić mu działalność partyzancką, a zwłaszcza miał objąć dowództwo nad oddziałami cudzoziemskimi. Gdy teraz oddala się na południe, plan ten nie może być uskuteczniiony. Pragnie więc, aby piechota jego zwiększona została przynajmniej do rozmiarów pułku, tembardziej, iż ilość oficerów legii wystarczyłaby na komendę pułkiem. Wydział Wojny przygotował przychylną rezolucję, ale, zdaje się, że Kongres nie przychylił się do niej.<sup>2)</sup>

Dwudziestego siódmego marca pisał Pułaski z Yorktown do Kongresu w sprawie rachunków, które miał załatwić Baldesqui, donosząc, że niektóre z kwitów były w ręku pułkownika de Boze i niewiadomo gdzie się znalazły po jego śmierci pod Egg Harbour. 28-go donosi, że wszystkich ludzi ma 336, że posłał jednego z kapitanów dla zrekrutowania trzech kampanii i nagli o przysłanie pieniędzy.<sup>3)</sup> Usposobienie jego pełne nadziei. „Wypadki przyszłe są niepewne, pisze w tym samym liście, lecz jeśli powodzenie oręża odpowie dobremu usposobieniu wszystkich wojowników mego oddziału, muszę spodziewać się, iż będę miał zadowolenie doniesienia wam dobrych nowin z pola bitwy.“

Droga do Charlestown trwała 29 dni, jak dowiadujemy się z listu jednego z oficerów legii.

---

czy.“ Do końca 4 marca 1779 wypłacono Pułaskiemu 181,286 dol. (Rachunki legii w archiwach ministerium wojny). Dodatki te użyte były na rekrutowanie po drodze do Charlestown.

1) List do Pułaskiego, 8 lutego. (Rękopisy B. VIII, 56. W tymże liście donosi, iż kazał piechocie Pułaskiego wyruszyć z Minisink do Lankaster. Poleca, aby Pułaski kazał kawaleryi iść razem z piechotą.

2) Nie znajdujemy przynajmniej rezolucji w drukowanym „*Journal of Congress*.“ W rękopisach zaś Kongresu (147—3—59) niema podpisów. Nie mniej widać z listów Pułaskiego, że po drodze robił zaciągi.

3) Rękopisy Kongresu 164—98.

Zbliżając się do celu podróży dowiedział się Pułaski, że Anglicy, którzy poprzednio zajęli byli miasto Savannah i znaczną część Georgii, wtargnęli do Karoliny Południowej i posuwali się ku Charlestown. Wybrawszy więc najlepszych ludzi z oddziału, pośpieszył razem z konnicą naprzód i przybył do Charlestown 8 maja. Generał angielski Prevost, wkroczył do Karoliny Południowej 28 kwietnia. Ruch ten przedsięwzięty był w zamiarze odcięcia Lincolna z Georgii. Lecz lojaliści Karoliny przedstawiając mu łatwość zdobycia tego państwa, nakłonili go do przedsięwzięcia wyprawy ku Charlestown. Lincoln, główny dowódca sił amerykańskich na Południu, i Ruthedge, gubernator Karoliny, byli w Orangeburgh, kiedy generał Moultry śpieszył do Charlestown, ścigany krok w krok przez nieprzyjaciela i daremnie prosił Lincolna o pomoc. Dziewiątego maja Moultry dotarł do Charlestown'u, a 11-go przybyła piechota Pułaskiego. Tegoż dnia wyruszył Pułaski naprzeciw nieprzyjaciela. Jeden z oficerów legii l'Enfant opowiada w następujący sposób o tej potyczce: „Generał Pułaski, którego piechota przybyła do miasta o 10 z rana, wyszedł po południu na spotkanie nieprzyjaciela z oddziałem ochotników; otoczono ich tak, iż nie było nadziei na ocalenie. Piechota, która poszła im na odsiecz, rozbita została przez kawalerję. Pułkownik Kowacz, który stał na ich czele, został zabity, a z nim około 75 żołnierzy i 4 oficerów.<sup>1)</sup> Reszta została ranna lub wzięta do niewoli. Pułkownik Bedaux i 18 ludzi wraz z generałem i kilku oficerami, byli jedynymi, którzy ocalili się i przybyli do miasta prześladowani przez nieprzyjaciela, który, jakkolwiek

---

<sup>1)</sup> Liczba ta, zdaje się, jest nieco przesadną. Pułaski sam podaje stratę na 40 ludzi i tyluż dezertarów; Depontieri w liście do Stenbena podaje tylko 32 zabitych i rannych. Ten listu Pułaskiego nie jest wcale takim, jakiego możnaby się spodziewać po porażce: „General Lincoln doniesie Wam o szczegółach dotyczących mojej legii, pisze on do Kongresu 4 czerwca 1779. Co do mnie uszczęśliwiony jestem, iż postępowanie jego w tym kraju okazuje się o tyle użytecznem, o ile było niemilem w Pensylwanii dla tych, którzy mieli do niego pretensye” (Rękopisy Kongresu 164—102; pisany na Joekson Berri Road w 6 milach od Stons Ferry). Gordon (*History of the Independence of the U. S.* 1788, *Carolina*, t. III, str. 257) opowiada, iż Pułaski chciał zwać nieprzyjaciela w zasadzkę, lecz piechota zbyt wczesnie ukazała się z ukrycia (podobnież u Rogowskiego). Ramsey (*History of S. Carolina*, t. I 1785, str. 207) wspomina, iż „Pułaski sam miał kilka starć z kawalerzystami angielskimi, wykazując przytem niezwykłą odwagę.“



rozzuchwalony powodzeniem, nie ośmielił się jednak zbliżyć pod ogień naszych linii.“<sup>1)</sup>

Potyczka ta, jakkolwiek niepomysłna, podniosła ducha obłożonych w Charlestown, którzy po wielu wahaniach zdecydowali się nie poddawać miasta, nakłonieni do tego przez Pułaskiego, Moultriego i pułkownika Laurens'a.

Trzynastego przed świtem nieprzyjaciel cofnął się za rzekę Ashley, przejąwszy list Lincolna, zawiadamiający o jego marszu na odsiecz miasta. Legia Pułaskiego wyruszyła w ślad za nieprzyjacielem, który wszakże zdążył przeprowić się. Nie brała ona udziału w niepomysłnym ataku na Stons-Ferry (20 czerwca gdzie nieprzyjaciel utrzymywał się w okopach), przeznaczona była bowiem na poparcie ruchu Moultriego, który miał się przeprowić przez cieśninę i uderzyć na nieprzyjaciela z tyłu, czego nie uczynił, zaniedbawszy przygotować dostateczną ilość łodzi. Tymczasem Anglicy cofnęli się na James Islam, a stamtąd do Beaufort, gdzie Prevost zostawił załogę z 800 ludzi pod komendą pułkownika Maitlanda, sam zaś wyruszył do Savannah. Był to już początek gorącej pory roku, kiedy wszelkie czynności wojenne musiały ustać. Pułaski z konnicą udał się do Auguste, piechota zaś jego, razem z pozostałą armią Lincolna, stanęła w Sheldon.

Czas wypoczynku letniego nie był czasem spokoju dla Pułaskiego. Gorączka—wynik gorącego a wilgotnego klimatu—trapiła go narówni z większą częścią oddziału, powodując w nim ciągłe dezercye. Jednocześnie dokuczano mu rachunkami legii. Baldesqui, jej kwatermistrz, był wciąż trzymany w Filadelfii, a audytorowie przeznaczeni dla kontroli rachunków, ustawicznie je odsyłali, żądając kwitów i innych dowodów, z których znaczna część poginęła podczas rozmaitych perypetyj, przebytych przez legię.<sup>2)</sup>

<sup>1)</sup> List l'Enfant do Stenben'a w rękopisach Sparksa 15. V 560. (Charlestown 24 maja 1779).

<sup>2)</sup> Kilka przykładów, wyciągniętych z uwag pisanych na rachunkach sprawozdania, poświadczy, jak *czepialską* była ta kontrola. Tak, przy cenie koni stoi uwaga: „o ile wiem istniało postanowienie Kongresu ograniczające cenę koni; lecz nigdy go niewidziałem i nie wiem, jaka jest jej wysokość.“ Inną ręką: „*Nie było takiego postanowienia*“ (zapewne w Kongresie zrobiona poprawka). Pokwitowań na pistolety znaleziono tylko 36 par — ale przecież mogli się łatwo przekonać czy wszyscy jeźdźcy je mają. Na skrzebnice znaleziono 96 kwitów zam. 110 i t. p. 36 dolarów zapłacone za naukę „fifre'ów“ (muzykę zastępowały gwizdanki podobne do tych, jakich używają prusacy)

Kłopoty te wywołały wybuch rozgoryczenia w długim liście Pułaskiego do Kongresu pod datą 19 sierpnia 1779, który jest ostatnim jego listem pisanym do tego ciała:

„Panowie,

„Każda wiadomość przybywająca z północy od czasu mego wyjazdu wzmacnia opinię moją i przekonywa mnie o tem, iż istnieje jakiś złośliwy duch rozpościerający taką mgłę przed wzrokiem Waszym, a czyniący przez to niemożliwem wejście w postępowanie moje i ocenę jego właściwą, jaka przystoi osobom zajmującym tak wysokie stanowisko.

„Entuzjastyczny zapał dla szlachetnej sprawy, ożywiającej Amerykę, i pogarda dla śmierci — pobudziły mnie najprzód do przyjęcia służby Waszej, a pochlebiałem sobie, iż będę dosyć szczęśliwym, aby uzyskać uznanie i wywołać zadowolenie. Wszakże taki był los mój, że nic prócz honoru, któremu się nigdy nie sprzeniewierzę, nie utrzymuje mnie w służbie, która zaczyna mi być nienawistną wskutek złego traktowania.

„Każdy krok względem mnie przedsięwzięty był tak nawskroś obrażający, że nic prócz szczerości mego serca i gorącego zapału, nie popiera mnie w tej służbie. Przyzwyczajony jestem wypowiadać się bardzo swobodnie i muszę uczynić to teraz.

„Czy istnieje jakikolwiek akt z mojej strony od bitwy pod Brandywine aż do chwili obecnej, do kampanii pod Charlestown, któryby nie dowodził mego bezinteresownego zapału dla sprawy publicznej? Sądzę, iż najbardziej przewrotny z nieprzyjaciół moich nie odważy się zaprzeczyć tego. Skądże pochodzi, iż tak mało mam ufności wśród was, Panowie, że żadna sprawa, mnie dotycząca, nie została załatwiona ku memu zadowoleniu? Od chwili fatalnej, w której przedsięwziętem werbowanie oddziału mego, który skompletowałem, wyekwipowałem i wyćwiczyłem w ciągu trzech miesięcy, byłem i jestem ustawicznie prześladowany. Nie mogę wyrazić oburzenia swego na wspomnienie niskiej szynki, wskutek której zostałem zmuszony ukazać się, jak zbrodniarz, przed sądem.<sup>1)</sup>

---

powinny być, zdaniem kontrolerów, ściągnięte z ich pensyi: 60 dolarów za naukę trębaczy — „sądzę iż nie powinno być przyjęte.“ Wydatek na podróż Pashke'go w sprawach legii odrzucony, gdyż nie objaśniono, jakie to były sprawy i kiedy odbyła się podróż. (Rachunki legii w Ministerjum Wojny w Waszyngtonie).

<sup>1)</sup> Alluzya do oskarżenia Mac Keane'a.



„Zwłoka ze strony Kongresu z wysłaniem mnie naprzeciw nieprzyjaciela oparta była na urojonem, złem postępowaniu mego oddziału w stosunku do pojedynczych mieszkańców, kiedy właśnie świadectwa urzędników z miejscowości, gdzie stali moi ludzie, świadczyły o przeciwnem. Chociaż oddział mój zachował się walecznie pod Little Egg Harbor, a kilku oficerów i żołnierzy poległo tam lub poniosło rany, jedyną ich nagrodą było oszczędstwo. Często powtarzane prośby moje o uregulowanie rachunków legii dopóki byłem obecny, zostały odrzucane; a teraz po upływie całego roku, gdy wielu oficerów poległo lub opuściło służbę, żądają ode mnie ich udokumentowania z największą ścisłością. Pułkownik Boze zabity; majorowie Montfort i Baillyville opuścili służbę i odjechali do Europy; pułkownik Kowacz zabity, a porucznik Seydling w niewoli. Każdemu z tych panów powierzona była jakaś część. Musicie pamiętać o tem, iż tysiąc razy powtarzałem prośbę o uregulowanie owych rachunków, dopóki ci panowie byli obecni i kiedy można było uczynić to z łatwością. Jeśli więc brak dziś jakich pokwitowań, nie powinniście czynić z tego zarzutów mnie lub kapitanowi Baldesqui; ci zaś co spowodowali zwłokę, powinni za wszystko odpowiadać. Przytem suma, która się wydaje wam tak wygórowaną, jest drobnostką dla państw (zjednoczonych), a nawet dla mnie, chociaż nie jestem zbyt bogaty, nie jest niemożliwem wypłacenie całego wydatku na moją legię. Wartość papierowych pieniędzy obecnie stanowi 20 za 1 monetę. Jeśli więc użyję 30,000 liwrów, wyniesie to 600,000 w pieniądzach papierowych, t. j. conajmniej cztery razy tyle ile wynosi suma sporna w rachunkach, którą mnie obciążacie.

„Pozwólcie mi Panowie być z wami szczerym. Jesteście w tym wypadku niewspaniałomyślni i istnieją cudzoziemcy, którym nie okazaliście uwagi, jakiej się mogli po Was spodziewać. Nie możecie nie wiedzieć, iż wydałem z własnych funduszków znacznie więcej, niż sumę, o którą się spieracie z samej chęci poparcia Waszej sprawy. Musicie wiedzieć i o tem, że nie przybyłem do Ameryki bez środków, aby być Wam ciężarem; że miałem listy kredytowe do p. Morris'a i że byłem znany prawie każdemu z wybitniejszych cudzoziemców.

„Niedawno otrzymałem listy od rodziny z wiadomością, iż wysłała mi 100,000 liwrów w złocie. Jeśli suma ta dojdzie pomysłnie, sprawi to mi wielką przyjemność wypłacić Wam wszystkie koszta mojej legii do ostatniego szeląga. Zmieńcie więc opinię o cudzoziemcu, który, od chwili wstąpienia do służby Waszej, nie miał nigdy powodu być zadowolonym, który w Europie zaj-

muję stanowisko (ma reputację?) wyższe, niż ktokolwiek w Waszej służbie, który z pewnością nie ustępuje nikomu w zapale i zdolności, a którego może uważaliście za przychodzącego prosić łaski Waszej. Bądźcie sprawiedliwsi, Panowie, i pomyślcie, że jak nie mogłem uchylić czoła przed mocarzami Europy, tak przybyłem tu poświęcić wszystko wolności Ameryki i pragnę spędzić resztę życia w kraju naprawdę wolnym, a zaim osiadę jako obywatel, walczyć o jego wolność; lecz dostrzegając, że robią się wszelkie usiłowania dla zniechęcenia mnie do tego i do uważania za urojenie planów moich, zaczynam myśleć, że entuzjazm dla wolności nie jest przeważną cnotą w Ameryce dzisiejszej.

„Zostałem poinformowany przez Wydział Wojny, iż zamiast zatrzymania lub ukarania dezertarów z mojej legii, uwolniono ich od służby. Czy można to nazwać właściwem postępowaniem w stosunku do ludzi, którzy rabują Państwa Zjednoczone, zabierając sumę werbunkową i inne rzeczy? Powiadomiono mnie również, iż jeden z żołnierzy słysząc o tej wspaniałomyślności, a który, dezertując, ukradł był konia, udał się do Was i nie tylko został ułaskawiony, lecz dostał konia w prezencie. Oficerom, którzy pełnili swój obowiązek w Maryland, gdzie werbowali ludzi, stanął w poprzek drogi rozkaz tegoż Wydziału. Państwo Maryland nałożyło karę 100 dolarów na każdego człowieka, który zapisywał się do mojego oddziału. Kapitan Bedkin, którego zostawiłem z oddziałem lekkiej konnicy dla zebrania pozostających w tyle chorych lub na urlopie będących ludzi razem z końmi legii i z powierzoną mu sumą 5000 dol. dla dalszego rekrutowania, znalazł protekcyę w Wydziale Wojny, który uczynił go niezależnym chociaż sprzeniewierzył się obowiązkom służby i uczciwości. Co to wszystko znaczy? Czy nie wygląda to, jak zamiar podstępny nieżyczliwych ludzi do zmuszenia mnie, abym opuścił służbę, zniechęcony przez te procedery? Takie osoby oskarżam przed Waszym trybunałem, jako wicherzycieli porządku publicznego w sprawach wojskowych!

„Życzeniem mojem jest mówić tak, aby mię zrozumiano. Mam dla Was szacunek bez uniżoności. Pochlebstwo jest zarówno szkodliwem w życiu publicznem, jak i w prywatnem; jest ono wadą tych niskich istot, które usiłują prześladować mnie i obrażać.

„Byłem obecny, gdy do generała Lincolna przybył ekspres z listem nadmieniającym, iż kapitan Baldesqui został zatrzymany, oraz z rozkazem o mianowaniu drugiego skarbnika, co nie wyda-



je mi się koniecznym, gdyż nieliczni pozostający ludzie mogą być wypłacani przez skarbnika armii, a nie będzie tyle zamieszania w szczegółach. Zdaje się zresztą, że zamierzone jest zniweczenie całego oddziału, co przyjdzie bez trudności.

„Kampania zbliża się. Możliwie, iż będę miał jeszcze sposobność wykazać, że jestem przyjacielem Waszej sprawy, chociaż nie mam szczęścia podobać się niektórym jednostkom.

„Mam zaszczyt pozostać z szacunkiem i t. d.

K. Pułaski.

Jakoż istotnie niebawem przyszło mu złożyć najwyższy dowód poświęcenia dla sprawy, jaki dać może człowiek. W tym właśnie czasie D'Estaing, dowódca floty francuskiej, skończywszy wyprawę swoją przeciwko Indyom Zachodnim i odebrawszy Anglikom parę wysp, wracał ku brzegom Karoliny Południowej. Rutledge, gubernator kolonii, zaproponował mu przedsięwzięć wspólnie z Amerykanami, oblężenia Savannah, aby ostatecznie wygnać Anglików z południowych kolonij. Dumny powodzeniem admirał francuski, przyjął chętnie tę propozycję, sądząc, iż w krótkim czasie owładnie miastem. Amerykanie podzielali te nadzieje; nikt nie wątpił o powodzeniu. W nocy z 3 na 4 września przyszła do Charlestown wiadomość o zgodzie admirała i o zbliżaniu się floty francuskiej; 5-go Lincoln nakazał oficerom stanąć na czele swoich oddziałów. Pułaski z konnicą wyruszył, aby zbadać pozycje nieprzyjacielskie, chwycił on jeńców i zmuszał Anglików do cofania forpocztów. <sup>1)</sup> Dziewiątego D'Estaing na fregacie *Chinière* razem z trzema innymi, utorował sobie drogę ku rzece Savannah, zajął opróżniony przez Anglików port Tybee, a jedenastego wylądował w Beaulieu. Pułaski udał się na jego spotkanie, w celu odnalezienia miejsca jego wylądowania i ustanowienia komunikacji pomiędzy armią amerykańską, a francuską. „Pewnego dnia bardzo rano, opowiada Bentalou, wykryto człowieka w czerwonym mundurze, jadącego przez las. Wyślano natychmiast dragonów dla schwytania go. Okazało się, iż był to posłaniec od D'Estaing'a z listem do Lincoln'a i do Pułaskiego także, w którym zawiadamiał go o wylądowaniu swoim, a obok innych pochlebnych rzeczy mówił, iż wiedząc, że Pułaski był tam, miał pew-

<sup>1)</sup> O czynności jego w tej dobie świadczy cały szereg listów adresowanych do Lincoln'a.

ność, iż pierwszy go spotka.“<sup>1)</sup> Jakoż czternastego o 6 z rana wysłał do Lincolna następujący list:

„Kochany Generale,

„Mam przyjemność przesłać Ci list hrabiego D'Estaing'a. Będę czynił wszystko możliwe, aby połączyć się z nim wraz z oddziałem moim. Niezbędne jest, aby reszta kawaleryi przybyła do mnie dziś. Jeśli możliwe, niech spotkają mnie na drodze od Ogeechee Ferry do Savannah. Oddział, który wysłałem onegdaj, natrafił na patrol nieprzyjacielski, złożony z 11 ludzi i zabrał wszystkich w niewolę, bez straty z naszej strony.“<sup>2)</sup>

Tegoż dnia o południu pisał Lincoln do Ruthledge: „W tej chwili zawiadomiony jestem, że hr. D'Estaing znajduje się w Beaulieu, gdzie wylądował część wojska.“

Bentalou, który był w oddziale Pułaskiego, opowiada w następujących wyrazach o spotkaniu jego z admirałem francuskim: „Chociaż padał deszcz ulewny, Pułaski natychmiast pośpieszył do D'Estaing'a ku miejscu jego wylądowania, gdzie obaj ucałowali się serdecznie i wyrazili radość wzajemną z powodu spotkania. Nazajutrz D'Estaing niechcąc czekać na Lincolna, zawiadomił Pułaskiego o zamiarze swoim zbliżenia się ku Savannah i dodał, że liczy na jego legię, jako na przednią straż swoją. Zgodnie z jego życzeniem wyruszyliśmy natychmiast i przybyliśmy przed Savannah, na jakiś czas przed D'Estaing'em, gdzie odcięliśmy forpocztę złożoną z piechoty nieprzyjacielskiej.“<sup>3)</sup>

Tymczasem Lincoln wyruszył na spotkanie admirała francuskiego, lecz zbłądziwszy, przybył ku miastu dopiero 16 w południe. D'Estaing nie czekał na niego, lecz wysłał tegoż ranka wezwanie do Prevosta o poddanie się królowi francuskiemu, zredagowane w formie chełpliwej i obrażającej. Gdy Lincoln dowiedział się o tem, wynurzył niezadowolenie, z powodu, że wezwanie nie było uczynione w imieniu obu narodów związkowych. „Przedmiot ten rychło został załatwiony i zgodzono się na to, iż wszelkie pertraktacye w przyszłości będą przedsięwzięte zgodnie przez głównego dowódcę sił francuskich i przez takiegoż dowódcę sił amerykańskich.“<sup>4)</sup>

1) Bentalou. Druga broszura, str. 33.

2) Rękopisy Sparksa. 12. 10. 388.

3) Tamże, str. 33.

4) Dziennik Lincolna w rękopisach Sparksa. 12, 10, 373 i nast.



Prevost pragnął wygrać na czasie. Odpowiedział więc bardzo grzecznie admirałowi francuskiemu, prosząc go o 24 godzin do namysłu i do przygotowania punktów kapitulacji. D'Estaing nierozważnie zgodził się na to. W rzeczywistości generał angielski oczekiwał posiłków pod dowództwem pułkownika Maitlanda, po którego był posłał do Beaufort. Dzielny oficer ten, pomimo gorączki, która go trapiła, przybył z 800 weteranami, drogą okólną, przewyciężając niesłychane trudności w sam czas, aby dać możliwość Prevostowi posłać dumną odmowę, zamiast spodziewanych warunków kapitulacji (17 września).

Anglicy liczyli teraz 2,500 żołnierza i z największym pospiechem fortyfikowali miasto, kiedy siły związkowe rozpoczęły regularne oblężenie. Przez cały czas oblężenia legia Pułaskiego była czynna. 17-go, 18-go i 19-go Livingston z D'Estaing'em robili rekonesansy w celu poznania fortyfikacyj nieprzyjacielskich. 19 przyszła wiadomość, że nieprzyjaciel wylądował około 50 ludzi na rzece Ogeechee, nieco poniżej przeprawy. Pułaski udał się aby schwytać ich i nazajutrz wrócił z jeńcami. 22 przybyła milicya z Charlestown, a nazajutrz działa francuskie zostały z wielkim trudem przeniesione ze statków i rozpoczęte były transzeje w odległości 153 sążni od nieprzyjacielskich linii; 24 oblężeni uczynili wycieczkę, która została odparta ze stratą obustronną.<sup>1)</sup> Nazajutrz saperzy amerykańscy połączyli się z francuskimi w robotach ziemnych.<sup>2)</sup>

Piątego października baterye związkowe rozpoczęły ogień, który trwał do 8-go. Roboty oblężnicze posuwały się naprzód i nie zostawało ich więcej, jak na 10 dni, aby dotrzeć do okopów nieprzyjacielskich. Lecz D'Estaing niespokojny będąc co do położenia floty u brzegów, nie osłoniętej portem, przy zbliżającej się burzliwej porze roku, zażądał szturm. Naznaczono go na 9 października. Plan szturm, przyjęty na radzie wojennej wieczorem 8 października, był następujący: Generał Huger miał uczynić fałszywy atak na wschodnią stronę miasta, tworząc lewe

<sup>1)</sup> W tej potyczce prawdopodobnie został śmiertelnie ranny Zieliński, który zmarł nazajutrz. W *Muster Roll of the 2-nd Corps Light Dragoons commanded by late Capt Zieliński* („który był pod dowództwem ś. p. kapit. Zielińskiego“) znajdujemy w liczbie ubitych: Capt Zieliński deceased Sept. 25, 1779 (Papiery legii w Ministerjum Wojny w Waszyngtonie).

<sup>2)</sup> Wszystkie te szczegóły według dziennika Lincolna w rękopisach Sparksa.

skrzydło nieprzyjaciela, ze zleceniem, zamienić ten atak na rzeczywisty, jeżeli okoliczności będą sprzyjały, i uderzyć na garnizon z tyłu. Głównym punktem ataku miała być prawa strona miasta, a mianowicie reduta Springhill. Skierowane tu były trzy kolumny. Pierwsza z nich pod komendą D'Estaing'a miała uderzyć na redutę z przodu, dwie zaś inne, posuwając się wzdłuż brzegów bagniska, miały się prześlizgnąć między redutami i uderzyć na nieprzyjaciela z tyłu.

W zbiorach autografów Emmett'a w Lenox Library, znaleźliśmy rękopis pod tytułem: *Ordre du 8 et 9 octobre 1779*, podpisany przez D'Estaing'a, z którego wyjmujemy następujące szczegóły. Kolumny atakujące poprzedzone być miały przez przednią straż, złożoną z ochotników i grenadyerów: za niemi postępować miała rezerwa z artylerją. „Postanowionem zostało przez obu generałów, że trzecia kolumna utworzona z elity wojsk amerykańskich, a mająca na czele kawalerję generała Pułaskiego, będzie postępować w ślad za lewą kolumną wojsk francuskich.“

„Przednia straż posunie się szybko i w milczeniu ku frontowi reduty Spring Hill: jeśli nie zdoła przekroczyć jej, obejdzie ją dookoła i będzie starała się wtargnąć przez wejście do tej reduty, znajdujące się w rogu od strony okopów.“ Prawa kolumna miała popierać pierwszą i starać się wejść do reduty z prawej strony. „Lewa kolumna będzie postępowała tak, jakby zmierzała ku wielkiemu domowi, który widać od strony rzeki, na tej samej linii, co reduta. Jak tylko kolumna ominie punkt, który może być uważany za odpowiadający końcowi abatisu (zasieki), a będzie dość odległą od prawej, aby się z nią nie zmieszać, weźmie się ostro na prawo w celu owładnięcia okopem, jeśli tam znajduje się jaki.“

„Postanowiono, że konnica amerykańska razem z trzecią kolumną wejdzie do miasta od strony domów: \*) gdy znajdzie chwilę właściwą do sformowania się, rozciągnie się do samej rzeki. Kolumna ta weźmie z tyłu baterje lewej strony, najbliższe do bagna i do rzeki.“

Marsz rozpoczął się o pierwszej w nocy. Ataku nie rozpoczęto wszakże o świcie, jak się spodziewano, lecz po wschodzie słońca. Generał Huger z kolumną swoją znalazł po drodze pole

\*) „par les maisons.“ Wskazówka ta staje się zrozumiałą, jeżeli przyjrzymy się planowi oblężenia: dostrzegamy, iż grupa domów rozrzuconych (prawdopodobnie mieszkania letnie) zajmowała przestrzeń między miastem a redutą, stanowiącą główny punkt ataku.



ryżowe, po którym brnął. Skoro się z niego wynurzył, spotkał go rześisty ogień artylerii i piechoty, zmuszając do rychłego cofnięcia się. Lewa kolumna Stedinga zbłąkała się w ciemności i zabrnęła w bagno, z którego nie mogła się wydostać wcześniej, niż światło dzienne odsłoniło ją, wystawiając na ogień baterii nieprzyjacielskich, tak energiczny, że kolumna ta nie mogła się nawet sformować. Kolumna D'Estaing'a dotarła niedostrzeżenie do samej reduty i rzuciła się na okopy. Kolumna amerykańska postępowała za nią w dobrym porządku, lecz przy pierwszych strzałach milicya Wirginijska cofnęła się, pozostawiając tylko Pułaskiego z konnicą i 300 regularnych żołnierzy.

Nieustanny ogień muszkietarów i krzyżowy ogień baterii oraz dział okrętowych, spotkał atakujących. Nie zważając na to, przednia straż przedarła się przez abatis. Francuzi i Amerykanie dosięgli jednocześnie parapetu, umieszczając na nim sztandary francuski i Karoliny Południowej. Lecz w tej chwili świeże siły brytańskie pod dowództwem Maitlanda uderzyły na atakującą kolumnę przeważną masą. D'Estaing daremnie usiłował trzykrotnie formować szeregi pod morderczym ogniem kartaczowym, aby poprzeć mały oddział, który wdarł się na redutę. Zbita masa żołnierzy na wąskiej szosie, otoczonej z dwóch stron bagnem, stanowiła obfite żniwo dla śmierci. Sam D'Estaing padł ranny.

Wśród tej klęski Pułaski nie mógł zostawać nieczynnym. Ukrywszy kawaleryę za wyniosłością gruntu, pośpieszył samowtór z Bentalou ku miejscu, gdzie ogień był najbardziej morderczy, chcąc dodać otuchy żołnierzom i sformować ich do ataku. Ugodzony kartaczem, spadł z konia, ludzie jego rzucili się i wynieśli rannego po za obręb strzałów. W tej chwili dano hasło do odwrotu. Oto jak przedstawiało się w tej chwili pole klęski, według opisu jednego z oficerów angielskich: „Przekonawszy się, że atak nie był zwodniczy, rzuciłem się naprzód i przybyłem w sam czas, gdy zwycięstwo stanęło po naszej stronie. Widoku takiego nigdy przedtem nie oglądałem. Rów pełen był trupów; przed frontem zaś na odległości 50 jardów, pole okryte było nimi: wielu rannych i zabitych wisało na abatisie, a na odległości kilkuset jardów, po za linią okopów, równina usłana była ciałami zabitych przez nasze kartacze.“<sup>1)</sup>

<sup>1)</sup> *Savannah* w zbiorach towarzystwa historycznego „Collection of the Historical Soc. of Georgia.“ T. III.

Kiedy związkowe armie zwinęły oblężenie w kilka dni po tym niefortunnym ataku, Pułaski przeniesiony został na statek Wasp, który miał go zawieść do Charlestown'u. Gorączka, która wywiązała się wskutek rany, sprowadziła śmierć w ciągu kilku dni. Ciało jego pochowane zostało w morzu, lecz po przybyciu statku do Charleston obrządek pogrzebowy wykonany został w tem mieście z wielką uroczystością 21 października.

\*

\*

\*

Po śmierci dowódcy, reszta legii połączona została na propozycję Waszyngtona z oddziałem Armanda.<sup>1)</sup> Rodzaj ten oddziałów niezależnych, wprowadzony przez Pułaskiego do armii amerykańskiej, okazał się bardzo użytecznym, jak widzimy z następującego sądu Waszyngtona w jego liście do Kongresu, pod datą 11 października 1780 roku:

„Zamiast pułków kawalerji, poleciłbym oddziały w formie legionów, składające się z 4 szwadronów dragonów po 60 jeźdźców, razem 240, dwóch kompanij piechoty, razem 120 — czyli 360 ludzi z tą samą liczbą oficerów i podoficerów, jak dziś...

„Przekładam oddziały niezależne dla tego, że rodzaj służby, który ma spełniać u nas kawalerja, wymaga prawie zawsze pomocy piechoty; w kwaterunkach zaś, ponieważ zmuszone są stać zdala od armii dla uzyskania furaju, niezbędną jest dla ich bezpieczeństwa: przyłączenie zaś do nich piechoty wycofanej z pułków, przedstawia wiele niedogodności...”

„Chociaż wogóle nie jestem zwolennikiem oddziałów niezależnych, sądzę, iż oddział partyzancki użyteczny jest w armii z wielu względów. Inię jego i przeznaczenie pobudzają do przedsiębiorczości.“

Niestety przedsiębiorczość taka ze strony Pułaskiego była wielokrotnie hamowana w służbie amerykańskiej przez najrozmaitsze przeszkody, a talenty wojskowe jego, bezgraniczne poświęcenie, zapał i odwaga, szły na marne lub przynosiły owoce zupełnie nie odpowiednie do wartości moralnej tego rycerza idei.

<sup>1)</sup> Rękopisy Kongresu 169, 7, 329 (9 listopada 1780).



Z tem wszystkiem prawda historyczna, odsłonięta przez źródła niewątpliwej autentyczności, podnosi postać naszego bohatera o wiele wyżej niż legenda, która najczęściej stworzona przez ludzi niedorastających do miary bohatera a ulegająca chwilowym upodobaniom epoki, obniża go zwykle do popularnego poziomu. Pułaski, jakiego poznajemy z licznych przytoczonych tu listów, nie jest zawadyackim partyzantem, pełnym przesądów lokalnych i zabobonnym, jakim go namalował Gaszyński, a w ślad za nim inni odtwarzali. Przeciwnie: widzimy tu człowieka z bystrym umysłem, pełnego inicjatywy, ale też umiającego poddać się przepisom karności i wymagającego jej od innych, posiadającego doskonałą znajomość służby i pełnego troskliwości o powierzone mu oddziały, słowem dowódcę w najlepszym, nowożytnym znaczeniu słowa.

Nie należy również sądzić o doniosłości jego zasług, z ilości żołnierza, którą miał pod komendą, z tych drobnych potyczek, które staczał. Nie należy porównywać bitw staczanych w czasie owej walki z olbrzymiami pobojowiskami dzisiejszemi. Nie liczność i potęga armij, nie świetność zwycięstw, lecz ideały przyszłości, które świeciły z tych pól walki, lecz doniosłość idei, o którą walczone, były przyczyną, iż oczy świata ucywilizowanego zwrócone były na walkę kolonij amerykańskich, a rewolucyę tę uczyniły dziejowym wypadkiem pierwszorzędnej doniosłości, płodnym w następstwa olbrzymie dla całego świata. Wszak cała ludność kolonij wynosiła podczas rewolucyi zaledwie trzy miliony, a zajmowały one wązki pasek wzdłuż brzegów Atlantyku. Zapal republikkański, oddanie się zupełne, osobista odwaga Pułaskiego, punktualność w służbie i gotowość w każdej chwili poświęcenia wygod własnych potrzebom armii, cechy niezbyt pospolite wśród oficerów amerykańskich, stanowiły przykład podnoszący ducha i dodający otuchy. Popularność jego imienia w Ameryce, liczne o nim legendy, świadczą najlepiej, jak ceniony był przez współczesnych. W słowniku geograficznym Stanów Zjednoczonych, znaleźliśmy nie mniej, jak 18 miejscowości (miast) jego nazwiska.

WŁADYSŁAW M. KOZŁOWSKI.

# PIŚMIENNICTWO.

Dr. FRANCISZEK BUJAK. *Wieś zachodnio-galicyjska u schyłku XIX w.* (Z cyklu odczytów „Wieś polska,“ urządzonych staraniem „Towarzystwa dla nauk społecznych w Krakowie“). Lwów 1904.

Zdanie sprawy z rozwoju ludności wiejskiej w zachodniej Galicyi w ubiegłym półwieku, t. j. od uwłaszczenia, jest zadaniem trudnem z powodu prac przygotowawczych i wielkiej obfitości źródeł. Wszystko, co o naszej wsi pisano dotychczas, należy traktować, jako materiał surowy. Opracowanie zaś obfitych surowych materiałów wymaga dużej pracy i rozległej wiedzy; dla tego autor uprzedza, iż niema pretensyi do wyczerpania przedmiotu, ale wiele wiadomości zaczerpnął od samego ludu, stykając się z nim i wywiadując się o jego dawnem i obecnem położeniu. Owe żywe źródło jest nie do pogardzenia, albowiem dotychczas można spotkać ludzi, którzy pamiętają uwłaszczenie i rebelię, t. j. r. 1846, a po kilkunastu latach trudno już będzie takich odnaleźć.

Należy przede wszystkim odeprzeć ciągle powtarzany zarzut, że lud nasz lekkomyślnie i w gwałtownem tempie rozdrabnia swą ziemię, otrzymawszy jej własność w r. 1848, a prawo dzielenia (wolnego rozporządzania) w r. 1868. Zarówno właściciele dóbr, jak i biurokracya austriacka, nie zważając na obowiązujące prawo spadkowe włościan, dozwalałi chłopom dzielić grunta w tym stopniu, że można to było nazwać wprost faworyzowaniem. Przyczyną podziału był wzrost ludności, która się domagała udziału w ziemi. Swoją drogą, szlachta galicyjska widziała w rozdrobnieniu ziemi swój interes, bo przez to miała zapewnionego robotnika rolnego, na wypadek przeprowadzenia uwłaszczenia, z krzywdą dla siebie, t. j. przez zupełne darowanie ziemi chłopom. Znie-



sienie przez sejm zakazu dzielenia ziemi było tylko czczą formalnością, tylko stwierdzeniem stanu faktycznego. Gospodarstwo wiejskie, jednostka ekonomiczna składa się w Galicyi po największej części z dwóch posiadłości gruntowych, t. j. z kawałka ziemi należącego do męża i drugiego kawałka będącego posagiem żony, a dosyć często składa się gospodarstwo z kilku posiadłości. W r. 1900 liczba gospodarstw włościańskich nie wiele przekraczała cyfrę 900,000. Na jednego posiadacza przypada przeciętnie około 7 morgów ziemi, a więc prawie dwa razy więcej niż miała obejmować zagroda włościańska w r. 1882. W zachodniej Galicyi obejmuje przeciętnie gospodarstwo włościańskie tylko około 6 morgów. Chłop zatem obecnie nie wiele skąpiej jest uposażony w ziemię, niż był przy wyjściu z epoki pańszczyźnianej, teraz nawet z niej większe czerpie dochody na swe utrzymanie, bo znacznie lepiej ją uprawia. W każdym razie należy stwierdzić, że obecny stan rozdziału ziemi nie z winy ludu pochodzi.

Kultura gospodarza ludności wiejskiej w zachodniej Galicyi poczyniła w ciągu ostatnich 50 lat ogromne postępy. Postęp w uprawie ziemi uwidocznił się także w powiększeniu obszaru roli. Chów bydła i nierogacizny coraz trwalsze sobie zdobywa podstawy i tylko chów koni w niektórych okolicach cofnął się. Z chowem bydła wiąże się także rozwój mleczarstwa. Postęp daje się równie dostrzegać w użyciu narzędzi rolniczych. Jednym słowem, na podniesienie kultury włościańskiej zaczynają obecnie i dwory oddziaływać dodatnio. Nieurodzaje i przednówki nie trapią już tak włościan, jak dawniej. Każdy gospodarz dobrze sobie uświadamia w jesieni, ile mu na cały rok potrzeba zboża dla siebie i paszy dla bydła. Ogół włościan nauczył się zdawać sobie sprawę ze swego budżetu. Przed 1868 r. było zupełnie głucho o kredycie włościańskim, wtedy dostarczali żydzi włościanom gotówki. Po 1868 r. bank włościański pozostawił po sobie smutną pamięć. W ciągu 10 lat (1873—1883) pobierając lichwę wystawił na licytację 6572 gospodarstw. Do konkurencji z bankiem wystąpiły wkrótce liczne towarzystwa zaliczkowe, które pobierały 8 do 12<sup>o</sup>/<sub>o</sub> i na ogół ostrożnie udzielały kredytu. Obecnie idzie około 2500 posiadłości rocznie na licytację. Ogólna suma kwot dłużnych wynosi około 900,000 zfr. Stosunki kredytowe są ciągle naprężone i od r. 1873 liczba licytacji nie zmniejsza się, a przytem powiększa się wysokość kwot dłużnych. Ustawa z 1877 r. poskromiła lichwę i przyczyniła się do obniżenia stopy procentowej, ale po kilku latach lichwiarze nauczyli się obchodzić ustawę. Mimo to kredyt prywatny dla chłopu jest najważniejszy

i najdogodniejszy. Całkowite obciążenie mniejszej własności jest prawdopodobnie znacznie większe, niż długi hipoteczne w księgach figurujące, atoli w stosunku do jej wartości nie jest jeszcze zastraszające.

Jednym z najbardziej charakterystycznych objawów z życia naszego ludu wiejskiego jest wychodźstwo zarobkowe. Wychodźstwo to jest obecnie rozpowszechnione w całej Galicyi zachodniej. Pierwsze większe ruchy w celach zarobku rozpoczynają się z chwilą, gdy namiestnik Gołuchowski na wielką skalę zaczął budować drogi i mosty po kraju, a wnet potem zaczęto budować koleje. Przed 10 laty, po silnej emigracyi do Stanów Zjednoczonych i Brazylii na stałe, nastąpiła emigracya zarobkowa do Ameryki. Oprócz tego lud galicyjski ciągnie na Szląsk pruski do kopalń i fabryk, do Królestwa Polskiego na żniwa, tudzież jako rzemieślnicy. Mimo silnej emigracyi za granice kraju, stosunki robocze na obszarach dworskich bardziej są uregulowane i zabezpieczone niż w pierwszych dziesięcioleciach po uwłaszczeniu. Ludność bowiem pozbyła się niechęci do pracy wogóle, a w szczególności do pracy u dziedziców. Dopiero od lat kilku widać stanowczą zwykłą cen robocizny. Jednem słowem emigracya zarobkowa miała dla Galicyi znaczenie olbrzymie i bardzo korzystne. Emigracya jest rątkiem dla kultury naszego ludu i zarazem najważniejszą drabiną, po której wznosi się on na wyższe szczeble kultury. Emigracya zarobkowa jest to znak, że u nas jest siła robocza świadomą swej ceny i zna stan rynku roboczego na ogromnych przestrzeniach ziemi. Zwraca się bowiem tam, gdzie jest lepiej płaconą. Emigracya nie ogranicza się do ościennych krajów, gdzie językiem własnym można się posługiwać, ale uderza ona o granice Francyi w Alzacyi i Lotaryngii, sięga do Szwajcaryi, do Rumunii, Danii, dociera Anglii, i w wielkich ilościach za ocean się zwraca. Obok tego znane są sporadyczne zabłąkania się naszych robotników nawet na Sumatrę i wyspy Hawajskie. Robotnicy galicyjscy zyskują dla siebie na emigracyi względny dobrobyt, zaspokojenie potrzeb, które silniej odczuwają.

Przeciętny zarobek obieżyśasa i robotnika ziemnego czy fabrycznego w Europie wynosi na czysto 100-200 złr. w ciągu 8 do 10 miesięcy. Zarobek robotnika w Ameryce wynosi przeciętnie 600 złr. rocznie, a dochodzi do 800 i do 1000. To też po 3-4 latach robotnik z Ameryki wraca, jako wcale zamożny, jak na nasze stosunki wiejskie. Wobec reszty ludności wiejskiej odegrywają robotnicy niekiedy rolę drobnych kapitalistów, pożyczających jej pieniędzy, a po kilku lub kilkunastu latach zdobywają



sobie daleko wygodniejsze warunki bytu na wsi, niż ci, którzy nigdy roli nie opuszczali. Robotnik polski zyskuje na obczyźnie wiele pod względem cywilizacyjnym. Obczyzna daje mu wiele nauki sposobem poglądowym i rozwija jego umysł. Zarobkowanie służy mu do rozwinięcia, względnie zamienienia, swego karłowatego gospodarstwa na większe, w zupełności dla rodziny wystarczające. Rezultatem tego jest podrożenie ziemi. W ciągu ostatnich 15 lat ceny ziemi podniosły się o 50<sup>0</sup>/<sub>0</sub> a nawet wyżej w Galicyi. Drugim rezultatem jest coraz szybciej postępująca parcelacya ziemi, t. j. obszarów dworskich. Społecznie emigracya zarobkowa nie jest niebezpieczną, bo nie okazuje dążności do staczania się w przepaść nędzy, nie jest czynnikiem obniżającym dobrobyt ogólny, owszem odznacza się wielkim hartem i przedsiębiorczością. Robotnicy żywią swe rodziny, wprowadzają do kraju wiele kapitału, przez co ratują jego bilans handlowy. Dotychczas lokują robotnicy swe kapitały w ziemi, ale gdy cena ziemi stanie się zbyt wygórowaną, robotnik przestanie zapewne ziemię przepłacać i złoży swe oszczędności w kasach oszczędności.

W pierwszej połowie XIX w. Galicya miała stosunkowo wcale pokaźny przemysł, który także na eksport produkował. Jeszcze około 1850 r. wiele powiatów miało w daleko większej mierze charakter przemysłowy aniżeli dzisiaj. Przedewszystkiem kwitnęło sukiennictwo i tkactwo, a grube sukno zwane sierakiem i drelichy krajowe miały pierwszeństwo przed obcemi. Około 1870 r. jedne rodzaje przemysłu zabiła konkurencyja, ułatwiona przez budowę kolei. W Galicyi oprócz tego kwitnął przemysł domowy. W każdej parafii, a nawet prawie w każdej wsi znajdujemy ślady tego przemysłu. Prawie każdy wytwórca wiejski sam sprzedawał swój towar, obnosił go, względnie obwoził po bliższych i dalszych targach i jarmarkach, co mu kilkadziesiąt dni w roku zajmowało. Przemysł domowy powodował u naszego ludu handel, któryby najlepiej nazwać wędrownym. Obok handlu bezpośrednio z produkcyi przemysłowej wynikającego, był handel także samoistny, opierał się on na handlu solą, zbożem, zwłaszcza siemieniem lnianem i konopnem, dalej na handlu bydłem i nabiałem. Dziś z przemysłu domowego zostały tylko strzepy, z handlu wiejskiego tylko drobne okruchy. Przyczyny wyschnięcia tych źródeł utrzymania dla ludności wiejskiej były po większej części nieuniknione, t. j. rozwój przemysłu fabrycznego i kolei żelaznych. Obecnie budzi się znowu wcale obiecujący ruch handlowy wśród całej ludności wiejskiej w zachodniej Galicyi. Liczba sklepików chłopskich wynosi obecnie do 2100, niema bowiem ludniejszej

wioski bez sklepiku, a w wielu większych wsiach jest ich 2, 3 i 4. Chłop zakłada nie tylko sklepiki wiejskie, ale zaczyna się brać i do innych gałęzi handlu, widoczne to jest w górskich stronach. Tam coraz bardziej rozwija się przemysł wiejski, opierając się na dawnych podstawach.

Oświata ludowa jest to jedna z nielicznych ale rzetelnych zasług rządu polskiego w Galicyi. To co się w tym czasie ery konstytucyjnej zrobiło w tej sprawie, jest naprawdę olbrzymim czynem. U progu ery konstytucyjnej lud wiejski był zupełnie pozbawiony oświaty. W ciągu 35 lat autonomii, szkolnictwo ludowe poczyniło znaczne postępy. Obecnie doszło do tego, że w Galicyi znajduje się 4004 szkół ludowych. Jak małe jeszcze owoce wydaje szkolnictwo ludowe, świadczy przerażający wprost procent analfabetów. Prócz tego władze autonomiczne nie przyszły jeszcze do należytego przeświadczenia o tem, że należy koniecznie powołać instytucje naukowe dla ludu, w którychby on zaczerpnął prawdziwej wiedzy. Tymczasem i niedostatecznie spełnia to zadanie literatura ludowa. W ciągu dziesięciolecia (1894—1904) wydano w Galicyi broszur i książek dla ludu przeszło 500, a prócz tego oddziaływała oświecająco prasa codzienna, przeznaczona dla ludu wiejskiego.

Lud galicyjski jeszcze w latach osmdziesiątych nie miał pojęcia o państwie, do którego należy, ani o swej ojczyźnie, której służyć powinien. Poglądy jego narodowe i polityczne były mniej więcej następujące: Galicya pozostaje pod władzą najbogatszego w świecie człowieka, cesarza, który dba o dobro swoich poddanych i chętnieby ulżył doli chłopskiej, gdyby panowie siedzący po urzędach na prowincyi i we Lwowie, chcieli mu przedstawić losy chłopskie; ale ci panowie zamiast tego, coraz to nowe wymyślają prawa, aby tylko z chłopa drzeć pieniądze. Są oni gromadą ludzi bezbożnych i hulaszczycych, więc chcieliby nanowo zaprowadzić pańszczyznę, aby całkowicie żyć z pracy chłopskiej. Chłopi są jednakże ostrożni i strzegą się przed podrywkami pańskimi, a i cesarz nie dowierza swoim wysokim urzędnikom, ale od czasu do czasu przebiera się i idzie między chłopów, aby się przekonać, jak ciężko muszą pracować i stara się czasem osłaniać ich przeciw krzywdom urzędników. Dotąd jeszcze w wielu okolicach nie wierzy ogół ludności w śmierć arcyksięcia Rudolfa, który zdaniem ich chodzi po kraju przebrany i bada stosunki, aby potem, jak wstąpi na tron, wiedział, jak ma rządzić. Jest to kult dynastyi, wytwarzany zdawna i podtrzymywany w wojsku, a do niedawna i w galicyjskiej szkole ludowej. W ostatnich dopiero



latach, coraz więcej spotkać można na wsi jednostek, które umieją po za osobami dopatrzeć się samej organizacji państwa, a obok państwa widzą także naród. Życie polityczne chłopów rozpoczęło się dopiero kilkanaście lat temu i doszło w tym czasie do wcale poważnych rozmiarów, atoli daleko mu do pełnego i zdrowego rozwoju. Chłopi ponownie weszli do sejmu i rady państwa dopiero 1890 r. ale ogół ich tym razem nie razi w sejmie. Polityczny ruch ludowy ma jednak duże wady, przedewszystkiem zbyt jest rozdrobniony bez racji i celu.

Z pracy Kleczyńskiego p. t. Życie gminne w Galicyi, pokażało się, że samorząd w Galicyi w gruncie rzeczy nie istnieje i że gmina, jako jednostka administracyjna, zadań swych nie spełnia. Z pracy Kleczyńskiego okazało się, że istnieje przepaść między praktyką a teorią ustawy gminnej w Galicyi. Ale wszystkie zarzuty, które Kleczyński skierowywał przeciwko życiu gminnemu, należało skierować przeciwko stanowi kulturalnemu ludności. Z postępem kultury nastąpiła i w życiu gminnym zmiana na lepsze. Dawniej wieś galicyjska była siedliskiem złodziei. Jeszcze w trzeciej części XIX wieku kradli chłopów konie, woły, słońcę, ubranie, zboże i t. d., napadali ludzi po chałupach, wiązali i groźbami zmuszali do oddawania pieniędzy. Ludność mściła się za to i każdego pochwyconego złodzieja biła bez miłosierdzia, odbierając mu zdrowie a niekiedy życie. Dziś ta wada należy do przeszłości. Wszędzie niemal ludzie nie zamykają tak szczelnie swego dobytku, jak przedtem. Kradzieże polne zmniejszyły się. Nietety kradzieże na obszarach dworskich, a zwłaszcza kradzieże leśne, są jeszcze w wielu okolicach bardzo częste, ale przyczynia się do tego utrudnienie w nabywaniu opału za pieniądze. Jeżeli rzucimy okiem na całokształt rozwoju naszego chłopów w ciągu tego krótkiego okresu czasu, to musimy uznać, że odbył on ogromną drogę. Zdaje się, że dzisiejszy chłop w niczem nie przypomina dawniejszego, inną ma prawie duszę. A jednakże, jak daleko mu do tego, aby osiągnął chłop zachodnio-europejskiego, jak biedny jest i ciemny, jak bardzo brak instytucyj ułatwiających mu życie.

Na niespełna stu stronicach, autor skreślił pełny i charakterystyczny obraz wioski zachodnio-galicyjskiej u schyłku XIX wieku. Przeciwwstawił ową wioskę dzisiejszą dawniejszej z pańszczyźnianych czasów i nie poddając się pesymizmowi lub optymizmowi, ocenił trzeźwo i rozważnie rozwój i postęp ludności rolniczej we wszystkich kierunkach społeczno-ekonomicznego życia. Następnie autor starannie wykazał wszystkie wady i niedostatki

dzisiejszego życia wioskowego, przyczem nie omieszkał wskazać, jakie środki i sposoby mogą doprowadzić do wykształcenia i oświecenia galicyjskiego chłopca. Rozumowanie autora opiera się na gruncie rzeczywistości i pozbawione jest pierwiastków marzycielskich. W czytelniku budzą konkluzje autora zaufanie, głównie swoją praktycznością i prostotą. Studium wsi zachodnio-galicyjskiej poświęcone, jest też niezmiernie interesującym i oświeca życie rolniczego ludu, pełnym, naukowym światłem.

A. R.



# Kronika miesięczna.

Reformy. — IV Zjazd prawników i ekonomistów polskich. — Uczenie pamięci Reya. Dzieje biblioteki Zielińskich w Płocku. — Kursy wakacyjne w Krakowie i w Cieszynie. — Projekt założenia akademii handlowej w Warszawie.

Dnia 19 czerwca r. b. Najwyżej zatwierdzone zostały następujące wnioski Komitetu ministrów co do porządku wykonania 7 punktu Ukazu z dn. 12 grudnia 1904 r. w stosunku do gubernij Królestwa Polskiego:

1) We wszystkich wogóle zakładach naukowych warszawskiego okręgu naukowego wykład religii rzymsko-katolickiej ma być prowadzony w języku narodowym uczniów, przyczem wykład ten winien być poruczony kapłanom tego wyznania, a jedynie w razie ich braku — nauczycielom świeckim, wyznania bezwarunkowo rzymsko-katolickiego. Dla nauki religii i języka polskiego ma być wyznaczona dostateczna ilość godzin.

2) Wykład języka polskiego w szkołach początkowych, jak również i w pragnących tego średnich zakładach naukowych, powinien być prowadzony w języku polskim.

3) Polecić ministrowi oświaty, aby przedsięwziął niezwłocznie odpowiednie kroki w celu odwołania wszystkich, wydanych drogą administracyjną, rozporządzeń, ograniczających młodzież pochodzenia polskiego, uczącą się w zakładach naukowych warszawskiego okręgu naukowego, na punkcie używania swego języka narodowego w czasie po za lekcjami i obowiązujących prywatne zakłady naukowe tegoż okręgu naukowego do prowadzenia innych przedmiotów, prócz nauk fizyko-matematycznych i historycznych, w języku rosyjskim.

4) Pozostawić ministrowi oświaty do niezwłocznego opracowania i wniesienia do Rady Państwa, bez porozumiewania się z zarządami, następujących przedstawień:

1-o) O wprowadzeniu w jednoklasowych szkołach początkowych i pierwszych klasach pozostałych szkół początkowych warszawskiego okręgu naukowego *w wykładach arytmetyki* obok języka rosyjskiego także i języka polskiego:

2-o) O wydaniu rozporządzenia, aby w prywatnych zakładach naukowych okręgu warszawskiego, nie mających praw rządowych, wykłady wszystkich przedmiotów były prowadzone w języku polskim, prócz języka rosyjskiego, historii i geografii, które winny być uważane jako przedmioty obowiązujące i wykładane po rosyjsku.

3-o) Zaprowadzenie w uniwersytecie warszawskim posady etatowego lektora języka polskiego i oddzielnej etatowej profesury języka polskiego oraz historii literatury polskiej, z polskim, w obydwóch wypadkach, językiem wykładowym.

5) Wyjaśnić, że przy prowadzeniu ksiąg i wogóle korespondencji w zarządach gmin i parafij wyznania rzymsko-katolickiego i w dozorach szkolnych gubernij Królestwa Polskiego, w języku rosyjskim winny być redagowane wszystkie księgi i dowody, podlegające rewizji osób urzędowych, oraz w tymże języku załatwiane być mają wszelkie z władzami stosunki, atoli współrzędnie z tekstem rosyjskim może być dopuszczone użycie języka, w którym mówi ludność miejscowa. Stosunki wójtów z podwładnymi im osobami *mogą* się odbywać w języku miejscowym.

6) Nadać osobom, otrzymującym kopie decyzji komisarzy włościańskich i kopie rezolucyj zarządów gubernialnych do spraw włościańskich, prawo otrzymywania oprócz tekstu rosyjskiego — tłumaczeń na język miejscowy, z odpowiedzialnością osób urzędowych i instytucyj za dokładność tłumaczenia, z tym warunkiem, ażeby w każdym razie za oryginał uważany był tekst rosyjski.

7) Polecieć ministrowi spraw wewnętrznych, ażeby zarządził obsadzenie urzędów do spraw włościańskich w guberniach Królestwa Polskiego przez osoby, znające zarówno język rosyjski i polski, z takim obliczeniem, żeby na 1 stycznia 1910 r. wszystkie te urzędy obsadzone były przez znających dwa te języki urzędników.

8) Co się tyczy biurowości w Towarzystwach prywatnych postanowić, że:



a) Wszelkie wogóle stosunki Towarzystw prywatnych, oraz ich pełnomocników z instytucjami i osobami rządowymi, powinny się odbywać w języku rosyjskim;

b) Na wszelkie zapytania, podania i żądania, zarówno piśmienne jak ustne, nadchodzące od innych Towarzystw lub osób i wyrażone po rosyjsku – Towarzystwa prywatne powinny odpowiadać w języku rosyjskim.

c) W biurowości wewnętrznej Towarzystw prywatnych, przy składaniu protokółów posiedzeń, ksiąg, dokumentów i innych papierów, na podstawie których instytucje i osoby urzędowe kontrolują działalność tych Towarzystw, pozwala się używanie, współrzednie z rosyjskim, i języka polskiego, z tym warunkiem, żeby przekład polski stawiany był równolegle z tekstem rosyjskim;

d) Korespondencya stowarzyszeń prywatnych z innymi stowarzyszeniami, oraz osobami prywatnymi, może być prowadzona w języku polskim.

9) Działanie punktów: 5 i 6 art. 3-iego, oraz punktów 4 i 8 ukazu nie rozszerza się na miejscowości, zamieszkałe całkowicie przez ludność rusińską lub litewską we wschodnich częściach gubernij: lubelskiej, siedleckiej, łomżyńskiej i suwalskiej, gdzie cała biurowość i korespondencya instytucyj rządowych, urzędników państwowych, oraz stowarzyszeń prywatnych winna być prowadzona tylko w języku rosyjskim.

10) Część I-ą najwyżej zatwierdzonych dnia 26 kwietnia 1893 r., dn. 27 grudnia 1900 r. i dn. 17 maja 1902 r. wniosków Komitetu ministrów o prowadzeniu korespondencyi, biurowości i rachunkowości w Towarzystwie Kredytowym Ziemiem w języku rosyjskim i część pierwszą Najwyżej zatwierdzonej dn. 27 czerwca 1897 r. uchwały tegoż Komitetu o zaprowadzeniu języka rosyjskiego w biurowości Towarzystw Kredytowych miejskich w Królestwie Polskiem—*znieść*, stosując do nich działanie przepisów, określonych wyżej w punktach 8 i 9.

11) Zmieniając uwagę pierwszą do art. 5-go dodatku do art. 14 Zbioru praw (tom 9, wydanie 1899 r.), postanowić, że przesiedlenie osób pochodzenia polskiego z 10 gub. Królestwa Polskiego do północnych i południowo-zachodnich gubernij, a także do gubernij przyległych, jak również do gub. Besarabskiej – dozwala się w każdym oddzielnym wypadku, za zezwoleniem odpowiednich generał-gubernatorów i gubernatorów.

12) Poleciwszy generał-gubernatorowi warszawskiemu, aby się powoził przy rozpatrywaniu projektu zaprowadzenia urzą-

dzeń ziemskich w gub. Królestwa Polskiego, wskazówkami punktu 2-go Ukazu z dn. 12 grudnia 1904 r. — pozostawić ministrowi spraw wewnętrznych rozpoznawanie tej sprawy, nie czekając na otrzymanie wniosków generał-gubernatora i wniesienia swoich propozycji do uznania Rady Państwa.

13) Pozostawić generał-gubernatorowi warszawskiemu sporządzenie na zasadzie wskazówek § 2 Ukazu Najwyższego z dn. 12 grudnia 1904 r. wniosku o zaprowadzenie w kraju Nadwiślańskim *samorządu miejskiego* i przedstawienie tego wniosku ministrowi spraw wewnętrznych dla najprędszego wniesienia przez tego ministra swoich w tej mierze propozycji do Rady Państwa.

14) Polecić ministrowi rolnictwa zaprojektowanie zmiany Najwyżej zatwierdzonych 1 (13) lipca 1875 r. przepisów o sprzedaży ziem, będących w posiadaniu skarbu w guberniach Królestwa Polskiego. Zmiana ta powinna mieć na celu rozszerzenie prawa nabywania ziemi, sprzedanej przez skarb na zasadzie wspomnianych przepisów — na włościan pochodzenia polskiego, niezależnie od tego, jakiego są wyznania.

15) Polecić ministrowi sprawiedliwości, aby w porozumieniu się z przewodniczącym osobnej rady do rozważania projektów reformy urzędów sądowych, przedstawił pod rozpoznanie połączonych departamentów Rady Państwa, nie oczekując na ostateczną decyzję co do rozpatrywanych przez osobną radę ustaw sądowych, projekty następujące:

a) co do ustanowienia w guberniach Królestwa Polskiego urzędów honorowych sędziów pokoju i

b) co do otwarcia przy warszawskiej Izbie sądowej Rady adwokatów przysięgłych.

Tak się przedstawia w streszczeniu telegraficznem ogół reform, wprowadzanych do kraju na mocy Ukazu z dn. 12 grudnia 1904 r.

Nie chcemy tu rozstrzygać, czy i w jakim stopniu reformy te potrafią zażegnać obecny gorączkowy stan umysłów i wpłyną na zorganizowanie naszego rozbitego wydarzeniami ostatnich miesięcy życia społecznego; w każdym jednak razie stwierdzić należy, że nie rozwiązując wielu spraw ostatecznie, a najważniejszych dotykając zaledwie zlekka — reformy te dają nam przecież rękojmię nieco normalniejszego, a co zatem idzie i pomyślniejszego rozwoju wewnętrznego. Szczególne dla nas znaczenie w tym kierunku posiada punkt 12 uchwał Komitetu, na którego mocy minister spraw wewnętrznych ma sobie pozostawione prawo rozpatrzenia kwestyi samorządu ziemskiego w gub. Królestwa Polskiego,



„nie czekając na otrzymanie w tej mierze wniosków generał-gubernatora.“ Postanowienie powyższe pozwala mieć nadzieję, że sprawa, której odroczenie wzbudziło niedawno uzasadniony niepokój i niepewność w całym społeczeństwie polskim, obecnie zostanie przyspieszona, a od szybkiego załatwienia jej zależy przede wszystkim pomyślność i postęp kulturalny kraju, który ma przed sobą cały szereg zadań pierwszorzędnej wagi, niemożliwych do odroczenia, a tak trudnych do wykonania w obecnie istniejących warunkach.

\*

\*

\*

IV Zjazd prawników i ekonomistów polskich wyznaczony został na początek 1906 r. w Krakowie.

Termin to już niedaleki, dobrze więc uczynił Komitet Zjazdu, ogłaszając zawczasu program prac Zjazdu, co niewątpliwie przyczyni się do wzbogacenia jego plonu.

Program ten, podzielony na VI działów zasadniczych, przedstawia się, jak następuje:

I. *Czynnik ludowy w sądownictwie i administracji.* 1) Czynniki ludowy w sądownictwie administracyjnem. 2) Czynniki ludowy w sądownictwie w sprawach niespornych. 3) Czynniki ludowy w administracji: a) wyznaczenie odpowiedniego stanowiska czynnikowi ludowemu w samorządzie w stosunku do czynnika rządowego; b) podstawy prawa wyborczego w ciałach samorządnych, a w ciałach parlamentarnych; c) uprawnienie instytucyj samorządnych w sprawie opodatkowania obywateli.

II. *Z dziedziny administracji.* 1) Odpowiedzialność organu władzy wykonawczej administracyjnej. 2) Decentralizacja sądownictwa administracyjnego. 3) Organizacja prawa i procesu karnego policyjnego.

III. *Z dziedziny prawa prasowego.* 1) Ukształtowanie przemysłu prasowego w sprawie t. zw. wolności przemysłowej i obciążeń przemysłu. 2) System odpowiedzialności redaktora. 3) Postępowanie sprostowawcze.

IV. *Wzmocnienie ochrony czci.* 1) Przez odpowiednie ukształtowanie sądownictwa karnego. 2) Przez wydatne współdziałanie ze strony czynnika prywatno-prawnego. 3) Przez organizację

samopomocy po stronie społeczeństwa. 4) Przez rozszerzenie granic pojęcia obrony koniecznej.

V. *Parcelacja*. A). Stan parcelacji, jej rozmiary, wpływ na kształtowanie się przedsiębiorstw i posiadłości rolniczej w kraju, na ceny ziemi, tudzież rodzaje pośrednictwa parcelacyjnego w ziemiach polskich: 1) pod panowaniem rosyjskim, 2) pod panowaniem pruskim, 3) pod panowaniem austriackim. B). a) Ocena przyczyn i skutków parcelacji w ziemiach polskich: 1) pod panowaniem rosyjskim, 2) pod panowaniem pruskim, 3) pod panowaniem austriackim; b) spekulacja parcelacyjna i walka z nią; c) uregulowanie parcelacji 1) drogą samopomocy społecznej, 2) drogą ustawodawczą i ekonomicznej interwencji państwa.

VI. *Emigracja*. A). Stan emigracji, rozmiary jej, kierunki, położenie emigrantów na obczyźnie i podczas drogi, formy pośrednictwa emigracyjnego i t. d. w ziemiach polskich: 1) pod panowaniem rosyjskim, 2) pod panowaniem pruskim, 3) pod panowaniem austriackim. B). a) Ocena przyczyn i skutków emigracji w ziemiach polskich: 1) pod panowaniem rosyjskim, 2) pod panowaniem pruskim i 3) pod panowaniem austriackim; b) uregulowanie emigracji, zgodnie z powszechnem krajem i samych emigrantów dobrem: 1) drogą samopomocy społecznej i 2) drogą ustawodawczą.

Takie są ramy programowe Zjazdu. Widzimy, że starano się tu zmieścić wszystkie najbardziej obchodzące nas w chwili obecnej sprawy prawne i ekonomiczne, co nastęrczało niemałe, jak to przyznaje sam Komitet, trudności, wobec różnorodności prawodawstw rosyjskiego, pruskiego i austriackiego, wchodzących tu w grę. Trudności te jednak zostały omińnięte szczęśliwie i Zjazd mimo tego, że program z konieczności ułożony został według zasad, przyjętych dla *Zjazdów międzynarodowych*, będzie miał wybitną cechę polską.

Należy tylko pragnąć, ażeby prawnicy i ekonomiści polscy ze wszystkich trzech dzielnic jednakowo zainteresowali się pracami Zjazdu i żywy wzięli w niej udział.

W tym celu nadmieniamy, że zgłoszenie referatu powinno nastąpić najpóźniej do dn. 10 lipca r. b., a nadesłanie do druku najpóźniej do dn. 1 listopada 1905 r. pod adresem generalnego sekretarza komitetu, prof. D-ra Juliana Makarewicza (Kraków, ul. Biskupia 9).

Z naszego punktu widzenia najbardziej pożądane rozprawy dla wyświeatlenia stosunków w Królestwie Polskiem, dotyczyłyby: *Czynnika ludowego w administracji*, a mianowicie wyznaczenia od-



powiedniego stanowiska temu czynnikowi w samorządzie w stosunku do czynnika rządowego i uprawnienia instytucji samorządnych w sprawie opodatkowania obywateli, następnie całego działu IV „O wzmocnieniu ochrony czci“ i odpowiednich punktów działów V i VI, traktujących o *Parcelacy i Wychodźtwie*.

Sądźmy, że prawnicy i ekonomiści nasi, pomimo ciężkich warunków chwili obecnej, znajdą czas na opracowanie tych tematów.

\*

\*

\*

*Kuryer Codzienny*, który pod nową redakcją zdążył już wyraźnie zaznaczyć swoje przekonania, rozdarł świeżo szaty i rzucił prasie warszawskiej ciężkie oskarżenie z powodu, że ta ostatnia „za mało“ napisała o uroczystości wmurowania tablicy pamiątkowej Mikołaja Reya w zborze kalwińskim na Lesznie.

W artykule, poświęconym tej sprawie, czytamy między innymi, że „uroczystość Reyowska w Warszawie dla tego z taką nonszalancją potraktowana została, iż nie urządzili jej ani głośni i znani *causerzy* stosunków towarzyskich, ani również głośni i znani wodzirejowie salonowi, lecz ludzie *skromni i cisi*.“

Zarzut ten wymaga pewnego sprostowania, które zresztą uczyniła już *Gazeta Polska*, zaznaczając, że wina leży tu całkowicie po stronie organizatorów wmurowania tablicy, którzy w danym wypadku źle „skromność“ swoją zrozumieli, gdyż winni byli właśnie postarać się o to, aby w zborze na Lesznie urządzić nie cichą manifestację *wyznaniową*, lecz pełną powagi uroczystość *narodową*.

Czterechsetna rocznica śmierci Reya nie skończy się przytem na obchodzie kalwińskim. Wiadomo bowiem, że w końcu grudnia odbędzie się w Krakowie wielki zjazd Reyowski z bardzo obfitym programem i że w tymże czasie wydane zostaną księgi pamiątkowe w Krakowie i w Warszawie.

Swoją drogą *Kuryer Codzienny* ma rację w jednym względzie, a mianowicie, twierdząc, że Mikołaj Rey nie był u nas nigdy według zasług uczczony. Wychodząc z tego, *Kuryer* proponuje „utworzenie jakiej instytucji im. Reya, naprzykład czytelni publicznej w Warszawie ze składek dobrowolnych całego społeczeństwa ufundowanej.“

„O pozwolenie na założenie takiej instytucji nie jest obecnie zbyt trudno, ludzi chętnych a dzielnych i kompetentnych, którzyby utworzyli komitet fundacyjny, również u nas nie brak, potrzeba więc tylko odezwania się kogoś, aby inicjatywa wnet zamieniła się w projekt, na którego urzeczywistnienie niedługo potrzebowalibyśmy czekać.“

Dalej wskazuje *Kuryer* wprost na pp. Aleksandra Rembowskiego i Tadeusza Korzona, jako najodpowiedniejszych, jego zdaniem, do podjęcia tej sprawy.

Projekt — ani słowa — jest dobry i na gorące zasługuje poparcie, krzyżuje się on jednak poniekąd z innym podobnym projektem, o ile nam bowiem wiadomo, pewne grono osób zamierzało nawiązać sprawę założenia w Warszawie czytelnicy lub nawet biblioteki publicznej z przypadającą w listopadzie r. b. sto pięćdziesiątą rocznicą urodzin Stanisława Staszica. Należałoby więc, aby inicjatorowie obydwóch projektów weszli z sobą w porozumienie.

\*

\*

\*

Poruszona w prasie sprawa założenia czytelnicy publicznej w Warszawie, przypomina nam dzieje biblioteki Zielińskich, ofiarowanej kapitule płockiej przed trzema z górą laty, a dotychczas nie uporządkowanej jeszcze i nie oddanej na użytek mieszkańców Płocka.

Sprawa tej biblioteki przed niedawnym czasem, dzięki publicznemu wystąpieniu d-ra Stanisława Borowskiego dostała się na łamy pism i została tam wszechstronnie oświetlona w artykułach ks. T. Kowalewskiego, kustosa katedry płockiej.

Ze względu na publiczny charakter sprawozdania ks. Kowalewskiego z jednej strony, a na doniosłość kulturalną biblioteki płockiej dla naszego kraju — z drugiej, pozwalamy sobie zapoznać na tem miejscu czytelnika z obecnym stanem rzeczy.

Początek sprawy przeniesienia biblioteki Zielińskiej ze Skępego do Płocka datuje się od 20 marca 1902 r. Wówczas to p. Józef Zieliński z Łęczyna wystosował list do Komitetu Towarzystwa rolniczego płockiego, oświadczając gotowość ofiarowania te-



muż Towarzystwu dla miasta Płocka na wieczne czasy biblioteki po Gustawie Zielińskim, autorze „Kirgiza.“

Następnie pod datą 15 kwietnia powiadomił o warunkach, na jakich bibliotekę gotów jest przekazać, mianowicie:

- 1) Biblioteka będzie nosiła zawsze nazwę Zielińskich.
- 2) Wszystkie książki będą umieszczone w jednej wielkiej sali, albo też w dwóch mniejszych pokojach, w których będzie się znajdował osobno dział polski, a osobno dział cudzoziemski. Nadto będzie osobny pokój na czytelnię.
- 3) Biblioteka będzie miała 3 opiekunów, wybieranych przez T-wo rolnicze płockie, między którymi ma się znajdować zawsze jeden z rodziny Zielińskich, pochodzący od założyciela biblioteki. Zadaniem opiekunów ma być sprawdzanie, czy biblioteka znajduje się w porządku.
- 4) Tow. rolnicze ma się zobowiązać do utrzymywania stałego konserwatora-bibliotekarza, na którego będą wybierane osoby, zasłużone literaturze polskiej, a przynajmniej na polu piśmiennictwa pracujące.
- 5) Książki po za obręb biblioteki pod żadnym pozorem nie będą wypożyczane; dla chcących korzystać ma być czytelnia przy bibliotece. Jedyń wyjątek będzie przysługiwał ofiarodawcy.
- 6) Jeśliby T-wo rolnicze miało się kiedy rozwiązać, lub też zostało rozwiązane, biblioteka przejdzie na własność m. Płocka i w tenże mieście na wieczne czasy pozostanie. W razie, gdyby ją chciano usunąć z Płocka, ma przejść na własność kapituły przy kościele katedralnym płockim.

Po otrzymaniu powyższych warunków zebrało się grono osób na naradę i postanowiło dar p. Zielińskiego przyjąć. Co się tyczy formy prawnej — zgromadzeni nie mogli jej narazie określić, ale postanowili tę sprawę zbadać dokładniej i postarać się o uzyskanie pozwolenia na założenie Towarzystwa miłośników nauki, literatury i sztuk pięknych lub też istnieć, jako specjalna organizacja biblioteki płockiej.

Na razie zaproponowano prosić p. Zielińskiego, aby zechciał przenieść bibliotekę do Płocka, jako swoją własność prywatną i umieścić ją w domu Tow. rolniczego lub też w lokalu wynajętym.

Na następnem posiedzeniu uchwalono ofiarować 1000 rb. na pokrycie kosztów przeniesienia biblioteki, oraz sprawienie szaf, i półek koniecznych. Nadto zebrani uznali za dostateczne okre-

ślić na utrzymanie biblioteki taki fundusz: na bibliotekarza 300 rb., na stróża 100 rb., na opał i światło 100 rb. 1)

Na razie obowiązki bibliotekarza zobowiązał się pełnić bezpłatnie dr. Maciesza.

Na zebraniu 14 listopada obecni dowiedzieli się, że Tow. rolnicze lokal po archiwum przeznacza dla biblioteki bezpłatnie, że na stałego bibliotekarza ofiaruje swoje usługi p. Gustaw Zieliński z tem jedynie zastrzeżeniem, że otrzyma mieszkanie, złożone z dwóch pokojów, że ofiarodawca p. J. Zieliński sądzi, że nie potrzeba będzie sprawiać nowych półek, bo te które są w bibliotece łącznie z szafami wystarczą, a główny wydatek będzie na oprawę książek.

W grudniu—wbrew poprzedniej uchwale—uczestnicy oznajmili, że na przeniesienie biblioteki mogą wyznaczyć tylko 600 rb.

Powyższa uchwała doszła do skutku i w ciągu stycznia 1903 r. rozpoczęto przewóz. Ale—niektóre tylko paki z książkami przybyły do Płocka i znalazły schronienie w domu T-wa rolniczego. Reszta pozostała w Skępein.

Od tej chwili sprawa biblioteki zatrzymała się w swoim pochodzie naprzód. Ci i owi zaczynają powątpiewać, czy w Płocku obok istniejących Towarzystw nowe T-wo będzie miało dostateczną ilość członków, którzyby mu byt zapewnili. Okazuje się, że na ofiary od różnych instytucyj rachować nie można. Zamiar uzyskania formy prawnej dla biblioteki ulega zwłoce, wreszcie upada.

Zaległą ciszę przerywa list p. G. Zielińskiego, który oznajmia gotowość objęcia posady bibliotekarza za wynagrodzeniem, oprócz mieszkania, 25 — 30 rb. miesięcznie. Tenże p. G. Z. z godną uznania otwartością wyznaje, że wszystkie jego starania o jakkolwiek posadę rozbijały się z powodu braku fachowego wykształcenia i świadectw szkół miejscowych: jedynie tylko posiada gruntowną znajomość archeologii, sztuk pięknych i bibliotekarstwa, którym oddawna z zamiłowaniem się oddawał i kilka lat sumiennych studyów poświęcił. Te jednak rzeczy, jak się przekonał, przynajmniej u nas, nie dają utrzymania.

---

1) Przypominamy tu przybliżony rachunek prof. Balzera, podany na tem samem miejscu przez nas przed kilku miesiącami. Z zestawienia tych obydwóch rachunków widać, jak niedostateczne są pozycye, zaproponowane dla biblioteki płockiej.



Powyższe wynurzenie było przyjęte życzliwie, wyrażono się mianowicie, że możnaby spełnić życzenie syna ofiarodawcy, gdyby znalazł się fundusz odpowiedni.

Po całorocznej przerwie osoby, zainteresowane sprawą biblioteki, zebrały się w styczniu 1904 r. i doszły do wniosku, że najstosowniejsze ulokowanie biblioteki będzie w *muzeum katedralnem*, postanowiono więc w tej kwestyi porozumieć się z ofiarodawcą i opracować odnośny regulamin.

Na skutek tego przybył do Płocka sam ofiarodawca i oznajmił, że po gruntownym namyśle zdecydował się całą bibliotekę ofiarować na wieczne czasy *kapitulie płockiej*. Niezwłocznie też sporządzony został akt rejentalny sprzedający na osobę ks. Kowalewskiego, jako kustosza kapituły.

Na tem zakończył się pierwszy, zaiste dość charakterystyczny okres, omawianej sprawy bibliotecznej, a rozpoczął drugi, ciągnący się do końca roku ubiegłego. Zawiera on korespondencję pp. Zielińskich, ofiarodawcy i jego syna, Gustawa z ks. Kowalewskim.

Korespondencję tę pomijamy, śpiesząc do przedstawienia obecnego stanu rzeczy.

Według słów ks. Kowalewskiego — jedna część pak z książkami znajduje się obecnie w domu Tow. rolniczego płockiego, a druga — w składzie muzeum. Z tego ostatniego miejsca książki przenoszą się do wolnego mieszkania jednego z kanoników tuż przy katedrze i ustawiają na półkach tymczasowych. Jednocześnie wykończa się wewnętrzne urządzenie muzeum. Plany na centralne ogrzewanie gorącą wodą o niskiem ciśnieniu już zostały przygotowane. Po zainstalowaniu ogrzewania ściany będą pomalowane i zaopatrzone w stałe szafy, wysokie pod sam sufit, z balkonikiem pośrodku. Zanim to nastąpi biblioteka Zielińskich będzie stopniowo przyprowadzana do porządku i katalogowana według systemu kartkowego.

Jest nadzieja, że dokonane to będzie w ciągu kilku lat najbliższych, dzięki gorliwemu i bezinteresownemu współpracownikowi d-ra Macieszy i p. K. Rutkowskiego, profesora gimnazjum męskiego w Płocku. Niewątpliwie też i w przyszłości znajdą się jeszcze inni chętni, którzy *pro publico bono* nie odmówią pomocy.

„Obecnie—kończy ks. Kowalewski swoje sprawozdanie—nie mogę się uskarżać na obojętność płoczan względem biblioteki i muzeum, owszem, widzę zainteresowanie się niemi, albowiem od czasu do czasu otrzymuję różne ofiary z rzeczy archeologicznych, książek i czasopism.

„Może niedaleka przyszłość przekona też ogół, że obawy d-ra St. Borowskiego co do zrujnowania bogatego materiału naukowego i wyrządzenia nauce niemałej krzywdy, nie były niczem uzasadnione. Niewiernych lub też wątpiących mogę zapewnić, że aforyzm H. Sienkiewicza, napisany przez niego w księdze pamiątkowej katedry płockiej: „*Kościół jest stróżem przeszłości, piastunem terażniejszości i siewcą przyszłości*“ nietylko wielkimi literami jaśnieje na ścianie skarbcza katedralnego, ale także znajduje się głąboko w pamięci „teraźniejszego właściciela biblioteki Zielińskich.“

Wobec tego zapewnienia możemy być istotnie spokojni. Sprawa biblioteki jest już na dobrej i zupełnie pewnej drodze. Przykład jednak jej trzyletnich dziejów powinien być dla nas pouczającym. Sprawa pozornie mogła być załatwiona odrazu. Zjawił się hojny ofiarodawca, gotową bibliotekę przekazał Tow. rolnicze-mu, pozostawało mu tylko dar przyjąć i rozniecić nowe ognisko kultury w Płocku. Tymczasem potrzeba było z górą trzech lat, zanim nadzieja otworenia biblioteki publicznej stała się *konkretną*, a minie jeszcze conajmniej drugie tyle, zanim rozpocznie ona na dobre swoją działalność. Ile więc w takim razie potrzeba będzie czasu, ile lat pracy, zabiegów i wysiłku, aby zorganizować bibliotekę publiczną w któremkolwiek z miast prowincjonalnych w myśl projektów prof. Balzera — to znaczy zorganizować ją z niczego.

Zaiste, przykład Płocka nie może być budującym, chyba, że go będziemy uważali za wyjątkowy.

\*

\*

\*

Idea kursów wakacyjnych przyjęła się już na dobre. Obok „uniwersytetu wolnego w Zakopanem“ zapowiedziały już w tym roku działalność swoją dwie instytucje: Kursy wakacyjne w Krakowie i „Polskie Towarzystwo Pedagogiczne“ w Cieszynie.

Kursy krakowskie, obejmujące szereg wykładów z zakresu nauk humanistycznych, metodyki nauk i pedagogiki, a przeznaczone głównie dla nauczycieli i nauczycielek i wogóle dla osób, nie przebywających stale w Krakowie, odbywać się będą w okresie między 25 czerwca a 25 lipca r. b., według programu następującego:

1) *Geografia*—prof. dr. Karol Nittman „Geografia ziem polskich,“ część I „Królestwo Polskie“ z obrazami świetnymi (15 g.).



2) *Historya*—prof. uniw. Jagiel. dr. Wiktor Czermak: „Geneza społeczeństwa polskiego“ (10 godzin); docent dr. Stanisław Kutrzeba: „Reformy społeczne i polityczne w Polsce za Stanisława Augusta“ (10 godzin); asesor uniw. Jagiel. dr. Waclaw Tokarz: „Zarys dziejów narodu polskiego w latach 1831—1864 (15 godz.); prof. dr. Włodz. Czerkawski: „Obecne położenie ludności polskiej w 3-ch dzielnicach“ (10 godz.) i prof. dr. Bolesław Ulanowski: „Ćwiczenia praktyczne w zakresie konstrukcyi historycznej“ (8 godzin).

3) *Literatura polska*. Dr. Lucyan Rydel: „Mikołaj Rey i jego epoka“ (10 godz.); prof. dr. Maryan Zdziechowski: „Idee przewodnie filozofii polskiej XIX w.“ (10 godz.); prof. Ant. Mazanowski: „Dramat polski w XIX w.“ (15 godzin).

4) *Językoznawstwo* — prof. dr. Jan Łoś: „Morfologia języka polskiego“ (10 godzin).

5) *Metodyka nauk i pedagogia* — prof. Zygmunt Paulisch: „Wskazówki do nauczania języka polskiego“ (10 godz.); prof. Stan. Sobiński: „Wskazówki do nauczania historii“ (10 godz.).

Wpisowe na cały kurs wynosi 10 rubli. Do przyjmowania i pobierania wpisowego upoważniony jest dr. Waclaw Tokarz, (Kraków, ul. Batorego № 1, III p.). Wykłady będą się odbywały w „Collegium novum.“

Nieco inaczej przedstawiają się kursy cieszyńskie, zorganizowane za przykładem roku ubiegłego przez Polskie Towarzystwo Pedagogiczne na Śląsku.

Pierwsza zeszłoroczna próba urządzenia takiego kursu dla nauczycieli szkół ludowych i wydziałowych — czytamy w odezwie Towarzystwa — powiodła się wybornie.

Uczestnicy kursu, którzy się zebrali w poważnej liczbie 142 osób rozjechali się do domów pod wrażeniem jaknajmilszem, unosząc z sobą zachętę do dalszego kształcenia się, do poważnej pracy umysłowej, bez której poważnego pojmowania pracy nauczycielskiej być nie może. Wycieczki, urządzone w przepiękne góry śląskie, do hut w Trzyńcu i do kopalń w zagłębiu ostrowsko-karwińskim, nie tylko uprzyjemniły uczestnikom pobyt w Cieszynie, ale zarazem przyczyniły się do zadzierzgnięcia lub utrwalenia serdecznych węzłów koleżeńskich i to nie tylko z kolegami ze Śląska, ale i z gośćmi z innych ziem polskich.

W roku bieżącym kurs prawdopodobnie większem jeszcze cieszyć się będzie powodzeniem.

Wykładać będą:

1) Dr. Ernest Bandrowski, profesor uniwersytetu z Krakowa „O nowych ciałach promieniotwórczych“ (4 godz.).

2) Dr. Stanisław Droba, docent uniwersytetu w Krakowie „Życie ludzkie i jego wrogi“ (4 godz.).

3) Dr. Ernest Farnik, prof. gimn. polskiego z Cieszyna „O twórczości Fryderyka Schillera“ (3 godz.).

4) Dr. Ludomił German ze Lwowa „Prądy w współczesnej literaturze polskiej po r. 1890“ (6 godzin).

5) Prof. Józef Góral z Cieszyna „Metodyka nauk przyrodniczych“ (2 godz.) i „Metodyka arytmetyki i geometrii“ (2 godz.).

6) Dr. Franciszek Majchrowicz, radca i inspektor szkolny krajowy ze Lwowa „O najnowszych kierunkach w nauce wychowania i nauczania“ (1 godz.): „Reformatorzy wychowania i nauczania w XVIII i XIX w. ze szczególnem uwzględnieniem dziejów wychowania w Polsce“ (6 godz.).

7) Dr. Zbigniew Pazdro ze Lwowa „Najważniejsze wiadomości ze statystyki ludnościowej ziem polskich“ (4 godz.).

8) Dr. Lucyan Rydel z Krakowa „Odrodzenie w Polsce (czasy Zygmunta i Batorego) pod względem kulturalno-cywilizacyjnym, społeczno-politycznym, religijnym, filozoficznym“ (4 godz.).

9) Dr. Michał Siedlecki, prof. uniwersytetu w Krakowie „Rozwój wrażliwości w przyrodzie“ (4 godz.).

10) Dr. Wacław Tokarz z Krakowa „Historia porozbiorowa narodu polskiego w głównych swoich momentach (Polityka rządów rosyjskiego, pruskiego i austriackiego w latach 1795—1806. Księstwo Warszawskie. Królestwo Kongresowe. Rok 1831. Lata 1846—48. Galicya i Poznańskie. Królestwo Polskie)“ (7 godz.).

Obok tych wykładów „Towarzystwo Pedagogiczne“ urządza także letni „kurs rysunkowy“ pod kierunkiem art. mal. p. Jana Raszki, prof. wyższej szkoły przemysłowej w Krakowie.

Jak przed rokiem, tak i w tym roku, Zarząd Polskiego Towarzystwa Pedagogicznego obiecuje zorganizować szereg wycieczek w okolice Cieszyna, które uczestnikom kursu, zwłaszcza zamiejscowym, przyjemnią dwutygodniowy pobyt w dawnej stolicy Piastowskiej.

Dla informacji interesowanych, ogłoszenie Towarzystwa nadmieniam, że każdy uczestnik kursu obowiązany jest zaopatrzyć się w kartę uczestnictwa, która daje prawo uczęszczania na wszystkie wykłady w okresie od 12 do 29 sierpnia r. b.



Aby uczestnikom ułatwić pobyt w Cieszynie Zarząd zorganizował Komisję kwaterunkową, mającą zająć się ułatwieniem pomieszczenia wszystkim tym, którzy się do niej zgłoszą.

Koszt utrzymania w Cieszynie wynosi 2—3 koron dziennie (= 80 kop.—1 rb. 20 k.).

Wszelkich bliższych informacji, dotyczących kursu wakacyjnego w Cieszynie, udziela prof. tamentejszego gimnazjum polskiego, Dr. Kazimierz Wróblewski.

\*

\*

\*

Grono b. wychowawców nieistniejącej już szkoły Kronenberga, powzięło na świeżo odbytym zjeździe koleżeńskim myśl założenia w Warszawie wspólnymi siłami wyższej szkoły, ewentualnie akademii handlowej.

Myśl ta zasługuje na pilną uwagę.

Wyższa szkoła handlowa jest nam niewątpliwie potrzebna, o ile bowiem w ostatnich czasach pozyskaliśmy sporą ilość szkół handlowych średnich, typu ministerjum finansów, o tyle młodzież nasza, pragnąc pozyskać *wyższe* wykształcenie handlowe, musi szukać go za granicą—w Lipsku, Antwerpii lub Wiedniu. W obrębie państwa rosyjskiego istnieje bowiem jeden tylko wydział handlowy przy politechnice ryskiej, który spełnia rolę wyższego zakładu handlowego na całym olbrzymim obszarze cesarstwa. Politechnika warszawska niestety wydziału takiego nie posiada, mimo, że katedry nauk handlowych powinny tam istnieć z natury rzeczy, handel bowiem i przemysł, jako dwie dziedziny współdziałające sobie, w życiu praktycznym i szerszym spotykają się na każdym kroku. Inżynier, który może kiedyś w przyszłości objąć ster interesów tej lub innej fabryki, o ile chce być odpowiednio przygotowany do zajęcia stanowiska dyrektora firmy — musi poznać nie tylko tajemnice prowadzenia ksiąg handlowych, ale i zorientować się dobrze w całym obszarze wiedzy handlowej, aby nie tylko nie przeoczył pomyślnej koniunktury, ale potrafił ją nawet stworzyć.

Z tego względu w jednym z pism ukazał się artykuł, nawołujący do tego, aby zamiast zakładania nowej specjalnej szkoły handlowej w Warszawie, pozyskać raczej prawo na utworzenie wydziału handlowego przy politechnice warszawskiej.

Nie przesadzając, co jest lepsze—wydział taki czy szkoła—podkreślamy jedynie istotną i prawdziwą potrzebę wyższego zakładu handlowego w kraju, którego cała przyszłość materialna opiera się na przemyśle i handlu.

Dziś zwłaszcza, kiedy obie te dziedziny pracy srodze ucierpiały wskutek wojny, a przez dłuższy jeszcze czas cierpieć będą wskutek niepomysłnego dla nas traktatu handlowego z Niemcami—potrzeba inteligentnych, wysoko wykształconych kupców, jest wprost palącą.

Nie ludzimy się bowiem. Kupiectwo nasze, z nielicznymi wyjątkami, składa się jeszcze z ludzi, którzy niewielkie mają prawo do tytułu kupca w znaczeniu angielskiem, niemieckiem lub amerykańskiem. Zapewne — i warunki nasze są inne i stosunek nasz do świata inny, niż tamtych narodów, ale bądź co bądź i w naszych warunkach inicjatywa, przedsiębiorczość, rzutkość i rozum mogłyby daleko więcej zdziałać i osiągnąć bezporównania większe rezultaty, niżeli te, które nasz bilans handlowy uwidocznia.

Odczuwa to zresztą całe społeczeństwo, a w ostatnich czasach odczuwać zaczęła nawet młodzież inteligentna, garnąca się do zawodu handlowego.

Z prądu tego należy skorzystać w interesie całego narodu. Młodzieży, która chce się kształcić na kupców, trzeba dać odpowiednią szkołę. Jeżeli będzie nią akademія handlowa, urządzona na wzór wiedeńskiej lub antwerpskiej, z kursem skróconym dla posiadających wykształcenie wyższe, to uczęszczać do niej będą i prawnicy po skończeniu uniwersytetu i inżynierowie po skończeniu politechniki i ci, którzy chcą poświęcić się handlowi specjalnie i wyłącznie. Uczniów dla akademii takiej nie zabraknie.

Profesorowie zaś znajdują się także, jak znaleźli się w szkole Kronenberga, która potrafiła w ciągu swego istnienia tak dobrze zapisać się w dziejach naszej oświaty zawodowej.

Jedyną trudność stanowić tedy mogą tylko fundusze, zwłaszcza, że na erygowanie takiej szkoły potrzeba kapitałów dość znacznych.

Czy inicjatorowie akademii potrafią tę sprawę pomyślnie rozwiązać, tego nie można przed czasem rozstrzygać, należy wszakże mniemać, że znajdują oni poparcie w całym naszym świecie handlowym, myśl bowiem, rzucona przez nich, jest i dobra i we właściwym zjawia się czasie.

Trzeba się tylko zakrzętać żwawo i z ochotą.



# Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

## Z AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI I TOWARZYSTW NAUKOWYCH.

— Na posiedzeniu Zarządu Akademii odbytem 17 czerwca 1905, zgodzono się na pomieszczanie w biuletynach Akademii streszczeń francuskich lub niemieckich z artykułów pomieszczanych w nowem naukowem wydawnictwie „PRZEGLĄD HISTORYCZNY.“ Według tego postanowienia streszczenia z „PRZEGLĄDU HISTORYCZNEGO“ będą drukowane osobno i zamieszczane pod jedną okładką obok streszczeń akademickich. W ten sposób odbiory wydawnictw Akademii i wszystkie ciała naukowe zagraniczne powiadamiane będą o treści drukujących się w „Przeglądzie“ prac. Nowe to wydawnictwo odrazu w ten sposób nabierze szerszego rozgłosu w sferach naukowych nie tylko naszych, ale i zachodnio-europejskich.

26-go czerwca b. r. odbyło się posiedzenie wydziału filologicznego Akademii Umiejętności. Porządek dzienny tego posiedzenia obejmował: 1) Referat prof. *J. Kallenbacha*: „O pierwotnym kształcie: „Ksiąg pielgrzymstwa.“ 2) Referat prof. *A. Miodońskiego*: „Tertulian, jako pisarz.“ Dokładniejsze sprawozdania o tem ciekawem posiedzeniu dotąd jeszcze nie nadeszły, dopiero więc w następnym zeszycie podamy streszczenie tych referatów.

Jako jeden z ważniejszych faktów, zasługujących w łonie Akademii krakowskiej, zaznaczyć należy zapadłą (13 lutego) uchwałę wydania greckich ojców kościoła IV wieku. Walną zapomogę w tym celu zapewnił Akademii hr. August Cieszkowski, który na spełnienie tego zadania ofiarował 10000 koron, z których pierwsza rata w kwocie 2000 koron już nadeszła. Prócz tego prof. Sternbach ofiarował bibliotekę pomocniczą i zobowiązał się do datku 1000 koron na jej zakupno. Dla wykonania tego zamiaru zawiązała się komisya złożona z pp. Miodońskiego, Morawskiego, Pawlickiego, Sinki, Sternbacha i Stanisława Witkowskiego, która przystąpi niebawem do pracy. Wydawnictwo to będzie miało ogólnoeuropejskie znaczenie naukowe.

Na posiedzeniu wydziału filologicznego odbytem 13 lutego b. r. prof. J. Bołoz Antoniewicz przedstawił dwie prace. 1) Zagadka „derelitty.“ Jest to rozprawa dowodząca, że autorem obrazu znajdującego się w galerii książęcej Pallavicinich w Palazzo Rospigliosi w Rzymie, a noszącego nazwę „derelitta“ — „wypędzona,“ był Filipino Lippi, a nie S. Botticeli jak to dotąd sądzono. — 2) Rozprawa p. t. „Przeoczony Rubens: król polski Zygmunt III poskramiający kacerstwo“ ma większy dla nas interes. Rozpatruje w niej autor bardzo szczegółowo wartość artystyczną obrazu znajdującego się w Augsburgu, o którym było przypuszczenie, że wyszedł z pod pędzla Zygmunta III, który jak wiadomo zajmował się także malarstwem. Dr. v. Reber w swoim katalogu przypisuje ten obraz królewskiemu artyście i daje mu tytuł „Alegorya na założenie domu Jezuitów.“ Okazuje się jednak po dokładnem rozpatrzeniu zalet artystycznych obrazu, że nie może być on utworem malarza dyletanta, jakim był Zygmunt III, ale przeciwnie, wyszedł z pracowni jednego z najznakomitszych malarzy. Pan Bołoz Antoniewicz dopatruje w nim cechy charakterystyczne dla Rubensa i hipotezę swoją w tym względzie stawianą uzasadnia dłuższem i starannie opracowanem dowodzeniem. Udowodniwszy tę tezę, autor przystępuje do wytlómaczenia samego obrazu i dowodzi, że główna postać na obrazie przedstawiona uosabia właśnie Zygmunta III, a książę w obłokach przedstawiony jest to jego patron, św. Zygmunt, książę Burgundyi. Tak więc Zygmunt III jest nie malarzem tego obrazu, ale jest jego bohaterem. Genezę obrazu p. Antoniewicz upatruje w stosunkach Rubensa z Władysławem IV, w czasie podróży tego ostatniego do Brukseli w 1624.

Na temże posiedzeniu przedstawioną była zgromadzonym praca *Tadeusza Sinki* p. t. „Źródła przykładów Reja w „Żywocie człowieka poczciwego.“ Autor zbadawszy zbiory poważnych apoftegmatów, które mogły być znane Rejowi i z których mógł on korzystać, wykazuje na metodycznym rozbiore rozdziału o pochlebcach, że jedynie w zbiorze Konrada Lykostenesa, znajdował Rej wszystkie wersje uwzględnionych przez się anegdot. Rzadziej korzystał z Valerius'a Maximus'a, z Cycerona i Seneki.

— Z TOWARZYSTWA IM. MICKIEWICZA WE LWOWIE. Wobec zapadłej w rzezonem Towarzystwie uchwały, zanoszącej protest przeciwko Akademii za wynagrodzenie dzieła prof. Tretiaka o Juliuszu Słowackim na konkursie — cały prawie zarząd Towarzystwa ustąpił z zajmowanego stanowiska nie zgadzając się zasadniczo z protestem członków Towarzystwa. Dotąd ustąpili prezes Wilh. Bruchnalski, wiceprezes prof. J. Kallenbach, dr. Bron. Gubrynowicz, prof. Porębowicz i prof. O. Balzer.

#### K S I A Ǽ K I N A D E S Ł A N E.

— LUROMIRSKI J. T. Adam Kisiel wojewoda kijowski. Warszawa, 1905. 8-o, str. 32.

Sędziwy autor niniejszej rozprawki pobieżnie traktując biografię znakomitego wojewody kijowskiego, zatrzymuje się tylko nad bardziej znamienne-



mi faktami z jego życia, które z jednej strony charakteryzują należycie tę szlachetną i piękną postać bohatera kresowego, z drugiej wykazują doniosłe znaczenie jego polityki, tak trafnie pomyslanej a jednakże nie wykonanej należycie przez chylącą się już ku upadkowi Rzplte. Kisiel, to jeden z tych Małorosów, którzy oszczędzali i bronili Polski z większym staraniem niż sami Polacy, — należy mu się więc pomnik godny jego zasługi. W drugiej części swej rozprawki autor podaje opis pomnika grobowego Kisiela, w cerkwi w Niskinieży (pow. włodzimirski) z ciekawym napisem jakoteż rycinę, przedstawiającą cynową trumnę Kisiela z licznymi ozdobami. Z przytoczonych w książce cytat, najważniejszy jest po raz pierwszy ogłoszony testament A. Kisiela, sporządzony jeszcze w bardzo młodym wieku, bo w 1621 roku.

---

— ROZPRAWY AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI—wydział historyczno-filozoficzny. Serya II tom XXII, ogólnego zbioru tom 47-my. Kraków, 1905. 8-o, str. 428. Obejmuje następujące prace: *Antoniego Prohaski*: Holdy mazowieckie 1386 — 1430; — *Adama Kłodzińskiego*: Rokowania polsko-brandenburgskie w roku 1329; — *Władysława Abrahamy*: Udział Polski w Soborze pizańskim 1409; — *Karola Potkańskiego*: Studya nad XIV wiekiem, № 8 Zajęcie Wielkopolski 1313 i 1314; — *Franciszka Bujaka*: Studya nad osadnictwem Małopolski cz. I (z mapą i 6 rycinami w tekście).

---

— SPRAWOZDANIE KOMISYI FIZYOGRAFICZNEJ (Akademii Umiejętności) obejmujące pogląd na czynności dokonane w ciągu lat 1902 i 1903 oraz materiały do fizyografii krajowej. Tom 38. Kraków, 1905. 8-o, str. XLVI + 211 + 66 + 141.

Obejmuje przegląd czynności komisji fizyograficznej w ciągu 1902/3 i 1903/4, spis członków tej komisji, obrót funduszków komisji w 1903 r. Następnie w oddziale zatytułowanym: „Materiały do fizyografii krajowej w części I-szej,“ zawiera materiały zebrane przez sekeyę meteorologiczną, w części II-iej materiały zebrane przez sekeyę: zoologiczną, botaniczną i geologiczną.

---

— STUDNICKI WŁADYSŁAW. Rozwój reform politycznych i stosunków ekonomicznych Szwajcaryi. (Wydanie nowe). Lwów, 1905. 8-o, str. 168.

Autor mając na celu zainteresowanie naszego społeczeństwa naukami społeczno-politycznymi i pobudzenie go do pracy myślowej w tym kierunku, postanowił wydać całą seryę prac poświęconych rozwojowi form politycznych w rozlicznych krajach. Obecnie wypuszcza on w świat rozprawkę o Szwajcaryi, następnie ma zamiar także dziełka wydać o Stanach Zjednoczonych, Francyi, Niemczech i Austrii. Wobec małej bardzo znajomości tego przedmiotu u naszego społeczeństwa, praca p. Studnickiego jest bardzo ważną i bardzo na czasie.

## WYDAWNICTWA PERYODYCZNE.

— KWARTALNIK HISTORYCZNY. Zeszyt 1-szy, 1905 r. *Władysław Łoziński*: Pomnik grobowy Mikołaja Herburtu w katedrze lwowskiej; — *Antoni Prohaska*: Książę Jan Kropidło, biskup włocławski; — *Adam Kłodziecki*: Ze studyów krytycznych nad rokiem 1831; — *dr. Bolesław Łodziński*: Z czasów Józefińskich; — *Henryk Mościcki*: Przyczynek do pobytu Filomatów w Odessie (1815); — Bibliografia historii powszechnej przez *Eugeniusza Barwińskiego*; — tenże: Bibliografia historii polskiej; — tenże: Kronika; — Sprawozdanie Towarzystwa historycznego; — Polemika przez Aleksandra Kraushara i Stanisława Krzyżanowskiego.

— Ukazał się pierwszy zeszyt PRZEGLĄDU HISTORYCZNEGO, pisma poświęconego badaniom naszej przeszłości i popularyzacji wiedzy historycznej. O projekcie założenia tego pisma wzmiankowaliśmy w poprzednim zeszycie. Teraz podajemy treść pierwszego zeszytu, który pod datą 1-go lipca opuścił prasę przed paru dniami. Na bogatą i wyjątkowo interesującą treść zeszytu złożyły się następujące prace: *Wactawa Sobieskiego*: Słowo wstępne, w którym autor wykazuje trudności, jakie stały na przeszkodzie urzeczywistnieniu planu Niemcewicza jeszcze z 1804 r., kiedy po raz pierwszy pismo historyczne założycz chciano w Warszawie. Zaznaczając naukową konieczność wydawania takiego pisma w Warszawie, autor wypowiada program, jakiego będzie się trzymał Przegląd i kończy swoje uwagi słowami „Veritas liberabit nos.“ Następują potem rozprawy: *Ludwika Gumplowicza*: Historia a socjologia; — *Aleksandra Brücknera*. Próbkę najnowszej krytyki historycznej; — *St. Kętrzyńskiego*: Kilka uwag o opacie Astryku-Anastazym; — (Polska a Dijon) *Wł. Smoleńskiego*: Udział szlachty mazowieckiej w elekcjach królów; — *Ernesta Łunińskiego*: Księżna Taranakowa a konfederaci Barsey; — *Bronisława Łozińskiego*: Sprawa kryminalna Aleksandra hr. Fredry o zdradę stanu; — *J. K. K.*: Wspomnienie o Jakóbie Caro. W dziale sprawozdań omówiono następujące dzieła: *dr. Čeněk Zibrts*: Bibliografie české historie przez Al. Brücknera; — *L. Laroy*: Fleurs de la poésie arabe przez Tadeusza Smoleńskiego; — *A. W. Storożenko*: Stiefan Batoryj i dniewprowskije kazaki przez Witolda Nowodworskiego; — *Th. Westrin*: Częstochowa Klosters belögring af Karl X Gustafs trupper przez Witolda Nowodworskiego; — *Alfreda Jensen*: Svenska bilder in polska vitter heten przez Witolda Nowodworskiego; — *Fredric Masson*: Jadis przez Tad. Smoleńskiego; — *Aleksandra Kraushara*: Towarzystwo królewskie przyjaciół nauk przez *J. Bielińskiego*; — *K. S. Chamberlain*: Die Grundlagen des XIX Jahrhunderts przez Tadeusza Smoleńskiego. W dziale „Miscellanea“ p. dr. Franciszek Giedroyć podał „Causus notabilis“ urzędowe stwierdzenie prawa zwyczajowego uwolnienia skazańca przez dziewczynę rzucającą na szyję skazańca w chwili kaźni.

— ROCZNIK NAUK ROLNICZYCH. *Ignacy Kosiński*: Przyczynek do metodyki doświadczeń polowych z odmianami buraków; — *Andrzej Berezowski*: Studium nad mózgowiem bydła rogatego; — *Feliks Rogoziński*: Zjawisko dojrzewania serów; — *Adam Krzyżanowski*: Związki rolników.



— SZTUKA. Luty. W sprawie zabytków Sztuki Polskiej; — J. Topass: Zagadnienie brzydoty;—L. von Bever: Sztuka potępieńcza (Notatki o van Gogh);—L. Graff: Działo;—M. de Guérin: Centaur (tł. Wincenty Brzozowski);—K. Doury: Szkic o poemacie prozą w piśmiennictwie francuskim.

— WISŁA. Marzec. Kwiecień. Dr. F. Kręek: Na marginesie; — Księgi przysłów—S. Adalberga;—K. Stolyhwo: Jaselka na Podlasiu;—R. Lilientalowa: Wierzenia, przesady i praktyki ludu żydowskiego;—E. Sulimczyk Swieżawski: Odblaski Ziemi Świętej w literaturze łacińsko-polskiej XII (XIII) wieku;—H. Łopaciński: Bajka Ezopa o rybaku, grającym na flecie i rybach w pamiętnikach Paska;—J. Petrowowa: Z humorystyki ludowej.

— ZDROWIE. Maj. Dr. J. Brener: Zasady walki z cholera;—A. Chmieleńska: O bezpłatnych zabawach dzieci ubogich;—dr. J. Polak: O nowym sposobie przyrządzania krowianki;—Wiadomości z dziedziny ruchu i potrzeb higieny krajowej;—Przegląd bibliograficzny;—Ze zjazdów i wystaw higienicznych;—Z towarzystw higienicznych oraz związek z higieną mających;—Z Warszawskiego Towarzystwa Hygienicznego.

## BIBLIOGRAFIA.

### TEOLOGIA. — FILOZOFIA. — PEDAGOGIA.

BUJAK FRANCISZEK DR.: Rzut oka na liczbę i działalność sodalicyj Maryańskich, przemowa prefekta. Kraków, 1904. 8-o, str. 16.

GABILLON KS. DR.: Żywot Ludwika Le Eras fundatorki i pierwszej przełożonej Zgromadzenia córek miłosierdzia sług, ubogich, chorych. Przekład wydania 1676 r. Kraków, 1905. 8-o, str. 157.

MAJCHROWICZ FRANCISZEK DR.: Wyrabianie samodzielności u młodzieży. Serya II. Lwów, 1905. Nakł. red. „Rodziny i Szkoły.“ 8-o, str. 28.

RADZISZEWSKI I. KS. DR.: Polska bibliografia filozoficzna w układzie dziesiątym — ideologicznym. № 1. (Odbitka z Przeglądu filozoficznego). Warszawa, 1905. 8-o, str. 44.

DE RAULICA VENTURA X.: Posłannictwo katolickiej niewiasty od początku chrześcijaństwa po nasze czasy. Tłumaczył z francuskiego Stanisław Koźmian. T. II cz. 2. Kraków, 1904. 8-o, str. 210.

SKIMBOROWICZ H. KS.: Upadek organizacyi kościoła polskiego i początki jej odnowienia. Kartka z dziejów pierwszej połowy XI w. Warszawa, 1905. 8-o, str. 14.

STACHIEWICZ TEOFIL DR. i DWORSKI EMANUEL: I. Ochrona zdrowia młodzieży w wychowaniu domowym. II. Współdziałanie domu i szkoły w wychowaniu młodzieży. Serya I. Lwów, 1905. Nakł. red. „Rodziny i Szkoły,” Seyfarth i Czajkowski. 8-ka, str. 20.

STARCZEWSKI FELIKS: *Scola cantorum* oraz Wincenty d'Indy, jako pedagog. Przez... Przedruk z „Echa muzycznego“ z r. 1902. Warszawa, 1905. 8-o, stron 30.

#### HISTORIA. — GEOGRAFIA.

BAZEWICZ I. M.: Atlas geograficzny ilustrowany Królestwa Polskiego. Zeszyt IV-ty.

BIELIŃSKI JÓZEF: Żywot ks. Adama Jerzego Czartoryskiego. T. II-gi. (Dodatek do Tygod. Ilustrow.). 1905. 8-o, str. 131.

CHOTKOWSKI L.: *Historia polityczna dawnych klasztorów panińskich w Galicji (1773 — 1848)*. Politische Geschichte der älteren Nonnen-Klöster in Galizien 1773 — 1848. Extr. du Bull. de l'Acad. des sciences. Cracovie, impr. de l'Univ. Jag. 1905. 8-o, str. 24 — 29.

KUCHARZEWSKI FELIKS: *Pomysły techniczne generała Sokolnickiego*. Warszawa, 1905. 8-o, str. 31, tabl. 2.

OSTROWSKI JULIUSZ HR.: *Księga herbowa rodów polskich*. Zeszyt XVIII. Warszawa. Gebethner i Wolff. (Od Siemiaszko — Stach).

PRZYBOROWSKI WALERY: *Dzieje 1863 roku, przez autora „Historii dwóch lat“* tom. IV. Kraków, 1905. Nakł. i druk. W. L. Anczyca i Sp. 8-o, str. 415.

VOLTAIRE: *Drugi najazd Szwedzki (Karol XII)*. Przetłóżył oraz ilustracyami i przypiskami opatrzył *Zygmunt Światopełk Słupski*. Poznań, 1905. 8-o, stron 232.

WINIARZ ALOJZY DR.: *Ustrój społeczny i polityczny Polski*. Odbitka z dzieła: „Polska, obrazy i opisy.“ Lwów, 1905. Nakład „Macierzy polskiej.“ 4-o, str. 59.

WOŁYŃIAK: *Spis klasztorów unickich Bazylianów w województwie Wołyńskim*. Kraków, 1905. Nakł. Spółki wyd. pols. 8-o, str. 145 + XXVI i 1 nl.

#### PRAWO. — EKONOMIA.

GEORGE H.: *Nauka ekonomii politycznej*. Z angielskiego oryginału (za wyłącznem upoważnieniem spadkobierców autora) przetłóżył *Zygmunt Światopełk Słupski*. Poznań, 1904. 8-o, str. 447.

LUXEMBURG MAXYMILIAN: *Odszkodowanie robotników, prawo z dnia 15 czerwieca 1903 r.* Przewodnik informacyjny dla fabrykantów, lekarzy, urzędników i pracowników fabrycznych. Opracował... Z 1 obrazową tablicą na początku. Warszawa, 1905. Skł. główny w księgarni J. Fiszeru. 8-o, str. 232.



MARYLSKI ANTONI: Podręcznik dla pełnomocników gminnych. Ułożył...  
Wyd. drugie, przejrzone i poprawione, z dodaniem całkowitej ustawy gminnej. Warszawa, 1905. Nakł. Gebeth. i Wolffa. Wyd. nieurzędowe. 8-o, str. 72.

RÓCZNIK WALNEGO ZEBRANIA CENTRALNEGO TOWARZYSTWA GOSPODARZEGO w W. Księstwie Poznańskim, odbytego w dniach 8, 9 i 10 marca 1904 w Poznaniu na starej sali w Bazarze. Rocznik IX. Dodatek do „Ziemianina.“  
Poznań, 1904. Nakł. Tow. 8-o, str. 112.

SPRAWOZDANIE wydziału Towarz. prawniczego we Lwowie z czynności w roku 1904. Lwów, 1905. Nakł. Tow. 8-o, str. 28.

## F I L O L O G I A.

BENNI TYTUS: Drobne spostrzeżenia w dziedzinie polskiego sandhi. Materiały i prace komisji językowej Akademii Umiejętności w Krakowie. Tom III. Kraków, 1905. Nakł. Akad. Umiejętn. Skład główny w księgarni Sp. Wyd. polskiej. 8-o, str. 99.

JESKE AUGUST: Mała stylistyka zawierająca materiały i wskazówki metodyczne do pierwszych ćwiczeń w nauce języka polskiego dla dzieci od lat 9-ciu do 12-tu. Wyd. 5 nowo opracowane i uzupełnione. Warszawa, 1905. Nakł. i druk. M. Arcta. 8-o, str. 176.

SINKO TADEUSZ: Z humanizmu i historii filologii. Szymonowicz i Kalimach. Nadb. z czasop. „Eos,“ t. X, 1904. Lwów, 1905. Nakł. Towarz. filolog. 8-o, str. 138 — 146.

## HISTORIA LITERATURY.

BEREZOWSKI ANDRZEJ DR.: Sprawa a lekarstwa końskie przez Conrada królewskiego kowala doświadczone. (Wyd. Akad. Umiej. Bibl. pisarzów polskich). Kraków, 1905. 8-o, str. 43.

FLACH JÓZEF DR.: Schillera polityczne i społeczne poglądy. Odbitka z „Przeglądu polsk.“ Kraków, 1905. Nakł. autora. Z portretem Schillera. 8-o, str. 51.

HECK KORNELI DR.: Do sporu o „Bogurodzicę“ i dwu Zimorowiczów. Odb. z „Przegl. Powszechnego.“ Kraków, 1905. Nakł. autora. G. Gebethner i Sp. 8-o, str. 20.

KOCHANOWSKI PIOTR: Ludowika Ariosta „Orland szalony.“ Wydał Jan Czubek. (Biblioteka pisarzów Polskich № 50, 51, 52). Kraków — Akademia, 1905. T. I str. XCIV + 379, t. II str. 456, t. III str. 474.

KURS. WAKACYJNY... uniwersytecki, urządzony w Cieszynie w dniach od 15—30 sierpnia 1904 przez polskie Tow. pedagogiczne w Ks. Cieszyńskim. Sprawozdanie. Odb. z „Miesięcznika pedagogicznego.“ Cieszyn, 1904. Nakł. pols. Tow. pedag. 8-o, str. 25 i 1 nl.

ŁAGOWSKI FLORYAN: Historia literatury polskiej w zarysie. Książeczka I. O literaturze polskiej do XVI w. Warszawa, 1905. Nakł. Arcta „Książki dla wszystkich“ № 60. 16-o.

MACIERZ POLSKA: Sprawozdanie z działalności... Komitetu fundacyi im. Tadeusza Kościuszki za rok 1904. Lwów, 1905. 8-o, str. 20.

PIENIĄŻEK CZESŁAW: O życiu i dziełach Mikołaja Reja z Nagłowic. „Bibl. Macierzy polskiej“ № 29. Lwów, 1905. Nakł. „Macierzy.“ 8-o, str. 91.

ZILEWICZÓWNA MARYA: Amerykański filozof - poeta (Ralf Waldo - Emerson). Odb. z „Bibl. Warsz.“ 1905. 8-o, str. 23.

#### PUBLICYSTYKA. — SPRAWY SPOŁECZNE I POLITYCZNE.

BAUDOIN DE COURTENAY JAN: Krzewiciele zdziczenia. Kraków, 1905. 8-o, str. 72.

BOJKO JAKÓB: Pisma i mowy z przedmową *Władysława Orkana*. 1904. 8-o, str. 181.

CEDERBAUM HENRYK: Bezrobocie wobec prawa. Opracował... Warszawa, 1905. Nakł. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 63.

HERKNER H. DR. PROF.: Kwestya społeczna w zachodniej Europie. Z 3 wydania niemieckiego przełożyła dr. M. Lipszyc Balsigerowa. Lwów, 1905. Pols. Tow. Nakł., księg. Narodowa we Lwowie, E. Wende i Sp. w Warszawie. 8-o, str. XII + 498.

KAUTSKY KAROL: Zasady rozwoju społeczno - demokratycznego. Redaktor-Wydawca St. Kucharski. Warszawa, 1905. „Bibl. Naukowa.“ 8-o, str. 194.

KOSKOWSKI BOLESŁAW: Gmina wiejska. Zarys samorządu gminnego w Królestwie Polskiem. Wydanie nowe, poprawione. Lwów, 1905. 8-o, str. 71.

PRZEZDZIECKI H. Ks.: Do robotników dwa przemówienia wypowiedziane w kościele św. Floryana na Pradze d. 6 i 20 maja 1905. Warszawa, 1905. 8-o, str. 24.

SULIGOWSKI ADOLF: O instytucjach ziemskich i ich potrzebie u nas. Wydanie drugie. Warszawa, 1905. Skład gł. w księg. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 47.

WOŁKOŃSKI JERZY: Poglądy na obecne położenie Rosyi. Lwów, 1904. 8-o, str. 85.

